

DANIELLE STEEL


AMBER

NAJNOWSZY
BESTSELLER

W ślady ojca

DANIELLE
STEEL

W ślady ojca

Przekład
ANTONI KULAWIK
EWA RATAJCZYK



Redakcja stylistyczna

Anna Tłuchowska

Korekta

Renata Kuk

Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce

© Mark Owen/Trevillion Images

© Anthony Quintano/CC-BY-2.0

Tytuł oryginału

In His Father's Footsteps

In His Father's Footsteps

Copyright © 2018 by Danielle Steel

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6918-4

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Moim cudownym dzieciom,

Beatie, Trevorowi, Toddowi, Nickowi, Sam,

Victorii, Vanessie, Maxxowi i Zarze.

Chcę, żebyście szanowali przeszłość,

waszą historię i tych, którzy byli przed wami.

Ale szanujcie również teraźniejszość,

bierzcie ją w objęcia i bądźcie dzielni.

I miejcie wiarę w przyszłość, szanujcie siebie

i zawsze bądźcie szczerzy wobec siebie samych,

i obyście znaleźli bratnie dusze.

Kocham Was,

mama D.S.

Szóstego kwietnia 1945 roku naziści zaczęli ewakuować obóz koncentracyjny w Buchenwaldzie na górze Ettersberg niedaleko Weimaru. Obóz działał przez osiem lat, od 1937 roku, i od tamtej pory przeszło przez niego dwieście trzydzieści osiem tysięcy więźniów: mężczyzn, kobiet i dzieci. Pięćdziesiąt sześć tysięcy zmarło: Czechów, Polaków, Francuzów, Niemców.

Szóstego kwietnia żołnierze amerykańscy byli już od dwóch dni w pobliżu, a naziści chcieli, zanim nadejdą alianci, odesłać z obozu wszystkich więźniów. Był to obóz pracy z krematorium, budynkiem szpitalnym, w którym przeprowadzano przerażające eksperymenty medyczne i bydłocymi barakami dla więźniów. W każdej stajni, w której kiedyś trzymano do osiemdziesięciu koni, mieszkało tysiąc dwustu więźniów, po pięciu na pryczę. Były też dodatkowe baraki dla mężczyzn. I jeden barak dla kobiet, który mógł pomieścić do tysiąca więźniarek.

Szóstego kwietnia większość kobiet wysłano do Terezina, kiedyś uważanego za wzorcowy obóz koncentracyjny, pokazywany gościom i delegacjom Czerwonego Krzyża. Kobiety, które były w stanie chodzić, szły na piechotę lub były wiezione w wagonach. Inne pozostawiono w barakach. Ewakuowano też tylu mężczyzn, ilu zdołano. Mieli być odesłani w głąb Niemiec albo do odleglejszych obozów koncentracyjnych. Ewakuacja trwała już od dwóch dni i więźniowie zastanawiali się, co niesie im najbliższa przyszłość.

Ósmego kwietnia Gwidon Damazyn, polski inżynier, który siedział w obozie od czterech lat, przez zbudowaną przez siebie krótkofalówkę wysłał informację alfabetem Mors'a, po niemiecku i angielsku.

„Do aliantów. Do armii generała Pattona. SOS. Potrzebujemy pomocy. Chcą nas wywieźć. SS chce nas pozabijać”. Współpracujący z Damazynem Konstantin Leonow wysłał taką samą depezę po rosyjsku.

Po trzech minutach otrzymali odpowiedź. „Obóz koncentracyjny Buchenwald. Trzymajcie się. Idziemy wam na pomoc. Sztab Trzeciej Armii”.

Gdy depeza nadeszła, rosyjscy więźniowie zaatakowali wieżyczki strażnicze bronią, którą mieli w ukryciu, i pozabijali wachmanów. Ci ze strażników, którzy przeżyli, uciekli, żeby nie wpaść w ręce nadchodzącej Trzeciej Armii. Po ewakuacji w obozie zostało dwadzieścia jeden tysięcy więźniów. W tym tylko kilkaset kobiet.

Trzy dni później, 11 kwietnia 1945 roku, żołnierze Dziewiątego Batalionu Piechoty Zmechanizowanej Szóstej Dywizji Pancерnej, wchodzącej w skład Trzeciej Armii, weszli do Buchenwaldu. Był to pierwszy obóz koncentracyjny wyzwolony przez wojska amerykańskie. Inne zostały już wyzwolone przez armie sowieckie, posuwające się naprzód przez Polskę.

Tego samego dnia, nieco później, do obozu przybyła Osiemdziesiąta Trzecia Dywizja Piechoty amerykańskiej. Żaden z amerykańskich żołnierzy nie był przygotowany na to, co tam zobaczyli: chodzące szkielety, które na nich patrzyły, ludzi zbyt słabych, by się ruszyć lub stać i innych, którzy wiwatowali i krzyczeli, a łzy spływały im po policzkach. Ich wyzwoliciele też płakali. Więźniowie próbowali podnieść na ramionach Amerykanów, ale byli za słabi. Niektórzy umarli, w chwili gdy alianci wjechali do obozu albo parę minut później. Przez całe lata ich wrogami byli naziści, głód i spowodowane nim choroby.

Amerykańscy żołnierze weszli do baraków. Przeraziło ich to, co tam zastali: smród, brud i gnijące ciała, zbyt słabe, by wstać z pryczy, ludzie, których wycofujący się Niemcy chcieli zabić,

ale nie mieli na to czasu.

Kiedy żołnierze weszli do głównego baraku, wysoki, makabrycznie wychudzony mężczyzna, potykając się, podszedł do nich, machając ramionami. Miał ogoloną głowę, podarty, brudny pasiak, spod którego widać było klatkę piersiową z wystającymi żebrami. Wyglądał jak trup, nie można było określić jego wieku. Robił wrażenie zrozpaczonego.

– Kobiety... gdzie są kobiety... wszystkie wywieźli? – zapytał.

– Jeszcze nie wiemy. Nie znaleźliśmy ich. Dopiero co przyszliśmy. Gdzie one są?

Mężczyzna wskazał w stronę innego baraku i potykając się, zaczął tam iść.

– Poczekaj. – Młody sierżant wyciągnął rękę, żeby go powstrzymać. Dzięki temu złapał mężczyznę, kiedy ten zaczął się przewracać. – Ile czasu minęło, odkąd po raz ostatni jadłeś i piłeś?

– Pięć dni.

Sierżant wydał rozkaz dwóm swoim żołnierzom, którzy stali obok niego. Szybko odeszli, żeby go wykonać. Burmistrzowi pobliskiego Langenstein kazano natychmiast dostarczyć do obozu wodę i żywność. Jakiś oficer już wezwał przez radiostację personel medyczny. Wszyscy więźniowie wyglądali jak chodzące trupy.

– Zaprowadzę was do baraków dla kobiet – zgłosił się na ochotnika dopiero co wyzwolony więzień, chociaż ledwo stał na nogach. Dwaj żołnierze pomogli mu wsiąść do jeepa. Stwierdzili, że jest lekki jak piórko. Próbowali nie reagować na odór. Buty więźnia miały obcięte noski, ich podeszwy były przetarte na wylot. Zdjął je z trupa człowieka, którego zabili naziści. Pokazał im drogę do baraku dla kobiet. Kiedy tam dotarli, okazało się, że kobiety są w jeszcze gorszym stanie niż mężczyźni. Współwięźniarki wyniosły niektóre z nich, a te, które mogły chodzić, same wyszły na zewnątrz, żeby patrzeć, jak amerykańscy żołnierze krążą po obozie. Nie wiedziały, czego się teraz mogą spodziewać, poza tym że nic nie może być gorsze od tego, co przeżyły. Część z nich przeniesiono z innych obozów, wszystkie były przeznaczone do ciężkiej pracy, a niektóre przeszły niewyobrażalne eksperymenty medyczne. Wiele zmarło.

– Nazywam się Jakob Stein – przedstawił się więzień, pokazując żołnierzom drogę. Mówił płynną angielszczyzną z ciężkim niemieckim akcentem. – Jestem Austriakiem. Jestem tutaj od pięciu lat. – Zatrzymali się przy baraku dla kobiet i jeden z żołnierzy wyniósł go z jeepa, bojąc się, żeby nie upadł. Więzień podszedł chwiejnym krokiem do dwóch kobiet i przemówił do nich po niemiecku. – Emmanuelle? – zapytał z nutą paniki w głosie. Żołnierze patrzyli na kobiety z przerażeniem. Były ledwie żywe. – Odeszła? – zapytał Jakob, wykrzywiając z przerażenia wychudzoną twarz. Żołnierze zastanawiali się, czy pyta o swoją żonę, ale nic nie mówili. Próbowali uśmiechać się do kobiet, żeby ich nie wystraszyć.

– Jest w środku – powiedziała ochrypłym głosem kobieta o szarosinych wargach, owijając się mocniej podartym kocem. Wyglądał raczej na brudną ścierkę, niż na coś, co mogłoby dać ciepło, ale oczy kobiety błyszczały od gorączki. Potknęła się i wpadła w ramiona żołnierza, który zaniósł ją do jeepa.

– Wezwaliśmy medyków – powiedział żołnierz – lekarzy. – Była przerażona, kiedy to usłyszała i odsunęła się od niego. Nie mogli wiedzieć, przez co przeszła, ale ropiejąca, otwarta rana biegnąca wzdłuż jej nogi o czymś mówiła. Jakob zdążył już wejść chwiejnym krokiem do baraku, oficer kierujący jeepem wezwał przez radiostację pomoc medyczną dla kilkuset kobiet i wyjaśnił, gdzie są.

Minęło sporo czasu, zanim Jakob wyszedł, niosąc kobietę, która wyglądała na bliską śmierci. Potknął się kilka razy, ale nie upuścił jej. Była tylko niewiele większa od dziecka i nie mogła ważyć więcej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści kilo. Jeden z żołnierzy wziął ją od Jakoba i umieścił w samochodzie. Próbowała się uśmiechnąć, ale była za słaba.

– Myślałem, że cię wysłali – powiedział Jakob ze łzami w oczach. Zwracał się do niej po francusku.

– Nie zauważyli mnie na pryczy – odpowiedziała pocieszającym głosem. – Wszystko będzie w porządku. – Wielkimi, zielonymi oczami popatrzyła na niego, na żołnierzy i uśmiechnęła się. Na wewnętrznej stronie jej przedramienia zobaczyli tatuaż z numerem obozowym. Jakob też taki miał. Wszyscy mieli. Tutaj byli numerami, nie ludźmi. W obozie nikogo nie uważano za człowieka. Mieli zostać unicestwieni. Jakob i Emmanuelle byli Żydami. Ona, Francuzka, została deportowana z Paryża razem z matką i młodszą siostrą. Siostrzyczkę zabito, kiedy przybyli do obozu, parę miesięcy później matka zachorowała i umarła. Inne kobiety też widziały, jak mordowano ich rodziny i dzieci. Pozostawiono je przy życiu dlatego, że były dość silne, żeby pracować. Emmanuelle miała brudne ręce, połamane, zniszczone paznokcie. Pracowała w ogrodach i od czasu do czasu, kiedy się spotykali, dawała Jakobowi ziemniaki i rzepę. Mogła zostać za to zastrzelona.

– Chcę zabrać te dwie kobiety do lekarza – powiedział żołnierz stojący obok Jakoba. – Ciebie też. Wezwaliśmy ciężarówkę, przyjadą po innych, będą tutaj za parę minut. Nasi lekarze zajmą się wami. Powiesz im to? Niemcy uciekli. Teraz nikt nie robi im krzywdy. – Jakob przetłumaczył słowa żołnierza na francuski, dla Emmanuelle, potem na niemiecki i rosyjski, którym też biegle władał. Kobiety pokiwały głowami i jeep ruszył w stronę głównej części kompleksu obozowego z Jakobem, Emmanuelle i jeszcze jedną kobietą, która zemdląła. Jakob trzymał Emmanuelle za rękę. Żołnierze zauważyli, że wszyscy oni mają martwe oczy. Przeszli przez niewypowiedziane piekło, kiedy tutaj byli. Żaden z Amerykanów nie był w stanie w pełni pojąć tego, co widział, a więźniowie nie mieli siły, żeby to im tłumaczyć. Byli chodzącymi dowodami na to, co zrobili im naziści.

Już rozstawiono namiot medyczny. Jakiś żołnierz wprowadził Jakoba i Emmanuelle do środka. Inny niósł nieprzytomną kobietę. Kiedy wojskowy sanitariusz zaczął udzielać pomocy Emmanuelle, Jakob wykuśtykał z namiotu, żeby powiedzieć żołnierzowi, jak rozmieszczone są biura obozu i baraki. Była tam góra nagich zwłok, które naziści chcieli zakopać przed ucieczką, ale nie mieli czasu, żeby się tym zająć. Za żołnierzami szli sanitariusze z noszami, żeby wynieść chorych i zmarłych. Jakob został z nimi i pomagał, tłumacząc ich słowa. Potem wrócił do namiotu, żeby odszukać Emmanuelle. Była jego przyjacielem, jedzenie, które dla niego kradła, trzymało go przy życiu. Coś więcej byłoby nie do pomyślenia. Mieć przyjaciela to była rzadkość, szczególnie jeśli była nim kobieta. Była bardzo dzielna, że robiła dla niego to, co robiła. Raz omal jej nie przyłapano, bo strażnik podejrzewał, że schowała ziemniaka do kieszeni, ale zdążyła go wyrzucić, a ziemniak był taki mały i zgniły, że strażnik nie zwrócił na niego uwagi. Uderzył ją w kark i poszedł dalej. Zanim odeszła po skończonej pracy, podniosła ziemniak.

Sanitariusz, który się nią zajmował, zapytał, jak się nazywa. Jakob podał jej nazwisko.

– Emmanuelle Berger. Ma dwadzieścia trzy lata, jest z Paryża. Siedzi tutaj prawie od dwóch lat.

– Czy to pańska siostra?

– Nie, jestem Austriakiem. Jesteśmy przyjaciółmi. – Młody żołnierz kiwnął głową i zrobił notatkę. W końcu będą musieli spisać ponad dwadzieścia jeden tysięcy historii, ale Czerwony Krzyż im pomoże. Ci, którzy przetrwali, połączą się z rodzinami. To dopiero początek, w dodatku przez ten krótki czas, kiedy tu byli, więźniowie nadal umierali. Dla niektórych Amerykanie przybyli za późno. Dla innych, takich jak Emmanuelle, w samą porę. Druga kobieta z jej baraku umarła podczas badań. W odpowiedzi na pilne wezwanie z Osiemdziesiątej Trzeciej Dywizji Piechoty na teren Buchenwaldu zaczęły przybywać kolejne jednostki medyczne. Nigdy czegoś takiego nie widzieli. Obóz był pełny żywych trupów, które ledwie trzymały się życia. To,

że przetrwały, nie mieściło się w głowie. Wykorzystano wszystkich tłumaczy, żeby porozumieć się z uwolnionymi więźniami, którzy mówili różnymi językami, a Jakob, po pobieżnym badaniu medycznym, pomagał żołnierzom, jak mógł, bo mówił po angielsku, niemiecku, rosyjsku i francusku.

Następnego dnia przyjechały wojskowe czołówki filmowe, kręcili wszystko. Jeden zespół robił materiał do kroniki filmowej o wyzwolonych więźniach. To były twarde dowody, jak nieludscy są naziści. To nie byli jeńcy wojenni, chociaż takie traktowanie jeńców też byłoby nie do wybaczenia. To cywile zwięzieni z całej Europy i zamknięci w obozie. Wojsko wiedziało już, że były inne, podobne obozy, ale Buchenwald zobaczyli pierwszy.

Burmistrz miasta Langenstein zrobił, co mu kazano. Do obozu przywieziono żywność i wodę dla więźniów. Pracownicy Czerwonego Krzyża i personel medyczny rozdzielali i jedno, i drugie ze skrupulatną ostrożnością, bo zbyt duża ilość wody i jedzenia, pochłaniana za szybko, mogła zabić wygłodzonych więźniów. Wojsko pochowało zwłoki, które można było opisać tylko numerami. W biurze obozowym znaleziono księgi z dokładnymi zapisami, bo naziści przed ucieczką nie mieli czasu, żeby je zniszczyć. W szpitalu obozowym były obszerne notatki z eksperymentów. Ale na przejrzenie tego wszystkiego miał jeszcze nadejść czas. Na razie zajmowano się leczeniem więźniów, żeby uratować kogo się da. Wielu zmarło w ciągu pierwszych kilku dni, ale była już żywność i lekarstwa, a wytrzymalsi i młodszy przestali przypominać żywe trupy. Obóz odwiedził osobiście generał Patton, a pracownicy Czerwonego Krzyża, jak i ekipy filmowe ściągali w wielkiej liczbie. Postawiono szpitale polowe.

W szpitalu Emmanuelle powiedziała, że ma dwadzieścia trzy lata i przeżyła jako jedyna ze swojej rodziny. Jakob miał lat dwadzieścia pięć. Cała jego rodzina została wymordowana. Dziadków i dwie młodsze siostry rozstrzelano po przybyciu do obozu, rodzice zmarli parę miesięcy później, bo nie byli w stanie wytrzymać trudów ciężkiej pracy. Został tylko Jakob.

W ciągu kilku dni po wyzwoleniu najciężej chorych byłych więźniów zabrano ze szpitali polowych do szpitali wojskowych, a część do miejscowych lecznic. Resztę przeniesiono w końcu do innych obiektów, w których zainstalował się także Czerwony Krzyż, żeby pomóc im, o ile to możliwe, wrócić do ich krajów albo spróbować znaleźć członków ich rodzin w innych obozach, stopniowo wyzwolanych przez aliantów. W każdym obozie warunki były równie przerażające, jak te, które wyzwoliciele zobaczyli w Buchenwaldzie.

Byli więźniowie, którzy przeżyli obóz i nie mogli wrócić do domu, zostali określani jako przesiedleńcy, *displaced persons*, czyli dipisi. Niektórzy chcieli jechać do Palestyny, ale nie było to łatwe. Limity wjazdu do innych krajów, włączając w to Stany Zjednoczone, sprawiały, że wyjazd z Niemiec był bardzo trudny.

Jakob poprosił, żeby wraz z Emmanuelle przeniesiono go do ośrodka, który wojsko wybudowało dla byłych więźniów, kilka kilometrów od obozu. Kiedy się tam znaleźli, Emmanuelle, chociaż jeszcze nie wróciła do zdrowia, w ubraniu, które dostała, znów wyglądała jak młoda kobieta, a nie jak umierające dziecko. Żadne z nich nie stanęło w kolejce do namiotu Czerwonego Krzyża, żeby połączyć się z członkami rodziny. Nie mieli kogo szukać i nie mieli do kogo wracać. Byli już w obozie dipisów od miesiąca, kiedy im powiedziano, że organizacja humanitarna amerykańskich Żydów pomaga tym, którzy przetrwali obozy, w zmianie miejsca zamieszkania, a sponsorzy amerykańscy skłonni są zapłacić za transport i pomóc im znaleźć pracę w Stanach. Imigrację do Stanów utrudniały limity wjazdowe, ale powstałe rok wcześniej Biuro do Spraw Uchodźców współpracowało z organizacjami pozarządowymi, które kontaktowały byłych więźniów ze sponsorami, zapewniającymi im nowe miejsca zamieszkania, o ile to było możliwe.

Pewnego popołudnia, siedząc w majowym słońcu, Jakob i Emmanuelle rozmawiali o tym.

Oboje nie wiedzieli, dokąd pojechać ani co dalej robić. Przed tygodniem skończyła się wojna w Europie, ale Jakobowi nic nie zostało w Wiedniu. Kiedy ich deportowano, zabrano im wszystko, pieniądze, rodzinny bank, dom, zamek blisko Salzburga, który był własnością rodziny od dwustu lat. Nie miał nic. Po Anschlussie, kiedy Żydom zabroniono studiów, musiał opuścić uniwersytet, a jego ojca zmuszono, żeby oddał bank Trzeciej Rzeszy. Jakob został na świecie sam i nie chciał wracać do Wiednia, stanąć na popiołach tego, co stracił.

Emmanuelle materialnie straciła znacznie mniej. Ojciec umarł, kiedy była małym dzieckiem. Matka była szwaczką w znanym domu mody w Paryżu i brała zlecenia na boku, a Emmanuelle często jej pomagała. Matka straciła pracę na krótko przed deportowaniem, a i prywatni klienci, jeden po drugim, przestawali do niej przychodzić. Za bardzo bali się dawać jej zlecenia, bo była Żydówką. Sąsiedzi, dawniej przyjaciele na całe życie, zwrócili się przeciwko nim. Emmanuelle nie chciała ich więcej widzieć, zresztą ci sąsiedzi, za pozwoleniem prefektury policji, przejęli mieszkanie Bergerów. Emmanuelle nie miała dokąd jechać, nie miała domu, do którego mogłaby wrócić i nie chciała już nigdy widzieć Paryża. Ale nie mogli zostać na zawsze w wojskowym ośrodku. W końcu musieli dokądś pojechać.

– Nie chcesz wracać do Paryża? – zapytał Jakob, kiedy tak siedzieli w słońcu. Palił papierosa, którego ofiarował mu amerykański żołnierz. Amerykanie byli wobec nich bardzo szczerzy, dawali im jedzenie i czekoladę. Emmanuelle owinęła się wełnianym szalem z Czerwonego Krzyża. Była taka chudziutka, że zawsze było jej zimno. Pokręciła głową.

– Po co? Sąsiedzi zabrali nam mieszkanie, bo było większe niż ich. Chyba dlatego na nas donieśli. – Pokiwał głową. Wielu Austriaków robiło tak samo, wydawali Żydów, których znali całe życie, Żydów, którzy często byli podporami społeczeństwa, tak jak jego rodzina. Nagle z chciwości i zawiści powstała mentalność tłuszczy, czego nikt się nie spodziewał w cywilizowanym społeczeństwie i nowoczesnym mieście. Z dnia na dzień bycie Żydem równało się wyrokowi śmierci. Jego rodzina nigdy nie była religijna, podobnie jak rodzina Emmanuelle, ale i tak byli Żydami.

– Może wyjazd do Ameryki to coś dobrego – powiedział ostrożnie Jakob po francusku, a ona znów pokręciła głową. Miała przerażoną minę.

– Co bym tam robiła? Nikogo nie znam, nie mówię po angielsku. Nie znalazłabym pracy.

– Pracownicy Czerwonego Krzyża mówią, że sponsorzy pomogą nam znaleźć zakwaterowanie i pracę i wezmą za nas odpowiedzialność, póki nie zaczniemy żyć samodzielnie.

– Chciałabym zostać we Francji, tylko nie w Paryżu. A ty, jedziesz do Ameryki? – Posmutniała, zadając to pytanie, bo był jej jedynym przyjacielem i opiekował się nią przez ostatni miesiąc. Zawsze przebywali razem, a amerykańscy żołnierzy darzyli go szacunkiem. Pomagał, kiedy tylko mógł, i potrafił rozmawiać z nimi po angielsku, czego ona nie umiała.

– Bo ja wiem – powiedział. – Też nie mam tam nikogo. Ale tutaj mam jeszcze mniej. Nie wiem, jaką pracę mógłbym dostać. Miałem pracować w naszym banku albo na uniwersytecie. Nie wiem, co będę robić teraz. Nie skończyłem studiów.

– Przestałam się uczyć po liceum. W szkole nie byłam zbyt dobra – powiedziała ze wstydem. – Umieję tylko szyć.

– No to możesz znaleźć pracę – pocieszył ją. – I jako krawcowa nie musisz mówić po angielsku. – Kiwnęła głową, że się z tym zgadza, ale Ameryka wydawała się jej przerażająca i bardzo odległa. Nigdy nie chciała tam pojechać, a teraz brzmiało to dla niej jak koszmar, chociaż żołnierze byli przecież bardzo mili i okazywali jej szacunek. Jakob też ich lubił.

Przez ten miesiąc wzmocnili się i zdrowieli. Jedząc regularnie pełne posiłki, Emmanuelle przytyła kilka kilogramów, chociaż z początku żołądek odmawiał jej posłuszeństwa. Odstawiała się od normalnego żywienia i często miewała bóle brzucha. Jakobowi też to

dolegało. Ale ciało domagało się jedzenia, więc je pochłaniał. Zawsze był chudy i wysoki, więc teraz nie było jeszcze po nim widać, że przybrał na wadze, ale jego twarz nie wyglądała już jak czaszka i nie miał zapadniętych oczu. Włosy trochę mu odrosły, były bardzo ciemne.

Ona miała miękkie, dziecięce jasne loki zamiast ogolonej czaszki, ale oboje wyglądali na ludzi, którzy odbyli podróż do piekieł i z powrotem, chociaż teraz znaleźli się na drodze do zdrowia. Jakob miał problem z odmrożonymi stopami, bo buty z odciętymi noskami i dziurami w podeszwach spadały mu ze stóp. Zarówno Czerwony Krzyż, jak i wojsko zaopatrzyły byłych więźniów w ubrania. Niektóre były trochę dziwne i niezbyt dopasowane, ale mieli przynajmniej ciepłą, czystą odzież. Wszystkie pasiaki trzeba było spalić. Pełno w nich było wszy i mocno śmierdziały.

Emmanuelle powiedziała, że co noc nadal ma koszmary. Jakob był jedynym człowiekiem, który w pełni rozumiał, przez co dziewczyna przeszła. Amerykańscy żołnierze mimo tego, co zobaczyli po wejściu do obozu, nie mieli pojęcia, jak tam było, gdy prowadzony przez nazistów obóz działał pełną parą. To było piekło na ziemi i Emmanuelle niejedną raz miała nadzieję, że umrze i nie będzie musiała przeżyć kolejnego dnia. A jednak udało im się przez to przejść, ona przetrwała dwa lata, Jakob pięć. Nie można było przewidzieć, kto przeżyje, a kto nie. Co rano znajdowali na pryczach więźniów, czasem leżących tuż obok, z martwymi, niewidzącymi oczami.

Jakob i Emmanuelle znowu porozmawiali z jedną z pracownic Czerwonego Krzyża o tym, jakie możliwości otwierają się przed nimi. Mogli wybrać repatriację do rodzinnych krajów, ale obojgu pozostały tylko złe wspomnienia ostatnich dni, które tam spędzili. Emmanuelle, jej matka i siostra, zanim wywieziono je do Buchenwaldu, spędziły trzy dni na stadionie. A Steinowie miesiącami czekali w zamkniętym obozie pod Wiedniem.

– Jeśli chcecie, mamy sponsorów dla was obojga. Skontaktuje was z nimi amerykańska organizacja dobroczynna, o której już wspominałam. A Biuro do Spraw Uchodźców Narodów Zjednoczonych robi dla przesiedleńców wszystko, co w jego mocy. Mamy jednego sponsora w Chicago, a drugiego w Nowym Jorku – powiedziała uprzejmie pracownica Czerwonego Krzyża. Nie dodała, że muszą mieć mocne poparcie, żeby przedrzeć się przez biurokrację i limity wjazdowe.

– Czy moglibyśmy pojechać razem w to samo miejsce albo mieć tego samego sponsora? – zapytał ostrożnie Jakob, nagle zawstydzony. Nie chciał być arogancki, ale wiedział, że Emmanuelle za bardzo będzie się bała, żeby samotnie jechać do Ameryki. Ta dzielna dziewczyna, która przeszła przez najgorsze z wyobraźalnych doświadczenia, teraz obawiała się przepłynąć Atlantyk do nowego domu.

– Jesteście małżeństwem? – zapytała Jakoba pracownica Czerwonego Krzyża. Pokręcił głową.

– Nie, jesteśmy przyjaciółmi.

– Sponsorzy nie zgodzą się na to. Pary muszą być małżeństwami, bo inaczej zostaną zapisani oddzielnie i umieszczeni u każdego, kto będzie w stanie i będzie chciał ich przyjąć. Przepisy są co do tego jasne. Większość ludzi, którzy na ochotnika zgłosili się z pomocą, zrobiła to poprzez swoje synagogi – wyjaśniła. – W innych miastach też mamy sponsorów. Jest pewna liczba współpracujących z nami organizacji w Chicago, Los Angeles i w Bostonie. Czy macie krewnych w którymś z tych miast? – Oboje pokręcili głowami.

– Mamy tylko siebie. – Nie mieli nawet paszportów, pozbawieni obywatelstwa we własnych krajach, ponieważ byli Żydami, ale Stany Zjednoczone zaproponowały im, jako przesiedleńcom, paszporty, pod warunkiem że amerykańscy obywatele wezmą za nich odpowiedzialność. Pracownica dała im kartki z informacjami. Wyszli, żeby jeszcze o tym

porozmawiać.

– Nie możemy zostać tutaj na zawsze – przypomniał Jakob Emmanuelle.

Wcześniej czy później będą musieli się zdecydować, dokąd pojadą. Nie wiedział czemu, ale bardzo pociągało go życie w Nowym Jorku. Później rozmawiał o tym z jednym z żołnierzy, kiedy ten poczęstował go papierosem.

– Jak tam jest? – zapytał Jakob szeregowca, z którym palił. Już wcześniej z nim rozmawiał.

– Ameryka to kraj wielkich możliwości. Jestem z Brooklynu. Mój wujek to rzeźnik, przed wojną pracowałem u niego. Ale po powrocie przeniosę się chyba na zachód. Tam jest dobra praca.

– Gdzie jest Brooklyn? – Jakob nigdy o nim nie słyszał.

– To dzielnica Nowego Jorku. Spodoba ci się, jest ładna. Brooklyn, Queens, Manhattan, Staten Island, Bronx, to wszystko dzielnice Nowego Jorku. Człowieku, co ja bym dał w tej chwili za hot doga i piwo na Times Square i wieczór na mieście. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do Jakoba, który się roześmiał. Byli w tym samym wieku.

– Myślę, żeby się zgłosić do jednego ze sponsorów, który proponuje nam pracę i mieszkanie za pośrednictwem żydowskiej organizacji religijnej.

– Czy twoja dziewczyna może z tobą pojechać? – żołnierz zapytał ze współczuciem.

– Raczej nie, chyba że się pobierzemy. Też może się zgłosić, ale pewnie pojechałaby do innego miasta. Do Bostonu, Chicago albo Los Angeles. Nie sądzę, żeby chciała jechać. Boi się, bo to daleko do jej stron rodzinnych, ale nigdzie nie może być gorzej niż tutaj. – Mówiąc to, rozejrzał się, a żołnierzowi zrobiło się go żal. Jakob nadal wyglądał na wyniszczonego i starszego na swój wiek. Miał problem z chodzeniem, bito go tak często, że garbił się, chociaż był młody. Ale przynajmniej żył. Tak wielu w ostatnim miesiącu umarło na dur brzuszny, tyfus, gruźlicę, biegunkę i z głodu. A wielu, po tym co przeszli, cierpiało na depresję i zaburzenia urojeniowe.

– Może powinniście się pobrać – zasugerował Jakobowi jego amerykański przyjaciel, a Jakob pokiwał głową. Też o tym myślał, ale nie miał pojęcia, co na to powie Emmanuelle. Nie śmiał jej tego zaproponować. Pomysł mu się podobał, ale chyba było za wcześnie, żeby o tym rozmawiać. Jemu też wydawało się to skrajnością, ale zostawienie jej w Niemczech byłoby nie do zniesienia. Mieli też kilka skomplikowanych możliwości wyjazdu do Palestyny, ale nie chciał tam emigrować. Nowy Jork wydawał mu się lepszy, jeśli dostaliby mieszkanie i pracę od dobroczyńców.

Jak co wieczór poszedł z Emmanuelle do stołówki. Zauważył, że dziewczyna wygląda na zmartwioną i zmęczoną. Większość kobiet także nie wiedziała, dokąd wyjechać, a wiele chciało się dowiedzieć czegoś o swoich krewnych z innych obozów. Musiały zadowalać się plotkami, że ci ludzie gdzieś są, albo informacjami od kogoś, kto ich widział przed paru laty. Po wyzwoleniu w obozach koncentracyjnych nadal panował chaos, a większość uwolnionych więźniów nie miała dokąd pójść.

Począł jeszcze kilka dni, żeby z nią porozmawiać i wreszcie odważył się poruszyć temat.

– Tak sobie myślałem, że gdybyśmy się pobrali, to ten sam sponsor zabrałby nas oboje jako małżeństwo. A ja mógłbym się tobą opiekować, kiedy dotrzemy do Nowego Jorku. Nie byłabyś sama. – Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– A jeśli tam będzie nie do wytrzymania? Jak wrócimy do Europy?

– Moglibyśmy oszczędzać – odparł – ale do czego mamy wracać? Nasi rodacy z entuzjazmem nas wydali, żeby się nas pozbyć. I Francuzi, i Austriacy. Nasze kraje były pod okupacją, ale wielu z naszych przyjaciół chętnie kolaborowało z Niemcami. Nie byłoby nam tu

łatwo – powiedział, a ona skinęła głową. Też tak myślała.

– Chcesz się ożenić? – zapytała go tak cicho, że mało brakowało, a by jej nie usłyszał. Wziął ją za rękę.

– Emmo, uratowałaś mi życie, kradłaś dla mnie żywność. Mogłaś za to zginąć. Twoje czyny przywracały mi nadzieję, której już mi brakowało. – Uśmiechnęła się.

– Czy to wystarczający powód do ślubu? – Ale oboje wiedzieli, że jeśli się nie pobiorą, prawdopodobnie nigdy już się nie zobaczą. Jakob był jedyną znaną jej twarzą w morzu obcych ludzi, nie licząc kobiet, które znała z baraków, ale i one wkrótce miały wyjechać.

– Ludzie pobierali się z mniej ważnych powodów – powiedział rozsądnie. – I obiecuję, że będę cię chronił. – Teraz mógł to powiedzieć, przed miesiącem jeszcze nie. Teraz mógł być rycerski i przez chwilę przypomniał sobie swoje dawne życie, gdzie mężczyźni opiekowali się kobietami i chronili je. Ale w obozie mogli tylko przetrwać, o ile w ogóle mogli.

– A jeśli w Nowego Jorku nie będziesz chciał być moim mężem? Możesz spotkać amerykańską dziewczynę i zakochać się. – Wyglądała na zmartwioną, a on uśmiechnął się i mocniej ścisnął ją za rękę.

– Nie potrzebuję amerykańskiej dziewczyny, już jestem zakochany – powiedział, a Emma zaczerwieniła się. Wyglądała bardzo młodo, choć nadal miała chudą twarz i ciemne koła pod oczami.

– Też cię kocham – powiedziała cicho. – Po prostu myślałam, że uważasz to za przyjaźń.

– Pokochamy się mocniej, kiedy się lepiej poznamy. Możemy rozpocząć nowe życie w nowym miejscu, gdzie są ludzie, którzy chcą nam pomóc. To dobry początek. – Kiwnęła głową, że się zgadza. Przez jakiś czas szli w milczeniu, potem zatrzymała się i i podniosła na niego wzrok.

– Tak – powiedziała, ale on się nie odezwał. Myślał o niej i o wspólnym życiu, które mogło ich czekać.

– Tak? Ale co tak? – Myślami był daleko.

– Zgadzam się z tym, co powiedziałaś... o co mnie przed chwilą poprosiłeś. – Nie chciała sama wypowiadać tych słów. Uśmiechnął się, bo zrozumiał.

– Emmanuelle Berger, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? – oświadczył się jej uroczyście i mówiąc te słowa, ukląkł na jedno kolano na wyboistej ścieżce. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Tak – powiedziała szeptem. – Zostanę. – Wtedy wstał i delikatnie ją pocałował. Była taka krucha, że bał się ją połamać, kiedy ją obejmie. On sam nie był mocniejszy od niej, ale był młody i silny, a jej rany były głębsze niż jego, bo pobito ją za to, że nie dość szybko pracowała. Zanim trafiła do ogrodu, była w komandzie śmierci.

Otoczył jej ramiona ręką i powoli poszedł z nią w stronę jej baraku.

– Jutro wrócimy do Czerwonego Krzyża i zobaczymy, co mają nam do zaoferowania. Potem pójdziemy do kapelana i poprosimy, żeby znalazł dla nas rabina. – Po obozie krążyło kilku rabinów, którzy rozmawiali z Żydami. – Dobranoc, Emmanuelle – powiedział i znów ją pocałował. – Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego wstydliwie i wślizgnęła się do baraku, żeby dołączyć do innych kobiet. Jakob też się uśmiechnął, włożył ręce do kieszeni i poszedł do swojej kwatery.

Trzy tygodnie później, kiedy Czerwony Krzyż i amerykańska organizacja humanitarna z Nowego Jorku skompletowały ich papiery, Emmanuelle i Jakoba wsadzono do pociągu do Calais. Stamtąd mieli przepłynąć promem do Anglii, wsiąść w kolejny pociąg do Southampton i następnie na pokład RMS „Queen Mary”, żeby popłynąć do Nowego Jorku. Na pokładzie miało być czternaście tysięcy żołnierzy, wracających do domu, po trzech w jednej kabinie. Ponadto pozwolono zaokrętować się dodatkowo pięćdziesięciu ośmiu cywilnym pasażerom, wśród nich, dzięki żydowskim organizacjom humanitarnym i znajomościom ich sponsorów, Emmanuelle i Jakobowi.

Od siedmiu tygodni byli już wolni. Emmanuelle nadal miała krótkie, kręcone włosy, a Jakob nosił wojskowego języka. Ze zdumieniem spostrzegł, że w jego włosach pojawiła się siwizna. Wyglądał na więcej niż dwa lata starszego od niej. Oboje przed wyjazdem podziękowali ludziom z Czerwonego Krzyża za pomoc. Wszystkie dokumenty mieli w porządku. Wojsko dostarczyło im dowody tożsamości na podróż przez Francję i Anglię. Te papiery zastępowały paszporty i przedstawiały ich jako przesiedleńców, ofiary wojny, szukające azylu w Stanach Zjednoczonych. Mieli oświadczenia złożone pod przysięgą od swoich sponsorów, Racheli i Harry’ego Rosenów z Nowego Jorku. Wynajęto dla nich małą kawalerkę i oboje dostali pracę w fabryce pana Rosena, który prowadził biznes odzieżowy i szył ubrania dla kobiet. Jakob nie miał pojęcia, co będzie tam robił, może coś z dziedziny finansów, bo w życiorysie zawodowym wspomniał o studiach z zakresu biznesu i finansów, na które uczęszczał w Wiedniu, wymienił też pracę w banku swojej rodziny jako doświadczenie zawodowe. Ale na razie nie musiał się o to martwić.

Z Southampton mieli wypłynąć do Nowego Jorku na „Queen Mary”, statku, który w czasie wojny przewoził żołnierzy. Statek niedawno przemalowano z wojskowej szarości, chociaż nadal na pokładzie tkwiło sześciocalowe działo.

Mimo że usunięto srebra, porcelanę i dzieła sztuki z czasów, kiedy pływali tu cywile, statek pozostał elegancki, a w czasie wojny był jednym z najszybszych jednostek pasażerskich. Nadal czuło się majestatyczną aurę, przypominającą Jakobowi podróże, które odbywał z rodzicami jako dziecko. Kiedyś płynął z nimi na „Normandie”. Był to przepiękny statek, pełen rozrywek. Jakob zdawał sobie sprawę, że tym razem podróż będzie prosta i spartańska, a ich kabina bardzo mała. Organizacja humanitarna zarezerwowała dla nich miejsce w najtańszej klasie, za którą płacili Rosenowie. Był pierwszy czerwca, przed tygodniem rabin udzielił im ślubu. Był to kapelan wojskowy, życzył im szczęścia i przypomniał, że po tym, co przecierpieli, zasługują na dobre życie.

– Przeprawa przez Atlantyk będzie naszym miesiącem miodowym – powiedział uroczyście Jakob.

Na statku płynęło czternaście tysięcy żołnierzy i tylko pięćdziesięciu ośmiu cywilów, oboje więc uważali, że zaokrętowali się wyłącznie dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Na statku, trzymając w rękach małe, kartonowe walizeczki, zawierające ich skąpą własność, dowiedzieli się, że będą dzielić kabinę z jeszcze jednym małżeństwem. W kabinie było tak mało miejsca, że ledwie można było się po niej poruszać, zostawili więc walizki na kojach i wyszli na pokład, żeby zobaczyć, jak statek wypływa z portu. Ostrzeżono ich, że w wodzie nadal są miny i że załoga musi zachować czujność. U wejścia do portu nadal leżał zatopiony U-Boot, musieli go okrążyć. Jakob westchnął, kiedy wypłynęli na morze i wziął żonę za rękę.

– Chyba płyniemy do Nowego Jorku – powiedział z ulgą, a Emmanuelle uśmiechnęła się do niego. Martwiła się bardziej niż on, ale podobało się jej to, że mąż się cieszy podróżą. Nadal ledwie się znali i nie mieli możliwości, żeby skosztować małżeństwo. Skoro dzielili kabinę z jeszcze jedną parą, nie było to możliwe. Jakob był rozczarowany. Ale przeżyli wojnę i płynęli ku wolności. To wystarczało. Będzie czas, żeby poznać się w bardziej intymny sposób, kiedy znajdą się w Nowym Jorku.

O tej porze roku rejs przebiegał bez przeszkód, pogoda była ciepła. Siadywali na podniszczonych krzesłach, stojących na małym skrawku pokładu i razem patrzyli na ocean. Następnego dnia zobaczyli delfiny, a na trzeci kapitan ogłosił, że minęli strefę zagrożenia i od tej chwili nie ryzykują wpłynięcia na minę. Wojna dla nich się skończyła. Wreszcie byli bezpieczni, w drodze do nowego domu. Rejs trwał jedenaście dni, znacznie dłużej niż normalnie. Statek był wyładowany po brzegi. Ostatniego wieczoru siedzieli razem, patrząc na gwiazdy. Jakob pocałował żonę i przytulił. Emma drżała na wieczornym chłdzie, więc okrył ją marynarką. Do Nowego Jorku mieli przy płynąć rano. Dalej poprowadzą ich holowniki. Spośród pięćdziesięciu ośmiu pasażerów tylko dziesięcioro było imigrantami. Pozostali byli Amerykanami, którzy utknęli w Europie podczas wojny i rozpaczliwie chcieli wrócić do domu. Jakobowi i Emmanuelle powiedziano, że przed wojną musieliby popłynąć na Ellis Island, ale teraz trzymano tam Niemców, Włochów i Japończyków. Posłano ich więc do starego obozu wojskowego w pobliżu Oswego w Nowym Jorku, który przeznaczono na załatwianie spraw imigranckich. Pojadą tam, żeby sprawdzono, czy ich papiery są w porządku. Mieli też przejść dodatkowe badania lekarskie. Potem, w Nowym Jorku, mieli się z nimi spotkać Rosenowie. Byli równie zainteresowani młodym małżeństwem, jak Jakob i Emmanuelle nimi. Jakkolwiek by było, Steinowie darzyli ich ogromną wdzięcznością. Bez amerykańskich sponsorów ich życie w Europie byłoby długo ciężkie, przy niewielkiej liczbie miejsc pracy i zrujnowanej gospodarce. Nowe życie w Ameryce było im bardzo potrzebne.

Tamtej nocy Jakob prawie nie spał, czekał, aż dopłyną do nowojorskiego portu. Chciał zobaczyć ze statku Statuę Wolności, na dowód, że naprawdę tutaj są. Przed siedmioma tygodniami nawet nie marzył, że w Nowym Jorku będzie na nich czekał nowy świat.

Wiedzieli, że po przybyciu lekarze państwowej służby zdrowia poddadzą ich pobieżnym badaniom na jaglicę, chorobę oczu, a także inne choroby zakaźne i umysłowe, a mniej więcej godzinę później wsiądą do małego autobusu z innymi imigrantami, żeby pojechać do obozu w Oswego. Po dniu, dwóch będą mogli stamtąd wyjść.

W końcu zeszli do swojej kabiny głęboko we wnętrzościach statku i położyli się na kojach. Emmanuelle spała niespokojnie, a o piątej rano usłyszała, jak statek rzuca kotwicę. Jakob czekał tak długo, jak tylko mógł, potem włożył buty, zarzucił płaszcz na piżamę i wyszedł na pokład, żeby sprawdzić, czy widać już Statuę Wolności i światła Nowego Jorku. Z górnego pokładu zobaczył ją. Statua była prezentem z Francji i stała się symbolem pokoju i wolności, powitaniem Stanów Zjednoczonych, zanim postawi się stopę na amerykańskiej ziemi.

Emmanuelle obudziła się później i poszła szukać Jakoba. Nietrudno było go znaleźć. Stał przy relingu i podziwiał swoje nowe miasto. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył Emmanuelle.

– Co robisz na pokładzie? – zapytała.

– Nic – odparł odruchowo, ale poprawił się. – Pozdrawiam naszego nowego przyjaciela. – Wskazał statkę, a Emmanuelle wzięła go za rękę. Jak do tej pory była to najlepsza decyzja, jaką podjęli już wspólnie.

Było nadal ciemno, gdy wrócili do łóżek, żeby pospać jeszcze godzinę czy dwie. Cekał ich długi dzień. Jakob wślizgnął się na wąską koję obok niej i objął ją. Drugie małżeństwo mocno spało. Jakob i Emmanuelle też zasnęli i obudzili się, kiedy statek znów zaczął płynąć, ciągnięty

powoli przez holowniki. Szybko się ubrali i poszli na górę popatrzeć. Jakob miał łzy w oczach, kiedy sunęli pomału po wodach nowojorskiego portu. Walizki mieli już spakowane, czekali, tak jak im polecono. Wreszcie przyszedł urzędnik, żeby zabrać ich na badania lekarskie. Było z nim także małżeństwo, starsze od Steinów. Pasażerowie zeszli już z pokładu, a po badaniach Emmanuelle i Jakob zeszli za nimi po trapie do doku, gdzie czekał na nich autobus. Nieśli swoje małe walizeczki. Żołnierze schodzili ze statku przez cały czas, odkąd zacumowali. Paru cywilnych pasażerów zabrały samochody, które na nich czekały. Jakob poszedł z Emmanuelle do autobusu. Drugi mężczyzna z żoną też tak zrobili. Były jeszcze trzy małżeństwa, ale ich wcześniej nie widzieli. Podziękowali urzędnikowi, który im pomagał, a on wręczył im podstemplowane papiery, umożliwiające legalne przekroczenie granicy Stanów, i życzył im szczęścia. Nie wiedział, skąd są, ale łatwo było stwierdzić, że wiele przeszli.

Żadne z małżeństw nie odzywało się, gdy jechali do Oswego, zastanawiali się, co tam znajdują. Okazało się, że to zwyczajny obóz wojskowy z barakami dla imigrantów i przesiedleńców, którzy chodzili bez przeszkód i rozmawiali ze sobą z ożywieniem. Napisy w kilku językach powiedziały im, dokąd mają się udać. Weszli do biura, w którym sprawdzono ich dokumenty i zwrócono je im.

Emmanuelle miała wielkie oczy, kiedy wyszeptła po francusku do Jakoba:

– A co, jeśli nam odmówią? – Ścisnął jej rękę i powiedział, że teraz to już niemożliwe. Miał rację. Emmanuelle przez całą drogę spodziewała się, że coś pójdzie źle, ale nic złego się nie zdarzyło. Cała podróż przeszła gładko. Ruszyli do wielkiej sali z papierami w dłoni. Wokół kręcili się ludzie, mówiono w każdym języku, jaki można sobie było wyobrazić. Słyszeli rosyjski, francuski, niemiecki, było tam wielu Włochów i parę grupek ludzi z irlandzkim akcentem. Znalazło się i trochę Polaków, i paru Czechów. Wszystkim wręczono broszury z informacjami, które im były potrzebne. Po południu znów ich zbadano pod kątem gruźlicy, syfilisu i trądu. Zostali też zaszczepieni przeciwko ospie, bo tego w Stanach Zjednoczonych wymagano.

Emmanuelle spostrzegła, że podczas badań lekarz zobaczył numer na jej ramieniu. Wyglądał na zdumionego i zapytał ją o to łamaną francuszczyzną. Powiedziała, że to numer identyfikacyjny z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Lekarz jeszcze czegoś takiego nie widział. Potem Jakob powiedział to samo lekarzowi, który go badał.

– Może jesteśmy pierwszymi więźniami obozu, którzy tu przyjechali – powiedział. Nie wstydził się tego, ale Emmanuelle się krępowała. Nie znosiła tego wspomnienia po obozie i nosiła długie rękawy, odkąd przy wyjeździe dostali nowe ubrania. Szła pod prysznic w koszuli, żeby inne kobiety nie widziały jej ramienia.

– Powinnaś być z tego dumna – mówił Jakob. – To znaczy, że przeżyłaś najgorsze, na co było stać nazistów. To odznaka odwagi, siły i zwycięstwa dobra nad złem. – Dla Emmanuelle jednak było to fizyczne świadectwo dwóch lat smutku, bólu i straty. Miała też blizny, które były tego dowodem. Jakob również je miał, ślady wielu pobić, kiedy okładano go kijem, pałką, pejczem. Miał złamane ramię, które nie zrosło się prawidłowo i było zauważalnie wyższe od drugiego i złamaną rękę, której lekarze obozowi nie złożyli, mówiąc, że Żydzi nie mają prawa do opieki medycznej. Potem nazwali go robakiem. Jego rany nie miały dla nich znaczenia. Nadal mu dokuczwały.

Następnego dnia zakończyli wszystkie procedury wjazdowe w Biurze do Spraw Cudzoziemców i pozostało im czekać na przybycie kogoś z organizacji humanitarnej, kto następnego dnia rano miał ich zabrać do Nowego Jorku.

W wielkiej sali były setki ludzi, niektórzy czekali dłużej albo ze względu na stan zdrowia, albo czegoś brakowało im w papierach. Były kobiety i dzieci, które na zewnątrz miały plac

zabaw i Steinowie widzieli je przez okno. Co za ulga zobaczyć znowu zdrowe, szczęśliwe dzieci. Od dawna tego nie widzieli. Steinom powiedziano, gdzie znajdują się sypialnie, a ponieważ byli małżeństwem, przydzielono im dwie prycze stojące jedna obok drugiej. Była też wielka jadalnia, w której podawano posiłki.

Po jakimś czasie poszli odszukać swoje miejsca i zobaczyli długi rząd łóżek polowych i podwójnych prycz. Ich łóżka stały w kącie pod oknem, przez które widzieli obóz i krajobraz za obozem.

Wokół nich spali ich rówieśnicy, ale Jakob i Emmanuelle trzymali się razem. Po jakimś czasie Emmanuelle zdrzemnęła się, a Jakob zaczął się rozglądać. Ponieważ Ellis Island była zajęta, wszyscy wjeżdżający do Stanów Zjednoczonych imigranci przechodzili przez ten obóz. Kiedy wieczorem po obfitej kolacji poszli spać, oboje byli wyczerpani emocjami związanymi z przybyciem do Stanów i obawą przed tym, co ich czeka.

Następnego dnia, tak jak im obiecano, przyjechał ktoś z organizacji humanitarnej i przywiózł list z zaproszeniem od Rosenów. Emmanuelle i Jakob byli gotowi do odjazdu, gdy tylko pojawiła się pracownica tej organizacji. Miała ich zawieźć do kawalerki, którą Rosenowie wynajęli dla nich na Hester Street w dzielnicy Lower East Side.

Dzielnica była żydowska, bo szyldy nad wszystkimi witrynami były po hebrajsku. Wokół byli tylko koszerni rzeźnicy, koszerne piekarnie i sklepy spożywcze, co dla Jakoba nie miało znaczenia. Jego rodzina była niepraktykująca i nie kupowała koszernej jedzenia. Przed wojną jego rodzice mieli przez wiele lat francuskiego kucharza i na ortodoksów patrzyli z góry. Emmanuelle twierdziła, że jej rodzina też nie była ortodoksyjna i matce było obojętne, co jedzą, chociaż w szabat zapalała świece i śpiewała modlitwy, bo lubiła tradycję, a Emmanuelle i jej siostra Françoise pomagały i śpiewały modlitwy razem z nią.

Ich przewodniczka zatrzymała się pod wąskim, podniszczonym domem z długimi schodami przy wejściu. Weszli. Ich mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze bez windy. W budynku panował hałas, słychać było bawiące się dzieci, płaczące niemowlęta. Emmanuelle i Jakob nie słyszeli tego od lat. Dzieci w obozie zachowywały się cicho, bojąc się zwracać na siebie uwagę. W Buchenwaldzie większość dzieci zabijano zaraz po przybyciu, bo były za słabe i za małe, żeby pracować. Pozostawały przy życiu, jeśli miały więcej niż dwanaście, trzynaście lat, były duże i wystarczająco rozwinięte, żeby pracować. Teraz oboje bez słowa słuchali głosów w budynku. W końcu dotarli do mieszkania.

Był to jeden umeblowany pokój. Wyposażenie było skromne i stare. Łóżko można było schować w ścianie – kobieta, która ich przywiozła, pokazała, jak to się robi. Był też komplet pościeli, kilka postrzępionych ręczników, dwa garnki i wgnieciony czajnik w kuchni, meble wyglądały na stare i zużyte. Ale tylko tego potrzebowali. Postawili walizki i się rozejrzeli. Mieszkanie wychodziło na podwórko, było ciemne, słońce nie dochodziło bezpośrednio do niego. Jakob zrozumiał, że czynsz musiał być bardzo niski, ale mieli dach nad głową i przynajmniej po roku, od kiedy sami będą musieli płacić, nie będzie drogo. Do tego czasu zaoszczędzą coś z zarobków, bo tak się umówili z Rosenami, którzy spodziewali się, że przez rok Jakob i Emmanuelle wyjdą na swoje. Ofiarowali im przejazd, papiery wjazdowe, kawalerkę na rok i pracę dla obojga. Sami Steinowie będą musieli płacić za wszystko inne, za jedzenie, lekarstwa, ubrania, przejazdy. W liście do nich Harry Rosen napisał, że tylko tyle mógł zrobić. Jakob był wdzięczny Rosenom. Uratowali ich przed życiem z dobroczynności w ich własnych krajach, gdzie pewnie nie mogliby znaleźć pracy i mieszkania za dostępną dla nich cenę.

Obejrzelili miniaturową łazienkę, która i tak była lepsza niż latryna, dzielona z tysiącem ludzi, i wrócili na dół do samochodu pracownicy organizacji charytatywnej. Zawiozła ich do dzielnicy przemysłowej, gdzie znajdowała się fabryka odzieżowa Harry'ego Rosena na

Trzydziestej Siódmej ulicy w starym budynku z czerwonej cegły. Pojechali na górę windą bagażową, a kobieta, która ich podwoziła, powiedziała, że drugie małżeństwo, które sponsorowali Rosenowie, przyjechało dzień wcześniej i że dostało mieszkanie w budynku gorszym niż ten, w którym oni się zatrzymali. Mówiła też, że to pięknie ze strony Rosenów wziąć odpowiedzialność za dwa małżeństwa, a pan Rosen dał im także pracę.

Czekali na niego w recepcji dwadzieścia minut. Wreszcie się pojawił. Był pulchny, niski, łysy i miał uśmiechnięte oczy. Nosił koszulę, krawat i lśniący, szary garnitur. Wyciągnął do każdego z nich rękę. Jakob mógł rozmawiać z nim płynną angielszczyzną, ale Emmanuelle umilkła, ledwie go zobaczyła. Bała się, że zmieni zdanie i odeśle ich z powrotem. Harry był zaskoczony, że Jakob tak dobrze zna język z lekkim brytyjskim akcentem, jakiego nabył w elitarnych szkołach, gdzie pobierał wykształcenie. Jakob zapewnił go, że Emmanuelle szybko nauczy się języka i będzie się bardzo starała. Sam dawał jej lekcje angielskiego.

Harry powiedział, że pracę zaczną od jutra od ósmej rano. Zabrał Emmanuelle do szwalni, żeby pokazała, jak idzie jej z haftowaniem, naszywaniem perełek, delikatnym szyciem ręcznym i jak radzi sobie z maszyną do szycia. Miała zostać szwaczką. Jakob zapytał nowego szefa, jaką on dostanie pracę i dodał, że po praktykach w banku ojca jest dobry we wszystkim, co związane jest z matematyką i finansami.

– Od tego wszystkiego jest księgowy – powiedział Harry. Wyglądał na zajętego. – Nie wiedziałem, że tak dobrze mówisz po angielsku. – Zabrzmiało to przepaszająco.

– Napisałem o tym w moim życiorysie – powiedział rzeczowo Jakob. Chociaż żył z dobroczynności, nadal był człowiekiem godnym szacunku.

– Chyba nie przeczytałem go dokładnie. W każdym razie należysz do personelu technicznego. Na więcej mnie nie stać. Ale to jest praca i dostaniesz za nią pieniądze.

– Jesteśmy panu bardzo wdzięczni. – Jakob powtórzył to w imieniu ich obojga, a Emmanuelle kiwnęła głową. Zrozumiała. Jej angielski poprawił się podczas podróży statkiem, dzięki pilnym lekcjom, chociaż była zbyt nieśmiała, żeby się odzywać. Jakob mówił teraz do niej po angielsku, kiedy tylko mógł, Emmanuelle wkrótce się do tego przyzwyczai.

Jakiś czas potem wyszli, pochodzili po okolicy, a potem pracownica organizacji charytatywnej podwoziła ich do domu i za niewielkie pieniądze, które od organizacji dostali, kupili trochę żywności. Potem wrócili do mieszkania, które czuć było stęchlizną od chwili, gdy weszli. Ale chociaż było małe, to jednak był ich dom. Emmanuelle zastanawiała się, ile czasu tutaj spędzą. Nawet mieszkanie, w którym mieszkała z matką i siostrą, było lepsze, większe, ale to już było poza nimi. Musieli się urządzić jak najlepiej, a jeśli będą ciężko pracować, może pewnego dnia będzie ich stać na coś lepszego. Przynajmniej teraz byli bezpieczni. Emmanuelle nigdzie jednak nie czuła się bezpieczna. To, co najgorsze, już im się przytrafiło, ale ona bała się, że może się to powtórzyć, nawet w Nowym Jorku.

Tamtego wieczoru przyrządziła kolację i odkryła, że trzy palniki kuchenki nie działają, a jeden z rondli przecieka. Wyposażenie było spartańskie, ale nie myślała o tym, kiedy chowała skąpe resztki kolacji do maleńkiej lodówki. Jakob patrzył, jak się krząta i próbował nie myśleć o tym, jak inne miał życie. Od czasu do czasu nawiedzała go myśl o pięknym domu rodziców, o odwiedzinach u eleganckich, bogatych dziadków, o zameczku, który zajęli naziści, o służbie, jaką mieli w każdym ze swoich domów, o lokajach, dziełach sztuki, wystawnym życiu rodziców. A teraz musiał ograniczać się do tego. Ale żyli, a wszyscy jego krewni i znajomi nie. Był ostatnim rozbitkiem z utraconego świata. Będzie musiał polubić życie dzielone z Emmanuelle, która w Paryżu miała znacznie skromniejsze warunki.

Pierwsza noc w mieszkaniu była też pierwszą nocą, którą spędzili razem sami od chwili zawarcia małżeństwa sześć tygodni wcześniej. Emmanuelle wyglądała na zawstydzoną, kiedy

pomagał jej ścielić łóżko wystrzępionymi prześcieradłami z pocerowanymi rozdarciami, chwilę potem, po kąpieli, wślizgnęli się do łóżka i odkryli wzajemnie swoje ciała jako mąż i żona. Jakob był delikatny i czuły wobec niej, oboje uważali na swoje blizny. Potem leżała spokojnie w jego objęciach i po raz pierwszy od lat czuła się bezpieczna. Tej nocy jej koszmary nie były takie dojmujące. Jakob stał się jej bezpieczną przystanią i centrum całego świata.

Po miłosnej nocy spędzonej razem wstali wcześniej. On zrobił kawę, ona tosty. Do pracy przybyli na czas, a Jakob był mocno zdziwiony, kiedy człowiek, któremu miał pomagać, wręczył mu kombinezon roboczy. Po chwili odkrył, że ma być pomocnikiem dozorca, do czego nie były mu potrzebne talent, doświadczenie ani wykształcenie. Dostał szczotkę i kubek, przydzielono mu najgorszą pracę, w tym sprzątanie ubikacji i całą naprawdę brudną robotę. Cały dzień spędził na myciu, szorowaniu i wyrzucaniu śmieci z koszy. Nie poskarżył się na to Emmanuelle, kiedy spotkali się podczas przerwy na lunch. Zapytał, jak jej idzie w pracy, ale o swojej nie powiedział nic. Odparła uczciwie, że ubrania są tandetne, a ona przyszywa perełki, paciorki i aplikacje do marnych bluzek, ale praca jest łatwa. Spostrzegła jego przybite spojrzenie i domyśliła się, jakie upokorzenia przechodzi, ale przeżył już coś o wiele gorszego, zresztą oboje nie mieli wyboru.

Spotkali drugie małżeństwo sponsorowane przez Rosenów. Oboje byli Niemcami, przeżyli Auschwitz, też stracili rodziny, pobrali się przed deportacją i nie mieli dzieci. Ale w przeciwieństwie do Emmanuelle i Jakoba Hilda i Fritz z rozgoryczeniem i złością mówili o swoich nieszczęściach, czasie spędzonym w obozach i pracy u Rosenów. Twierdzili, że sponsor wykorzystuje ich jak niewolników. Ona została przydzielona do zmywania naczyń w fabrycznym bufecie, on pracował w brygadzie nadzorującej pracę maszyn. Kombinezon, ręce i twarz miał poplamione smarem i olejem. Przed wojną był inżynierem.

Jakob chciałby dostać lepszą pracę niż sprzątanie, ale nie proponowano mu żadnej. Umacniało go to w przekonaniu, że trzeba się starać o dostatnie jutro i większe zarobki, żeby nie zostać na zawsze na łasce Harry'ego Rosena. Jakob zgadzał się z Fritzem: Harry wykorzystywał ich jak niewolniczą siłę roboczą, ale zamiast opłakiwać swój los, jeszcze bardziej starał się, by znaleźć lepsze zajęcie.

Tego wieczoru, gdy jechali metrem do domu, milczał, potem pomógł Emmanuelle przyrządzić kolację. Nie znała się na gotowaniu, on zresztą nie był lepszy. Matka gotowała za nią, a dla niego, w Wiedniu, robiła to armia służących i szef kuchni.

Zjedli trochę spaghetti i sałatki z pomidorów i to im wystarczyło. Ledwie starczało im pieniędzy na jedzenie. Emmanuelle pogodziła się z pracą w fabryce Rosena, ale domyślała się, że Jakob jest nieszczęśliwy. Lubił swojego szefa, ale nie znosił czarnej roboty, którą wykonywał. W Ameryce spodziewał się większych możliwości i wyzwania i dlatego namówił Emmanuelle do wyjazdu. Teraz czuł się odpowiedzialny za to, że nie ziściły się ich nadzieje.

– Znajdziesz coś innego, kiedy wypełnimy zobowiązania wobec nich – pocieszała go Emmanuelle. Podpisali roczny kontrakt na pracę dla Harry'ego, który zamierzał się tego trzymać. Tak powiedział, kiedy się z nim spotkali. Dla Jakoba było jasne, że Harry upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: sponsorując ich, okazał się szlachetnym człowiekiem, ale płacąc im i drugiemu małżeństwu mniej niż wynosiły najniższe zarobki, wykorzystywał ich na całego. Chcieli ciężko pracować, ale Jakob chciał też jak najszybciej poszukać sobie lepszego zatrudnienia, gdzie mógłby wykorzystać swoje umiejętności. Mimo to przez najbliższy rok musiał sprzątać toalety i robić to, co mu kazano.

Był lipiec, w fabryce i biurach bez klimatyzacji panowało przygniatające gorąco. W sierpniu spotkali się wreszcie z Rachel Rosen, żoną Harry'ego. Potraktowała Jakoba i Emmanuelle z pogardą. Była pretensjonalna i wystrojona. Patrzyła na nich, jakby byli istotami gorszego gatunku. To przeraziło Emmanuelle, która bała się, że Rachel wyrzuci ich z pracy i

wtedy zostaną bez pracy i mieszkania. Już nie czuła się bezpieczna, mimo zapewnień Jakoba, że organizacje humanitarne pomogą im, gdyby tak się stało. Emmanuelle nie ufała nikomu poza nim. Po dwóch latach w obozie nie wierzyła już w łaskawe przeznaczenie, a nawet w litościwego Boga.

Ale cokolwiek się stanie, musieli wytrzymać przez rok i nie narażać się sponsorom. Wpadli w pułapkę. Musieli być uprzejmi dla wszystkich w fabryce. Wykonywali swoją pracę bez narzekania i wszyscy ich lubili.

Zbliżał się koniec rocznej pracy dla Rosenów. Jakob i Emma nadal byli w złej sytuacji finansowej, ledwie starczało im na jedzenie i podstawowe potrzeby. To był szok, kiedy odkryli, że Emmanuelle jest w ciąży. Wcale tego nie planowali. Nie mogli sobie pozwolić na dziecko z zarobkami u Harry'ego Rosena. A Emmanuelle bała się mieć dzieci. Co będzie, gdyby tamto miało się powtórzyć?

Miała problemy z żołądkiem, więc na nalegania Jakoba poszła do lekarza, który powiedział jej, że jest w ciąży. Potwierdziły to badania. Była przerażona, kiedy wieczorem powiedziała o tym Jakobowi. On chciał mieć dzieci, ona jeszcze nie, i to przez wiele lat, póki nie będą mogli sobie na nie pozwolić. Jakob też się martwił, jak utrzymają dziecko, myślał o wzięciu drugiej pracy, na noc. Bez skutku próbował ukoić jej strach. Dwa tygodnie później powiedziała mu o okazji, o której wspomniała jedna z koleżanek w pracy. Niektóre szwaczki były Francuzkami i mogła z nimi pogawędzić. Tamta kobieta powiedziała jej, że hurtownicy jubilerscy i handlarze diamentów w West Forties ciągle szukają gońców, którzy dostarczaliby towar innym kupcom albo przynosili go od nich. Praca była odpowiedzialna, nie wystarczał tu zwykły chłopiec na posyłki. Przez ręce gońców przechodziły dziennie cenne kamienie warte tysiące dolarów. Wymagano solidności, a goniec mógł się przy okazji nauczyć biznesu jubilerskiego, całkiem zyskownego, gdyby płacono mu prowizje.

Dla hurtowników pracowali głównie młodzi chłopcy, ale Emmanuelle zastanawiała się, czy jest to coś, czym mógłby zająć się Jakob, zamiast zamiatać podłogi i ubikacje w fabryce. Ich kontrakt z Harrym prawie się kończył, a zarabiali tyle, że ledwie starczyłoby im na czynsz za mieszkanie i w dodatku dziecko było w drodze.

Jakoba zaintrygował ten pomysł, chociaż nie miał pojęcia o jubilerstwie, poza tym że widział, co przed wojną nosiły jego matka i babka. Przynaglany przez Emmanuelle podczas przerwy na lunch zaczął roznosić swój zyciorys do wszystkich jubilerów w dzielnicy, gdzie handlowano diamentami. Znajdowała się o kilka przecznic na północ od dzielnicy odzieżowej, gdzie pracowali. Opuszczał lunch, żeby to robić, i po dwóch tygodniach wieczorem w domu zadzwonił telefon. Jeden z jubilerów, u którego zostawił swój zyciorys, poprosił go, żeby następnego dnia przyszedł w czasie lunchu na rozmowę.

Następnego dnia Jakob wziął do pracy swój jedyny garnitur, szybko się przebrał podczas przerwy na lunch i poszedł dziesięć przecznic dalej do jubilera z Czterdziestej Siódmej ulicy. Był to mały sklepik z nierobiącym wrażenia frontonem. Kiedy wszedł, jakaś starsza kobieta zapytała, w czym mogłaby mu pomóc. Przywołała z tyłu sklepu Israela Horowitza, gdy Jakob powiedział, że był z nim umówiony. Serce mu waliło, gdy tak czekał, chwilę później zza zamkniętych na klucz drzwi wyszedł siwowłosy mężczyzna i przyjrzał się mu, jakby chciał go ocenić. Miał ponad sześćdziesiąt lat, podał Jakobowi rękę i zaprosił do pokoju na tyłach sklepu. Mówił po angielsku z mocnym akcentem, według Jakoba czeskim albo polskim. Miał poważną minę i łagodne oczy, z uwagą przyglądał się Jakobowi. Przez chwilę obaj milczeli.

– Dlaczego chce pan pracować jako goniec? – przerwał w końcu ciszę jubiler. Jakob patrzył na niego z respektem. – Jest pan na to za stary. Zazwyczaj korzystamy z usług piętnastolatków, szesnastolatków, czasem osiemnastolatków. Znajduje ich dla nas nasz rabin.

Przyciągają mniej uwagi niż dorosły chodzący po mieści z brylantami w kieszeni.

– Potrzebna mi lepiej płatna praca niż ta, którą mam – odpowiedział uczciwie Jakob.

– Co pan teraz robi? – zapytał go Israel. – Nie napisał pan tego w swoim życiorysie.

– Jestem pomocnikiem dozorca w fabryce odzieżowej – odparł po prostu Jakob. – Rok temu przyjechałem tutaj z żoną z Niemiec. Właściciel fabryki był naszym sponsorem za pośrednictwem organizacji humanitarnej. – Straszy pan pokiwał głową, jego niebieskie oczy zrobiły się poważne, kiedy patrzył na młodszego mężczyznę.

– Deportowali pana? – zapytał cicho.

Jakob kiwnął głową.

– Tak, z Wiednia.

– A pańska rodzina? – zapytał z szacunkiem jubiler.

– Wywieźli nas razem. Najpierw do Bergen-Belsen, potem do Buchenwaldu.

Bergen-Belsen był obozem przejściowym, z którego deportowanych po jakimś czasie rozsyłano do innych obozów – wyjaśniał Jakob. – Buchenwald był jednym z najgorszych. To był obóz koncentracyjny, wszystkich przeznaczono do ciężkich robót. Mnie i moją żonę też. Ciągłe zabijali ludzi, kiedy uznali, że za wolno pracują. Albo wysyłali do obozu śmierci, do komory gazowej. Wielu ludzi zginęło z głodu albo z chorób – powiedział cicho Jakob.

– A pańska rodzina? – zapytał Israel. – Co teraz robi?

W pokoju zapadła ciężka cisza, Jakob próbował zapanować nad sobą, zanim odpowiedział.

– Tylko ja przeżyłem. Wszyscy zginęli: dziadkowie, rodzice i dwie młodsze siostry. Nie mam do czego wrócić w Wiedniu, chyba że do złych wspomnień. – Starszy pan pokiwał głową, miał łzy w oczach. Przez ostatni rok, od końca wojny, zbyt często słyszał takie historie o krewnych i przyjaciółach z Europy. Zbyt wielu czekało za długo, żeby przeżyć, a ich koniec był tragiczny.

– Moja żona i ja pochodzimy z Warszawy. Przyjechaliśmy tutaj dwadzieścia lat temu, w 1934 roku, kiedy zobaczyliśmy, co nadchodzi. Nikt nie chciał z nami jechać. Nie wierzyli, że Niemcom uda się to, co zamierzali. Mieszkaliśmy w cywilizowanych krajach, nikt nie był w stanie sobie tego wyobrazić. Ale to były czasy barbarzyństwa. Do mojej rodziny należał największy sklep jubilerski w Warszawie. Kiedy tu przyjechaliśmy, mieliśmy z sobą niewiele i zaczęliśmy skromnie. Nikt z mojej rodziny nie przeżył wojny. Wszystko, co tam było, to już dla nas przeszłość. Nasi krewni zostali wysłani do Auschwitz, niektórzy do Dachau. Co pański ojciec robił przed wojną? – zapytał z zainteresowaniem Israel. Podobał mu się ten szczerzy, najwyraźniej wykształcony, dobrze wychowany młody człowiek. Patrząc na niego, trudno było uwierzyć, że ma tylko dwadzieścia sześć lat. Był dojrzały ponad swój wiek, a przyprószone siwizną włosy były mylące. Wyglądał co najmniej na trzydzieści pięć. Ale łączyło ich to, co stracili. Różnica polegała na tym, że Jakob był w obozach koncentracyjnych, a Israel zdążył wyjechać i przeżyć wojnę w Nowym Jorku.

– Moja rodzina miała bank – odparł Jakob – który założył mój prapradziadek. Rzecz jasna, banku już nie ma. Naziści zabrali go zaraz po Anschlussie, kiedy jak pan wie, Niemcy zaanektowały Austrię i okupowały ją. Mówili, że to pokojowe rozwiązanie, korzystne dla Austrii. Ale wkrótce potem wszystkich Żydów wyrzucono z pracy i z domów, a w końcu deportowano. Teraz naszych domów też nie ma. Już nie mam nic.

– Pańska żona też nic nie ma?

– Jest Francuzką, również straciła rodzinę. Spotkaliśmy się w Buchenwaldzie. Tutaj przyjechała ze mną. Nasz pracodawca ręczył za nas oboje i za jeszcze jedno małżeństwo. To było trudne, ale znał kogoś w Biurze do Spraw Uchodźców.

– I przez rok płacił państwu tyle co nic i traktował was jak niewolników. – Israel już słyszał takie historie. W niektórych wypadkach sponsorowanie uchodźców nie było tak dobroczynne, jak mogło się wydawać.

– I tak jesteśmy mu wdzięczni – powiedział łagodnie Jakob. – Nasz kontrakt kończy się za miesiąc. Będziemy musieli płacić czynsz za mieszkanie. – Wahał się chwilę, nie chciał, żeby to zabrzmiało żałośnie, ale Israel Horowitz był wobec niego uczciwy i szczerzy, i wyglądał na dobrego człowieka. – I dziecko jest w drodze. Potrzebuję lepszej pracy. – Jubiler znów kiwnął głową i nie skomentował tego.

– Co pan wie o diamentach? – zapytał Jakoba.

– Nic, widziałem, jak je noszą moja matka i babka. Nigdy szczególnie nie interesowałem się ich biżuterią – odparł Jakob z uśmiechem. – Jeśli cokolwiek wiem, to tylko o finansach i ekonomii. Przygotowywałem się, żeby pracować w banku, kiedy skończę studia.

– A po Anshlussie zmuszono pana do opuszczenia uniwersytetu?

Jakob kiwnął głową w odpowiedzi.

– Ale podczas wakacji pracowałem w naszym banku. Został mi tylko semestr do ukończenia studiów, kiedy musiałem odejść.

Israel Horowitz znów kiwnął głową, przez chwilę wyglądał na zamyślonego.

– Miałem syna w pańskim wieku – powiedział w końcu. – Zginął na wojnie. Zostaliśmy obywatelami amerykańskimi niedługo po przyjeździe. David zgłosił się do wojska na ochotnika zaraz po Pearl Harbor. Moja żona błagała, żeby tego nie robił. Zginął na Iwo Jimie. Nie mamy innych dzieci. Żona choruje, odkąd syn zginął. Wcześniej pracowała ze mną w sklepie, teraz nie może. Nie mamy innej rodziny po tym, co stało się w Europie. Młody człowiek, taki jak ty, mógłby mi pomóc, jeśli interesuje cię ten biznes. Czy szlachetne kamienie w ogóle cię interesują? To korzystny handel. Mógłbym cię wiele nauczyć, gdybyś chciał osiąść taką wiedzę. To mogłaby być micwa, błogosławieństwo dla nas obu. Czym się zajmuje twoja żona? – Zakładał, że jej pochodzenie i wykształcenie są podobne do pochodzenia i wykształcenia Jakoba, ale tak nie było. Obojgu młodym to nie przeszkadzało, a Jakob nigdy tak jeszcze nikogo nie kochał i nie szanował. Emmanuelle była dobrze wychowaną, wdzięczną osobą mimo prostego pochodzenia.

– Jest szwaczką w fabryce Rosena. I jest mi bardzo przykro ze względu na twojego syna.

Israel pokiwał głową, przyjmując te kondolencje.

– Słyszałem, że Rosen prowadzi firmę, w której się źle zarabia i ciężko pracuje. Może w końcu znajdziemy jej tutaj pracę. Większość interesów prowadzę z hurtownikami diamentów. Sprzedajemy tylko kupcom. Pracuje dla mnie dwóch szlifierzy, pochodzą z Belgii i są tutaj już od dawna. Są bardzo dobrzy i w branży jesteśmy szanowani. Od kiedy możesz zacząć?

– Za cztery tygodnie – odpowiedział Jakob. Serce biło mu mocno. Nie wiedział, ile Horowitz mu zapłaci, ale okazja wydawała się dobra. Chciał wypełnić kontrakt z Rosenami co do joty. Tak wydawało się honorowo. W końcu to oni sprowadzili go do Ameryki, chociaż warunki pracy i życia tutaj nie były idealne. Bez nich on i Emmanuelle nie trafiliby do Nowego Jorku.

Israel Horowitz wstał i wyciągnął rękę.

– Zatem masz pracę. Najpierw będziesz gońcem, reszty będziesz musiał się nauczyć. W tym biznesie trzeba dużo wiedzieć, nauczę cię wszystkiego, czego będę mógł.

Jakoba przepełniała wdzięczność. Horowitz powiedział, ile Jakob będzie zarabiał, a to było dwa razy tyle, ile płacił mu Rosen. Jakob będzie mógł bez trudu zapłacić czynsz za ich małe mieszkanie i kupować lepsze jedzenie. Musieli tak robić, bo Emmanuelle, choć w ciąży, nadal była za chuda. On w ciągu roku przybrał na wadze, ale ona przytyła zaledwie kilka kilogramów. Jej żołądek sprawiał zbyt wiele kłopotów, a teraz, w ciąży, była po prostu chora, co bardzo go

martwiło. Nie mógł się doczekać, kiedy jej powie o nowej pracy, którą właśnie dostał, i o możliwości zatrudnienia jej pewnego dnia. Będzie musiała pracować po urodzeniu dziecka, nie mogli sobie pozwolić, żeby zrezygnować z jej zarobków, chociaż Jakob żałował, że Emmanuelle nie zostanie w domu, ale nie wchodziło to w rachubę. Może kiedyś. Tymczasem muszą znaleźć i wypróbować opiekunkę z sąsiedztwa, która nie brałaby za dużo za opiekę nad dzieckiem, gdy Emmanuelle będzie w pracy.

Israel odprowadził Jakoba do wyjścia, znowu podali sobie ręce. Obaj wyglądali na zadowolonych, a Jakob był tak podniecony nową pracą, że aż chciało mu się podskakiwać, kiedy biegiem wracał do fabryki. Spóźnił się, minął już kwadrans po lunchu, rozmowa zajęła dużo czasu, ale gdyby mieli go teraz wyrzucić z fabryki, nie miało to dla niego znaczenia. Miał nową, wspianą pracę! Nie mógł się doczekać wieczora, żeby powiedzieć o tym Emmanuelle.

Kiedy wrócił, szef zbeształ go za spóźnienie, Jakob przeprosił i zaraz wziął się do pracy, którą ukończył na czas. Nie widział się z Emmanuelle aż do końca dnia, ale razem wyszli z pracy. Opowiedział jej o swojej rozmowie, kiedy wracali metrem do mieszkania.

– I powiedział, że pewnego dnia może znaleźć pracę także dla ciebie. – Jakob uśmiechał się do niej promiennie. To było spełnienie ich marzeń. Miał dostawać dwa razy tyle pieniędzy właśnie wtedy, kiedy tego potrzebowali najbardziej. Ale Emmanuelle zmartwiła się, kiedy wspomniał o pracy dla niej.

– Zupełnie się nie znam na diamentach i biżuterii. Znam się tylko na szyciu. Nie byłabym zbyt mądra, gdybym przyjęła pracę u niego. A jeśli zezłości się na ciebie i wyrzuci nas oboje? Znajdziemy się w rozpaczliwej sytuacji. – Teraz wszystko ją denerwowało, zawsze wyobrażała sobie najgorsze. Niczemu i nikomu nie ufała, poza Jakobem. Wojna pozostawiła w niej strach, że zdarzy im się coś złego.

– No to może poszukasz lepszej pracy dla krawcowej? Nie musisz zostawać u Rosena. – I nie chciał, żeby tam została. Jej umiejętności były zbyt wysokie jak na fabrykę i Jakob miał pewność, że gdzie indziej Emmanuelle więcej zarobi. Nie mogła zarabiać mniej i Horowitz nie mylił się, twierdząc, że Harry Rosen prowadzi firmę, w której źle się zarabia i ciężko pracuje. Uratował ich z Niemiec, ale nie dowiedział, że jest dobrym człowiekiem i zawarł umowę bardzo dla siebie korzystną.

– Teraz, kiedy jestem ciężarna, nikt mnie nie zatrudni. Muszę zostać, póki dziecko się nie urodzi. – Poród miał nastąpić w grudniu, ale jeszcze nie powiedzieli o tym Rosenom. Emmanuelle była w trzecim miesiącu i nie było tego po niej widać, ale taki stan nie mógł długo trwać. Szyjąc i siedząc przez cały dzień, mogła wytrwać w pracy do końca ciąży, chociaż Jakobowi to się nie podobało. Pierwszych kilka miesięcy było trudnych i dołożyło się do jej problemów żołądkowych, wyniesionych z obozu.

– Może po narodzinach dziecka pan Horowitz będzie mógł znaleźć dla ciebie pracę? – powiedział z nadzieją Jakob. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie. Tylko cztery tygodnie. Będzie musiał szorować, czyścić i wynosić śmieci jeszcze przez miesiąc, potem zacznie wyglądać jak dżentelmen i będzie traktowany jak stworzenie ludzkie. To był dar od Boga.

Uczcili ten wieczór prostą kolacją, którą przyrządził Jakob, chociaż Emmanuelle prawie nie mogła jeść. Oboje byli szczęśliwi. Podziękował jej, bo szukanie pracy u kupców hurtowo handlujących diamentami było jej pomysłem i to dobrym. O dziewiątej smacznie spała w jego ramionach. Była ciągle zmęczona, odkąd zaszła w ciążę. To było zbyt wyczerpujące dla jej delikatnego organizmu.

Lekarz powiedział, że lata miną, zanim wyjdzie z tego, co się z nią stało w obozie, o ile w ogóle w pełni wyzdrowieje. Jakob psychicznie doszedł do siebie bez trudu w ciągu minionego roku. Miał pozytywne nastawienie do życia, którym nic nie mogło zachwiać, chociaż martwił się

bardziej niż zazwyczaj. Ale Emmanuelle dręczył niepokój, że coś, co raz się stało, może się zdarzyć ponownie.

Jakob pocieszał ją, ale strach stał się jej wiernym towarzyszem. Martwiła się o dziecko, że coś pójdzie nie tak, albo że umrze przed narodzeniem, albo że je zabiorą. Straciła wszystkich, których kochała, nie licząc Jakoba, i jej obawy skupiały się również na nim. Nie była w stanie tego powstrzymać.

Dwa tygodnie po spotkaniu z Israelem Horowitsem Jakob złożył Harry'emu Rosenowi wymówienie. Rosen przyjął to źle, w stylu: „jak śmiesz, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem!” Groził, że nie pozwoli zatrzymać im mieszkania, które było objęte regulacją wysokości czynszów, a tylko na takie mogli sobie teraz pozwolić, ale w końcu ustąpił i powiedział, że mogą w nim zostać jeszcze rok, jeśli będą na czas płacili czynsz, czego Jakob miał zamiar dotrzymać. Rosena ułagodziło trochę, że Emmanuelle zostaje za absurdalnie niską pensję, jaką jej płacił jako jednej ze swoich szwaczek. Świetnie wiedział, jak jest utalentowana, i żerował na jej wdzięczności i poczuciu zobowiązania za to, że został ich sponsorem. Jakob ostrzegł go, że Emmanuelle jest w ciąży i ma termin porodu w grudniu, a Harry uznał, że powinna pracować do końca ciąży i wrócić na stanowisko dwa tygodnie po rozwiązaniu. Jakob nie odpowiedział. Bardzo chciał wyrwać żonę ze szponów Harry'ego. Jak na razie udało mu się uciec samemu, a diamentowy biznes mógł go zaprowadzić na nieznane mu obszary. Na szczęście z dala od Harry'ego i podobnych mu ludzi. Ale Harry był furką do jego przyszłości i Jakob był mu za to wdzięczny. W ostatnim dniu pracy w fabryce uпрzejmie uścisnął dłoń swojego szefa, podziękował mu i wyszedł. Emmanuelle czekała na niego na dworze, Jakob był rozradowany, kiedy się z nią spotkał. Właśnie zaczynało się jego nowe życie. Chciał, żeby było lepsze dla nich obojga i dla dziecka.

Jakob zaczął pracę u Horowitza w poniedziałek, kiedy skończył się jego kontrakt w fabryce Harry'ego Rosena. Pojawił się w biurze Horowitza w jedynym garniturze, jaki miał, w czystej koszuli, którą Emmanuelle wyprała i uprasowała, i w granatowym, na oko drogim krawacie, który dla niego zrobiła. Bez trudu uszyła go zręcznymi paluszkami z resztek fabrycznych, które kupiła w sklepie na Lower East Side. Kiedy Jakob przyszedł do pracy, wyglądał jak bankowiec, którym mógłby być. Israel uśmiechnął się na jego widok. Jakob był przystojnym młodym człowiekiem, widać było po nim wdzięk i postawę wyniesioną z wychowania.

Israel, albo Izzie, bo poprosił Jakoba, żeby tak do niego mówił, spędził poranek na pokazywaniu nowemu pracownikowi biura, potem przedstawił go swoim szlifierzom, którzy pracowali na zapleczu. Między sobą rozmawiali po flamandzku, ale mówili również po francusku i niemiecku, bez trudu porozumieli się z Jakobem i cieszyli się, że go poznali. Izzie pokazał mu, nad czym pracują. Obaj szlifierze mieli diamenty na warsztatach. Jeden z nich ciął sześciokaradowy kamień, który według słów Izziego miał kolor F i został zakwalifikowany jako VSI, czyli kamień z bardzo małymi inkluzjami. Wewnętrzne wady były tak małe, mówił Izzie, że można je było zobaczyć tylko przez lupę jubilerską, a kolor był niemal perfekcyjny. Drugi szlifierz pracował nad czterokaradowym kamieniem, gorszego koloru, z większą liczbą inkluzji. Osadzał go w pierścionku z małymi kamykami, pokrywającymi metal obrączki. To było dla znanego jubilera detalisty z Piątej Alei.

– Najlepszy jest kolor D – wyjaśnił Izzie Jakobowi – a o diamencie bez skazy mówi się, kiedy kamień w ogóle nie ma inkluzji. Chodź, pokażę ci.

Wrócili do biura, Izzie otworzył sejf i wyjął biały, papierowy pakiecik złożony wielokrotnie, żeby chronić zawartość. Kiedy go rozwinął, na stole pojawił się okrągły, oszlifowany kamień o oślepiającej klarowności.

– Jeszcze nie widziałeś tak doskonałego kamienia. Ma dokładnie osiem karatów bez inkluzji. Dostał certyfikat D, bez skazy. Jest bardzo rzadkim okazem. Takie kamienie ma tylko sześciu hurtowników. Pośredniczę w kupnie i właśnie doszedłem do porozumienia z człowiekiem, który go sprzedaje. Chcę, żebyś go zaniósł do jednego z kupujących. Sprzedajemy go firmie Cartier z bardzo ładnym zyskiem – powiedział. – Kantor, do którego masz go zanieść, jest cztery przecznice stąd. Włóż go do wewnętrznej kieszeni i idź tam, nigdzie nie zbaczając. Zadzwoń do mnie, kiedy już tam będziesz i wracaj.

– Tylko tyle? Tylko to mam zrobić? – Jakoba zafascynował zarówno ten biznes, jak i piękno kamieni, które dopiero co zobaczył. Przypomniały mu pierścionek, jaki nosiła matka. Wcześniej należał do jej babki. Był w nim brylant większy nawet od tego, który pokazał mu Izzie. Jakob nigdy nie zwracał na niego większej uwagi, chociaż teraz przypomniał sobie, że był bardzo piękny i zniknął na zawsze wraz ze wszystkim, co ukradli im naziści.

– Gdybym ci powiedział, ile ten kamień jest wart, ile właśnie za niego zapłaciliśmy i za ile go sprzedajemy, trząśniesz się przez całą drogę do tamtego biura. Idź szybko, patrz przed siebie i dostarcz go. Zawierzyłem ci ważny kamień jako pierwsze zlecenie ode mnie. No idź. – Wręczył mu kawałek papieru z adresem i nazwiskiem, a Jakobowi ścisnął się żołądek, kiedy zdał sobie sprawę, jaką odpowiedzialnością go obarczono.

Wetknął kamień do wewnętrznej kieszeni, tak jak mu powiedział Izzie i chwilę potem wyszedł ze sklepu. Poszedł wprost pod adres, pod który miał dostarczyć kamień, zadzwonił

stamtąd do Izziego i wrócił po dziesięciu minutach. Misja została wypełniona.

– Dobrze – powiedział Izzie z uśmiechem. – Nie sprzedałeś go na rogu ulicy, żeby uciec do Brazylii. Bardzo dobrze. Jestem z ciebie dumny – żartował, a Jakob też się roześmiał. Lubił Izziego i podobała mu się praca u niego. Teraz zrozumiał, że to będzie interesujące zajęcie. To nie bankowość, ale obracał wielkimi sumami, mimo że kantor Izziego nie robił wrażenia. Operacja była mała, ale pośredniczyli w zakupie i sprzedaży kilku cennych kamieni i obracali większymi sumami, niż Jakob mógł pomyśleć.

Później, po południu, miał przynieść mniejszy, mniej kosztowny kamień. Dwóch handlarzy chciało go sprzedać Izziemu, na którym brylant nie zrobił wrażenia i po dwudziestu minutach, kiedy obejrzał kamień przez lupę ze wszystkich stron i oświetlił specjalnym światłem, odesłał go za pośrednictwem Jakoba.

– Rupieć – powiedział do Jakoba i pokazał mu dłaczego. – W środku kamienia jest więcej paprochów niż w popielniczce moich szlifierzy. Nie sprzedaję takich kamieni. Gdybym to robił, Cartier nie kupowałby ode mnie. – Izzie miał wśród klientów kilku ważnych detalistów i parę prywatnych osób, a przy tym reputację, której musiał bronić. Kupcy, z którymi robił interesy, ufali mu i szanowali jego oko, uczciwość i osąd.

Na koniec pierwszego dnia Jakob czuł się, jakby był częścią ekscytującego przedsięwzięcia. Mnóstwo nauczył się od Izziego. Powiedział o tym Emmanuelle wieczorem, przy kolacji.

– A jeśli ktoś ukradnie ci diament, który będziesz niósł? – Znów wyglądała na zmartwioną. A przecież nie zdawała sobie sprawy, jak cenne były kamienie, które Jakob odbierał i dostarczał.

– Wtedy Izzie zabije mnie, gdy wrócę do kantoru, a ty zostaniesz wdową i będziesz musiała znaleźć sobie bogatego, przystojnego męża, na jakiego zasługujesz – drażnił się. Ledwie to powiedział, jej oczy wypełniły się łzami. Objął ją. – Kochanie, żartowałem tylko. Nic mi się nie stanie. Nie mam szyldu, że coś takiego niosę, a inni jubilerzy są bardzo blisko. Chodzę niedaleko. – Powiedział jej, jaki piękny był brylant klasy D, bez skazy, a potem wspomniał o brylancie swojej matki i na chwilę posmutniał.

Emmanuelle nawet nie otarła się o takie bogactwa, trudno więc jej było wyobrazić to sobie i z początku zmartwiło ją to. Bała się, że nie jest dosyć wytworna dla niego, jeśli wziąć pod uwagę rodzinę, z której pochodził, ale jemu było to obojętne. Ona się tym przejmowała, on nie. Kochał ją taką, jaką była, chociaż wołałby, żeby mniej się martwiła. Czasem jej lęki były tak przekonywające, że przenosiły się na niego i dawał się im pochłonać. Ale uwielbiał swoją nową pracę i wszystko, czego miał się nauczyć, a jego nowy szef szczerze obdarzał go wiedzą. Jakobowi było przykro, że Izzie stracił syna, ale ten cieszył się z obecności Jakoba, z którym dzielił się informacjami na temat swojego biznesu, a wiedza ta dla nowego pracownika była czymś fascynującym. Jakob zrozumiał nagle, jak cenne musiały być klejnoty jego matki i jak drogie. Wcześniej nigdy nie przyszło mu to na myśl. Jego ojciec był wobec niej bardzo hojny. Odziedziczyła też trochę cennej biżuterii po swojej babce.

Izzie wspominał, że jego żona, odkąd stracili syna, rzadko wychodzi z domu. Była chora i cierpiała na depresję, za to Izzie wyglądał na osobę pogodną. Szedł naprzód mimo śmierci syna.

Przez kolejne dwa miesiące Jakob chłonał wszystko, co mógł, o interesie z diamentami, a Izzie wysyłał go ze zleceniami do innych jubilerów. Wieczorem Jakob opowiadał o tym Emmanuelle.

Była w szóstym miesiącu ciąży i nie mogła już tego ukrywać. Dziecko było duże, miała nadzieję, że to chłopiec, bo nie było innych członków rodziny Jakoba, którzy mogliby zachować nazwisko. Jakob powiedział, że dla niego nie ma to znaczenia. Chciał tylko, żeby dziecko było

zdrowe, a poród łatwy dla Emmanuelle. Teraz więcej jadła i czuła się lepiej niż przez poprzednie pół roku. Nadal miała złe sny, ale już nie tak często. Jakob namówił ją, żeby któregoś dnia przyszła po pracy do sklepu, to przedstawi ją Izziemu. Był z niej bardzo dumny. Następnego dnia po jej wizycie Izzie powiedział, że Emmanuelle jest słodka i piękna. Wyglądała tak delikatnie, że nie mógł sobie wyobrazić, jak przeżyła to, co ją spotkało, ani że ktokolwiek mógłby być wobec niej brutalny. Ucieszył się, że będą mieli dziecko.

We wrześniu wręczył Jakobowi kopertę z gotówką i powiedział, żeby kupił sobie jeszcze jeden garnitur i parę nowych koszul. W pracy potrzebował więcej niż jednego garnituru, a pieniędzy starczyło na szare spodnie i marynarkę oraz nową sukienkę dla Emmanuelle. Zakupy w centrum w sobotnie popołudnie sprawiły im radość. Wrócili do swojej dzielnicy, zostawili to, co kupili w mieszkaniu i poszli do kina.

Jakobowi trudno było sobie wyobrazić życie z niemowlęciem. Tak bardzo zbliżyli się do siebie przez półtora roku od ślubu, że już nie mógł żyć bez niej. Może z dzieckiem będzie tak samo.

Po czternastu miesiącach pracy i przed czekającym ją porodem Harry Rosen odmówił Emmanuelle podwyżki. Już wiedziała, że pracownicy go nienawidzą. Był nieprzyjemny dla wszystkich. Hilda i Fritz, drugie małżeństwo, które sponsorował, odeszli natychmiast, gdy skończyły się im kontrakty. Pracowali teraz w niemieckiej restauracji na peryferiach i nieźle im się wiodło. Ona gotowała, on był kelnerem i podobno miał niezły dochód z napiwków.

W październiku, pewnego popołudnia, Emmanuelle zemdląła w pracy. Jedna z jej koleżanek zadzwoniła do Jakoba, do kantoru. Przyjechał, żeby zabrać żonę i zawieźć ją do lekarza. Lekarz powiedział, że powinna się oszczędzać, a może nawet zrezygnować z pracy, póki dziecko się nie urodzi, ale Emmanuelle nie chciała stracić dwumiesięcznych zarobków i wmawiała doktorowi, że wszystko z nią jest w porządku. Wiele kobiet w fabryce było w ciąży – nazywano to wyżem demograficznym, bo mnóstwo dziewczyn miało dzieci zaraz po wojnie, ale Harry Rosen nie prowadził polityki ochrony kobiet ani ich miejsc pracy. Wykorzystywał je tak samo jak innych i wymagał, żeby wracały na stanowiska dwa tygodnie po porodzie. Gdyby się im to nie podobało, łatwo było je zastąpić, a przecież życie Emmanuelle zależało od pracy w szwalni.

Jej angielski się poprawił, ale nadal miała wyraźny francuski akcent, który wielu uważało za uroczy. Jakob ciągle ją poprawiał i dawał jej lekcje, kiedy tylko miał czas. Ona nadal rozmawiała z nim po francusku, a on jej ulegał pod tym względem. To było wszystko, co jej zostało z historii i spuścizny: język, którym mówiła jako dziecko przed wojną. Potem, w obozie, nauczyła się niemieckiego, w Nowym Jorku musiała mówić po angielsku. Czuła ulgę, że w domu mówi do Jakoba po francusku i miała zamiar zwracać się do dziecka w tym właśnie języku.

– Nie tęsknisz za niemieckim? – zapytała go pewnego razu późnym wieczorem, kiedy leżeli w łóżku. Pogłaskał ją dłonią po brzuchu pokaźnych już rozmiarów. Nadal była bardzo szczupła, ale dziecko rosło i Jakob czuł, że bardzo kopie, kiedy czule się do niego przytuliła.

– Nie, byłbym szczęśliwy, gdybym nie musiał nigdy mówić po niemiecku – odparł. – Teraz kojarzy mi się to ze zbyt wieloma złymi rzeczami. Zmusza mnie do myślenia o obozie. – Skinęła głową. Z nią było tak samo za każdym razem, kiedy słyszała ludzi rozmawiających w tym języku. Po wojnie do Ameryki przybyło trochę Niemców, w sąsiedztwie wciąż słyszała rozmowy po niemiecku i w jidysz, szczególnie między starszymi ludźmi, którzy byli tutaj od dawna i zawsze przechodziły ją wtedy ciarki. Jej koszmary zaczęły wreszcie ustępować, czekając na dziecko, uspokoiła się.

Izzie zaprosił ich na kolację w Święto Dziękczynienia do swojego mieszkania na Upper West Side. To było drugie takie święto Steinów w Stanach, ale pierwszego nie obchodzili. Byli

wstrząśnięci, kiedy zobaczyli Naomi, żonę Izziego. Wyglądała jak widmo, miała nieprzytomne, mętne spojrzenie. Kiedy przyszli, siedziała w słabo oświetlonym salonie i ledwie podniosła wzrok, gdy Izzie ich przedstawiał. Kiwnęła głową i wymusiła z siebie chłodny uśmiech. Była ubrana na czarno, a wszędzie stały i wisiały zdjęcia ich zabitego syna, przystojnego chłopca podobnego do ojca. Trudno było rozpoznać, jak wyglądała żona Izziego, zanim wyniszczyła ją żaloba. Była tak blada, że wyglądała jak duch, a jej oczy zamieniły się w dwie sadzawki smutku. Chodziła jak stara kobieta i trudno było ją sobie wyobrazić jako żonę tak energicznego i żywotnego człowieka jak Izzie.

To on przez całą kolację podtrzymywał rozmowę z Jakobem. Emmanuelle próbowała pogawędzić z panią Horowitz, ale ona odpowiadała monosylabami i wróciła do swojej sypialni, nie tykając posiłku, który przyrządził i podał Izzie. To on robił teraz wszystko w domu i rozmawiał z żoną, jakby uczestniczyła w ogólnej rozmowie, chociaż w ogóle się w nią nie zaangażowała. Pochowała się żywcem wraz z synem. Nawet zbliżające się narodziny syna Jakoba i Emmanuelle jej nie zaciekały, odwracała oczy od brzucha młodszej kobiety, jakby ten widok sprawiał jej ból. Całkiem przeciwnie niż Izzie, którego to ekscytowało.

– Chyba zostanę adoptowanym dziadkiem waszego dziecka, jeśli pozwolicie. – Jakobowi i Emmanuelle bardzo podobało się to zainteresowanie ich dzieckiem. Cieszyli się, że mogą z kimś podzielić się swoją radością. – Powinnaś odpocząć na parę tygodni przed porodem – powiedział Izzie stanowczo. – Potem będziesz zajęta i wyczerpana.

– Muszę wracać do pracy dwa tygodnie po porodzie, bo inaczej stracę stanowisko. Oczekuję, że będę pracować do dnia porodu – powiedziała Emmanuelle.

– Twój szef to potwór – odparł Izzie z oburzeniem, a Jakob zgodził się z nim.

– Połowa pracownic w fabryce jest brzemienna, a on denerwuje się z tego powodu.

– Nie może wyrzucić was wszystkich. Po porodzie zostań przynajmniej miesiąc w domu. Kogo zostawisz z dzieckiem, jeśli będziesz musiała wrócić do pracy?

– Nasza sąsiadka z dołu powiedziała, że się nim zaopiekuje. Ma sześciomiesięcznego bobasa i może zająć się dwoma... chce za to bardzo mało pieniędzy, więc możemy sobie na nią pozwolić. – Ich budżet nadal był napięty, ale dawali sobie radę z nowymi zarobkami Jakoba, pracującego jako goniec u Izziego. Mogli kupić to, czego potrzebowali dla dziecka, i pożyczyć resztę rzeczy od sąsiadów i kobiet, z którymi pracowała Emmanuelle, a których dzieci już powyrastały z małych ubranek.

Emmanuelle miała zamiar sama zająć się noworodkiem, póki nie wróci do pracy. Lekarz powiedział, że tak będzie lepiej dla dziecka i że zaoszczędzi w ten sposób pieniądze na mleko w proszku. Będą musieli pomyśleć o wszystkim i liczyć się z każdym groszem, co jej nie było obce dzięki życiu, jakie prowadziła przed wojną, ale było całkowitą nowością dla Jakoba. Z początku była to dla niego wielka zmiana. Przed laty nigdy nie musiał martwić się o pieniądze, nawet o nich nie myślał. Kiedy dorastał, miał wszystko, czego tylko mógł sobie zażyczyć. I chciał dla ich dziecka chociaż trochę tego rodzaju przywilejów, które sam kiedyś miał: doskonałego wykształcenia, bezpiecznego domu i rodziców, którzy nie wpadliby w panikę, że nie będą mieli co włożyć do garnka. Chciał, żeby ich dziecko czuło się pewnie. I chciał więcej niż jednego dziecka, czemu Emmanuelle ostro się sprzeciwiała. Nadal była przekonana, że Holokaust może się zdarzyć powtórnie, nawet w Ameryce. Była o tym przekonana, mimo wszystkich argumentów Jakoba. Uważał, że to nieprawdopodobne. A ona upierała się, że z powodu niebezpieczeństw, które wszędzie na świecie czyhają na Żydów, jedno dziecko wystarczy. Miał nadzieję, że z czasem zmieni zdanie, ale na razie mocno się tego trzymała.

Święto Dziękczynienia, które spędzili u Horowitzów, było miłe i wzruszające, nawet wtedy, kiedy Naomi zniknęła w swoim pokoju, żeby odpocząć. Zostali i długo rozmawiali z

Izziem, a potem poszli do domu, omawiając, jak było miło i jak bardzo lubią gospodarza.

A potem, zanim się zorientowali, nadszedł grudzień. Dziecko miało się urodzić osiemnastego, w środę. Emmanuelle pracowała cały dzień i kiedy wychodziła z fabryki, wydawało się, że nic nadzwyczajnego się nie zdarzy. Pod koniec dnia Jakob spotkał się z nią pod zakładem, wściekły, że jej szef i kierownik nie dali Emmanuelle ani dnia wolnego przed porodem. Pożegnała się, mówiąc wszystkim: do jutra, bo nie było żadnych znaków, że zbliżają się bóle porodowe, a poprzedniego dnia lekarz nie stwierdził żadnych objawów, zapowiadających poród. Fabrykę zamykano na Boże Narodzenie ze względu na robotnice chrześcijanki, ale w Wigilię nie było dnia wolnego i koleżanki z pracy żartowały sobie z Emmanuelle, że nawet gdyby miała urodzić w święta, szef każe jej wrócić następnego dnia. Ich standardem były dwa tygodnie po porodzie, chociaż niektóre kobiety, po cesarskim cięciu, brały trzy tygodnie wolnego bez zgody pracodawcy.

Emmanuelle ruszała się wolniej niż zazwyczaj, ale twierdziła, że to ze zmęczenia po długim dniu. W fabryce parę razy chodziła po schodach w górę i w dół między salami produkcyjnymi. To jeszcze bardziej rozgniewało Jakoba.

– Wszystkie powinnyście zastrajkować – stwierdził, kiedy szli pod ramię do metra. Podtrzymał ją, bo padał śnieg i nie chciał, żeby upadła. Żałował, że nie może sobie pozwolić na taksówkę, byłoby jej lżej. Poprzedniego wieczoru świętowali pierwszy dzień Chanuki. Zapaliła świece i zaśpiewała modlitwy, tak jak zrobiłaby to jej matka. Śpiewała ze łzami w oczach. Jakob dołączył się do śpiewu. Byli sami, trzymali się za ręce w swoim małym mieszkanku. Izzie złożył im życzenia szczęśliwej Chanuki i dał pierwszy *dreidel*, bączek, dla dziecka. Emmanuelle powiedziała, że zachowa go na zawsze.

W Wiedniu Jakob też świętował Chanukę z rodziną. Było to dla nich uroczyste święto, przyjmowano przyjaciół i krewnych. Wszyscy nosili krawaty i wymieniali się prezentami. Ale ponieważ jego rodzina zawsze była bardzo otwarta i niezbyt religijna, co roku mieli też na święta choinkę. Emmanuelle nigdy nie miała choinki i teraz sądziła, że to byłoby nie w porządku, kiedy Jakob o tym napomknął. Nie chciała nawet małej, takiej do postawienia na stole. Uważała, że muszą uhonorować wszystkich, którzy zginęli za swoją wiarę i niepotrzebne im zacieranie obrazu chrześcijańskimi tradycjami, które były im obce nawet teraz, gdy znaleźli się w Ameryce.

Brakowało jej tchu, z trudem pokonała sześć kondygnacji, żeby dotrzeć do mieszkania. Codziennie wchodziła na górę, a Jakob był nawet zdziwiony, że te schody i praca nie wywołały przedwczesnych bólów porodowych. Wymasował jej stopy i kostki, gdy położyła się na łóżku, potem zapalił świece na drugi wieczór chanukowy. Najpierw musiała odpocząć. Znowu razem zaśpiewali modlitwy. Poprosił ją, żeby usiadła na jakiś czas, a on przygotowuje kolację. Chciał, żeby się odprężyła.

Dziecko nadal było wysoko, lekarz powiedział, że to normalne przy pierwszej ciąży i płód nie zejdzie niżej, póki nie zaczną się bóle porodowe, a więc fakt, że jeszcze nie zszedł, nie oznaczał, że do porodu jest daleko. To się mogło zdarzyć każdego dnia. Powiedziano im, że dwa tygodnie przed wyznaczoną datą albo dwa tygodnie później to normalna sprawa, możliwe więc, że zostały im jeszcze dwa tygodnie. Jakob miał nadzieję, że nie, ze względu na nią. Wyglądała na zmęczoną i cieszyła się, że może odpoczywać, gdy on przygotowuje kolację. Potem pomogła mu zmywać talerze, a on nalegał, żeby odpoczęła, wzięła kąpiel i położyła się do łóżka. Na dworze panowało zimno. Pomyślał, że powinni zostać w domu jak najdłużej i nie wychodzili przez cały weekend. Nie chciał, żeby się ślizgała i potykała na lodzie i śniegu ani wchodziła tak wysoko niż tyle tylko, ile musi, kiedy idzie do pracy.

– Jeśli jeszcze nie będziesz rodzić, czeka nas miły weekend – powiedział. – Zostaniesz w łóżku, a ja obsłużę cię pod każdym względem. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. –

Uśmiechnęła się i przetrzepała poduszkę za sobą. – Chcesz, żebym przygotował ci kąpiel? – Mieli szczęście, bo w innych podobnych mieszkaniach często nie było łazienki i trzeba było korzystać ze wspólnej toalety na tym samym piętrze. Cieszyła się, że mają łazienkę tylko dla siebie.

W końcu wstała i na dłuższy czas zanurzyła się w ciepłej wannie. Tymczasem Jakob czytał jedną z książek o diamentach, które dał mu Izzie. Przez ostatnie pięć miesięcy nauczył się wiele, ale pragnął dowiedzieć się czegoś więcej. Uśmiechnął się, kiedy Emmanuelle położyła się do łóżka w różowym, flanelowym szlafroku z koronką na kołnierzu, który sama uszyła. Wyglądała jak ogromny różowy balon o szczupłych rękach i nogach, a nad tym wszystkim jaśniała piękna twarz. Trudno było uwierzyć, że nosi dziecko, wyglądała tak młodo. Jakob wziął po niej kąpiel, używając prysznic, który sam zainstalował. Włożył piżamę, którą uszyła dla niego z najlepszej egipskiej bawełny, taką, jakie kiedyś nosił.

Właśnie położył się do łóżka i odwrócił do niej, żeby coś powiedzieć, kiedy zobaczył dziwny wyraz jej twarzy, jakby grymas bólu. Który za chwilę minął.

– Co to było? – zapytał z troską w głosie.

– Nie wiem. Chyba dziecko zrobiło fikołka albo postawiło stópkę w niewłaściwym miejscu. Może próbuje zrobić sobie miejsce, ale go tam nie znajdzie. – Kiwnął głową, pocałował ją i wrócił do książki. Kiedy to robił, zobaczył, że Emmanuelle znów się krzywi, tym razem bardziej. Instynktownie złapał ją za ramię. Miała zaniepokojony wzrok, kiedy na niego popatrzyła. – To naprawdę boli. Może coś jest nie tak.

– Chyba wkrótce urodzisz. Pewnie dziecko ma dość i chce wyjść. – Powiedziano jej, czego może się spodziewać podczas bólów porodowych, ale to było chyba coś innego. Według słów pielęgniarki to było bardzo przewidywalne i równomierne. Skurcze z początku są powolne, później robią się silniejsze, można wyliczyć czas, a przerwy są regularne. Ale ona odczuła od razu ogromny ból, który zapierał jej dech w piersi, i nacisk, który tylko pogarszał sprawę, jakby wszystko, co ma w środku, ścisnęło jakieś wielkie imadło.

– Może wezwiemy lekarza? – zapytał Jakob.

– Chyba coś zjadłam.

– Może to arbuz – powiedział, przyglądając się jej i oboje wybuchnęli śmiechem. Ale był to przewidywany termin porodu, Jakob nie chciał więc ignorować tego całkowicie i patrzył na nią co jakiś czas, odrywając wzrok od książki. Po paru minutach Emmanuelle zasnęła. Czule opatulili ją kołdrą i pocałował w czubek głowy, w jedwabiste, długie jasne włosy, które jej odrosły i leżały rozrzucone na poduszce. Skończył czytać i już miał zgasić światło, kiedy Emmanuelle jęknęła, uznał to za jeden z koszmarów, ale kiedy spojrzał na nią, zobaczył, że nie śpi.

– Dobrze się czujesz?

Pokręciła głową, walczyła, żeby złapać oddech, minęła prawie minuta, gdy znów mogła się odezwać.

– Bardzo mnie boli. Jest chyba naprawdę źle. Jakby dziecko próbowało wyjść bokiem i rozwalalo wszystko, co stoi mu na drodze. – Była przerażona, próbowała usiąść, ale nie mogła. Za bardzo bolało, a kiedy odrzuciła kołdrę, zobaczyła krew na prześcieradle. Nie miała porównania, brakowało jej matki, ciotki czy babki albo siostry, żeby o tym porozmawiać i absolutnie nie był to przewidywalny, łagodny poród, o którym jej mówiono.

– Zadzwońię po lekarza – powiedział Jakob. Próbował wyglądać na spokojnego, ale przerażał go grymas bólu, wypisany na jej twarzy. Pomyślała, że to wszystko dzieje się za szybko, żeby mogły to być normalne bóle porodowe, a on, tak samo jak ona, nie wiedział, czego się można spodziewać. Wyszukał numer, który zapisał sobie parę tygodni temu, i zadzwonił. Dodzwonił się do biura zleceń i operatorka powiedziała, żeby się nie rozłączał. Była już

jedenasta wieczór, ale lekarz szybko podniósł słuchawkę. Jakob przedstawił się i opisał, co się dzieje z Emmanuelle. Powiedział, że za bardzo ją boli, żeby mogła rozmawiać, czy nawet wstać.

– Musi pan zabrać żonę do szpitala. Ja tu jestem z inną pacjentką. Będę na pana czekał. Musi pan natychmiast wyjść z domu. – Jakob chciał zapytać lekarza, czy dzieje się coś złego, ale nie chciał jeszcze bardziej straszyć Emmanuelle.

– Powiedział, że musimy natychmiast jechać do szpitala – powiedział łagodnym głosem, a Emmanuelle gwałtownie pokręciła głową.

– Nie mogę wstać. Za bardzo mnie boli – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Musisz – odparł stanowczo, zastanawiając się, czy nie powinien wezwać karetki, ale to kosztowałoby fortunę. Nie sądził, żeby jej życie było zagrożone, po prostu bardzo ją bolało. – Poniosę cię. Nie ruszaj się. – Wyskoczył z łóżka, błyskawicznie ubrał się, włożył płaszcz, zasznurował buty, owinął ją kocem i uniósł, chociaż krzyczała, żeby jej nie ruszał ani nie dotykał. Czuł się jak potwór, ignorując jej prośby. Wyłączył światło, trzymając ją już na rękach i wyszedł z mieszkania. Emmanuelle, chociaż w dziewiątym miesiącu ciąży, była lekka jak piórko. Płakała, kiedy spieszenie schodził, z nią na rękach. Próbował ją pocieszać. – Będzie dobrze – powtarzał w kółko. Chciał tylko dowieźć ją do szpitala, żeby tam zrobili coś z tym bólem. Wiedział, że strasznie ją boli i ból wraca w odstępach kilku minut. Kiedy dotarł na ulicę, trzymając ją mocno w ramionach, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Posadził ją w środku i wsiadł z drugiej strony. Powiedział taksówkarzowi, żeby zawiózł ich do szpitala Beth Israel i odwrócił się, żeby popatrzeć na Emmanuelle. Oczy miała zamknięte, krzywiła się, bo znów dopadły ją bóle.

– Czy wszystko z nią w porządku? – zapytał taksówkarz, zerkając przez lusterko wsteczne.

– Rodzi – odparł krótko Jakob, trzymając ją mocno za rękę. Emmanuelle patrzyła na niego przez łzy, które spływały jej po policzkach. Była przekonana, że wszystko jest złe. Dziecko pewnie umiera, skoro ją tak boli. Ale nie mogła nawet mówić, żeby powiedzieć Jakobowi, jak się czuje.

– Przyjąłem dwa porody w mojej taksówce – powiedział kierowca, pędząc po śniegu. Dwa razy przejechał na czerwonym. – Jedno z nich dostało imię po mnie. – Uśmiechnął się, a Jakob kiwnął głową, nie spuszczać oka z Emmanuelle, która z minuty na minutę czuła się coraz gorzej. Na pełnym gazie dotarli do szpitala w kwadrans. Było z nią coraz gorzej. Jakob szybko zapłacił taksówkarzowi, podniósł owiniętą w koc Emmanuelle i z desperacją wszedł do izby przyjęć. Pielęgniarka natychmiast go dostrzegła. Wyglądał jak szaleniec, z rozczochranymi włosami i Emmanuelle, głośno łkającą na jego rękach. Pielęgniarka chwyciła stół na kółkach, machnęła na dwóch sanitariuszy, żeby jej pomogli, położyła na nim Emmanuelle i zawiozła do gabinetu lekarskiego. Jakob podał sanitariuszom nazwisko lekarza, powiedzieli, że zaraz go odszukają. Poszedł za nimi do gabinetu, chociaż nie był pewien, czy może tam być, chciał jednak wiedzieć, co poszło nie tak. Wszystko było inaczej, niż im wcześniej mówiono. Poród to przecież naturalny proces, a nie tak gwałtowny ból, jaki widział u Emmanuelle.

Nie zwracali na niego uwagi, gdy stał wciąż w płaszczu w kącie gabinetu. Odwinęli koc, zdjęli z Emmanuelle poplamioną krwią nocną koszulę i ubrali ją w szpitalną odzież. Zaczęła krzyczeć i gorączkowo machać na Jakoba, żeby do niej podszedł. Zrobił to z wahaniem, bo nie chciał przeszkadzać. Pielęgniarka ciągle powtarzała, że wszystko idzie świetnie. Inna pielęgniarka poszła wezwać lekarza, a ta pierwsza zrobiła Emmanuelle wstępne badania. Z dziewczyny chlustała krew, a Jakobowi łzy spływały po policzkach; bał się, że ją straci. A jeśli Emmanuelle umiera? Jak będzie bez niej żył? Miał tylko ją, ale pielęgniarka uśmiechnęła się, kiedy skończyła badanie.

– Pani Stein, jest pani w doskonałym zdrowiu – powiedziała do Emmanuelle. – Za kilka

minut może pani zacząć przeć i dziecko wpadnie nam w ręce, zanim się pani zorientuje. – Emmanuelle machała gorączkowo i krzyczała, gdy znów dopadły ją bóle. Wszedł lekarz i pielęgniarka przedstawiła mu wyniki badań. – Już dochodzi, o mało nie urodziła. Dopiero co przyjechali – powiedziała miłym głosem, a lekarz odwrócił się i uśmiechnął do Jakoba.

– Macie szczęście, że nie urodziła w domu. Było bardzo blisko.

– Zaczęła mieć bóle niecałą godzinę temu. – Jakob zniżył głos, żeby Emmanuelle go nie słyszała. – Czy coś jest nie tak?

– Ależ nie. – Lekarz uśmiechnął się, myjąc ręce w umywalce. – Może poczeka pan w poczekalni dla ojców? Musimy wziąć się do pracy. Teraz przeniesiemy ją do izby porodowej. Wkrótce będzie mogła zacząć przeć. Znajdziemy pana, gdy tylko dziecko się urodzi. Wszystko idzie doskonale. – Kiedy to mówił, Emmanuelle strasznie krzyknęła, a Jakob wyglądał, jakby nie wiedział, czy podejść do niej i odmówić opuszczenia sali, czy zrobić to, co mu powiedziano. Krzyczała, jakby rozziewano ją na pół. Lekarz wskazał drzwi, pielęgniarki położyły protestującą Emmanuelle na stole z kółkami, a lekarz dał jej zastrzyk przeciwbólowy. Wszyscy wyglądali na zajętych i Jakob wiedział, że musi wyjść, ale czuł się, jakby zdradził i opuścił żonę.

Poczekalnia dla ojców była dalej, w korytarzu. Słyszał krzyki Emmanuelle, kiedy ją odwozili. Niedobrze mu się robiło, kiedy tego słuchał, przypominało mu to obóz i kobiety, które poddawano makabrycznym eksperymentom. To, co się z nią działo, nie mogło być normalne, przecież nie tak miało być. Ale nie znał jeszcze żadnej kobiety, która rodziła, a nikt z nim na ten temat nie rozmawiał. Był pewien, że Emmanuelle też się tego nie spodziewała. Ostrzegłaby go, gdyby wiedziała, że jest z tym związane tyle bólu. I zastanawiał się, czy lekarz mówił mu prawdę, że wszystko jest w porządku, ale wszyscy wyglądali spokojnie, poza jego żoną wijącą się z bólu i wykrzykującą jego imię. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezbronny, miał wrażenie, że jest mordercą, bo to on był sprawcą całego nieszczęścia.

W poczekalni zastał trzech innych mężczyzn. Jeden z nich czytał gazetę, drugi miał ze sobą książkę, a trzeci opadł na krzesło i zasnął. Ten z książką podniósł wzrok i uśmiechnął się. Natychmiast dostrzegł strach i rozpacz Jakoba.

– Pierwsze dziecko? – zapytał, a Jakob kiwnął głową.

– Nasze trzecie. Pierwsze zajmuje dużo czasu. Ma pan jeszcze sporo wolnego, żeby pójść do kafeterii i coś zjeść. – W pokoju stał dzbanek z kawą, ale myśli o jedzeniu po tym, co zobaczył, sprawiła, że zrobiło mu się niedobrze. A jeszcze gorzej, że to mogło zabrać mnóstwo czasu. Jak ona da sobie radę, jeśli tak będzie? Był pewien, że nigdy mu tego nie wybaczy.

Mężczyzna z gazetą opuścił ją i uśmiechnął się.

– To nasze piąte. Mamy już cztery dziewczynki. Tym razem przyjechaliśmy wcześniej. Moja żona urodziła ostatnie w domu. Ja odebrałem poród. – Jakob poczuł się słabo, kiedy zrozumiał, że jest w pokoju pełnym profesjonalistów, ale próbował się odprężyć i niezgrabnie przycupnął na krzesło z nadzieją, że za parę minut przyjdą do niego z dobrą nowiną, że już po wszystkim, a matka i dziecko czują się dobrze. Pół godziny później nikt nie przyszedł. Pojawiła się pielęgniarka, żeby dolać kawy do dzbanka, a śpiący ojciec wyszedł coś zjeść. Powiedzieli Jakobowi, że ma mnóstwo czasu. A kiedy zapytał o to pielęgniarkę, odpowiedziała, że nie ma informacji o jego żonie, ale powiadomią go natychmiast o narodzinach dziecka i będzie mógł je zobaczyć przez okno sali noworodków i odwiedzić żonę. Jakob zrozumiał, że całkowicie stracił panowanie nad sprawą i zastanawiał się, czy zastrzyk przeciwbólowy pomógł Emmanuelle.

Godzinę później pierwszy dostał informację mężczyzna z czterema córeczkami. Główna pielęgniarka oznajmiła, że urodziły się dziewczynki bliźniaczki. Nie spodziewał się tego; najpierw jęknął, a potem się roześmiał.

– Sześć dziewczyn – stwierdził i wyszedł z pokoju, kręcąc głową, życzył też Jakobowi

oraz drugiemu ojcu szczęścia.

– Wszystko mi jedno, co się urodzi, byle żona i dziecko były w porządku – powiedział Jakob nerwowo do drugiego ojca, który popatrzył na niego ze współczuciem.

– Będą się miały dobrze. – Jakob nie chciał mu mówić, jak strasznie to wyglądało, kiedy ją odwozili i jak bardzo nie była przygotowana na to, czemu musi stawić czoło. Nawet nie przyszło mu do głowy, że to będzie tak źle wyglądało.

Czekał już dwie godziny i miał ochotę wyjść ze skóry, kiedy mężczyźni, który czekał na trzecie dziecko, powiedziano, że ma syna, a matka i dziecko czują się świetnie. Wyszedł z poczekalni rozpromieniony i życzył Jakobowi szczęścia. Jakob został sam, opuścił głowę na dłonie i modlił się za Emmanuelle. Po wszystkim, co przeszła, nie zasługiwała na tak straszny ból. Zamknął oczy i myślał o niej. Usłyszał, że ktoś wchodzi i podniósł wzrok. Pielęgniarka uśmiechała się do niego.

– Panie Stein, ma pan pięknego syna, waży prawie pięć kilogramów, on i pana żona czują się doskonale. Oboje są w pokoju wybudzeń, a za jakąś godzinę zawieziemy ją na salę. Teraz jest półprzytomna. Za parę minut przyniosą na dół dziecko, będzie pan mógł je zobaczyć przez okno sali noworodków. Gratuluję – dodała i wyszła z poczekalni, a Jakob opadł na krzesło. Nogi się pod nim ugięły. Poczul ogromną ulgę. Mógł myśleć tylko o Emmanuelle. Żałował, że nie może do niej pójść, choćby nawet spała, ale właśnie powiedziano mu, że syn jest gotów na spotkanie z ojcem. Jakob ruszył korytarzem do sali noworodków, nogi miał wciąż jak z gumy.

Kiedy podszedł do szyby, pielęgniarka podniosła ku niemu pięknego chłopczyka. Był różowy i doskonały, w niebieskim śpioszku, mocno opatulony niebieskim kocem, na główce miał niebieski czepek z dzianiny. Smacznie spał i wyglądał dokładnie tak, jak Emmanuelle. Jakob nie widział jeszcze równie pięknego widoku. Stał i patrzył, póki pielęgniarka nie włożyła chłopczyka do kołyski z niebieskimi biegunami i nie odtoczyła jej. Jakob wrócił do poczekalni. Myślał o synu, żałował, że nie może powiedzieć o nim swoim rodzicom, którzy byliby z niego bardzo dumni. Nie miał z kim się podzielić radością, tylko z Emmanuelle.

Minęła jeszcze godzina, kiedy powiedziano mu, że żona jest już na sali i że za kilka minut może ją zobaczyć. Drzemała, kiedy wszedł na palcach, otworzyła oczy, gdy nachylał się, żeby ją pocałować. Uśmiechnęła się. W jego oczach było widać wszystko, co do niej czuł i cały niepokój ostatnich paru godzin.

– Jest piękny. Dobrze się czujesz? Czy to było straszne? – Zawahała się i pokręciła głową. Instynkt jej podpowiedział, że to jedna z tych tajemnic, których nie należy zdradzać mężczyznom.

– Było doskonale... jest bardzo duży i na jakiś czas ustawił się bokiem... właśnie to czułam, kiedy byliśmy w domu, ale potem, kiedy mu pomogli, zszedł już w dół normalnie. – Użyli kleszczy, ale o tym też nie powiedziała Jakobowi. Nie musiał nic wiedzieć.

– Wygląda zupełnie jak ty – powiedział i znów ją pocałował. Jeszcze nigdy tak jej nie kochał. Wiedział, że było znacznie trudniej, niż mu powiedziała. Przedtem chciał, żeby poszło jej łatwo, ale to było zupełnie coś innego.

– Jak mu damy na imię?

– Max – odparł Jakob. To po ojcu Jakoba, Julien byłoby po jej ojcu. Według żydowskiej tradycji dzieciom nadawano imiona po zmarłych członkach rodziny, a śmierć ojca Jakoba nastąpiła później niż śmierć jej ojca. – Wygląda jak Max, a ty jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Dziękuję ci za naszego syna i za wszystko, co dzisiaj przeszłaś. – Nikt jej przed tym nie ostrzegł i Jakob pomyślał, że była bardzo dzielna.

– Było warto – odparła i zamknęła oczy. Może dlatego nikt nie mówi prawdy, że na koniec ból nie ma już znaczenia. Dziecko jest warte tego wszystkiego. – Kocham cię –

powiedziała i zasnęła. Jakob przyglądał się jej. Potem zostawił ją i wrócił do sali noworodków, żeby popatrzeć na syna. Max też smacznie spał. Jakobowi powiedziano, że może zobaczyć ich oboje o dziewiątej rano. Wyszedł ze szpitala i poszedł do domu na piechotę, przez śnieg. Była czwarta nad ranem. Jakob myślał o ludziach, których stracili, o rodzicach i dziadkach, o jej matce, o siostrach. Teraz oni byli dla siebie rodziną. Miał syna i wiedział, jak wszyscy byliby z niego dumni i szczęśliwi, że ich mają. On, Emmanuelle i Max byli rodziną. Uśmiechał się, idąc do domu. To była najlepsza noc w jego życiu.

Emmanuelle została z dzieckiem w szpitalu przez pięć dni. Był to standardowy pobyt na oddziale porodowym. Jakob miał nadzieję, że Emmanuelle, mając Maksa, bardziej uwierzy w to, co w życiu jest dobre i że dziecko przyniesie jej pokój. I rzeczywiście, niezmiernie cieszyła się z syna, ale jednocześnie macierzyństwo zwiększyło jej obawy o to, co może nadejść. A jeśli zachoruje albo go porwą, albo na stare lata będzie kaleką lub zachoruje? A jeśli umrze, albo nadejdzie wojna i kolejny Holokaust? A jeśli Żydzi znów zostaną oznakowani, żeby ich prześladować i deportować?

Ciągle mocno wierzyła, że to może się stać znowu, bez względu na to, co Jakob mówił na ten temat. Czasem sam się tym niepokoił, ale nie tak jak ona. Bardziej martwiła go ich sytuacja finansowa, zapewnienie bytu i bezpieczeństwa żonie i synowi. Ona zaś mniej martwiła się o pieniądze, a bardziej o to, że syn skończy w obozie koncentracyjnym, tak jak oni, i z tych samych powodów. Nic nie mogło jej przekonać, że będzie inaczej. Lata w obozie i wszystko, co tam straciła, odcisnęły na niej piętno. Jakob też zmagał się z piętnem, ale objawiało się to inaczej. Ciągle martwił się o pieniądze i o utrzymanie rodziny. Jako młody człowiek nigdy nie musiał o tym myśleć, teraz myślał o tym bez przerwy.

Koszmary Emmanuelle powróciły w noc po narodzinach Maksa, teraz skupiała swoje lęki na małej istotce, którą kochała. Chciała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby chronić dziecko. Ale jeśli znów zdarzy się to, co najgorsze, co będzie mogła zrobić? Jej matka nie była w stanie ochronić małej siostrzyczki Emmanuelle, Françoise, przed rozstrzelaniem. Emmanuelle też nie będzie mogła ochronić syna, jeśli świat znów oszaleje i zabiorą ją, Jakoba i Maksa. Co mogłaby zrobić teraz, żeby ochronić syna przed niebezpiecznym światem w niepewnej przyszłości? Dręczyło ją to, gdy trzymała go i kołysała. Wyglądał tak spokojnie przy jej piersi, a ona kochała go już bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Jakob powiedział coś o tym Izziem, kiedy wrócił do pracy. Wyjaśnił, że chociaż Emmanuelle jest rozsądną kobietą, uważa, że Holokaust może zdarzyć się znów nawet w Stanach.

– Musisz sprawić, żeby przestała tak myśleć – powiedział Izzie. – Jest młoda, nie może sobie, tobie i waszemu synowi rujnować w ten sposób życia. To jest Ameryka. Tutaj się to nie zdarzy. To ziemia wolności i równości. Naziści nigdy nie doszliby tutaj do władzy i nie dojdą. To zdarzyło się w Niemczech. Niemcy mają grupową mentalność, na ślepo poszli za Hitlerem. W tym kraju chodzi o sprawiedliwość. Tutaj nikt nie chce zabijać Żydów. Dlatego tu przyjechaliśmy. Wiem, że przeszliście przez coś przerażającego, ale teraz jesteście bezpieczni i wasze dziecko też. Minęło półtora roku, odkąd zostaliście wyzwoleni. Twoja żona doprowadzi to biedactwo do szaleństwa, jeśli przez cały czas będzie się bała kolejnego Holokaustu. Miejmy nadzieję, że za parę lat się uspokoi. Postaraj się zrobić wszystko, co możesz, żeby jej w tym pomóc.

– Dobrze – powiedział Jakob. Trapiły go własne lęki, które musiał opanować, a ich syna też zapewne dopadną obawy o bezpieczne życie. – Izzie, muszę cię prosić o przysługę. Chcemy obrzezać dziecko. Nie mamy tutaj bliskich. Jesteś moim najbliższym przyjacielem, a Emmanuelle i ja nie chodzimy do bóżnicy. Moja rodzina też nie chodziła. Nie byliśmy religijni, byliśmy Żydami, ale nie praktykowaliśmy. Czy znasz mohela, który mógłby to zrobić? I ty też przyjdź, jeśli byś zechciał.

– Oczywiście. – Izzie był wzruszony tym, że go o to poproszono. – Natychmiast

zawiadomię naszego rabina.

– Dziękuję. Emmanuelle z synem będą w szpitalu jeszcze przez trzy dni, jak wrócą do domu, zobaczymy, czym naprawdę jest rodzicielstwo – powiedział z uśmiechem Jakob. Zwykle obrzezanie odbywało się ósmego dnia od narodzin, ale Jakob nie był religijny i cieszył się, że mohel sam o wszystkim zdecyduje.

– Nie spodziewaj się, że przez najbliższe pięć lat będziesz dobrze spał – żartował Izzie. – Najpierw będzie nocne karmienie, potem złe sny, a potem łyk wody, którego dzieci domagają się o drugiej nad ranem. Potem, przez jakieś dwa lata, będzie chciał spać w twoim łóżku, bo pod jego łóżkiem będzie goryl, a w szafie słoń. W końcu zaśnie i prześpi całą noc, ale ty nie zaśniesz, bo zaraz musiałbyś się obudzić. – Izzie śmiał się, kiedy to mówił, Jakob uśmiechał się i myślał, że to pewnie prawda.

Izzie zadzwonił do rabina i dostał nazwisko mohela, który dokonywał obrzezań w domu. Emmanuelle bała się, że dziecko będzie za bardzo krwawić, ale Jakob zapewnił ją, że mohel robi to niemal codziennie. Emmanuelle była gotowa bronić Maksa nawet za cenę swojego życia. Chłopczyk miał zaledwie dwa dni. Jakob zadzwonił do mohela, który obiecał, że przyjdzie do nich, do mieszkania, na ósmy dzień, a Jakob powiedział o tym Emmanuelle, kiedy wieczorem przyszedł z pracy do szpitala. Wyglądała na szczęśliwą, z dzieckiem na rękach, jakby przez całe życie była matką. Jakob napomknął, że mogliby mieć drugie, ale ona odparła, że Max jest wszystkim, czego potrzebują. Jakob zrozumiał, że chyba za wcześnie mówił o kolejnych dzieciach. Ale on bardzo by chciał mieć jeszcze dziewczynkę albo drugiego syna. Gdy patrzył na Maksa, rozumiał, że rodzina, w której jest kilkoro dzieci, byłaby cudowna, a oni mniej koncentrowaliby się na jednym synu, co dla Maksa mogłoby być trudne. Izzie też tak mówił, a kiedy jego jedyny syn, David, zginął, rozpadł się ich cały świat, a Naomi nigdy z tego nie wyszła i pewnie już nie wyjdzie. Jakob nie chciał, żeby im coś takiego się przytrafiło, nie daj Boże.

Kiedy wychodził ze sklepu w pierwszy dzień po narodzinach Maksa, Izzie wręczył mu kopertę. Jakob popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Odłóż to do banku, dla Maksa – powiedział szorstko Izzie. – Wyda to, kiedy będzie starszy. – Poklepał Jakoba po ramieniu, a jemu oczy zaszyły łzami. Izzie był dla niego taki dobry, odkąd przyszedł do niego do pracy. Był jeszcze bardziej wzruszony, kiedy po wyjściu otworzył kopertę. Był w niej czek na pięć tysięcy dolarów, wypisany na nazwisko Jakoba. To była dla nich ogromna suma. W szpitalu powiedział o tym Emmanuelle. Była równie zdumiona i wzruszona. To było więcej pieniędzy niż Jakob widział od wybuchu wojny. Izzie miał do nich przyjść z mohelem z bóżnicy, żeby dokonać uroczystego obrzezania Maksa, gdy tylko Emmanuelle wróci z nim ze szpitala. Izzie stawał się dla Jakoba ojcem, a Jakob był dla niego jak adoptowany syn. Było to dla nich jak błogosławieństwo i pewnego dnia stanie się też błogosławieństwem dla Maksa, który będzie miał adoptowanego dziadka, bo prawdziwego już nie miał. Siedzieli i rozmawiali długo o tym, jak im się poszczęściło, że spotkali kogoś takiego.

– Chciałbym, żeby zatrudnił cię w swoim sklepie. Nie musiałabyś tyrać dla tego dusigrosza Harry'ego Rosena – powiedział Jakob. Emmanuelle miała wrócić do pracy za dziesięć dni, a nie wyszła jeszcze ze szpitala. Ale zdaniem Rosena przecież nie kopała rowów, mogła siedzieć w pracy i szyć. Izzie nie zaproponował jej zajęcia. Jakob miał nadzieję, że pewnego dnia to nastąpi, ale nie śmiał o to pytać po tym wszystkim, co zrobił dla nich.

– W fabryce jest dobrze – powiedziała Emmanuelle, trzymając dziecko na rękach. Chciała je przez cały czas karmić piersią, mleko już napływało. Miała go mnóstwo, ale będzie musiała przestać karmić, gdy wróci do pracy. Już była z tego powodu smutna. Uwielbiała go karmić, piastować, patrzeć, jak śpi. Miała go przy sobie cały dzień i nie znosiła, kiedy pielęgniarki zabierały go do sali noworodków, żeby sprawdzić jego parametry życiowe. A on był zdrowy,

Emmanuelle promieniała za każdym razem, kiedy na niego patrzyła. Jakob był dumny z nich obojga i nie lubił wychodzić pod koniec godzin odwiedzin, ale przecież wkrótce wrócą do domu i będzie z nimi przez cały czas.

Do domu przyjechali w czwartek. Jakob odebrał ich w porze lunchu i pojechali do mieszkania taksówką. Dla Emmanuelle droga po schodach był długa, dokuczały jej szwy po porodzie. Jakob trzymał dziecko, szedł powoli, a Emmanuelle parę razy przysiadła na stopniach. Wreszcie dotarli do mieszkania, w którym Jakob ustawił kołyskę tuż obok ich łóżka, które zostawił rozłożone, żeby Emmanuelle mogła się położyć, gdy tylko wrócą. Nakupił jedzenia na kilka dni i wypełnił nim małą lodówkę. Potem pojechał metrem do pracy, a sąsiadka, która miała opiekować się Maksem, kiedy jego matka będzie w pracy, przyszła zobaczyć niemowlę i pomóc Emmanuelle. Nazywała się Hannah Friedman i Emmanuelle zgodziła się płacić jej trzy dolary dziennie za opiekę nad dzieckiem. Była to pokaźna część jej zarobków, ale na siedzenie w domu bez pieniędzy też nie mogła sobie pozwolić.

Emmanuelle chciała pomóc Jakobowi, oszczędzali każdego centa. Żadnych wypraw do kina, żadnych kolacji na mieście, nawet gdy była specjalna okazja. Teraz musieli być poważni, ze względu na syna, chociaż nigdy nie szastali pieniędzmi. A Jakob jeszcze przed narodzinami Maksa zaczął odkładać pieniądze na jego wykształcenie. Chciał, żeby syn chodził do najlepszych szkół i otrzymał najlepszą edukację. Za nic nie chciał, by został woźnym, a nawet żeby pracował w handlu diamentami. Chciał, żeby pewnego dnia syn zaczął pracę w banku albo został prawnikiem lub lekarzem. Nie chciał, żeby był biedny i żeby martwił się o pieniądze tak jak oni. Jakob przeczytał o rekompensatach dla ludzi, którzy stracili wartościowe dobra i dzieła sztuki podczas wojny, ale potrzebna była dokumentacja, a on jej nie miał. Nie kwalifikował się do uzyskania odszkodowania. Będą musieli po prostu oszczędzać na wszystkim. To był teraz priorytet dla Jakoba.

Mohel przyszedł obrzezać chłopca trzy dni po powrocie Emmanuelle i dziecka do domu. Izzie i Jakob patrzyli, jak mohel robi swoje, Emmanuelle nie mogła na to patrzeć i przez cały czas płakała, trzymając Maksa, któremu mohel dał kropelkę wina, żeby go uciszyć. Max płakał przez kilka minut, potem się uspokoił. Pielęgniarka ostrzegła ich, że synek będzie marudny przez kilka dni po obrzezaniu, zwłaszcza kiedy zmoczy pieluszkę i będzie go piekło nacięcie zrobione przez mohela. Ale mohel postarał się ciąć starannie. A Jakob cieszył się, że zrobili to, co zrobić należało.

Emmanuelle ścisnęło się serce, gdy musiała codziennie zostawiać dziecko, kiedy szła do pracy. Uwielbiała weekendy, bo wtedy przez cały dzień mogła się opiekować maleństwem. Jakob pomagał jej i stał się wręcz mistrzem w zmienianiu pieluszek. Musieli kupować odżywkę dla niemowląt, kiedy Emmanuelle odstawiła dziecko od piersi, co dodawało się do wydatków. Liczyli się z każdym centem. Jakob był wdzięczny Izziemu za podwyżkę, którą dostał w styczniu. Wszystko to pomagało im przeżyć.

W kwietniu Izzie wezwał Jakoba do biura, otworzył sejf i ostrożnie odwinął kamień, bardzo rzadki, jak powiedział. Był to dwudziestokaratowy, intensywnie żółty brylant bez skazy. Izzie miał zamiar dogadać się z czterema innymi kupcami celem szybkiej sprzedaży kamienia znanemu jubilerowi. Chciał zainwestować w brylant poważną sumę. Jakob był oszołomiony, gdy zobaczył kamień. Na życzenie Izziego nosił go pokazać innym kupcom, a w końcu przyniósł go z powrotem.

Zakończenie transakcji zajęło trzy tygodnie, w maju pięciu kupców kupiło brylant, a dwa tygodnie później odsprzedało go detaliście, o którym wiedzieli, że ma na niego klienta. Izzie sporo na tym zarobił, a Jakobowi, który dogadywał się z kupcami, dał prowizję. Izzie twierdził, że bardzo mu pomógł. Jakob był zaszokowany, kiedy zobaczył, o jaką sumę chodzi. Była to

połowa jego rocznych zarobków, ale kamień poszedł za wielkie pieniądze i dał duży zysk, a Izzie miał w grupie kupców największy udział.

– To może być bardzo dochodowy biznes – powiedział Jakobowi, wręczając mu czek. – Nadal wiele się musisz nauczyć, ale sądzę, że masz do tego smykałkę. – Jakob podszedł do tego poważnie, spodobał mu się handel. Brylanty i wielkość sum przechodzących z rąk do rąk robiły na nim wrażenie. Witryna sklepu była skromna i Izzie chciał, żeby taka została. Prawdziwy biznes toczył się w biurze. Chodziło o szybki obrót drogimi kamieniami, które razem z innymi hurtownikami kupował Izzie. – Powinieneś w tym zostać – mówił Jakobowi – zarobisz na tym dobre pieniądze. – Jakob widział, że tak jest i był wdzięczny za możliwości, które otworzył przed nim Izzie. Od tej chwili brał udział we wszystkich transakcjach Izziego i dostawał od nich prowizje. W lipcu oznajmił Emmanuelle, że chce, żeby zostawała z dzieckiem w domu. Wzrost zarobków Jakoba przekraczał to, co zarabiała, szyjąc dla Harry’ego Rosena.

– Mówisz poważnie? – Emmanuelle wyglądała na zaniepokojoną. – A jeśli Izzie będzie cię miał dosyć, albo pokłóćcie się i wyrzuci cię z pracy? – Jakob uśmiechnął się, był przyzwyczajony do jej reakcji. Zawsze wyobrażała sobie najgorszy obrót spraw.

– I tak nie wyżylibyśmy za twoje zarobki. Gdyby tak się stało, oboje musielibyśmy poszukać sobie dobrej pracy, gdzie płaciliby nam jak trzeba. Sądzę, że zrezygnowanie z pracy u Rosena będzie zupełnie bezpieczne. Jesteś tam od dwóch lat i zarabiasz, zamiatając podłogi i przyszywając świecidełka do jego koszmarnych bluzek i swetrów. – Nie powiedziała nic, ale zdenerwowała ją perspektywa rzucenia pracy i całkowitego uzależnienia się od prowizji, które Jakob dostawał od Izziego. W końcu mąż przekonał ją i złożyła Harry’emu Rosenowi wypowiedzenie, że za dwa tygodnie rezygnuje z pracy. Minęły dwa lata jej ciężkiej pracy i poświęceń, a mimo to powiedział, że jest niewdzięcznicą, bo przecież był jej sponsorem. Upomniła się jednak o swoje, a on wiedział, o co chodzi.

Podziękowała mu w dniu, kiedy odchodziła z pracy, a on niechętnie życzył jej szczęścia. Było jej smutno, że zostawia swoje koleżanki szwaczki, ale czuła dreszczyk emocji, bo już nie musiała pracować i mogła zostać w domu z synem. Max miał już siedem miesięcy i był dużym dzieckiem. Z trudem dawała radę schodzić i wchodzić na szóste piętro z wózkiem i z nim, kiedy wychodziła na spacer. Max był szczęśliwym maluchem, ciągle się śmiał i pisał z radości, kiedy zobaczył ojca. Izziego też uwielbiał. Czasem w weekendy spotykali się w parku. Bardzo lubił się z nim bawić. Max był radością dla wszystkich, którzy go znali.

– Pewnego dnia będzie kimś ważnym – mówił stanowczym głosem Jakob, jakby chciał wpoić mu swoje własne marzenie. – Będzie ciężko pracował, dostanie dobre wykształcenie i będzie miał doskonałą pracę.

– A jeśli zostanie artystą albo muzykiem? – drażniła się Emmanuelle.

– Będzie musiał porozmawiać o tym ze mną – odpowiadał surowym głosem Jakob. – Ma za sobą pokolenia bankierów. Pewnego dnia będzie bogaty – powiedział i życzył mu tego, ale Emmanuelle wiedziała, że to nie znaczy, że będzie szczęśliwy. Chciała, żeby jej syn robił to, co chce i w co wierzy, podążał za swoimi pasjami. Ale Jakob był twardy, kiedy szło o interesy, zarabianie pieniędzy. Uwielbiał swoją pracę dla Izziego, stawiał się za wzór dla syna. Jakob miał tylko dwadzieścia siedem lat, w Ameryce był od dwóch lat, ale stopniowo budował gniazdo dla swojej rodziny dzięki prowizji, które dostawał od transakcji. Wszystko odkładał w banku poza tym, co wydawali na czynsz i jedzenie. Emmanuelle sama szyła ubrania sobie i dziecku. Nie wydawała na nic, na co nie musieli wydać.

W Chanukę świętowali pierwsze urodziny Maksa. Zaprosili Izziego na kolację. Emmanuelle zapaliła świece i zaśpiewała modlitwy z nakrytą głową, Jakob i Izzie włożyli jarmułki. Max patrzył na nich zafascynowany. Na deser Emmanuelle podała ciasto, które sama

upiekła. Były na nim dwie świece, jedna z nich, „żeby przeżył kolejny rok”. Był to cudowny, rodzinny wieczór.

Sylwestra Jakob i Emmanuelle spędzili w domu, a gdy Max zasnął, wzniesli toast szampanem z buteleczki kupionej przez Jakoba. Przed miesiącem Max wyrósł już z łóžeczka, zwrócili je więc sąsiadce.

– Powinniśmy częściej wychodzić na kolację – powiedział Jakob, kiedy tak siedzieli na małej kanapie z wyrobionymi sprężynami. Obejmował Emmanuelle i popijał szampana. Wróciły wspomnienia Nowego Roku w Wiedniu, z najlepszym szampanem i pięknymi kobietami w wieczorowych sukniach, tańczącymi w domu jego rodziców, albo wyprawy z przyjaciółmi do najlepszych nocnych klubów. Takiego życia Jakob już nie zazna.

– To jest za drogie – powiedziała Emmanuelle.

– Dobrze by to nam zrobiło – odparł rozsądnie. Oboje byli młodzi. Ona miała tylko dwadzieścia pięć lat, a przecież nigdzie nie wychodzili, przez cały czas oszczędzali. Izzie niedawno złażał za to Jakoba i przypomniał mu, że są zbyt młodzi, żeby cały czas spędzać w domu. Potrzebowali trochę rozrywki, a teraz Jakob zarobił już dość pieniędzy, żeby zabierać żonę od czasu do czasu na miasto, przynajmniej do restauracji w sąsiedztwie. Ale w domu byli szczęśliwi, a Emmanuelle wolała sama gotować, niż wydawać pieniądze.

Wypili szampana, każde po dwa kieliszki i poszli do łóžka. Kochali się, a o drugiej nad ranem zasnęli, objęci. Godzinę później Max obudził się na nocne karmienie, Emmanuelle wzięła go do łóžka z butelką. Zasnął z powrotem razem z nimi. O siódmej rano wszystkich troje obudził telefon. To był Izzie, Jakob przeraził się, że on płacze.

– Co się stało?

– To Naomi. W nocy miała atak serca i zmarła, zanim przyjechała karetka. Próbowali ją reanimować, ale nie dało rady. Od śmierci Davida chorowała na serce. Po prostu nie mogła bez niego żyć, bez względu na to, jak się starałem. Był całym jej życiem. Jutro ją chowamy. – Było to dzień później, niż normalnie nakazywał zwyczaj, ale nie mogli jej pogrzebać w Nowy Rok. – Dziś rozpoczynamy oplakiwanie. Przyjdźcie, jeśli chcecie. Możecie zabrać dziecko. – Wiedział, że nie zostawią go, a i jego podniósłby na duchu widok pulchnego dziecka, które kochał, jakby to był jego wnuk.

– Przyjdziemy – powiedział Jakob. – Tak mi przykro. – Odłożył słuchawkę i powiedział Emmanuelle, co się stało. Wstała z łóžka po butelkę Maksa i znów wzięła go na ręce. Oboje z Jakobem widzieli tyle śmierci w obozie, że czasem przyjmowali to obojętnie, ale było jej przykro ze względu na Izziego, który kochał żonę, a teraz został całkiem sam.

Jeszcze tej nocy pojechali metrem do mieszkania Horowitzów na Upper West Side. Emmanuelle miała na sobie elegancką suknię z czarnego jedwabiu, którą uszyła bez wykroju, bo pamiętała proste wzory swojej matki, głowę miała nakrytą szalem. Jakob włożył czarny garnitur i jeden z krawatów, które dla niego uszyła, dziecko było ubrane w czarną sztruksową marynareczkę z białym satynowym kołnierzem, którą zrobiła dla niego na urodziny, czarną, satynową muszkę i lakierki, kupione w sklepie z używaną odzieżą, tam zresztą kupiła też buty dla siebie.

W mieszkaniu Izziego zastali tłum żałobników, współników i członków jego synagogi. Był też rabin, rozmawiał z Izziem o pochówku, który miał się odbyć następnego dnia. Sklep Izziego miał być zamknięty przez tydzień, na czas sziwy za Naomi. Izzie wyglądał na załamane. Żona była jedyną bliską mu istotą. Teraz stracił i ją, i syna. Objął Emmanuelle i Jakoba, a łzy spływały mu po policzkach. Wyglądał, jakby przez noc postarzał się o dziesięć lat. Naomi miała tylko pięćdziesiąt dziewięć lat, ale jej duch umarł wraz ze śmiercią syna. Ona też nie miała krewnych, a Izzie był teraz sam na świecie, nie licząc przyjaciół i młodego małżeństwa,

które tak polubił. Jakob był dla niego prawie jak syn. Steinowie zostali, kiedy inni goście już wyszli, a Emmanuelle pomogła pozmywać talerze i szklanki. Wielu przyjaciół zostawiło jedzenie dla wdowca, koszyki stały w całej kuchni, lodówka była pełna potraw, których Izzie nie miał nawet ochoty jeść. Był jak sierota, gdy Jakob go pocieszał.

Zostali prawie do północy. Oba mężczyźni rozmawiali cicho, a Emmanuelle kołysała na rękach śpiące dziecko. Wreszcie poszli do domu. Nabożeństwo miało się odbyć następnego dnia w południe, w synagodze, żeby ludzie mogli przyjść w czasie przerwy na lunch. Naomi miała zostać pochowana na żydowskim cmentarzu na Long Island, gdzie leżał także jej syn David. Matka i dziecko znów będą razem. Jakobowi i Emmanuelle było nieznośnie smutno, kiedy wrócili do domu i położyli synka do kołyski. Leżeli w łóżku, trzymając się w objęciach, a Emmanuelle spoglądała na męża.

– Gdybyś umarł, to by mnie zabiło – powiedziała zdławionym głosem, a on przytulił ją mocniej.

– Przez wiele lat nic mi się nie stanie – szepnął cicho i zasnęli oboje, trzymając się w objęciach. Następnego dnia, kiedy miał się odbyć pogrzeb, obudzili się w jasnym świetle zimowego słońca.

Nabożeństwo za Naomi było piękne, śpiewał kantor, cała bóżnica była pełna ludzi. Oboje Horowitzowie działali w synagodze, głównie przed śmiercią syna. Wielu ludzi przyszło na cmentarz, na ceremonię pogrzebową. Wszyscy wrzucili trochę ziemi do grobu. Steinowie wrócili do mieszkania Horowitza z załamany Izzie. Minęło wiele godzin, zanim wyszli. Izzie kazał ich zawieźć do domu wynajętą limuzyną. To była ulga, zdjęć czarne ubrania i pobawić się z dzieckiem przed położeniem go do łóżka. Emmanuelle mówiła do niego i śpiewała mu po francusku, Jakob po angielsku. Chcieli, żeby był dwujęzyczny. Nie mieli zamiaru uczyć go ojczystego języka ojca, czyli niemieckiego. Nie mogli go znieść. Jakob odmawiał posługiwania się nim, chyba tylko w interesach.

Biuro było zamknięte, Jakob spędził resztę tygodnia z żoną i dzieckiem w domu. Razem chodzili na długie spacerunki, siedzieli w domu w spokojne wieczory. Jakob chciał pójść z Emmanuelle do kina, ale ona nie chciała zostawiać Maksa z sąsiadką, bo jej dziecko brzydko kaszlało i obawiała się, że Max może się od niego zarazić. Zawsze znajdowała wymówkę, żeby nie zostawiać dziecka. Jakob bawił się z nim, kiedy przygotowywała kolację.

W weekend znowu padał śnieg, na Washington Square ulepili dla Maksa bałwana. Chłopczykowi bardzo się spodobał. Max był szczęśliwym dzieckiem z dwojgiem kochających jego i siebie nawzajem rodziców. W niedzielę na obiad przyszedł Izzie, cieszył się, że może być z nimi. Po ciężkich chwilach minionego tygodnia musiał się przyzwyczaić do życia bez żony. Już trzy lata temu Naomi wycofała się z tego świata, ale teraz Izzie był naprawdę samotny. Cieszył się, że ma w swoim życiu Jakoba, Emmanuelle i ich dziecko. Jakob uważał, że dobrze by było, gdyby Izzie następnego dnia wrócił do pracy. On sam też się nie mógł tego doczekać. Był teraz handlarzem diamentów i lubił swoją robotę. Był zadowolony, że przed dwoma i pół rokiem przyjechali do Stanów. To była najlepsza decyzja w jego życiu. To, a także ślub z Emmanuelle. Popatrzył na nią i uśmiechnął się. Właśnie układała dziecko do snu.

– Kocham cię, pani Stein.

– Ja też cię kocham – powiedziała i wtuliła się w jego ramiona. Kilka minut później poszli do łóżka, zanim dziecko zdąży się obudzić. Oboje potrzebowali tego. Byli młodzi, żyli i kochali się. Mieli za co być wdzięczni losowi. Przeszłość, która ich złączyła, powoli blakła, budowali razem nowe wspomnienia. A Emmanuelle od miesięcy nie miała już koszmarów. Teraz najczęściej była uśmiechnięta, a Jakob kochał ją coraz bardziej.

Minęło sporo czasu, zanim Izzie przyzwyczał się do samotnego życia bez Naomi. Wspólne niedzielne obiady z Jakobem i Emmanuelle stały się rytuałem. Gdy Max zaczął mówić, Izzie poprosił, żeby nazywał go dziadkiem. Młoda rodzina i on wypełniali sobie wzajemnie jakąś lukę. Stworzyli rodzinę bez związków krwi, ale ich wzajemne przywiązanie do siebie było głębokie i szczere.

Jakobowi, pod okiem Izziego, powodziło się w interesach. Dobrze nauczył się swojego fachu, a znajomość bankowości i finansów też mu się przydawała. Podejmował rozsądne decyzje i dawał Izziemu dobre rady, które ten sobie cenił. Rosły też jego oszczędności z prowizji.

Kiedy Max miał cztery lata, przeprowadzili się do dwupokojowego mieszkania w tym samym budynku. W porównaniu z maleńką kawalerką mogli mieć wrażenie, że zamieszkali w pałacu. Kupili używane meble, a Emmanuelle sama poprawiła tapicerkę. Mieszkanie, do którego się wprowadzili, stało puste, bo jeden ze starszych lokatorów zmarł. Jakob i Emmanuelle sami je odmalowali.

– Dlaczego nie przeprowadzicie się do ładniejszego budynku? – zapytał Izzie, ale Emmanuelle nie chciała.

– Chce zostać tam, gdzie jesteśmy – wyjaśnił Jakob. Okolica poprawiła się nieco przez pięć i pół roku, odkąd tam zamieszkali. Budynek lepszy się nie zrobił, ale poznali wszystkich sąsiadów i zaczęli się czuć jak u siebie w domu. Czynnosc był nadal niewiarygodnie niski i mogli sobie na niego pozwolić bez trudu. Emmanuelle nie lubiła wydawać za dużo pieniędzy.

Izziemu stuknęła siedemdziesiątka i miał pewne problemy ze zdrowiem, ale nie było to nic poważnego. Pracował długo, bo nie miał do kogo wracać do domu, a Jakob często zostawał z nim do późna. Omawiali kamienie, które Izzie chciał kupić; Jakob doradził mu kiedyś, żeby kupić bardzo duży kamień sam, nie wchodząc w układ z grupą innych kupców. Kiedy sprzedali kamień na aukcji, osiągnęli ogromny zysk. Rozpętali wtedy wojnę licytacyjną między Harrym Winstonem a Van Cleef & Arpels. Kamień poszedł za czterokrotnie większą sumę, niż się spodziewali. Dla Izziego był to nieoczekiwany przyływ gotówki, a Jakob uzyskał ogromną prowizję. Izzie zawsze był dla niego szczodry. Myślał o tym, żeby uczynić go swoim wspólnikiem, gdyż nie miał syna ani innych krewnych, którym mógłby zostawić biznes. Ale nawet nie będąc wspólnikiem, Jakob zgromadził pokaźną sumę w banku. Izzie poradził mu, żeby kupił jakąś nieruchomość. Sam robił to od lat i zarabiał na tym mnóstwo pieniędzy.

– Na budynkach mieszkalnych zawsze się wygrywa – powiedział, a więc kiedy Max ukończył pięć lat, Jakob zaczął się przyglądać budynkom w okolicy, aż znalazł taki, który chciałby kupić. Sprawdził go dokładnie i powiedział o tym Emmanuelle.

– Kamienica? Zwariowałaś? – Wyglądała na wstrząśniętą.

– Nasze pieniądze leżą w banku, wprawdzie zarabiają odsetki, ale Izzie twierdzi, że nieruchomość to zawsze doskonała inwestycja – powiedział spokojnie Jakob.

– Może sobie na to pozwolić, jest bogaty. My nie. A jeśli stracisz wszystko albo on wyrzuci cię z pracy? – Jakob uśmiechnął się, słysząc znany mu refren. Przed kilku laty przestała przepowiadać wojnę w Nowym Jorku, ale nadal wyobrażała sobie katastrofę za każdym rogiem, kiedy tylko próbował wydobyć ją z jej strefy bezpieczeństwa. Wydawanie pieniędzy ją przerażało. Lubiała myśl, że mają pieniądze w banku i bała się inwestycji, które uważała za ryzykowne. Co będzie, jeśli stracą to, co mają, nie będą mieli na jedzenie, na chesne dla Maksa? Chodził do przedszkola w sąsiedztwie, ale Jakob chciał go wysłać w odpowiednim czasie do

college'u i odkładał na to środki od narodzin syna.

– Pomyśl o dochodzie za czynsz, jeśli kupimy budynek – przypomniał jej Jakob.

– Albo o tym, ile stracimy, jeśli wszyscy się wyprowadzą, albo nas znienawidzą i przez cały czas będziemy mieli do czynienia z wściekłymi najemcami. Nikt nie lubi właścicieli nieruchomości – powiedziała, jak zwykle malując ponury obraz. Następnego dnia Jakob powiedział o kamienicy Izziemu, a ten z całego serca zaakceptował plan, nie był jednak zachwycony lokalizacją budynku.

– Dlaczego nie kupisz budynku w śródmieściu? Pewnego dnia będzie wart znacznie więcej. Nikt nie chce mieszkać na Lower East Side, poza starymi Żydami, którzy mieszkają tu teraz. Potrzebni ci są młodszy najemcy, których będzie stać na wyższy czynsz, tacy ludzie jak wy.

– Pewnego dnia okolica się poprawi. Popatrz na Greenwich Village, z roku na rok jest coraz bardziej popularne.

– Dla Czechów. Idź tam, gdzie są prawdziwe pieniądze. A może Upper East Side?

– Musiałbym słono zapłacić za budynek. Te w naszej okolicy idą za bezcen – odparł praktyczny Jakob.

– Rób, co ci podpowiada intuicja – stwierdził przyjaciel i mentor. Wierzył w nos Jakoba do interesów. Dobre transakcje robił po prostu instynktownie.

Kilka miesięcy później Jakob dobił targu za budynek, który chciał kupić, a dla siebie i rodziny zachował słoneczny, trzypokojowy apartament na piętrze. W budynku była winda, co czyniło go wygodniejszym i cenniejszym. Jak się spodziewał, Emmanuelle zezłościła się, kiedy ją o tym poinformował. Zawsze tak reagowała. W końcu uspokoiła się i dojrzała pozytywny kupna, bo też wierzyła w Jakoba. Ale potrzebowała trochę czasu, żeby zacząć myśleć pozytywnie.

Przez pół roku namawiał ją, by przeprowadziła się do nowego mieszkania. Twierdziła, że jest dla nich za duże, że nie potrzebowali trzeciego pokoju, bo nie będą mieli więcej dzieci, i że ani jemu, ani jej nie potrzeba biura w domu. To rozrzutne i lekkomyślne.

– Możesz używać tego pokoju do szycia – powiedział o dodatkowej sypialni. Nadal szyła odzież dla siebie i Maksa, nawet jego sztruksowe spodnie i marynarki, które nosił do szkoły, przez co wyglądał bardziej na francuskie niż na amerykańskie dziecko. Jakob nosił tylko piękne krawaty, które robiła dla niego z drogich resztek jedwabnych, kupowanych w fabrycznych sklepach z resztkami. Zrobiła też kilka krawatów dla Izziemu, które mu się bardzo podobały. Jakob próbował przekonać ją, żeby zaczęła je sprzedawać, ale nie chciała. Była matką i żoną i nie chciała zostać kobietą biznesu. Interesy zostawiała jemu. W końcu, niechętnie, przeprowadziła się do nowego mieszkania, kiedy Jakob je pomalował. Odmówiła zatrudnienia malarza. Jakob kupił jej piękną, nową maszynę do szycia i wstawił do trzeciego pokoju jako prezent, w dniu, kiedy się przeprowadzili. Bardzo się jej spodobała, natychmiast zajęła pokój i zapomniała o wszystkich swoich obiekcjach.

Mieszkanie było piękne, budynek czysty i w dobrym stanie, z lokatorami, którzy bez szemrania płacili wyższy czynsz niż ci z budynku, w którym wcześniej mieszkali Steinowie. Kamienica stała o cztery przecznice bliżej szkoły Maksa. Chodził do szkoły państwowej w sąsiedztwie i był rozgarniętym chłopcem.

– No i co? – zapytał Izziemu Jakoba w poniedziałek po przeprowadzce.

– Emmanuelle bardzo się tam spodobało. Ale pewnie przyzna to dopiero za dziesięć lat. Max uwielbia swój nowy pokój. Jeszcze bardziej mu się spodoba, kiedy podrośnie i będzie chciał zapraszać kolegów. A Emmanuelle nie przepowiada już wojny i Holokaustu w Nowym Jorku. Martwi się tylko, że będziemy mieli w budynku szczury i wszyscy lokatorzy się wyprowadzą. A my zbankrutujemy, bo nikt nie będzie płacił za mieszkania. Z tym łatwiej sobie poradzić niż ze

światową polityką. – Obaj się roześmiali z jej łatwej do przewidzenia reakcji. Pół roku później przyznała, że uwielbia nowe mieszkanie. Miało południową ekspozycję i przez cały czas było w nim słońce. Było czymś zupełnie odmiennym od ponurej kawalerki, do której wprowadzili się po przyjeździe. Nowe mieszkanie i tak było czymś bardzo odległym od tego, w którym dorastał Jakob, ale Emmanuelle powiedziała, że jest dwa razy większe od mieszkania jej matki w Paryżu, tego, którego tak im zazdrościł sąsiad, że zademonstrował je na policji jako Żydówki, czego wcześniej nikt nie zauważał.

Budynek był dobrą inwestycją, Jakob był zadowolony, że stał się jego właścicielem, ale nadal budował bezpieczeństwo dla rodziny, chciał dla niej zebrać tyle pieniędzy, żeby pewnego dnia przestać się o nie martwić. Zastanawiał się, czy taki dzień w ogóle nadejdzie. Wojna nauczyła go obaw przed biedą, przed niemożnością utrzymania rodziny, i chciał zrobić dla Maksa wszystko, co tylko możliwe, by pewnego dnia zapłacić za dobry college dla niego. Nadal pracował na to. W wieku trzydziestu dwóch lat utrzymywał rodzinę, dostawał niezłe prowizje, kupował obligacje rządowe i był właścicielem dochodowej nieruchomości, którą uważał za dobrą inwestycję. Ale jeszcze nie uważał się za całkowicie bezpiecznego. Chciał kupić więcej budynków. Jeszcze nie miał na to pieniędzy, ale był pewny, że zrobi to pewnego dnia. Oboje z Emmanuelle byli oszczędni i ostrożnie wydawali pieniądze. A firma Izziego, dzięki wspólnym decyzjom, rozwijała się. Przez ostatnie dwa lata dokonali kilku ważnych transakcji zakupu i sprzedaży.

Kiedy Max skończył siedem lat, Izzie zabrał go na ostatnie piętro Empire State Building i pokazał widok, który rozciągał się jak okiem sięgnąć. Patrzyli na Central Park, na dolny Manhattan, gdzie mieszkał Max, na New Jersey, Staten Island, Long Island.

– Widzisz to wszystko? Pewnego dnia, kiedy dorośniesz, będziesz mógł mieć z tego tyle, ile chcesz. Nie ma granic dla tego, co chcesz zrobić. Najpierw musisz iść do college’u, potem możesz zająć się interesami, jak twój tato. Możesz mieć wszystko, czego zechcesz. Jeśli jesteś mądrym biznesmenem i oszczędzasz, możesz sobie kupić, co chcesz. To twoja decyzja.

– Mogę kupić Yankees? – Max patrzył na niego z podziwem.

– Mógłbyś, gdybyś chciał. Ale najpierw musiałbyś kupić inne rzeczy i sprzedać je za wielkie pieniądze. Dopiero potem będziesz mógł kupić Yankees – odparł poważnie Izzie.

– Dobrze. Właśnie tak zrobię. – Wyglądał na zdecydowanego, kiedy to mówił. Inni chłopcy chcieli grać w baseball, ale on chciał mieć drużynę na własność. Izzie uśmiechnął się i potargał mu włosy. Miał nadzieję, że Max pewnego dnia przypomni sobie jego słowa. Tajemnicą życia było nie wierzyć w ograniczenia. Jeśli wierzyło się w siebie, można było zrobić, co się chciało i spełnić marzenia. To samo powiedział swojemu synowi, kiedy był w wieku Maksa. A David na pewno byłby mądrym biznesmenem.

Po powrocie do domu Max wpadł do mieszkania i oznajmił rodzicom, że kupi drużynę Yankees.

– Dziadek Izzie powiedział, że mógłbym – zakomunikował, wysuwając podbródek i patrząc na nich poważnie. – Powiedział, że mogę zrobić, co chcę.

– Ale najpierw pójdziesz do college’u – przypomniał Izzie, a Jakob uśmiechnął się. Znał tę filozofię i nie miał nic przeciw niej. On też wierzył w wielkie marzenia. Kiedy przyjechał do Nowego Jorku, nie mógłby uwierzyć, gdyby ktoś powiedział mu, że pewnego dnia będzie właścicielem kamienicy, a teraz miał właśnie kupić drugą, chociaż jeszcze nie powiedział o tym Emmanuelle. Izzie śmiał się z niego i nazywał go lordem slumsów, kiedy omawiał z nim tę sprawę, ale zgadzał się, że to dobry pomysł. Inwestycje w nieruchomości zawsze były dobre, o ile budynek był w dobrym stanie, a okolica przyzwoita, a Jakob był przekonany, że Lower East Side jest właśnie taką dzielnicą. Upierał się, że pewnego dnia jej status się podniesie jak

Greenwich Village, gdzie czynsze zaczęły stopniowo wzrastać. Okolice Washington Square stały się świetną inwestycją, podobnie jak Piąta Aleja. Izzie myślał o tym, by kupić tam sobie mieszkanie. Podobał mu się pomysł, że zamieszka bliżej Steinów i każdy weekend będzie spędzać z nimi.

Ale Emmanuelle, po wyjściu Izziego, wyglądała na zdenerwowaną.

– Nie powinien zwracać głowy Maksowi swoimi zwariowanymi pomysłami, jak kupienie sobie Yankees. Przecież to kosztowałoby miliony.

– Skąd wiesz, że kiedyś nie będzie zarabiał milionów? Potrafi – powiedział Jakob o ich synu.

– Jak? – Popatrzyła na męża nieufnie. – Kupując nieruchomości na Lower East Side, jak ty? – Nadal uważała, że kupowanie budynków było ryzykowne i głupie, chociaż bardzo się jej podobał dom, w którym zamieszkali.

– Może będzie kupował i sprzedawał większe nieruchomości. Wielkie marzenia nie boją. Popatrz, jak daleko zaszliśmy przez te osiem lat, odkąd tu jesteśmy. To jest Ameryka. Tu wszystko jest możliwe.

– A jeśli Izziemu coś się stanie? Zostaniesz bez pracy i kto wie, jaką pracę znajdziesz sobie później.

– Może lepszą. – Spojrzała na niego ponuro i zniknęła w swoim pokoju z maszyną do szycia. Zawsze tam uciekała, kiedy nie mogła się z nim zgodzić, czyli ilekroć mówili o inwestycjach.

Następnego dnia wyszedł wcześniej z pracy, żeby spotkać się z właścicielem budynku i dobić z nim targu. Dotąd nie dogadali się co do ceny, ale Jakob był pewien, że skłoni go do ustępstw. Wychodząc, powiedział Izziemu, dokąd idzie. Obaj spodziewali się, że po południu dostarczą im cenny kamień. Kilka lat temu wynajęli nowego gońca, ale ostatnio większość dostaw przyjeżdżała w opancerzonym samochodzie. Jakob nie był potrzebny Izziemu, kiedy dostawa dotrze, zresztą Izzie chciał po południu skontrolować szlifierzy. W ubiegłym roku przenieśli ich do oddzielnego warsztatu poza kantorem i zatrudnili jeszcze trzech, bo tyle mieli pracy.

Jakob pojechał metrem do śródmieścia i spędził dwie godziny z właścicielem budynku, rozmawiając o wadach i zaletach przedmiotu transakcji. Przeszedł się z nim po domu i wskazał kilka spraw, które go niepokoiły. Jak zwykle zrobił to starannie i na koniec właściciel opuścił cenę do kwoty, która odpowiadała Jakobowi. Uściskiem dłoni potwierdzili transakcję. Obaj byli zadowoleni. Jakob potrafił inteligentnie załatwiać interesy, tak jak to robili jego ojciec i dziadek.

Szedł do domu zadowolony z nabytku, chciał o nim wieczorem powiedzieć Emmanuelle. Ledwie wszedł, przestraszył się, bo zobaczył, że jest błada i oszołomiona.

– Gdzie byłeś? – zapytała go zdenerwowana.

– Na spotkaniu z właścicielem budynku. Coś jest nie tak?

– Coś stało się Izziemu. Florence dzwoniła kilkanaście razy. – Florence była recepcjonistką w biurze i zastąpiła starszą pracownicę, która była tam wtedy, gdy nastał Jakob. Potem przeszła na emeryturę i wyprowadziła się na Florydę.

– Co to znaczy, że coś się stało Izziemu? – Jakob zmarszczył brwi z niepokojem.

– Nie wiem. Myślałam, że to serce, ale to nie to. Jest w Lenox Hill Hospital. Już od dwóch godzin. To coś poważnego. Florence płakała.

– To jeszcze nic nie znaczy. Ona płacze, kiedy się przeziębi. – Jakob, zaniepokojony stanem Izziego, podniósł słuchawkę i wykręcił numer szpitala. Pielęgniarka z izby przyjęć powiedziała mu tylko, że Izzie tam jest, ale nie przeprowadzono jeszcze badań. Lekarze czuwali przy nim. Jakob odłożył słuchawkę, chwycił płaszcz i pobiegł do drzwi.

– Zadzwoń i powiedz, co się dzieje! – krzyknęła Emmanuelle, kiedy drzwi się za nim zamykały. Usłyszała, jak zbiega ze schodów. Nie czekał na windę, która jeździła zbyt wolno. Zatrzymał taksówkę, jazda do lepszej dzielnicy trwała w nieskończoność. Zapłacił taksówkarzowi z napiwkiem, wyskoczył z wozu, wpadł do izby przyjęć i zapytał w recepcji o Izziego. Chcieli wiedzieć, czy jest krewnym pana Horowitza. Zawahał się tylko przez ułamek sekundy i odparł, że jest jego synem. Pielęgniarka zaprowadziła go na salę, za zasłonę, gdzie badano Izziego. Ledwie go zobaczył, zrozumiał, co się stało. Twarz Izziego obwisała na jedną stronę, ręka i noga po tej samej stronie leżały bezwładnie, nie mógł mówić. To był rozległy udar. Jakob podszedł do łóżka i wziął Izziego za zdrową rękę, Izzie ścisnął go lekko.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił go Jakob łagodnym tonem. – Po prostu się nie przejmuj. – Izzie podłączony był do maszyn, a po paru minutach lekarze wywołali Jakoba na korytarz, żeby z nim porozmawiać. Zanim wyszedł, nachylił się i uśmiechnął do Izziego. Obiecał, że wróci za minutę, ale informacje, które usłyszał, nie były dobre. Izzie miał wylew krwi do mózgu, lekarze obawiali się obrzęku. Przepisali lekarstwa i rozważali operację, żeby zmniejszyć nacisk. Jeśli tego nie zrobią, groził mu kolejny wylew. A ten mógł go już zabić.

– Poczekamy jeszcze godzinę, dwie i zobaczymy. Naprawdę wolałbym go teraz nie operować, jest jeszcze za słaby.

– Jakie ma szanse, jeśli go zoperujecie? – zapytał Jakob bez ogródek.

– Pół na pół, w najlepszym wypadku. Nie jest stabilny i ma słabe serce. Jeśli do tego wszystkiego będzie miał atak serca, przegramy bitwę, zanim ją rozpoczniemy. Mądrzej jest poczekać, ale może mieć kolejny wylew. – Jakob zadzwonił do Emmanuelle, żeby jej o tym powiedzieć, i wrócił na salę. Poprosił, żeby jeszcze nie mówiła nic Maksowi.

– Oczywiście, że nie powiem – odparła, równie głęboko zasmucona jak Jakob. Ale po jego minie nic nie można było poznać, kiedy wrócił za zasłonę, żeby stanąć przy Izziem i wziąć go za rękę. Izzie miał zamknięte oczy, jakby spał, ale otworzył je, gdy usłyszał Jakoba i poczuł dotyk jego dłoni. W oczach miał pytanie, którego nie mógł wypowiedzieć.

– Powiedzieli, że jesteś twardym starym wygą, że wszystko będzie dobrze i chcesz tu zostać, żeby poplirtować z pielęgniarkami i zyskać ich współczucie. I jeszcze mówili, że bym cię stąd zabrał jak najszybciej. – Połowa twarzy Izziego uśmiechnęła się, lekko uścisnął palce Jakoba, który przyciągnął krzesło i usiadł obok łóżka. Mówił do Izziego łagodnym tonem, nie chciał pogarszać jego stanu, za bardzo go ekscytując. Po paru minutach Izzie znów zamknął oczy i zapadł w drzemkę. W sali była pielęgniarka, sprawdzała monitory, a lekarze wchodzili kilka razy przez kolejną godzinę. Nic się nie zmieniało. Izzie wyglądał, jakby zapadał w coraz głębszy sen. Kilka minut później ostro zabrzączał dzwonek i na salę wpadło kilku lekarzy z pielęgniarkami.

– Wstrzymana akcja serca! – krzyknęła pielęgniarka, a lekarz zaczął uciskać klatkę piersiową chorego. Jakob patrzył na monitor, serce Izziego znów zaczęło bić, ale zwolniło, gdy lekarz przerwał reanimację. Nie śmiał zapytać, co się dzieje, nie chciał ich rozpraszać. Było oczywiste, że Izzie jest na granicy śmierci i walczy o życie. Dali mu jakiś zastrzyk prosto w serce i Izzie na krótko otworzył oczy, popatrzył na Jakoba, lekko kiwnął głową i znów zamknął oczy, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale nie było. Alarm uruchamiał się jeszcze dwa razy, potem ciało Izziego zeszywniało. Na salę wbiegło więcej lekarzy, powiedzieli Jakobowi, żeby wyszedł. Wymknął się na korytarz, chodził tam i z powrotem przez pół godziny. W końcu wyszło do niego dwóch lekarzy. Pierwsze ich słowa brzmiały:

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. – Więcej nie trzeba było mówić. Jakob wyglądał jak porażony, gdy powiedzieli mu, że Izziego dotknął kolejny rozległy wylew i atak serca. Miał siedemdziesiąt dwa lata, nie był więc stary, ale wszystkie ważne organy wyłączyły się

jednocześnie. Jakob słuchał ich wstrząśnięty, przecież Izzie jeszcze po południu, kiedy jego przyszywany syn wychodził z biura, czuł się dobrze, a parę godzin później już nie żył. Przez kilka minut Jakob nie wiedział, co robić, lekarze powiedzieli mu, że jest im przykro. Nazywali Jakoba panem Horowitzem, co go peszyło, ale przypomniał sobie, że przedstawił się jako syn Izziego, żeby wejść i zobaczyć się z nim.

Wrócił na salę, żeby na niego popatrzeć. Izzie leżał spokojnie na łóżku, Jakob dotknął go delikatnie. Ręka była zimna. Kochał Izziego jak ojca i wiedział, że i on kochał go jak syna. Zmienił dla niego wszystko, kiedy się spotkali i Jakob zaczął dla niego pracować. Teraz nie wyobrażał sobie bez niego życia. Przez ostatnie siedem lat spędzał z nim prawie każdy dzień. Izzie wtopił się w ich życie. Jakob wiedział, że Max będzie zrozpaczony, kiedy się dowie o śmierci Izziego. Wszyscy będą zrozpaczeni, odszedł ważny członek ich rodziny.

Jakob powiedział w szpitalu, że zadzwoni, gdy tylko poczyni przygotowania. Nachylił się, żeby pocałować Izziego w czoło i wyszedł. Łzy spływały mu po policzkach. Na ulicy zatrzymał taksówkę. Nie miał serca, żeby dzwonić do Emmanuelle ze szpitala i powiedzieć jej o tym przez telefon. Ale po wejściu do mieszkania nie musiał mówić ani słowa. Poznała z wyrazu jego twarzy, co się stało. Umarł jego najlepszy przyjaciel i mentor. Był jedynym ojcem Jakoba od czasu wojny, dobrym i cudownym dla jego rodziny. Naprawdę nie mógł sobie wyobrazić życia bez niego. Emmanuelle objęła go i tuliła, a on płakał jak dziecko. Na szczęście położyła już Maksa do łóżka, chłopiec smacznie spał.

Siedzieli i rozmawiali długo w noc. Jakob musiał zorganizować pogrzeb, ale nie wiedział, od czego zacząć. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Izzie nie miał rodziny poza nimi. Już w nocy Jakob zadzwonił do rabina. Rabin zgodził się odprawić nabożeństwo, kiedy tylko Jakob wszystko zorganizuje. Nagle o tyle spraw trzeba było zadbać. Nabożeństwo, cmentarz, nekrolog, żeby ludzie wiedzieli, kiedy odbędzie się pogrzeb. Będą chcieli przyjść wszyscy z dzielnicy diamentowych kupców. Zmarły był wśród nich najbardziej szanowanym człowiekiem. W końcu Jakob będzie musiał zamknąć biuro. A w sejfie było mnóstwo kamieni, które Izzie kupił w ciągu ostatnich miesięcy. Jakob nie miał pojęcia, co ma z nimi teraz zrobić. Jeśli je sprzeda, czyje będą pieniądze? Izzie nie miał krewnych ani spadkobierców swojego majątku. W ostatnich latach wielokrotnie o tym mówił. Nie miał tego komu zostawić, skoro zarówno Naomi, jak i David zmarli, a majątek ten był spory, włączając w to inwestycje w nieruchomości, mieszkanie, firmę. Jakobowi aż kręciło się od tego w głowie.

– Uspokój się – powiedziała łagodnie Emmanuelle. Widziała, że Jakob jest w szoku. – Jutro się tym zajmimy. Max cały dzień będzie w szkole. Pomogę ci. Wszystko zorganizujemy.

Mimo lęklivosti, zawsze stała po jego stronie, twarda jak skała. Odsuwała na bok swoje lęki i wspierała go.

– A co potem? Co ja bez niego zrobię? – zapytał Jakob. Czuł się zagubiony. Był jak dziecko bez człowieka, który go wspomagał, wziął pod swoje skrzydła i tak wiele nauczył. Izzie nie żył zaledwie od godziny, ale Jakob nie potrafił sobie wyobrazić świata bez niego. Tym razem to Emmanuelle miała rację. Jakob właśnie tego popołudnia kupił kamienicę, a teraz stracił pracę. Ale to najmniejszy z problemów. Największą troską była utrata najbliższego przyjaciela.

Leżał, nie śpiąc, przez prawie całą noc, myślał o Izziem i o wszystkim, co musi zrobić następnego dnia. A chciał to zrobić jak należy, dla Izziego, tak, żeby się zmarłemu przyjacielowi podobało, gdyby mógł to zobaczyć. Ale nie wiedział, jak i co robić. Rano będzie musiał to obmyślić. Po bezsennej nocy wstał o szóstej, nadal był zbyt zrozpaczony, żeby pogadać z synem albo podejść do sprawy z spokojem. Ukrywał się w sypialni, póki Max nie poszedł do szkoły. Potem Emmanuelle wzięła się do roboty, zadzwoniła, gdzie trzeba, zamówiła nabożeństwo na następny dzień. Jakob napisał nekrolog z wszystkimi danymi, jakimi dysponował i przedyskutował

go Florence przez telefon. Sekretarka kazała gońcowi zanieść tekst do „New York Timesa”. Na dzień pogrzebu zamknęli biuro, a Jakob polecił zakładowi pogrzebowemu zabrać ciało Izziego ze szpitala. Do trzeciej, kiedy Emmanuelle musiała odebrać Maksa ze szkoły, wszystko, co najważniejsze, było zrobione. Reszta to szczegóły. Jakob kazał Florence zadzwonić do adwokata Izziego i poinformować go o sprawie. Prawnik oddzwonił potem do Jakoba, ale ten nie odebrał telefonu. Później znajdzie czas na rozmowę, najpierw trzeba się było uporać z pogrzebem.

Rabin zorganizował wszystko i w ich imieniu zadzwonił na cmentarz. Jakob miał wrażenie, że jest odurzony. Zdał sobie sprawę, że istniał także pogrzeb, którego nie mógł urządzać ojcu. Nagle zaczął opłakiwać ich obu i wszystkich, których stracił. Dla Izziego mógł zrobić to, czego nie mógł dla nich. Kiedy zmarli w Buchenwaldzie, nie było sposobu, żeby ich uczcić, ale przynajmniej Izziemu mógł oddać cześć.

Kiedy Max wrócił do domu, Jakob nadal siedział w salonie. Razem z Emmanuelle poinformowali go o wszystkim. Szlochał w ich ramionach.

– Był moim dziadkiem – powiedział, łkając. Jego rodzice też płakali.

– Wiem. Kochaliśmy go. Tak już jest, że czasem ludzie umierają wcześniej, niż się spodziewamy. Nie był bardzo stary, ale myślę, że był bardzo smutny, od czasu kiedy stracił żonę – powiedział Jakob, przytulając Maksa.

– Kto mnie teraz będzie zabierał na mecze baseballu? – zapytał Max przez łzy, myśląc o sprawach praktycznych. Jakob uśmiechnął się.

– Ja – obiecał, chociaż nie był wielkim entuzjastą tej gry.

– Nie znasz się na baseballu – mruknął zrozpaczony Max.

– Wyjaśnij mi, o co tam chodzi.

– A będę mógł kupić Yankees, kiedy dorosnę? – Widać niepokoiło go to, jakby cała magia uszła z jego życia i z życia ich wszystkich.

– Będziesz mógł zrobić wszystko, o czym mówił dziadek Izzie – odparł Jakob poważnie. Nie chciał, żeby Max stracił odwagę i pewność, które Izzie chciał mu wpoić.

– Ale to nie będzie fajne bez niego, kiedy drużyna już będzie moja – powiedział cicho Max.

– Ależ będzie – powiedział Jakob mocniejszym głosem, ze względu na Maksa. Musiał być teraz silny dla niego, taki, jaki byłby Izzie, gdyby to Jakob umarł. – On zawsze będzie z tobą, a ty zawsze będziesz go pamiętał. Chciałby, żebyś kupił Yankees. Zrobisz to dla niego. – Max kiwnął głową, uwierzył ojcu. Tego wieczoru długo siedzieli razem, Jakob położył syna do łóżka. Max przestał płakać, ale był bardzo smutny i Jakob został z nim, póki nie usnął. Potem wrócił do salonu, do żony. To był dla nich trudny dzień, oboje bardzo przeżywali śmierć przyjaciela.

Jakobowi z trudem udało się zasnąć tej nocy. Wcześniej poszedł do synagogi, żeby spotkać się z rabinem, który miał poprowadzić nabożeństwo. Wydrukowali program ze zdjęciem, które dostarczył Jakob, a przyniosła Florence. Była to znakomita fotografia, którą Jakob zrobił przed paroma miesiącami. Uśmiechnięty Izzie wyglądał przystojnie, jak pan swojego świata, tak jak chciałby zostać zapamiętany.

Wkrótce potem pojawiła się Emmanuelle z Maksem. Zanim zaczęło się nabożeństwo, synagoga wypełniła się po brzegi. Wszyscy widzieli nekrolog w „New York Timesie”. Przyszli szlifierze diamentów, jubilerzy, kupcy, hurtownicy, tłum starych przyjaciół, których Jakob nie znał i wszyscy, których spotkał w pracy u Izziego przez ostatnie siedem lat. Dwaj szlifierze, którzy pracowali z Horowitzem od początku, siedzieli na ławce tuż za Jakobem, ci, którzy zatrudnili się niedawno, na dalszych ławkach. Emmanuelle i Max usiedli w pierwszym rzędzie razem z Jakobem. Nabożeństwo było wzruszające. Mówiono o człowieku, którego wszyscy kochali i szanowali. Potem wszyscy udali się razem na cmentarz. Jakob wrócił do domu

zmęczony. Ścisnął dłonie wszystkim w synagodze i na cmentarzu, żona i syn stali obok niego jako rodzina, którą Izzie zaadoptował, kiedy stracił własną.

– Było pięknie, tak jak on by chciał – powiedziała cicho Emmanuelle, podając Jakobowi filiżankę kawy. Upił łyk, odstawił filiżankę, przypomniał sobie, że nic nie jadł od śniadania, ale teraz nie był w stanie tknąć jedzenia. Zawiadomił Florence, że nazajutrz przyjdzie do biura, żeby wszystko uporządkować. Zamknięcie firmy zajmie sporo czasu, a on będzie musiał przejrzeć papiery Izziego. Florence powiedziała, że prawnik Izziego, Marvin Rosenbaum, dzwonił kilka razy. Obiecał, że zadzwoni rano i rzeczywiście zadzwonił, gdy tylko Jakob wszedł do biura. Jakob wiedział, że Marvin był adwokatem i doradcą prawnym Izziego od trzydziestu lat. Był na pogrzebie, ale nie rozmawiali, tylko uścisnęli sobie dłonie. Wokół było zbyt wielu ludzi.

– Witaj, Marvinie. Przepraszam, że wczoraj nie oddzwoniłem, po prostu nie mogłem, zbyt wiele się działo.

– Rozumiem. Chcę wpaść i porozmawiać o tym, co powinieneś teraz zrobić. Jest mnóstwo do przemyślenia i zaplanowania.

– Wiem. Bez niego będziemy musieli zamknąć firmę, ale to zajmie trochę czasu. Ma sejf pełen kosztowności, których muszę się pozbyć, ale nie mam pojęcia, jak to załatwić proceduralnie.

– Może porozmawiamy na miejscu. Odpowiada ci jedenasta?

– Tak – powiedział Jakob, ale poczuł się przytłoczony. Popatrzył na spis zawartości sejfu, było tam nawet więcej, niż pamiętał, w tym jakieś bardzo cenne kamienie, do których kupna Jakob zachęcił Izziego, widząc w nich krótkoterminową inwestycję, której właścicielem był tylko Izzie bez udziału wspólników, żeby nie musieć dzielić się zyskiem. Kiedy Marvin się zjawił, zastał Jakoba znękanego i przybitego. Marvin poszedł za Jakobem do gabinetu Izziego. Usiedli przy biurku, przy którym Jakob zasiadł już rano, chociaż czuł się jak oszust, zajmując miejsce Izziego.

– Będziesz zadowolony, bo Izzie zostawił wszystko dobrze uporządkowane – oznajmił od razu Marvin. – Wiedział, czego chce i jak powinno się to zrobić. Był człowiekiem praktycznym i stanowczym. To ułatwi ci teraz sprawę.

– Zamknięcie tego wszystkiego zajmie mi ze dwa miesiące albo więcej – powiedział ze smutkiem Jakob.

– Tak postanowiłeś? – Adwokat był zaskoczony.

– A czy mam wybór? Nie możemy działać bez niego.

– Myślę, że ty możesz – stwierdził wprost adwokat. – On też tak myślał. Myślę, że byłby rozczarowany, że chcesz wszystko zamknąć. Nie tak to sobie wyobrażał.

– A jak? Nie ma spadkobierców, więc co innego można zrobić?

– Jest spadkobierca – powiedział cicho prawnik. Jakob wyglądał na zaskoczonego.

– Myślałem, że po śmierci Naomi nie miał więcej żyjących krewnych.

– To prawda, nie miał. – Obaj przez chwilę patrzyli na siebie. Jakob niczego nie rozumiał.

– Więc komu to wszystko zostawił? – Izzie nie miał kochanki, po śmierci żony nie spotykał się z żadną inną kobietą.

– Wszystko zostawił tobie – powiedział krótko prawnik, a Jakob patrzył na niego z niedowierzaniem. – Z funduszem edukacyjnym dla twojego syna. – Przez dłuższy czas Jakob nie powiedział słowa, łyzy wypełniały mu oczy.

– To niemożliwe. Jak to zrobił? Myślałem, że odda wszystko na dobroczynność albo na synagogę – powiedział, kiedy wróciła mu mowa.

– Nie chciał tego robić. Wiedział, że możesz poprowadzić interes bez niego i chciał, żebyś to zrobił. Wszystko zostawił tobie. Mieszkanie, nieruchomości, portfel akcji i inwestycje.

No i firmę. To wszystko jest twoje. Wczoraj próbowałem się z tobą skontaktować przed pogrzebem.

– O mój Boże. – Jakob był oszołomiony.

– Jest tego więcej niż trzeba, żeby zapłacić podatki. Wszystko należy do ciebie, Jakobie. Tego pragnął i bardzo mu ulżyło, kiedy podjął tę decyzję. Myślałem, że ci powie, ale jak widać, nie zrobił tego. – Jakob wyglądał, jakby w każdej chwili miał zemdleć, szok był zbyt wielki, żeby mógł się cieszyć. Nie wiedział, czy zna się wystarczająco na firmie, żeby prawidłowo ją poprowadzić, ale najwyraźniej Izzie uważał, że wystarczy mu wiedzy. To był dla Jakoba największy komplement i największy dar, na zawsze zmieniający jego życie i przyszłość. Nagle Jakob przypomniał sobie werset z Biblii, mówiący o pięknie rodzącym się z popiołów. Tak wiele stracił podczas wojny, a teraz Izzie odplacił mu za to, zostawiając wszystko, co miał, i firmę, którą z taką pieczołowitością budował przez czterdzieści lat.

– Powiedział, że bardzo mu pomogłeś przy podejmowaniu trudnych decyzji i dawałeś mu dobre rady. Miał wiele szacunku dla twoich zdolności. Powiedział, że firma trafi w dobre ręce – zauważył z respektem Marvin.

– Mam nadzieję, że się nie mylił – odparł Jakob, myśląc o wszystkim, co właśnie odziedziczył. Będzie musiał przemyśleć, co z tym zrobić. Nie musiał likwidować firmy, będzie mógł prowadzić ją tak, jakby tego chciał Izzie. Teraz byli już współnikami na zawsze.

Adwokat wyszedł wkrótce po wręczeniu Jakobowi kopii testamentu. Powiedział, że za parę dni będą mogli porozmawiać, żeby Jakob miał czas przeczytać to i przetrwać, a on odpowie na wszelkie ewentualne pytania. Po wyjściu prawnika Jakob wrócił do gabinetu. Stał i patrzył na puste krzesło. Prawie widział Izziego, uśmiechniętego, zadowolonego z siebie, jak zwykle, kiedy zrobił dobry interes. I nagle Jakob sam się uśmiechnął, myśląc o sobie i o tym wszystkim, co Izzie mu zostawił.

– Dziękuję, przyjacielu – powiedział na głos do pustego krzesła, wyszedł z gabinetu Izziego i wrócił do swojego. Wziął płaszcz i powiedział Florence, że wychodzi na kilka godzin. Zatrzymał taksówkę i podał swój adres. Musiał powiedzieć Emmanuelle, co Izzie dla nich zrobił. Nigdy już nie będą musieli się martwić o pieniądze. Izzie zadbał o to, nawet wykształcenie i przyszłość Maksa były zabezpieczone. I w Nowym Jorku nie wybuchnie wojna i nie przeżyją ponownie Holokaustu. Tego był pewien.

Przez pierwsze parę tygodni, odkąd dowiedzieli się, co Izzie im zostawił, zarówno Jakob, jak i Emmanuelle byli w szoku. Trzeba było podejmować decyzje, niektóre szybko. Zakup budynku, którego dokonał Jakob w dniu śmierci Izziego, został zakończony. Nie było powodu, żeby go nie kupować. To przyzwoita inwestycja, budynek był w dobrym stanie, wszystkie mieszkania wynajęto porządnym lokatorom, a okolica była wprawdzie przeciętna, ale znajoma Steinom, bo też tu mieszkali, a Jakob był pewien, że sąsiedztwo się poprawi. Mogli sobie teraz pozwolić na coś lepszego, ale nie było powodu, żeby nie dotrzymać słowa, danego sprzedającemu, i Jakob tego nie zrobił. Zresztą zawsze mógł sprzedać kamienicę. Emmanuelle już nie będzie zła z tego powodu ani nawet wystraszona. Było przecież do rozważenia tyle spraw, dotyczących ich najbliższej i odleglejszej przyszłości.

Myśleli o przeprowadzeniu się do mieszkania po Izziem, ale Emmanuelle wolała zostać w śródmieściu, na Lower East Side, gdzie mieszkali, odkąd przybyli do Stanów, w sąsiedztwie prawie wyłącznie żydowskim. Miesiąc po śmierci Izziego wystawili jego mieszkanie na Upper West Side na sprzedaż za dobrą cenę i szybko znaleźli nabywcę. W mieszkaniu nie było niczego, czego by chcieli, nie licząc nielicznych pamiątek, które zachowali z szacunku do zmarłego. Zatrzymali wszystkie zdjęcia Izziego i jego rodziny, a resztę sprzedali na aukcji. Nie było tam niczego cennego, a mieszkanie wymagało remontu. Sprzedawali je bez żalu. I chociaż teraz mieli już wybór, podobało im się mieszkanie, do którego wprowadzili się przed dwoma laty i postanowili się nie przeprowadzać. Jakob czasem mówił, że ma ochotę przeprowadzić się do Greenwich Village albo innego miejsca na nieco wyższym poziomie i w dalszym ciągu mieć na własność budynek, w którym teraz mieszkali, jako inwestycję, ale Emmanuelle stanowczo sprzeciwiała się przeprowadzce. Potrzebowała czasu, żeby przystosować się do nowych warunków. Dawniej bezpieczeństwo finansowe było jej obce, a rzeczywistość, w której mogli robić prawie wszystko, co chcieli, była nowa i nieznaną. W jej oczach, w chwilach zdenerwowania, mieli teraz po prostu więcej do stracenia. Jakob rozumiał jej lęki, nie nalegał więc na gwałtowne zmiany, ale to, co pozostawił im Izzie w testamencie, stanowiło dla niego ogromną różnicę. Postanowił nie sprzedawać żadnej z nieruchomości Izziego. To były dobre kamienice, ich posiadanie przynosiło zyski, a w przyszłości będą tylko zyskiwały na cenie. Nie chciał wprowadzać żadnych większych zmian w firmie i wiedział, że mądre i ostrożne inwestycje dadzą rodzinie bezpieczeństwo, a Max będzie miał wszystko, o czym dla niego marzyli. Izzie oszczędził im życia w niepokoju. To był niezwykle szczodry dar.

– Nie zaczniemy teraz szaleć, prawda? – zapytała Emmanuelle z nutką paniki w głosie. Miała trzydzieści dwa lata, Jakob trzydzieści cztery i dziewięć lat po tym, jak przybyli do Nowego Jorku z czterdziestoma dolarami w kieszeni, po utracie wszystkiego, co było im drogie, stali w końcu na solidnym gruncie. Mieli wtedy nadzieję, że im się powiedzie i znajdą w Ameryce bezpieczny dom, ale nawet nie śnili o czymś takim.

– Nie chcę przeprowadzać się do luksusowego mieszkania ani nosić futer i brylantów na pokaz – upierała się Emmanuelle. – Chcę, żeby Max został wychowany według tych samych zasad, co my. I musi wiedzieć, że jeśli nie będzie postępować sensownie i ostrożnie z pieniędzmi, może je stracić i zaczynać od zera, jak my.

– Nie chcę, żeby żył w strachu – powiedział w zamyśleniu Jakob. – To właśnie nam dał Izzie, dzięki jego darowi nie będziemy już musieli ciągle się bać. – Oboje żyli w strachu, odkąd ich deportowano. On przez czternaście, ona przez dwanaście lat. Naznaczyło ich to na zawsze,

ale rządy strachu i przerażenia dawno się skończyły. Mogli wybierać, decydować o tym, jak chcą żyć, a pieniędzy będą mieli coraz więcej i firma będzie się rozwijać.

Emmanuelle przysięgła sobie, że nie dopuści do żadnych zmian. Nadal szyla ubrania dla siebie, i tak były ładniejsze niż te ze sklepów. Robiła też ubrania dla Maksa, póki nie zaprotestował, że są za ładne, za wyszukane, a on chce nosić to, co wszyscy. Z bólem ubrała go w to, co kupiła w sklepie, chociaż kiedy tylko było to możliwe, robiła zakupy w sąsiedztwie, na Lower East Side, w sklepach z używaną odzieżą. Stanowczo zaprotestowała, kiedy Jakob kupił sobie kilka eleganckich garniturów, które przypominały mu ojca i czyniły z niego człowieka sukcesu, gdy szedł do pracy. Powiedział, że to dobre dla firmy, ustąpiła więc. Nadal sama sprzątała mieszkanie i wzdragała się przed kolacjami na mieście. Mówiła, że to strata pieniędzy. I chociaż uwielbiała myśleć, że są teraz bezpieczni, był w tym jakiś element strachu, podzielany przez Jakoba, że pewnego dnia mogą źle zainwestować i ponieść poważną stratę. Jakob trzymał się głównie nieruchomości, tego, co doradzał mu Izzie, i kupił jeszcze kilka kamienic. Miał ich sześć na Lower East Side. Patrząc na rodzinę Steinów, na tryb ich życia, nikt nie podejrzewałby nawet, że Jakob jest tak bogaty. Dyskrekcja przede wszystkim.

Interesy rozkwitały także bez Izziego. Jakob samodzielnie kupował coraz większe kamienie i sprzedawał je ze zdumiewającym zyskiem, który zaskakiwał nawet jego. Wyglądało na to, że czego się tknie, zamienia się w pieniądze. To był dar, Izzie nie mylił się co do Jakoba, który okazał się mądrym biznesmenem i wiedział, kiedy podejmować ryzyko, a kiedy z niego rezygnować

Rok po śmierci Izziego Jakob poprosił Emmanuelle, żeby zaczęli robić interesy razem.

– Ja? – Propozycja zaskoczyła ją i przerażyła, ale nawet się jej spodobała. Max miał już osiem lat, przez cały dzień był w szkole, w domu miała mniej pracy. – Przecież w ogóle nie znam się na diamentach.

– Ja też się nie znałem na początku – przypomniał. – To ty powiedziałaś mi, żebym się postarał o pracę u handlarzy diamentów, a Izzie nauczył mnie wszystkiego. Florence wychodzi za mąż, mogłabyś zostać recepcjonistką, witać kupców, którzy do mnie przychodzą, umawiać spotkania. Bardzo bym chciał mieć cię przy sobie. Częściej byśmy się widywali, a ty mogłabyś wychodzić, żeby zabrać Maksa ze szkoły. – Jakob myślał o przeniesieniu syna do szkoły prywatnej, ale Emmanuelle nie chciała, żeby Max przynosił się do śródmieścia, a i chłopiec nie chciał zostawiać kolegów ze szkoły stanowej.

– Pomyślę o tym – powiedziała, ostrożnie podchodząc do każdej decyzji, ale w końcu zgodziła się i polubiła swoją pracę. Co rano razem wychodzili do pracy, po drodze podrzucali Maksa do szkoły, wsiadali w metro do śródmieścia, a wieczorem mieli więcej tematów do rozmów. Zawsze objaśniał, czym się obecnie zajmuje. Kiedy ktoś zostawił u niego jakiś niezwykły kamień, pokazywał go jej i kazał patrzeć przez lupę, wyjaśniając co to są inkluzje, co to jest klarowność, szlif i kolor. Miała lepsze oko, niż sądziła i po paru miesiącach potrafiła ocenić wielkość i kolor kamienia z drugiej strony pokoju. Była samoukiem, a on uwielbiał pracować z nią codziennie. Jeszcze bardziej ich to zbliżało.

Nigdy nie mieli wielu przyjaciół. Pracowali ciężko, wydawali jak najmniej, a doświadczenia wojenne odsuwały ich zazwyczaj od ludzi. Nie chcieli rozmawiać o minionych czasach, były zbyt bolesne, zaś ich codzienność polegała na ciężkiej pracy. Każdą chwilę poza pracą spędzali z synem.

Max zaczął na to narzekać kiedy miał dwanaście lat. Wcześniej nie sprawiało mu to problemów, nagle zaczęło to być nieprzyjemne. Jego koledzy nie mieli takich zaślepionych miłością rodziców, którzy przez cały czas martwili się o to, co dzieje się z ich dziećmi. I nie martwili się o każdego centa, którego muszą wydać. Wyglądało na to, że rodzice jego kolegów

zaznali więcej radości życia niż jego rodzice. Mijało już pięć lat, odkąd Steinowie zostali właścicielami firmy Izziiego, którego pamięć Max pielęgnował przez cały czas i nie mógł się doczekać chwili, kiedy za dwa lata pójdzie do liceum. Poza tym zaczął lubić dziewczyny.

– Co z nim jest? Nigdy nie narzekałam na swoją matkę tak, jak on narzeka na nas – powiedziała do Jakoba Emmanuelle w metrze, kiedy jechali do pracy. Przy śniadaniu posprzeczali się z Maksem. Chciał wstąpić do drużyny baseballowej, ale Emmanuelle uznała, że sprzęt jest za drogi. Max nie miał pojęcia, ile odziedziczyli po Izziem, a jego rodzice wyglądali tak, jakby przez cały czas czegoś się bali.

– Dorasta – powiedział Jakob, chociaż jemu też nie podobała się ta sprzeczką, w dodatku kłótnie zdarzały się teraz codziennie. Max zawsze był gotów do walki z rodzicami. Był dobrym chłopcem i dostawał dobre oceny, ale nie mógł się doczekać, kiedy rozwinie skrzydła.

– Ma tylko dwanaście lat – powiedziała Emmanuelle, marszcząc brwi. – Gdybym tak się odzywała do matki, jak on do mnie, poszłabym spać bez kolacji. – Rodzice Jakoba byli bardziej pobłażliwi i nigdy nie rozmawiali o pieniądzach. Nie musieli. Dzięki Izziem on też nie musiał, ale weszło mu to w nawyk, podczas rozmów z Emmanuelle, po latach biedy i strachu. I on, i Emmanuelle nadal zachowali wojenną mentalność, co nie było dziwne, jeśli wziąć pod uwagę ich doświadczenia, stracili przecież wszystko. Nie mogli czuć się całkowicie bezpieczni bez względu na to, co mieli w banku, jak solidna była ich firma, ilu nieruchomości zostali właścicielami. Przeżyli kiedyś to, że zawalił się cały ich świat, chociaż wówczas nikt nie uważał, że to możliwe.

Jakob kupował wszystko na nazwiska obojga, co przerażało Emmanuelle, która była pewna, że mąż wszystko straci, a ona będzie odpowiadać za ich długi. W końcu przekonał ją, że wspólna własność to dobra rzecz i że robi to dla niej.

Opowiadali Maksowi o wojnie w Europie, bo uważali, że to ważne i że to także część jego historii. Wiedział, że spotkali się w obozie koncentracyjnym, ale rodzice nie wchodzili w szczegóły swoich doświadczeń, uważali, że byłoby to zbyt przerażające dla chłopca dorastającego w ciepłym, wygodnym domu w Nowym Jorku. To, co się z nimi działo, mogło być dla Maksa niewyobrażalne.

O Holokauście uczył się w szkole, ale to, co najgorsze, było przemilczane, no i Jakob zapewniał go, że nic podobnego więcej się nie zdarzy. I chociaż Emmanuelle nadal się z tym nie zgadzała, swoje obawy zostawiała dla siebie. Jakob wiedział, że dla niej nic się nie zmieniło. Stanowczo nie chciała mieć więcej dzieci, na wypadek gdyby mieli znów uciekać albo byli deportowani. Z jednym dzieckiem i tak byłoby ciężko, nie chciała ryzykować z dwójgiem. Nie można jej było przekonać. Jakob w końcu zrozumiał, że Emmanuelle spędzi resztę życia w strachu przed ponowną deportacją i utratą wszystkiego, bo byli Żydami. Syna wychowali jednak bez nauki religii, bo żadne z nich nie było praktykujące. Emmanuelle nadal zapalała świece na szabas, żeby wspomnieć własne dzieciństwo, wymieniali się też podarkami na Chanukę, ale tylko tyle. Jakob chodził do bóżnicy raz w roku, na Jom Kippur dla uczczenia rodziny, którą stracił. Większość kolegów Maksa z sąsiedztwa miała za rok urządzać bar micwę, ale syn Steinów nie był na to przygotowany i cieszył się, że nie musi godzinami uczyć się hebrajskiego. Wolał spędzać ten czas, grając w baseball, a jego koledzy uważali, że szczęściarz z niego.

W 1960 roku, kiedy Max miał prawie czternaście lat, a jego ojciec czterdzieści, Jakob zabrał go pewnego dnia na wycieczkę po okolicy i pokazał wszystkie kamienice, których był właścicielem, wszystkie siedem w promieniu czterech przecznic od ich domu. Próbował wyjaśnić mu, jaką wartość ma nieruchomość jako solidna inwestycja.

– Kiedy twoja matka i ja przybyliśmy do tego kraju po wojnie, nie mieliśmy nic. Naszymi sponsorami byli ludzie, których nie znaliśmy. Pracowałem jako dozorca, a twoja matka jako szwaczka w fabryce. Mieliśmy mieszkanie mniejsze od twojego pokoju i łóżko, które

opuszczaliśmy z szafy. Rok później dostałem pracę u Izziego, który nauczył mnie wszystkiego o handlu diamentami. Ale na to, co mamy teraz, musieliśmy ciężko pracować, a Izzie zostawił nam swoją firmę w spadku, co było niewiarygodnie szlachetne z jego strony. Kiedy dorosisz i ukończysz college, musisz sobie znaleźć dobrą pracę, oszczędzać i lokować pieniądze w pewnych inwestycjach. Nie ma szybkiej drogi do zbitcia majątku, żadnych szalonych transakcji, obarczonych ogromnym ryzykiem. Drogą do bezpieczeństwa jest mądrość, ciężka praca i oszczędzanie.

Maksowi nie wydawało się to atrakcyjne, nie widział, żeby jego rodzice robili coś niepoważnego albo bawili się. Nie mieli wakacji i chłopiec uważał ich za nudziarzy, którzy za bardzo się martwią i za często się nim zajmują. Ciągłe się domagali, żeby lepiej się uczył, dostawał dobre stopnie, przyglądali się jego kolegom, sprawdzali, kim oni są i nie zgadzali się na nic, co uważali za niebezpieczne albo ryzykowne.

– Dlaczego nie kupujesz budynków w innej dzielnicy? – zapytał ojca. Był zaskoczony tym, ile domów jest ich własnością. Wcześniej o tym nie wiedział, myślał, że są biedni, bo matka zawsze tak mówiła. Jakob nie powiedział mu o wszystkich nieruchomościach, które do nich należały. – Dlaczego zamiast siedmiu domów tutaj, nie kupisz dwóch, trzech w ładniejszej okolicy? – zapytał, a ojciec uśmiechnął się. Jego syn marzył o czymś lepszym. Jakob nauczył się ostrożnego postępowania, a nieruchomości po Izziem były znacznie więcej warte, niż chciał teraz powiedzieć Maksowi.

– Lepiej inwestować w coś, co się zna – powiedział stanowczo. – Tę okolicę znamy.

– Tu mieszkają sami Żydzi – odparł roztropnie Max. – Dlaczego nie zamieszkamy w dzielnicy, w której są różni ludzie?

– Bo znamy to, co jest tu – powtórzył Jakob w braku lepszego argumentu – a twojej matce się tutaj podoba.

– Czy to nie jest getto? Takie jak w Europie przed setkami lat? W Ameryce ludzie się mieszają. – Ale w Nowym Jorku były nadal małe narodowe enklawy. Niedaleko znajdowała się dzielnica włoska, a na Mott Street mieszkali Chińczycy. Irlandczycy też mieli swoje ulice. W lepszych dzielnicach znajdowały się przecznice zamieszkałe wyłącznie przez Niemców. Rosjanie mieszkali w innej części miasta.

– Może to wygląda jak getto, ale nim nie jest. Wszyscy możemy mieszkać tutaj albo gdziekolwiek indziej. Nikt nie ogranicza nas do jednej dzielnicy, ale wygodniej być wśród swoich. – Max miał minę, jakby usłyszał coś głupiego, ale budynki będące własnością jego ojca zrobiły na nim wrażenie i zobaczył sens posiadania nieruchomości. Po prostu uważał, że kamienice nie powinny stać w tej samej dzielnicy, nie powinni w nich mieszkać ludzie tej samej religii i tego samego pochodzenia etnicznego. To wyglądało na ograniczenie. W szkole uczonego, że ten kraj jest wielkim tygłem ludzi, którzy przybyli zewsząd. John F. Kennedy kandydował na prezydenta, a amerykański sen był ideałem dla wszystkich. Rodzice wydawali się Maksowi tacy europejscy, tak zanurzeni we własnych obawach i tradycjach. Wojna w Europie zakończyła się piętnaście lat temu, ale chłopiec widział, że nadal jakoś wywiera wpływ na jego ojca i matkę i na ich codzienne wybory. Mówił płynną francuszczyzną, bo przejął ją od matki, ale sam był typowo amerykańskim chłopakiem. Nie czuł związków z ich europejskimi przeżyciami. Nie mieli krewnych na Starym Kontynencie, a on nigdy tam nie był. Nie rozumiał, dlaczego ich doświadczenia z czasów, zanim tu przybyli, a nawet fakt, że z początku byli biedni, mają z nim cokolwiek wspólnego. W wieku lat czternastu nie rozumiał, co stracili. Zgodnie ze swoim wiekiem patrzył w przyszłość, choć jego rodzice ciągle oglądali się za siebie i uciekali przed duchami przeszłości.

W ostatnim roku nauki w liceum Jakob pomógł Maksowi napisać podania do college'ów,

w których chłopak chciałby studiować. Był to długi wykaz najlepszych uniwersytetów, głównie z Ivy League: Princeton, Harvard, Dartmouth, Yale, Duke, Columbia. Max miał dobre stopnie, nauczyciele go chwalili, ale nie wiedział, czy zostanie przyjęty tam, gdzie chciał się uczyć dalej. Przez całe życie chodził do szkoły stanowej we własnej dzielnicy, nie stał za nim atut prywatnej szkoły średniej. Po śmierci Izziego Jakob chciał zapisać Maksa do prywatnej szkoły w lepszej dzielnicy, ale Emmanuelle zaprotestowała. Nie chciała, żeby syn chodził do szkoły tak daleko od domu, poza ich dzielnicą. Powiedziała, że prywatne szkoły są snobistyczne i będą się z niego wyśmiewać, że jest Żydem.

Jakob obawiał się, że Emmanuelle może mieć rację i w końcu się poddał, ale z pewnym żalem, że syn traci dobrą okazję. Kiedy Max zaczął naukę, znów próbował ją przekonać, ale niczego to nie dało, a chłopak nie chciał zostawiać kolegów i dodał swoje obiekcje do zastrzeżeń matki. Zatem został w szkole stanowej i chociaż miał bardzo dobre stopnie, a opinie nauczycieli były doskonałe, dostanie się do jednego z uniwersytetów Ivy League nie było sprawą oczywistą. Z funduszem szkolnym, który zostawił mu Izzie i z tym, co teraz miał Jakob, mógł studiować na najlepszych uczelniach, o ile by go tam dopuszczono.

Emmanuelle martwiła się, że syn opuści dom. Proponowała Brandeis University i inne, głównie żydowskie, college'e, ale Max chciał się wyrwać z gleby, na której wyrósł, i odkryć szeroki świat. Uparł się na szkoły, do których składał podania i nawet gdyby dostał się do Columbii w Nowym Jorku, chciał mieszkać w akademiku. Już nie chciał trzymać się domu. Uważał się za całkiem dorosłego.

Przed grudniowym terminem wysłali podania, Max w grudniu ukończył osiemnaście lat. Musieli poczekać do marca, żeby się przekonać, czy i gdzie zostanie przyjęty. Przez trzy miesiące żył w napięciu. W głębi duszy już nie było go w domu. Latem miał zamiar z trzema kolegami z liceum pojechać na miesiąc na zachód. Mieli zamiar wędrować bez rodziców, pojechać do San Francisco i Los Angeles, do Yosemite, Yellowstone i nad Wielki Kanion. Chcieli jechać tam, gdzie dusza zapagnie. Max myślał o Europie, której nigdy nie widział, ale rodzice zaprotestowali. Martwiła ich myśl, że miałby tam pojechać. Pamięć tego, co tam się stało, chociaż minęło już dwadzieścia lat, nadal była dla nich zbyt żywa, zgodzili się jednak na to, żeby wybrał się na zachód. Jeden z kolegów na zakończenie nauki dostał samochód, mieli zamiar jeździć, sypiać pod namiotem w parkach narodowych, zatrzymywać się w hostelach młodzieżowych w miastach, które chcieli zwiedzić. Na pewno nie była to luksusowa wycieczka, ale dla Maksa miała być pierwszym posmakowaniem wolności z dala od rodziców. Przez całe dotychczasowe życie nie opuszczał ich na dłużej niż na parę dni, nie mógł się więc doczekać. Ta myśl krzepiła go przez te miesiące, kiedy czekał na wiadomość o tym, który z college'ów go przyjął. Jakob i Emmanuelle tak jak on chcieli się już dowiedzieć, na którą uczelnię się dostał.

Przyszły listy. Przyjęto go do czterech college'ów, które wybrał, w trzech pozostałych znalazł się na liście oczekujących. Przyjął ofertę Uniwersytetu Harvarda w dniu, w którym przyszła. Rodzicom ulżyło, że będzie studiował w nieodległym Bostonie. Powiedzieli mu, że będą go mogli odwiedzać go co jakiś czas w weekendy, chociaż była to ostatnia rzecz, której pragnął. Nie chciał, żeby rodzice nad nim czuwali. Miał tego dość przez całe osiemnaście lat. Teraz chciał być wolny, a oni będą się musieli przyzwyczaić do tego. Za każdym razem, kiedy to mówił, ranił uczucia matki.

– No cóż, jesteś gotowa na to, żeby mieć syna studenta? – zapytał Jakob w dniu, w którym Max przyjął ofertę Uniwersytetu Harvarda. Max wyszedł z domu i sam nadał list, przyjmujący ofertę. Byli z syna bardzo dumni. Izziego też przepelniałaby duma.

– Jak to się stało, że tak szybko dorósł? – zapytała ze smutkiem Emmanuelle. Wydawało się, że jeszcze wczoraj był małym chłopcem. To stało się w mgnieniu oka, nagle zaczął wyglądać

na mężczyznę. I chociaż nim był, dla nich, przez wszystkie przyszłe lata, nadal będzie chłopcem.

– Ledwie mógł się doczekać, żeby się stąd wyrwać – powiedział Jakob z uśmiechem zaprawionym kroplą goryczy. Mieszkali w Stanach już prawie od dwudziestu lat i tyle samo czasu byli małżeństwem. A Jakobowi było teraz w dwójnasób przykro, że nie mają drugiego dziecka. To by złagodziło odejście Maksa, choć drugie dziecko też by wkrótce wyjechało. W końcu wszystkie odchodzą. A Jakob pomyślał, ale nie powiedział tego, że był zaledwie dwa lata starszy od Maksa, kiedy razem z rodziną deportowano go i zesłano do obozu. W wieku Maksa cieszył się taką samą wolnością jak on i był podekscytowany, że idzie na uniwersytet, z dala od rodziców. – Jest gotów do odlotu – powiedział z westchnieniem. – To powinna być dla nas lekcja. Może latem, kiedy będzie podróżował po zachodzie, zrobimy sobie wakacje? – Emmanuelle kiwnęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną. Lubiła być blisko domu. Jej rodzina była taka sama. Latem jechała do Normandii z matką i siostrą, ale nigdy na długo. Nie miały pieniędzy na podróże, matka cały czas musiała pracować. Rodzina Jakoba przemieszczała się po całym świecie. Często jeździł z nimi i bywał w miejscowościach wakacyjnych całej Europy. Teraz tamte miejsca były dla niego tylko nazwami.

– Moglibyśmy pojechać do New Hampshire albo do Vermont, gdybyś chciała – zaproponował. Te parę wypraw wakacyjnych, na których do tej pory byli, zawsze z Maksem, na Florydzie albo w Nowej Anglii, to było wszystko. Chłopiec wolał w czasie wakacji zostawać w domu, w Nowym Jorku, żeby spotykać się z kolegami.

Uroczyste rozdanie świadectw szkoły średniej było wzruszające dla obojga rodziców. Max był taki wysoki i przystojny w bircie i todze i tak podobny do dziadka ze strony ojca. Jak na młodego człowieka wyglądał bardzo wytwornie i nie mógł się doczekać, kiedy w końcu opuści szkołę. Zabrali go na kolację do Peter Luger Steak House w Brooklynie, razem z kilkoma kolegami. Dwa tygodnie później czterej chłopcy wyruszyli do Kalifornii ze śpiworami, wyposażeniem kempingowym, plecakami i lodówką turystyczną. Radio ryczało, kiedy machali do rodziców stojących na chodniku. Jakob dał Maksowi czeki podróżne, gotówkę i kartę kredytową, co nie spodobało się Emmanuelle, ale ojciec chciał, żeby chłopak miał przy sobie pieniądze i mógł wrócić do domu samolotem, gdyby coś poszło nie tak.

Potem Jakob i Emmanuelle wrócili do ogarniętego martwą ciszą mieszkania. Oboje, krążąc po cichym mieszkaniu, czuli się jak dwie marmurowe kulki w labiryncie. Życie bez syna stało się puste. Jakob przewidywał od początku, że wszystkie ich nadzieje związane są tylko z nim. Jedyne dziecko było radością ich życia, ale teraz musieli rozwiązać problem: jak ułożyć sobie życie bez niego. Byli szczęśliwi, że tak długo go mieli przy sobie, ale teraz wszystko miało się zmienić. I już się zmieniło.

Następnego dnia Jakob przyniósł do domu niespodziankę. Powiedział, że zarezerwował pokój w małym zajeździe w New Hampshire, należącym do austriackiego małżeństwa. Było tam tylko kilka pokoi. Dowiedział się o tym od jednego z jubilerów, z którym prowadził interesy. Kontrahent mówił Jakobowi, że to urocze miejsce i że jeździ tam co roku. Właściciele w samą porę wyjechali z Salzburga przed wojną i podawali tradycyjne dania austriackie, kelnerki nosiły dirndle, a przy tym krajobrazy były imponujące. Jakob zarezerwował pokój na tydzień i udało mu się zachować to w tajemnicy przed Emmanuelle. Mówiąc jej o tym, wyjął z kieszeni pudełeczko. Starannie wybrał kamień o prostokątnym, szafirowym szlifie i kazał go osadzić na pierścionku. Wyglądał cudownie na jej delikatnej dłoni.

– Oszalałeś? I ja mam coś takiego nosić? Dlaczego to zrobiłeś? – Miała łzy w oczach, kiedy podniosła na niego wzrok. Była kobietą, która nigdy go o nic nie prosiła, nie dbała o sprawy materialne i nie chciała się chwalić. Kochała męża i syna i nie pragnęła niczego więcej.

– Za to, że pozwoliłaś mi z sobą być przez dwadzieścia lat. Kamień jest

dwudziestokaratowy i zasługujesz na niego. Powinnaś mieć nawet większy. Na trzydziestą rocznicę sprawię ci trzydziestokaratowy. I chcę, żebyś nosiła ten pierścionek codziennie – powiedział z uśmiechem.

– W metrze? – Popatrzyła na niego przerażona. Jakob roześmiał się.

– Możesz go odwrócić albo włożyć rękawiczki. Należy ci się, kochanie. Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy! – To wydarzenie złagodziło wyjazd Maksa i o to właśnie chodziło Jakobowi. Emmanuelle przez cały wieczór wpatrywała się w piękny kamień na dłoni. Nie wyobrażała sobie, że będzie codziennie nosiła tak piękny kamień, skrzył się bardziej, niż wynikałoby to z jego wielkości. Żeby zadowolić męża, włożyła pierścionek, kiedy następnego dnia szła do pracy. Jakob uśmiechał się za każdym razem, gdy go widział. Był szczęśliwy, że Emmanuelle go nosi. Trudno było uwierzyć, że są małżeństwem już od dwudziestu lat.

W sobotę wyjechali na wakacje, a nadzór nad biurem powierzyli gońcowi. Starczało mu kompetencji, żeby odbierać telefony i mówić klientom, że właściciele wyjechali na wakacje. Zajazd w New Hampshire był tym, o co Jakobowi chodziło. Austriaccy właściciele byli uroczy, w prowadzeniu pensjonatu pomagała im córka. Jedzenie było doskonałe i obfite, inni goście trzymali się razem. Dni spędzali, wspinając się na skały, odkrywając wodospady, chodzili na długie piesze wyprawy i wędrowali po górach. Zimą można tu było jeździć na nartach, latem roślinność była bujna, a góry piękne. Dla obojga ten pobyt był jak miesiąc miodowy, znów poczuli się młodzi. Jakob miał czterdzieści pięć lat, Emmanuelle czterdzieści trzy. Zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej, spędzając razem czas, kochając się rano i przed zaśnięciem. Znaleźli spokojne jezioro, gdzie nikogo nie było i pływali nago, czując się jak dwoje dzieci. Pod koniec tygodnia niechętnie wyjechali.

Max zadzwonił do nich w wieczór, kiedy dotarli do domu. Był z kolegami w Parku Narodowym Yellowstone i mówił, że świetnie się bawi. Słyszał, że i rodzice mówią radosnymi głosami, a ojciec powiedział mu, że właśnie wrócili ze wspaniałych wakacji w New Hampshire. Max bardzo się ucieszył. Wszyscy troje mieli teraz czas na to, żeby rozwinąć skrzydła. To był wspaniały, nowy świat. Po tygodniu spędzonym z Emmanuelle w górach Jakob na nowo odkrył romantyzm ich związku. Kiedy wrócili do domu, Emmanuelle znów włożyła niezwykle, nowy pierścionek. Na czas podróży zamknęła go w sejfie, w biurze. Już nie wstydziła się go nosić, doceniała miłość, która skłoniła Jakoba do tego podarunku.

– Ładny pierścionek, pani Stein – powiedział, kiedy zobaczył go na jej ręce, gdy przygotowywała kolację dzień po powrocie. Uśmiechnęła się i błysnęła mu brylantem w oczy. Wyglądała naprawdę pięknie, była szczęśliwa i wypoczęta po tygodniu, który spędzili razem. Oboje się roześmiali, Jakob pocałował ją i przyciągnął do siebie z szelmowskim wyrazem twarzy.

– Może to, że Max wyjechał na uniwersytet, nie jest aż takie złe. Będziemy mogli się kochać, kiedy tylko zechcemy. – Emmanuelle podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się, a Jakob zobaczył tę dziewczynę, w której zakochał się wiele lat temu. W jego oczach w ogóle się nie zmieniła. Była piękna jak zawsze, a on kochał ją jeszcze bardziej.

Kiedy Max w końcu sierpnia pojechał do Bostonu, stwierdził, że to, co tam zastał, było nieskończenie lepsze, niż sobie wymarzył. Kampus był piękny, zajęcia, na które się zapisał, interesujące, lubił swojego kolegę z pokoju. Miał zamiar ukończyć ekonomię i zajęcia dobrał odpowiednio do tego. Rodzice przyjechali razem z nim, żeby pomóc mu się urządzić i zobaczyć kampus, o którym tyle słyszeli. Dla nich też była to ważna chwila. Ale ledwie postawili bagaże, już chciał, żeby odjechali. Chciał zwiedzić kampus na własną rękę i spotkać się z innymi kolegami z akademika bez snujących się za nim rodziców. Emmanuelle i Jakob byli wzruszeni, kiedy odjeżdżali. Wrócili do samochodu, który wypożyczyli, żeby przyjechać z Nowego Jorku z wszystkimi bagażami. Emmanuelle spojrzała z niepokojem na Jakoba.

– Widziałeś nazwisko jego kolegi z pokoju? – zapytała. Nazwiska mieszkańców były przyklejone do drzwi pokoju, tak jak wszędzie w akademiku.

– Chyba Steve McMillan, a co? Znasz go?

– To nie jest żydowskie nazwisko. To chrześcijanin. Jak sądzisz, będzie niemiły, bo Max jest Żydem? – Jakob uśmiechnął się i pokręcił głową, włączył silnik i ruszył. Czekala ich długa jazda do Nowego Jorku.

– Mam nadzieję, że nie. Dlaczego miałby być? College to tygiel wszelkich ras i religii. Tym dzieciakom to jest obojętne. Są podekscytowani, bo znaleźli się na Uniwersytecie Harvarda – Max nie był wyjątkiem.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. – Nie miała pewności, ale wierzyła w słowa Jakoba. Rozmawiali o tym, co widzieli i o tym, jak Max się cieszył. Z nowym kolegą natychmiast się porozumieli, a Steve dalej w korytarzu miał kolegę ze szkoły. Obaj chodzili do Exeter, pierwszorzędnej szkoły z internatem. Ten kolega przyszedł z chopakiem ze swojego pokoju, żeby poznać się z Maksem. Czterej chłopcy postanowili przejść się razem po kampusie, kiedy odjadą ich rodzice. Już nie mogli się doczekać.

Jakob i Emmanuelle postanowili przyjechać w październiku, na weekend odwiedzin rodziców. Ale zanim to nastąpi, czekają ich dwa długie miesiące bez Maksa.

– Wyglądali na miłych chłopców – powiedziała cicho Emmanuelle, która już tęskniła za synem.

– Na pewno tacy są – odparł Jakob, myśląc, jak dumny byłby z niego Izzie. Studia Maksa na Uniwersytecie Harvarda zawdzięczali wyłącznie staremu przyjacielowi, bo dzięki niemu Jakob mógł sobie pozwolić na czesne dla syna. Tymczasem czterej chłopcy jeździli rowerami po kampusie, szukając znajomych, spragnieni nowych przyjaźni. Właśnie zaczęło się ich dorosłe życie.

Steve McMillan pochodził z San Francisco, jego rodzice się rozwiedli. Matka ponownie wyszła za mąż i miała kolejną dwójkę dzieci, a ojciec pozostał samotny. Był przedsiębiorcą budowlanym i mieszkał teraz w Nowym Jorku. Steve powiedział kolegom, że mogliby tam razem pojechać na weekend i zatrzymać się w mieszkaniu ojca, kiedy tylko zechcą. Powiedział, że ojciec ma fajną kawalerkę, co bardzo podekscytowało kolegów.

Kolega Steve'a z klasy w Exeter, Jared Barclay, był z Bostonu, ale jego rodzice mieszkali przez część roku w Londynie i w Szwajcarii. Ojciec był bankierem inwestycyjnym dla prywatnych klientów, a matka prawniczką antymonopolową. Wzięła dwuletni urlop naukowy, żeby napisać książkę. Kolega Steve'a był jedynakiem, tak jak Max.

Andy Peterson pochodził z Teksasu. Jego rodzina to właściciele Peterson Oil, a on był

najstarszym z czwórki dzieci.

Stanowili grupę inteligentnych, zamożnych dzieci i wszyscy mieli najlepsze stopnie w szkołach średnich, bo inaczej nie byłoby ich tutaj.

– Jestem z Nowego Jorku, żadnych braci, żadnych sióstr. Mój ojciec jest hurtownikiem diamentów, ale ja nie chcę nim być, kiedy ukończę studia – powiedział Max, a pozostali się roześmiali. – Ojciec jest Austriakiem z Wiednia, matka jest z Paryża. Przyjechali do Stanów po wojnie. – Na chwilę zapadła cisza, zaczęli rozumieć. Jeśli ktoś nazywa się Stein, a jego rodzice przybyli do Ameryki po wojnie, mogło się z nimi dziać coś bardzo złego, ale nikt nie śmiał zapytać. Max postanowił zapelnić białe plamy. – Spotkali się w Buchenwaldzie, w obozie koncentracyjnym.

– No, to musiało być trudne – powiedział Steve, wywarło to na nim wrażenie. – Mówią, jak tam było? – Tym razem przeważała w nim ciekawość.

– Nigdy. Więcej dowiedziałem się w szkole niż od nich. Oboje stracili całe rodziny, są jedynymi, którzy przeżyli. Spotkali się i zakochali w obozie. Po wojnie przyjechali do Stanów. – W jego ustach zabrzmiało to łatwiej, niż naprawdę było. Wiele razy widział tatuaże na ramionach rodziców i przyzwyczał się do tego. – Rodzina mojego ojca to byli bankierzy w Austrii. Handlem diamentami zajął się tutaj.

– Interesujące – powiedział Steve. – Mój ojciec kupuje marną ziemię w całym kraju i sprzedaje ją pod centra handlowe. To coś nowego i zyskownego. Ziemia jest wszędzie, w Oklahomie, w Arkansas, na południu, w Teksasie. Wszędzie, gdzie jest dużo ziemi, kupuje ją tanio i sprzedaje pod centra. Mówi, że to powiew przyszłości. Ja też nie chcę tego robić po ukończeniu studiów. Znacznie bardziej pociąga mnie Wall Street.

– Nie mogę się zdecydować, co wybrać, ekonomię czy prawo, ale chyba mamy czas, żeby coś wykombinować – dodał Jared. – A skoro mowa o studiach, gdzie tu są jakieś dziewczyny? – Uśmiechnął się, a inni roześmiali się głośno.

– W Radcliffe! – zawołali jednym głosem.

– Tak, pieprzyć studia magisterskie – powiedział Andy. – Dokąd pójdziemy, żeby spotkać dziewczyny?

Czterej chłopcy świetnie się czuli w swoim towarzystwie i nikomu nie przeszkadzało, że Max jest Żydem. To było nieistotne. Uważali, że to, co powiedział o rodzicach, było interesujące. Nie wyglądał na Żyda, ale i tak było im to obojętne. Wszyscy byli przystojni i nie mogli się doczekać, kiedy zacznie się ich życie akademickie oraz związane z nim rozrywki.

Steve i Max byli w jednej grupie. Odkryli to, gdy porównali plany zajęć. Andy powiedział, że ma zamiar wybrać nauki przyrodnicze, kiedy przyjdzie czas na podjęcie decyzji. Myślał o medycynie, ale nie był jeszcze pewien. Nie interesował go biznes naftowy. Żaden z nich nie chciał iść w ślady swojego ojca.

Marzyli o własnych zwycięstwach i własnych drogach życiowych.

Ich pierwsze tygodnie na uniwersytecie były trudne. Nie byli przyzwyczajeni do tak ciężkiej pracy. Mieli mnóstwo zadań domowych i ćwiczeń. Dwaj chłopcy, którzy przyszli ze szkół z internatem, byli lepiej przygotowani, ale nawet oni musieli starać się, żeby ze wszystkim zdążyć. Wieczorami jedli razem kolację i szli do biblioteki, żeby popracować nad swoimi zadaniami. W ich grupach były dziewczęta, ale w pierwszych tygodniach nauki chłopcy nie mieli czasu na randki.

Andy pierwszy zaprosił dziewczynę na spacer. Spotkał ją w bibliotece. Koledzy bezlitośnie z niego drwili, kiedy przyszedł, żeby zabrać ją na pierwszą randkę. Ale gdy wrócił, oświadczył, że to niewypał. Steve spotkał w jednej ze swoich grup dziewczynę, która mu się spodobała, ale powiedziała, że ma w domu chłopaka i chce mu dochować wierności. Życie

studenckie nie było tak owocne w romanse, jak się spodziewali. Sprawa była poważna, szczególnie na takiej uczelni, jak Uniwersytet Harvarda.

Kiedy rodzice przyjechali w październiku, Max miał trzy tróje z prac i sprawdzianu. Zdał sobie sprawę, że musi pracować jeszcze ciężiej. Profesorowie byli nieustępliwi i wysoko stawiali poprzeczkę. Ale to było to, czego Max pragnął, a Jakob i Emmanuelle przyznali, że ich syn wygląda na szczęśliwego i lubi swoich kolegów.

Tydzień po weekendzie odwiedzin, na który przyjechali tylko rodzice Maksa i ojciec Steve'a, cała czwórka wybrała się do nowojorskiego mieszkania ojca Steve'a. Nie było go w mieście, a Max nie powiedział rodzicom, że przyjedzie, bo byłoby im smutno, że ich nie odwiedził.

Mieli weekend pełen wrażeń. Steve znalazł kolegę z Exeter, który studiował na uniwersytecie Columbia. Odwiedzili go w kampusie i poszli z nim na przyjęcie. Ojciec Steve'a przyjechał późnym wieczorem w sobotę i był w domu, kiedy wrócili. Dał każdemu po piwie i opowiedział o ziemi, którą właśnie kupił w Arkansas pod centrum handlowe. Maksa interesowało wszystko, co mówił. Chciał powtórzyć to swojemu ojcu.

W niedzielę po południu wsiedli w pociąg do Bostonu i późnym wieczorem skończyli swoje zadania domowe. Następnego dnia rano, kiedy szli na zajęcia, wszyscy wyglądali na zmęczonych.

Do Święta Dziękczynienia stali się nierozłącznymi przyjaciółmi i wszędzie chodzili razem. Max poprawił oceny i zaczął dostawać czwórki. Przez jakiś czas piątki wydawały się poza ich zasięgiem, chociaż Steve'owi raz udało się dostać bardzo dobry. Najlepsze stopnie miał Jared, ale on uczył się przez większość weekendów, zamiast spotykać się z dziewczynami, a to pozostałym wydawało się wysoką ceną za dobre stopnie. Max chciał więcej się bawić, a nie spędzać cały weekend w bibliotece.

Był szczęśliwy, kiedy na Święto Dziękczynienia wrócił do domu, do rodziców, a oni też byli podekscytowani, że znów jest z nimi, chociaż tylko na cztery dni. Zaraz poszedł spotkać się z kolegami ze szkoły średniej, którzy też przyjechali do domu. Jedni poszli do City College, inni do szkół stanowych. Kilku uczyło się na dobrych uniwersytetach poza stanem, dwóch studiowało na uniwersytetach żydowskich. Był jedynym, który studiował na uczelni z Ivy League, naśmiewali się więc trochę z niego, ale i tak dobrze było się z nimi spotkać. Następnego dnia usiadł z rodzicami do tradycyjnego obiadu świątecznego. Ugotowała go matka. Z biegiem lat została prawdziwą ekspertką w kolacjach na Święto Dziękczynienia. Max opowiedział Jakobowi o spotkaniu z ojcem Steve'a, który na Środkowym i Południowym Zachodzie kupował ziemię pod centra handlowe.

– Najwyraźniej kupuje te działki za psie pieniądze, buduje na nich centra handlowe, a potem je sprzedaje. Mówi, że to nie jest skomplikowane, a dochód jest fantastyczny. Może to coś dla ciebie – powiedział Max. Wyglądał na podekscytowanego. Jakob uśmiechnął się do syna. Max przestawał z milionerami, którzy mieli specyficzne pomysły. Jakob nie wiedział, jakie są ceny ziemi w Oklahomie i Arkansas i nie chciał tracić pieniędzy na nieudany interes. – Powinieneś się temu przyjrzeć, tato. To się może okazać znacznie bardziej zyskowne niż kupowanie kamienic, których i tak nie sprzedajesz. Tamto to znacznie wyższa półka, szybsze obroty i wielkie pieniądze, jeśli sądzić z tego, co mówił. – Max tryskał entuzjazmem, a Jakob był rozbawiony. Chłopak zaliczył trzy miesiące uczelni i już miał dla niego pomysły na inwestycje. Najwyraźniej trafił na właściwy wydział i miał zamiłowanie do biznesu. Kiedy ukończy studia, będzie chciał dokonać czegoś wielkiego.

– Sprawdzę – obiecał, a Emmanuelle zbeształa go, kiedy poszli do łóżka.

– Nie rób z osiemnastoletniego syna doradcy inwestycyjnego – powiedziała – bo w ciągu

roku zbankrutujemy. – Właśnie takich projektów nie znosiła, w dziedzinie, o której nic nie wiedzieli i do tego dysponowali jedynie przypuszczeniami. Kupowanie domów mieszkalnych w sąsiedztwie, na Lower East Side, było znacznie bezpieczniejsze, nawet jeśli zysk nie był duży. Im większe ryzyko, tym większy zysk, ale i wiele minusów, które są z tym związane. Jakob wiedział, że Emmanuelle przyjmie to z dezaprobatą i nie był zaskoczony.

Ale gdy weekend upłynął, zadzwonił do Lenny'ego, znajomego, dobrze prosperującego przedsiębiorcy budowlanego i inwestora, i zapytał go o zdanie, mówiąc że to pomysł syna. Lenny kupił kilka bardzo drogich kamieni od Izziego, a Jakob ufał jego radom. Poza tym zrealizował kilka bardzo dochodowych transakcji i centra handlowe były jakby dla niego stworzone.

– To mądry chłopiec – powiedział Jakobowi Lenny. – W dzisiejszych czasach właśnie tam są pieniądze. Uważa się, że to ryzykowne, ale to nieprawda. Czy bardzo można się pomylić na marnej ziemi ornej, kupionej za psie pieniądze, na której postawi się centrum handlowe z dużym zyskiem? Sam kupiłem coś takiego w ubiegłym roku. To mała kopalnia złota. Pół roku później sprzedałem to i podwoiłem pieniądze, a budowa jest prosta i łatwa: lejesz beton i czary-mary, sześć tygodni później masz centrum handlowe. Może to nie jest aż tak proste, ale wygląda na to, że twojego chłopaka czeka znakomita przyszłość w branży zagospodarowywania terenu.

– Zajmuje się tym ojciec jego kolegi z akademika, a Max jest podekscytowany tym, co usłyszał. Jak myślisz, powinienem w coś takiego zainwestować? – Jakob ufał radom Lenny'ego.

– W twojej sytuacji? Tak, do licha. Jestem pewien, że masz wystarczająco dużo zabezpieczeń, żeby zaryzykować, a ryzyka w końcu nie ma zbyt wiele. Coś ci powiem, kiedy w najbliższym czasie dowiem się o czymś, co mi się spodoba, zadzwonię do ciebie. Wtedy będziesz mógł zdecydować. Twój syn trafił na właściwe tory. To genialny dzieciak. – Jakob był zachwycony, że Max wyłowił coś, co potencjalnie może być bardzo zyskowne, chociaż nadal nie wiedział, czy ma się tym zająć. Jego mieszkania były inwestycją bezpieczniejszą, chociaż nie dawały zysku, póki się ich nie sprzeda, a jeszcze tego nie zrobił. Czekał, aż ranga dzielnicy pójdzie bardziej w górę. Centra handlowe dawały zysk znacznie szybciej, sądząc z tego, co powiedział mu jego przyjaciel Lenny.

Zakładał, że Lenny odezwie się za parę miesięcy i był zaskoczony, gdy Lenny zadzwonił po dwóch tygodniach.

– Właśnie dowiedziałem się o interesie na centrum handlowym. Rozmawialiśmy o tym. To w Kansas City, niedaleko modnego przedmieścia Wichita. Wydaje mi się, że to niezły biznes, osobiście znam przedsiębiorcę. Szuka inwestorów. Sam chcę wyłożyć trochę gotówki. Prawdziwe pieniądze płyną, jeśli robisz coś bez współników, ale wtedy ryzyko jest wyższe. – Tak samo jak przy kupowaniu diamentów. Lenny powiedział Jakobowi, o jakie sumy chodzi, a Jakob mógł sobie na nie pozwolić, bez konieczności sprzedawania któregoś ze swoich domów. To był dobry sprawdzian rynku. Portfel inwestycji Izziego był konserwatywny i mocny. Dawał zyski. Jakob mógł się odważyć na niewielką spekulację, a nawet na znacznie większą, chociaż z natury nie był ryzykantem.

– W porządku, wchodzę w to – powiedział. Lenny dodał, że kazał już przedsiębiorcy przysłać prospekt i wszelkie papiery.

Tydzień później Jakob przekazał pieniądze głównemu inwestorowi. Powiedziano mu, że inwestycja nie zwróci się wcześniej niż za pół roku, może rok. Mieli nadzieję na czterokrotne przebicie, co Jakobowi bardzo się podobało. Powiedział o tym Maksowi, kiedy syn przyjechał na zimową przerwę. Chłopak ucieszył się, kiedy to usłyszał i wręcz przeszedł go dreszcz emocji, że ojciec zastosował się do jego rady.

– Fajnie, tato – rzucił lekko Max, ale poczuł się bardzo dorosły, wiedząc, że daje ojcu

porady inwestycyjne. Właśnie skończył dziewiętnaście lat. Uwielbiał swoją uczelnię i ostatnio spotkał dziewczynę, która mu się spodobała. Niby nic poważnego, ale była mądra i piękna, a on zabrał ją na kolację i do kina. Pochodziła z Atlanty, na Boże Narodzenie pojechała do domu. Max spotykał ludzi z całego kraju i z całego świata, latem miał zamiar wyruszyć do Europy ze Steve'em MacMillanem, którego ojciec wynajmował willę na południu Francji. Chłopcy chcieli zwiedzić różne kraje. Max powiedział o tym ojcu, a Jakob zmarszczył brwi.

– Dlaczego nie jeździecie z mamą do Europy? – Pytał o to już wcześniej, ale nie dostawał jasnej odpowiedzi. Wszyscy, których Max poznał na uniwersytecie, byli w Europie wiele razy, ale on jeszcze tam nie był, co było o tyle dziwne, że rodzice stamtąd pochodzili.

– To nie jest dla nas miejsce odpoczynku. To nasza przeszłość i to bardzo dla nas obojga bolesna. Rozumiem, dlaczego chcesz się tam wybrać, jest tam wiele pięknych miast o wspaniałej historii. Ale myślę, że matce powrót zламаłby serce. Ja też nie jestem na to gotów. – Nigdy dotąd nie rozmawiał z Maksem tak szczerze, ale chłopiec był teraz dorosły, a przynajmniej bliski dorosłości.

– Nawet tyle lat po tamtych sprawach? – zapytał cicho Max, a Jakob skinął głową.

– Takie wspomnienia nigdy się nie zacierają i wydaje mi się, że pobyt w miastach, gdzie to się zaczęło, sprowadziłyby je z powrotem. Twoja matka miała koszmary wiele lat po wszystkim. – Max widział ich bliźny, był do nich przyzwyczajony, ale dotyczyło to bliźn fizycznych. Tych innych nie było widać i nie można ich było zmierzyć, zwłaszcza kiedy się było tak młodym.

Nie naciskał. Zjadł z rodzicami kilka obiadów, kiedy był na święta w Nowym Jorku. Poza tym wychodził na miasto z przyjaciółmi. Jakob nie mówił Emmanuelle o inwestycjach w Kansas, dopóki Max nie wyjechał. Zapomniał o tym z radości, że syn jest w domu. Kiedy w mieszkaniu znów zapanowała cisza, powiedział jej pewnego wieczoru, przy kolacji, że zainwestował w ziemię pod budowę centrum handlowego. Przeraziło ją to.

– Po co to zrobiłeś? Nawet nie wiesz, jak ta działka wygląda ani gdzie jest. Co wiesz o Kansas? To wyrzucanie pieniędzy na ślepo. – Jakob uśmiechnął się. – Dlaczego się uśmiechasz?

– Przynajmniej już nie mówisz, że Rosjanie zrzucą bombę na Nowy Jork albo że skończymy w obozie w New Jersey i stracimy firmę.

– To też – powiedziała naburmuszona i traktowała go chłodno przez dwa dni. Rozumiała jednak, że mogą zarobić czterokrotną wartość zainwestowanych pieniędzy i że nie wydał na to zbyt wiele. To był raczej eksperyment, badanie gruntu. W końcu zawsze mu wybaczała i spodziewał się, że i tym razem tak będzie. Nie znośiła, kiedy coś robił po swojemu, a on o tym wiedział. Już go to nie martwiło ani nie powstrzymywało. Był mądrym biznesmenem i pracował dla nich, o czym Emmanuelle wiedziała.

Z Maksem rozmawiali kilka razy w tygodniu. Chłopak często dzwonił z college'u. Na wiosenne wakacje pojechał z kolegami na Florydę, więc się z nim nie zobaczyli. W końcu zgodzili się, żeby latem pojechał do Europy. Nie mogli go przed tym powstrzymać, a Max się przy tym upierał. Matce nie podobał się ten pomysł, ale Jakob ją przekonał. Powiedział, że nie chce, żeby Max unikał Europy przez resztę życia ze względu na ich wojenne przeżycia. To po prostu nie byłoby wobec niego w porządku. Emmanuelle w końcu ustąpiła. Sama zaczęła myśleć o Paryżu i na parę dni zrobiła się nostalgiczna. Puściła kilka starych, francuskich płyt, które kiedyś kupiła w sklepie z używanymi rzeczami i potem prawie ich nie słuchała. Były tam piosenki o Paryżu, za którym tęskniła, tak jak Jakob tęsknił za Wiedniem i wszystkim, co w nim kochał. To było takie piękne, eleganckie miasto, zanim zajęli je naziści i cały świat się zawałił.

Max przed wyjazdem do Europy przyjechał na trzy tygodnie. Nie mogli się go doczekać. Stopnie za semestr miał dobre, udało mu się też umówić na randki z paroma dziewczynami,

choć na żadnej specjalnie mu nie zależało. Miał nadzieję, że zaliczy kilka pięknych Europejek, może na południu Francji. Chłopców podniecała myśl o podróży, a Max był wdzięczny rodzicom, że się na nią zgodzili, bo wiedział, co to dla nich znaczy. Ale myślał, że lepiej ich zrozumie, jeśli pozna miasta, w których się wychowywali. Chłopcy mieli też zamiar pojechać do Hiszpanii, Włoch i do Londynu, jeśli starczy im czasu. Steve widział już to wszystko, ale nigdy sam, zawsze jeździł tam z jednym ze swoich rodziców. Podróż była dla obu symbolem niezależności.

Na dwa dni przed przyjazdem Maksa na lato po ukończeniu pierwszego roku studiów, Lenny zadzwonił do biura Jakoba, żeby poinformować go o inwestycji na działce w Kansas, przeznaczonej pod centrum handlowe.

– Pomyślałem, że chciałbyś się dowiedzieć, jak nam poszło – powiedział tajemniczym tonem, którego Jakob nie potrafił przejrzeć. – Rzekłbym, że nieźle. Najwyraźniej ta działka na przedmieściu była wybrana doskonale. Przebicie jest dziesięciokrotne, Jakobie. Jak ci się to podoba? – Jakob na chwilę oniemiał, nie był w stanie odpowiedzieć, dopiero trawił informację. – Sprzedali to w komplecie japońskiej firmie, która szukała posiadłości w Stanach.

– Dobry Boże – powiedział Jakob z uśmiechem. – Szczęście początkującego! – Nie mógł się doczekać, kiedy powie o tym Maksowi i Emmanuelle. I nie musiał niczego sprzedawać, żeby zrobić interes. Gdyby zainwestował znacznie większą sumę, zysk byłby większy.

– Facet, z którym inwestowaliśmy, to porządny gość. Za parę miesięcy ma zamiar prowadzić interesy w New Jersey i w Luizjanie. Dołączę do niego w obu przypadkach. Daj znać, jeśli będzie cię to interesować. Cena początkowa jest nieco większa, ale wskaźnik zysku powinien być jeszcze lepszy, inwestorów mniej, a lokalizacje są doskonałe.

– Chyba zrobię to jeszcze raz. – Jakob niemal doznał zawrotu głowy z zadowolenia, kiedy odłożył słuchawkę. Wieczorem opowiedział wszystko Emmanuelle, a ona łaskawie przyznała, że się myliła.

– To dlatego ty jesteś w naszej rodzinie biznesmenem, a nie ja. Nie mam do tego smykałki ani zrozumienia.

– Dziękuję za zaufanie – powiedział uprzejmie.

– Wcale ci nie ufałam – przypomniała. Jakob roześmiał się.

– Myślę, że to Max będzie już wkrótce biznesmenem w naszej rodzinie. To był jego pomysł, nie mój, przynajmniej teoria była jego. Zadzwoniłem w tej sprawie do klienta, przedsiębiorcy budowlanego, a on powiedział mi, że to przyszłość inwestycji w nieruchomościach i że to tam już teraz są pieniądze, wszedłem więc w to, a wynik był bardzo dobry. – Uśmiechnęła się, a on ją pocałował. Kiedy Max przyjechał do domu, Jakob opowiedział mu o wszystkim i podziękował za dobrą radę.

– Z tego żyje ojciec Steve'a, zarobił na tym fortunę. Tylko nie szalej, tato, bo zaczniesz budować centra handlowe w całym kraju. Ale jestem pewien, że gdybyś sprzedał swoje kamienice, które masz w okolicy, mógłbyś te pieniądze zainwestować i zysk byłby większy. – Jakob uśmiechnął się. Z syna już wyrósł biznesmen, chłopak nagle wydoroślał. Ale Max nie powiedział ojcu, że do wyprawy po Europie doszedł jeszcze jeden cel, istotny dla niego. To była pielgrzymka i Max uznał, że musi tam pojechać, a Steve zgodził się mu towarzyszyć. Max postanowił, że o wszystkim powie rodzicom dopiero wtedy, kiedy wróci.

Pieniądze z inwestycji trafiły do rąk Jakoba po dwóch tygodniach. Dołożył się do projektu w New Jersey, ale z Luizjany zrezygnował. Tym razem inwestorów było mniej, tak jak powiedział Lenny, który też brał w tym udział. Zysków spodziewali się pod koniec roku. Były to inwestycje krótkoterminowe z dużym zyskiem, obciążone jednak pewnym ryzykiem, ale Jakob mógł sobie na nie pozwolić. Był podniecony i zadowolony z tego, co mu się do tej pory udało.

Po wyjeździe Maksa w domu znów zapanowała cisza. Teraz się już do niej przyzwyczaili. Kiedy Max był z nimi, mieszkanie ożywało, a ich życie robiło się barwniejsze. W czasie pracy Jakob spotykał się z wieloma ludźmi, samymi mężczyznami, i dni miał wypełnione, ale całe życie Emmanuelle kręciło się wokół męża i syna. Zaprzyjaźniła się z kilkoma matkami ze szkoły Maksa, lecz odkąd syn pojechał na studia, już się z nimi nie widywała. Przez wszystkie te lata, kiedy mieszkali w Ameryce, jej najlepszym przyjacielem był Jakob, a Max całym jej życiem.

Max obiecał, że kiedy wróci z Europy, zanim pojedzie na uczelnię, kilka tygodni spędzi w domu. Przyrzekł też, że będzie z nimi w kontakcie podczas podróży po Europie, żeby się nie martwili. Chłopcy mieli zacząć od Paryża i Emmanuelle była tym podekscytowana, chociaż z pewną goryczą myślała o tym, że syn odwiedzi miasto, w którym dorastała, a jej z nim nie będzie. Nie mogła się jednak zdobyć na wyjazd. Dała Maksowi listę miejsc, które były jej bliskie, a on zapewnił, że wszystkie odwiedzi. Jakob zrobił to samo co do Wiednia. Na jego liście był także dom, w którym mieszkał wraz z rodziną, kiedy dorastał i kiedy miał dokładnie tyle lat, ile Max miał teraz. Emmanuelle i Jakob nie rozmawiali o tym z sobą, ale miało to dla nich wielkie znaczenie. W pewnym sensie Max miał iść ich śladami po piaskach czasu i zostawić tam własne ślady. Dla niego był to rytuał przejścia. Rodzice byli wzruszeni, chociaż tego nie okazywali. Z tymi miastami związane było tyle bolesnych wspomnień, że trudno im było ująć to w słowa.

Wycieczka do Paryża była dla Maksa czymś więcej, niż mógł sobie wymarzyć albo na co mógł liczyć. Zamieszkali w małym, studenckim hostelu na Rive Gauche. Chłopak miał w kieszeni spisana przez matkę listę ważnych miejsc, ale najpierw, razem ze Steve'em, obejrzeni standardowe turystyczne atrakcje. Przeszli się bulwarem Saint-Germain, napili się kawy w Les Deux Magots. Poszli do Notre Dame i Sacré Coeur, skąd obejrzeni miasto. Zwiedzili Luwr, zobaczyli Grand Palais i obeszlili Palais-Royal. Zwiedzali kościoły i mniejsze muzea, poszli do Tuileries, Bagatelle i Łasku Bulońskiego. Stanęli na Trocadéro z wieżą Eiffla na wprost nich. Wjechali na wieżę Eiffla, żeby mieć lepszy widok. Zwiedzanie wszystkiego zajęło im trzy dni. Popłynęli Sekwaną statkiem spacerowym, żeby podziwiać mosty i pomniki. Zobaczyli zmianę warty z udziałem orkiestry wojskowej przed Grobem Nieznanego Żołnierza z pierwszej wojny światowej, co odbywało się codziennie pod Łukiem Triumfalnym. Jedli makaroniki w Ladurée.

Potem zaczęli zwiedzanie według listy matki Maksa. Chłopak stanął przed liceum, do którego chodziła i patrzył, jak uczniowie w jasnoniebieskich bluzkach wychodzą ze szkoły. Wyobrażał sobie matkę jako dziecko. Poszedł do Berthillon na lody, do parku, w którym matka się bawiła, na karuzelę, którą uwielbiała, do bistro, do którego babcia zabierała matkę z ciotką na kolacje, gdy była specjalna okazja. Poszedł do jej ulubionego muzeum Jeu de Paume, a na koniec stanął przed domem, w którym mieszkała i zastanawiał się, czy ludzie, którzy zabrali mieszkanie babki, nadal tam mieszkają. Opowiadała mu o tym ze łzami w oczach. Jeszcze nigdy tak bardzo się przed nim nie otworzyła. To dało mu wgląd w jej życie i wtedy pojął, dlaczego przez cały czas tak bardzo bała się katastrofy. Kiedy miała osiemnaście lat, cały jej świat runął. Z tego trudno się było wyzwolić, a Max był już wystarczająco dorosły, żeby to zrozumieć.

Podziwiał klasyczne piękno Paryża i jego historię. Dzięki matce czuł instynktowną więź z tym miastem, gdyż w połowie był Francuzem. Po raz pierwszy poczuł swój związek z Francją, zwłaszcza że mówił płynną francuszczyzną i podczas wycieczki służył Steve'owi pomocą jako tłumacz. Max był do szpiku kości Amerykaninem, ale jakaś jego część stała się teraz francuska.

Przeszedł przez Place de la Concorde i kilkanaście mniejszych placów, podziwiał rzeźby w parkach, stał na Polach Elizejskich i patrzył na Łuk Triumfalny na ich końcu, z powiewającą francuską flagą na szczycie. Potem wędrował Avenue Foch, z pięknymi budynkami z epoki napoleońskiej, i patrzył na ludzi, którzy tam mieszkali i wyprowadzali psy na spacer. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić życia w tak pięknym mieście, on, który mieszkał na Lower East Side na Manhattanie, zniszczonym, zatłoczonym, hałaśliwym i brudnym, pozbawionym wszelkiego uroku. I nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jego matka musiała tęsknić za pięknem miejsca, w którym dorastała, za językiem, obyczajami i tradycją. Nigdy jeszcze nie widział tak pięknego nieba. Wyglądało jak namalowane nad elegancką architekturą i pomnikami Paryża. Paryż był niemal zbyt doskonały, żeby być prawdziwy. Ich wizyta była pełna sensu i na tyle długa, żeby się zabawić, wyjść wieczorem na miasto i rozmawiać po francusku ze spotkanymi dziewczynami. Max był tłumaczem Steve'a, jeśli chodzi o dziewczyny, ale przede wszystkim uwielbiał oglądać miejsca z dzieciństwa matki. Steve chodził z nim prawie wszędzie i zachowywał szacunek, kiedy Max milkł, zbyt wzruszony, żeby się odezwać, tak jak to było przed kamienicą, w której mieszkała jego matka ze swoją matką i siostrą. Wycieczka do Paryża była udana z każdego punktu widzenia i dała więcej, niż Max się spodziewał.

W Paryżu wsiedli do pociągu do Barcelony i Madrytu, zwiedzili tam wszystkie muzea i kościoły, jedli kolację o północy, oglądali cygański taniec flamenco, rozmawiali nieudolnie po

hiszpańsku z miejscowymi dziewczynami i bawiło ich, że z pasją, która niosła młodość, robią z siebie durniów, czasem odnosząc u nich niespodziewany sukces.

Do kolejnego punktu podróży trudniej było dojechać, ale było to dla Maksa miejsce ważne. Zwiedzili Berlin Zachodni i Monachium, chodzili do ogródków piwnych i kolejnych muzeów, niektóre dzielnice Berlina przypominały Maksowi Paryż. Ostatnie miejsce w Niemczech znajdowało się w górach. Max milczał w pociągu, gdy tam jechali i zastanawiał się, czy zwiedzanie tego punktu programu nie było koszmarną pomyłką, wpychaniem się w tę część życia rodziców, której nie chcieli mu pokazać i albo o niej nie mówili, albo mówili bardzo mało. Instynktownie nie powiedział im, że się tam wybiera. Gdy się zbliżali, czuł, że brakuje mu tchu. Steve dostrzegł dziwny wyraz twarzy Maksa.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiedział Max. Nie wyjaśnił, dlaczego tam jadą, ale Steve wydedukował to z jego słów i zgodził się mu towarzyszyć. Z ciekawości, ale też żeby moralnie wesprzeć przyjaciela.

Na dworcu wzięli taksówkę i gdy dojechali do celu, poprosili taksówkarza, żeby na nich poczekał. Max wszedł przez bramę, Steve kroczył za nim bez słowa. Napisy po angielsku, francusku, rosyjsku i niemiecku głosiły: „Buchenwald”, i objaśniały, że większa część obozu została zniszczona w latach pięćdziesiątych, ale zachowało się krematorium, lazaret i wieże strażnicze. Na fotografiach baraków napisy objaśniały, że były to stajnie dla osiemdziesięciu koni, które mieściły po tysiąc dwustu więźniów, po pięciu na prycze, z jedną ubikacją na tysiąc ludzi. Napisano też, że w obozie naziści więzili dwieście trzydzieści osiem tysięcy ludzi, głównie Żydów różnych narodowości, deportowanych z ich krajów. Nad rowami, w których chowano zwłoki, stał pomnik. Zginęło pięćdziesiąt sześć tysięcy uwięzionych. Sama myśl, same liczby porażały. Chłopcy nie odezwali się ani słowem po przeczytaniu napisów.

Max i Steve podeszli w milczeniu do pomnika i stali tam długo. Do Maksa dotarło, że troje z jego dziadków, czworo pradziadków i trzy ciotki, które wtedy były dziećmi, zginęło tutaj, a on stoi nad ich grobem. To nie było tylko miejsce, w którym spotkali się jego rodzice. Tutaj ich życie zmieniło się na zawsze, tutaj zginęły ich rodziny, a cywilizacja i ludzkość zniknęły w mroku.

Przez dłuższy czas stali bez słowa, potem poszli do krematorium, gdzie palono kobiety, dzieci, starców i mężczyzn w sile wieku. Max płakał i nie krył tego, a Steve objął go ramieniem. Wiedzieli, że po wizycie tutaj ich życie nie będzie już takie samo. To miejsce powiedziało Maksowi wszystko to o rodzicach, czego sami nie chcieli mu mówić. Tu nie wydarzyła się zwyczajna tragedia, lecz horror o tak wielkich rozmiarach, że normalny umysł nie był w stanie tego przyjąć. Jedni ludzie postanowili wyeliminować innych w okrutny sposób, stosując ludobójcze metody na ogromną skalę. Ale nawet to nie stanowi wyjaśnienia, kiedy pomyśli się o zabijanych małych dzieciach, o niewinnych ludziach, którym bez skrupułów odbierano życie.

W końcu wrócili tą samą drogą, którą przyszli, a Max zastanawiał się, ile razy jego rodzice chodzili tędy zagrożeni śmiercią i biciem, po którym zostały blizny, jakie widział na ich ciałach i jak dotąd niezbyt przywiązywał do nich wagę. Było aż nazbyt jasne, co się z nimi działo.

Teraz było tu miejsce pamięci i czci. Wstyd z nim związany został przekształcony w pomnik postawiony tym, którzy tutaj zmarli. Maksowi wydawało się cudem, że jego rodzice w ogóle przeżyli i nawzajem się odnaleźli. To była tajemnica, jak udało się ludziom przetrwać i hołd dla ludzkiego ducha, że byli tacy, którzy to przetrwali. Zobaczyli zdjęcia z wyzwolenia obozu przez Trzecią Armię. Max dokładnie się im przyjrzał, myśląc, że może zobaczy rodziców. Postacie podobne do trupów, stojące za drutem kolczastym, nie dawały się jednak rozróżnić. Max

wiedział, że ich nie rozpozna, nawet gdyby tam byli. Jeszcze raz spojrzął za siebie i wrócił ze Steve'em do taksówki. Taksówkarz nie odzywał się do nich w drodze powrotnej, wiedział, jak obóz wpływa na ludzi, którzy tu przyjechali. Zawsze było tak samo, a wielu odwiedzających straciło tutaj członków rodzin. Płacili mu, on zostawiał ich na stacji, oni wsiadali do najbliższego pociągu. Minęło dużo czasu, zanim Max znów się odezwał i spojrzął na przyjaciela.

– Dziękuję, że tu ze mną przyjechałeś. Niczego nie wiedziałem o swoich rodzicach, zanim tu nie przyjechałem – powiedział, ocierając łzy z policzków. – Nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego ani jak udało im się przetrwać. Zawsze myślałem, że mama jest trochę dziwna i nadopiekuńcza i że za bardzo się martwi. Teraz wiem, że jest święta, mój tato też taki jest. Jak to możliwe, że po czymś takim nie znienawidzili ludzi? Oboje tak kochają swoich bliźnich. – Żadne z nich nie było zgorzkniałe, a Max podziwiał ich teraz jeszcze bardziej. Steve też nie rozumiał tego, co właśnie zobaczyli. Obaj chcieli teraz tylko jak najszybciej wyjechać z Niemiec. Max rozumiał, dlaczego rodzice nie chcą tu wracać. Dobre wspomnienia nie były dość silne, by wyprzeć te złe, potworne, zbyt potężne, nawet dwadzieścia jeden lat później.

Wieczorem złapali pociąg do Wiednia i przybyli do pięknego miasta, które wyglądało jak mały klejnot. Architektura i pomniki były majestatyczne i wytworne. Dla Maksa był to koniec pielgrzymki. Poszedł we wszystkie miejsca, o których mówił mu ojciec, do banku, do jego domu, do opery, do ulubionych restauracji, ogrodów, miejsc, które Jakob uwielbiał jako chłopiec, a później jako młody mężczyzna. Stojąc przed ich wielkim, eleganckim domem rodzinnym, Max rozumiał, skąd pochodził ojciec, jak dramatycznie zmieniło się jego życie i jak wiele stracił. Jakob nie narzekał, nawet o tym nie mówił, nie był zgorzkniały, zawsze okazywał uprzejmość. Jego życie na Lower East Side było o cały wszechświat odległe od jego życia za młodych lat. Tylko zrządzenie losu i dobroć Izziego znów zmieniła dla niego bieg spraw, ale już nie odzyska tamtego swojego życia. Cały ten świat pełen elegancji, wielkiego bogactwa, uprzejmości został zniszczony.

Kiedy wyjeżdżali z Wiednia pociągiem do Włoch, Maksa bolało serce na myśl o ojcu. Atmosfera Wiednia zrobiła się dla niego zbyt ciężka. Pojechali do Wenecji z całym jej wdziękiem i kościołami, do Florencji z jej niesamowitą sztuką, do Rzymu z jego skrajnym szaleństwem i rozkoszami. Chłopcy świetnie się bawili, ale obaj wiedzieli, że nigdy nie zapomną tego, co widzieli w Niemczech i obozu w Buchenwaldzie. Max tamtego dnia dorósł i dowiedział się, kim byli jego rodzice. Teraz widział ich inaczej i wiedział, że tak już będzie zawsze.

Do wynajętej willi ojca Steve'a w Saint-Paul de Vence dotarli zmęczeni, ale szczęśliwi. Szczególnie dla Maksa podróż była czymś nadzwyczajnym, ale Steve'owi też się podobała. Umocniła ich przyjaźń, a Max cieszył się, że nie był sam.

Spędzili dwa tygodnie z ojcem Steve'a i bawili się doskonale. Chodzili do nocnych klubów w Monako i w Cannes, na kolacje w Saint-Paul de Vence i w Antibes, pływali w Morzu Śródziemnym i w basenie hotelu Cap-Eden-Roc, spędzili jeden dzień na jachcie przyjaciela. To była najbardziej niezwykła wycieczka w życiu Maksa.

Steve został z ojcem we Francji jeszcze na kilka tygodni przed rozpoczęciem zajęć, a Max poleciał do Nowego Jorku. Była sobota i rodzice byli w domu, kiedy o szóstej wieczór wszedł do mieszkania. Wiedzieli, że tego dnia ma wrócić, ale nie wiedzieli, o której. Max podszedł do matki i uścisnął ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać, a łzy spływały mu po policzkach z miłości do niej i wszystkiego, czego wcześniej nie rozumiał.

– Miło widzieć, że tak się czujesz z powrotu. – Uśmiechnęła się do niego promiennie. – Czy było wspaniale? – Kiwnął głową i usiadł trzymając ją za rękę.

– Byliśmy tam, mamo – powiedział. Ojciec stał i przyglądał się im. Nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego Max jest taki smutny, skoro wycieczka z przyjacielem

poszła dobrze.

– W Paryżu? – zapytała zmieszana.

– Pojechaliśmy do Paryża i do Wiednia i byliśmy w wielu innych miejscach – odparł Max, spoglądając to na matkę, to na ojca. – Byłem wszędzie tam, gdzie oboje chcieliście. W Niemczech też byliśmy. – Gdy to mówił, Emmanuelle zmarszczyła brwi. – Pojechaliśmy do Buchenwaldu – powiedział cicho Max. Wydawało się, że całe powietrze ulotniło się z pokoju. Rodzice patrzyli na niego z przerażeniem.

– Czy nadal stoi nietknięty? – Ledwie mogła wypowiedzieć te słowa. Max jednym słowem przeniósł ją w przeszłość.

– Nie, tylko krematorium, lazaret, wieżyczki strażnicze i pomnik nad grobem. Resztę zburzono piętnaście lat temu. Ale są zdjęcia obozu i jego wyzwolenia. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek to zrozumiał, nie widząc tego miejsca. – Łzy spływały mu po policzkach, kiedy matka objęła go i mocno przycisnęła do siebie. Ona też płakała. Za siebie i za niego.

– Nie powinieneś tego widzieć ani nawet o tym wiedzieć – powiedziała ochryłym głosem, a Jakob usiadł po drugiej stronie Maksa i objął go.

– Owszem, powinienem. Jak udało się wam to przeżyć? Jak to się mogło zdarzyć? Teraz wiem, dlaczego zawsze się baliście, że będzie kolejna wojna albo że ludzie znów zaczną deportować Żydów. – Teraz wszystko nabrało sensu. Było to dla nich aż nazbyt realne i takie będzie zawsze. Jak mogło nie być?

– Nie będzie deportacji – powiedział ojciec stanowczo, silnym głosem.

– Mam nadzieję, że nie. Ale rozumiem wasz tok myślenia. Kiedy zobaczy się Paryż i Wiedeń, ich piękno, ich cywilizację, w której oboje żyliście, a potem tamto miejsce, do którego normalnych ludzi wsadzano jak zwierzęta, a potem zabijano, to jak można znów w coś uwierzyć?

– I czasem nie wierzymy – odezwał się Jakob za siebie i za żonę. – Ale to było skrzywienie, rządy złego motłochu, który przejął władzę. Świat nie pozwoli, żeby się powtórzyły. Jestem o tym przekonany i myślę, że twoja matka też tak sądzi.

– Czy ja wiem? – powiedziała cicho. – Ale to wszystko wymaga czasu. Czegoś takiego nigdy się nie zapomni. I nie powinniśmy zapominać. Świat musi pamiętać o tym, co się stało tam i we wszystkich obozach takich, jak Buchenwald. Ja po prostu nie chciałam tego więcej widzieć. Tak bardzo cię kocham – powiedziała, znów go obejmując. Uśmiechała się przez łzy.

– Cieszę się, że to zobaczyłem. Dobrze, że tam pojechaliśmy. – Po raz pierwszy w życiu chciał być Żydem i stanąć w obronie wszystkich ludzi, których tam dręczono i którzy zginęli. Ale jego też by zabito, gdyby żył w tamtych czasach.

Tamtęgo wieczoru wspólnie zjedli obiad i rozmawiali. Max opowiedział im o całej podróży. Podziwiał Wenecję, Barcelonę i Galerię Uffizi we Florencji, kochał Rzym i wszystko, co było w Paryżu, a szczególnie podobały mu się dziewczyny, które spotkał na południu Francji. Po tych słowach roześmiał się. Pocałował ich oboje i wcześniej poszedł spać. Kiedy poszedł do siebie, Jakob popatrzył na żonę z perspektywy ich wspomnień. Ich syn dorósł. Teraz był mężczyzną i dowiedział się całej prawdy o świecie i swoich rodzicach. Już nie był dzieckiem.

Drugi zakup ziemi, którego Jakob dokonał w New Jersey, okazał się znacznie zyskowniejszy niż pierwszy, w Kansas. Razem z Lennym zarobił na tym małą fortunę i kontynuował inwestowanie w budowę centrów handlowych w całym kraju. Max ukończył Uniwersytet Harvarda z wyróżnieniem. Jakob podwoił fortunę, którą zostawił mu Izzie, i poczuł, że jest gotów sprzedać kamienice. Mógł zarobić znacznie więcej na innych inwestycjach, a utrzymywanie kamienic przyprawiało o ból głowy. Deweloperzy mieli nadzieję, że uda im się podnieść poziom dzielnic, tak jak Jakob przewidywał. W ciągu roku sprzedał wszystkie swoje budynki na dolnym Manhattanie, nie licząc tego, w którym mieszkał i zarobił na tym mnóstwo pieniędzy. Rok po tym, jak Max ukończył studia, Jakob uczynił go współnikiem niektórych inwestycji. Był rok 1970. Jakob właśnie skończył pięćdziesiątkę. Był bardzo bogaty, miał więcej pieniędzy, niż Emmanuelle była w stanie pojąć. Nawet nie chciała o tym myśleć. Lubiła swoje proste życie, to, co robiła w biurze Jakoba i codzienną jazdę metrem do pracy. Wszystko poza tym denerwowało ją i nie chciała o niczym takim wiedzieć.

Max miał dwadzieścia cztery lata, ale już kupił mieszkanie w modnym budynku w Upper East Side, zamieszkanym przez młodych ludzi w jego wieku i starszych. Założył biuro, zatrudnił sekretarkę i zaczął inwestować za pieniądze, które zarobił na paru transakcjach dzięki Jakobowi. Ojciec podziwiał instynkt biznesowy syna i jego determinację, żeby zarobić, zainwestować i znów pomnożyć pieniądze. Jakob nie był pewien, jakie motywy kierują synem, ale Max wiedział. Nie chciał być tak biedny, jak jego rodzice, kiedy przyjechali do Nowego Jorku albo kiedy był małym dzieckiem. Gdyby nie pieniądze, które odziedziczyli po Izzie, nadal wiedliby skromne albo nawet biedne życie. A po wizycie ich śladami w Europie, Max zaczął trochę podzielać ich strach. A jeśli znów stracą wszystko? Chciał uzyskać pozycję finansową, która by to uniemożliwiła. Lubił kobiety i miał przyjaciół, ale ciągnęło go do ciężkiej pracy, interesów i gromadzenia fortuny, której nic i nikt by mu nie odebrał. Pamiętał, jak rodzice zaciskali pasa i oszczędzali przez całe jego dzieciństwo, jak zawsze martwili się o pieniądze i jak się bali. Pamiętał, że matka sama szyla ubrania, zamiast je kupować, pamiętał buty ze sklepów z używaną odzieżą, pamiętał, czego nie wolno było robić, wakacje, na które nie jeździli, stroje do baseballa i wyposażenie, na które nie mogli sobie pozwolić. Nie chciał, żeby znów go to dotknęło. Tak jak matka nie znosił ryzyka, nienawidził bycia biednym i nie chciał znów nim zostać.

A jednak jego ojciec, gdy dorastał, był bardzo bogaty, a po wojnie nic mu nie zostało. Teraz był zadowolony, że ma dużo pieniędzy w banku, ale wraz z żoną wiódł proste życie. Jego nowe bogactwo nie było prawie widoczne, nie licząc paru rzeczy, które czasem sobie kupował, jak dobre garnitury. Matka Maksa nada szyla sobie sama ubrania. Nie chciała wydawać pieniędzy na to, co mogła zrobić sama, na przykład na sprzątanie domu. Rodzice stanowili dziwny zlepek sprzeczności, ale Emmanuelle nosiła na co dzień pierścionek z dwudziestokaratowym brylantem bez skazy, żeby sprawić przyjemność Jakobowi, który go jej ofiarował. Zszyli swoje wspólne życie, jak kołdrę z patchworku w sposób, który im odpowiadał. Ale Max nie tego chciał. Pragnął wszystkiego, co najlepsze. Lubił na to zarabiać i był z tego dumny. Każda inwestycja uwieńczona sukcesem była dla niego zwycięstwem. A zarabianie pieniędzy było jak narkotyk. Nigdy nie miał ich dość.

Jego kolegów z college'u nie trawił taki ogień. Steve pracował wprawdzie dla ojca, ale lenił się, ile się dało. Ojciec za ukończenie studiów kupił mu ferrari i Steve przez cały czas uganiał się za kobietami. Odciągało go to od tego, co Max uważał za najważniejsze. Steve

marnował okazje, żeby zarobić tyle, co ojciec, ale nic sobie z tego nie robił. Nisko ustawił sobie poprzeczkę. Andy zdecydował się na medycynę, a jego rodzina miała tyle pieniędzy z ropy naftowej, że jego niskie zarobki nie miały znaczenia. Jared studiował prawo, ale nie szalał na tym punkcie i nie pasjonowały go problemy prawne. Zastanawiał się nad pracą związaną z ochroną środowiska naturalnego. Max był jedynym, który samodzielnie zarabiał duże pieniądze. Jego wytrwałość i skupienie się na dniu teraźniejszym martwiły rodziców, ale nikt nie mógł go powstrzymać, a on robił to, co chciał robić i był w tym dobry. Jakob uważał, że są w życiu sprawy ważniejsze i nie zależało mu na tym, by zostać najbogatszym człowiekiem na świecie. Miał dość pieniędzy, ale nadal inwestował i dobrze na tym zarabiał, chociaż nie były to inwestycje na monumentalną skalę. Uważał, że jest po prostu szczęściarzem, a czas spędzany z Emmanuelle był dla niego czymś znacznie cenniejszym. Ona także nigdy nie była zachłanna i chyba lubiła być biedna, a w każdym razie udawała, że taka jest. Jedyną oznaką bogactwa, na jaką sobie pozwalała, był pierścionek z brylantem na palcu. Bogactwo zawstydzalo ją, więc nie przyznawała się do niego i nadal udawała biedną.

Max kilka razy radził ojcu, żeby sprzedał firmę z diamentami. Już jej przecież nie potrzebował. I bez tego miał więcej, niż potrzeba inwestycji dających dochód. A w ogóle dlaczego nie miałby wcześniej przejść na emeryturę i skoncentrować się na portfelu posiadanych akcji, zamiast codziennie chodzić do pracy?

– Bo lubię swoją firmę – odpowiadał po prostu Jakob. – Pozwala twojej matce i mnie robić coś codziennie i mieć dokąd pójść. I sądzę, że byłby to brak szacunku dla Izziego, gdybym miał ją sprzedać. Zostawił mi wszystko, będę więc dalej ciągnął to, co on zaczął, tak jak robiłby jego syn. – Dla Maksa to w ogóle nie miało sensu. Miał już dwadzieścia siedem lat.

– Tato, na litość boską, on nie żyje od dwudziestu lat. Nie spodziewał się chyba, że przez całe życie będziesz prowadził jego interesy.

– A dlaczego nie? Co rok przynoszą pieniądze. Zyskaliśmy dobrą opinię. Rozwinęliśmy się, sprzedajemy kamienie kilku z najlepszych jubilerów na świecie. Nie zarabia się na tym tyle, ile na spekulacji nieruchomościami. Ale nie wszystko, co robię, musi przynosić fortunę. Twoja matka i ja mamy więcej, niż trzeba, reszta będzie dla ciebie. A ty zarabiasz więcej, niż ja w życiu marzyłem. Gdzie tu jest granica? Ile jest w sam raz?

– Jeszcze tego nie obliczyłem – powiedział poważnie Max. – Dam ci znać, kiedy się zorientuję.

– Twoja matka ma nadzieję, że pewnego dnia się ustatkujesz. Nadal jesteś młody, nie musisz się więc o to martwić. Ale kiedyś spotkasz dziewczynę, na której punkcie oszalejesz i będziesz chciał mieć żonę i rodzinę. Z nimi też będziesz musiał spędzać czas.

– Właśnie dlatego jeszcze nie chcę się żenić. Mam czas tylko dla tego, co teraz robię. A to jest właściwy czas na interesy. O żonie i dzieciach pomyślę później, nie teraz. – Jakob nie sprzeciwiał mu się, ale zastanawiał się, czy syn w ogóle będzie w stanie zwolnić, skoro żyje w takim tempie, i czy będzie tego chciał. Działał tak, jakby pewnego dnia miał zamiar zostać najbogatszym człowiekiem na świecie. Jakob zastanawiał się, czy to oni uczynili go takim, kiedy w jego dzieciństwie martwili się swoją biedą.

Max był zdeterminowany, a im więcej miał, tym więcej chciał mieć. Nie był ani rozrzutny, ani skąpy. Był po prostu maszyną do zarabiania pieniędzy i to maszyną doskonałą. W prasie biznesowej pojawiał się teraz często, ze względu na zakończone sukcesem transakcje. Jakob uważał, że jego własny ojciec, bankier, byłby pod wrażeniem działań Maksa, ale też trochę się bał. Max doprowadził sukces do granic wytrzymałości.

Trzy lata później, krótko po tym, jak Max skończył trzydziestkę, Emmanuelle znów zaczęła mieć problemy z żołądkiem, podobne do tych, na które cierpiała w latach powojennych, a

nawet po ciąży. Zaczęła błyskawicznie tracić na wadze i nie mogła jeść. Lekarz wysłał ją do szpitala na szczegółowe testy. Miała pięćdziesiąt pięć lat, nie była więc stara, a z tego, co lekarze mówili, Jakob domyślił się, że istnieje prawdopodobieństwo raka. Sama Emmanuelle upierała się, że to powrót problemów żołądkowych, których nabawiła się w obozie. Ale teraz nie było ku temu powodów i żadnego innego wyjaśnienia niż to naprawdę przerażające.

Jakob był z nią przy każdym badaniu, jeśli mu pozwolili. Emmanuelle przeleżała trzy tygodnie w szpitalu, poddawana wyczerpującym testom. Jak na razie wyniki były negatywne, ale Emmanuelle czuła się coraz gorzej. Wykluczono wszelkie możliwe infekcje bakteryjne. Nie jeździli do Afryki ani do innych tropikalnych miejsc. Pewnego wieczoru Jakob wrócił do domu zapłakany, prosząc Boga, by ją uratował. Nie przeszli tego wszystkiego po to, żeby teraz umierała, i to tak młodo. Pomyślał o żonie Izziego, która zmarła w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, i o tym, jak zdruzgotany był Izzie. Gdyby Emmanuelle umarła, życie Jakoba straciłoby sens. Max też był wystraszony, przyleciał ze spotkań na Tajwanie, żeby się z nią zobaczyć. Wyglądała okropnie. Miała szarą cerę, a jej i tak szczupłe ciało w ciągu kilku tygodni wychudło na szkielet. To przypominało Jakobowi, jak wyglądała w Buchenwaldzie.

Na jej nalegania w końcu wypuszczono ją do domu, bo i tak nikt nie wiedział, co robić. Żadne lekarstwo nie działało, żaden test nie był rozstrzygający. Zwierzyła się Jakobowi, że wypuścili ją ze szpitala, żeby umarła u siebie, ale – dodała ze stalowym wyrazem oczu – ona nie ma zamiaru umierać i na pewno się jej poprawi. Chciał jej wierzyć, ale nie mógł. Tym razem to Jakob myślał, że zbliża się koniec, i że wojna jest przegrana.

Po pierwszych dniach w domu nie wychodziła z łóżka, piła koktajle mleczne, aż miała ich dość. Jadła purée z ziemniaków do każdego posiłku. Wreszcie, cztery dni po powrocie, z zaciętą miną wstała i posprzątała dom. Potem usiadła do maszyny do szycia. Postanowiła uszyć nowe zasłony z materiału, który zaoszczędziła.

– Co ty robisz, na litość boską? – zapytał Jakob, gdy wrócił do domu. – Powinnaś wypoczywać. – Była zbyt słaba, żeby iść z nim do biura i wyglądała na bardzo kruchą.

– Zmęczył mnie odpoczynek, a nasze zasłony nie podobają mi się. Nigdy mi się nie podobały. Robię nowe. – Szyła je z eleganckiego, beżowego adamaszku. Powiedziała też, że kiedy skończy, ma zamiar uszyć różowe satynowe zasłony do sypialni. Potem wstała, ubrała się jak w dzień powszedni, zrobiła makijaż, uczesała się, posprzątała mieszkanie, popracowała przy zasłonach, wyszła na spacer po południu, jak codziennie i wieczorem przyrzędziła kolację. Z początku Jakob myślał, że to jakiś straszny objaw nadchodzącego końca i Emmanuelle czepia się życia ostatnią nicią, ale ona postanowiła nie umierać.

Powoli robiła się silniejsza i zaczęła przybierać na wadze. Po kilku tygodniach chodziła już na dłuższe spacerunki i wyraźnie przybyło jej sił. Sześć tygodni od powrotu do domu oznajmiła, że jedzie razem z nim do pracy. Kiedy odmówił i tak pojawiła się w biurze. Przyjechała taksówką, co było luksusem, na który normalnie nigdy by sobie nie pozwoliła. Próbował odesłać ją do domu, ale nie chciała. Stała w biurze wściekła na niego, na tajemniczą chorobę, która o mało jej nie zabiła, ale której się nie dała.

– Do cholery, przeżyłam Buchenwald. Nie pozwolę, żeby zabił mnie żołądek czy jakaś inna choroba, której nawet nie potrafią nazwać. Już wyzdrowiałam. Nie zachoruję – powiedziała stanowczo i poszła do swojego biurka. Znowu zaczęła odbierać telefony i umawiać Jakoba. Pod koniec dnia wyglądała na wyczerpaną, ale nie gorzej niż przez ostatnie miesiące. Istotnie właściwie wyglądała lepiej. Stopniowo poprawiała się, a trzy miesiące po wypisaniu ze szpitala znowu wyglądała niemal normalnie, siły jej wróciły i przytyła pięć kilogramów. Lekarze nie mieli pojęcia, co jej dolegało, ale cokolwiek by to było, nie pozwoliła się temu czemuś pokonać. Zwycięzała. Pewnego wieczoru Jakob popatrzył na nią i się uśmiechnął.

– Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. – Teraz zrozumiał, dlaczego Emmanuelle przeżyła obóz, po prostu nie pozwoliła, żeby ją zabili. Nie chciała umrzeć. Kiedy była chora, podjął decyzję i teraz jej o tym powiedział. – Chcę sprzedać firmę.

– Nie bądź śmieszny, jesteś za młody na emeryturę. – Z miejsca odrzuciła ten pomysł.

– Nie, nie jestem. Mam pięćdziesiąt cztery lata. Ciężko pracowałem przez trzydzieści lat, po pięciu latach ciężkich robót w obozie. To wystarczy. Obiecałem sobie, że jeśli przeżyjesz, przejdę na emeryturę. Będziemy podróżowali i trochę się zabawimy, zrobimy wszystko to, czego nie robiliśmy nigdy, póki jesteśmy dość młodzi, żeby nam się to podobało. – Przez chwilę zastanawiała się i tym razem kiwnęła głową. To, co powiedział, miało dla niej sens.

– A jeśli nam się znudzi po paru miesiącach? Co wtedy? Albo jeśli stracimy pieniądze? – Powiedziała to z przyzwyczajenia, nie wierząc w to naprawdę, a on o tym wiedział.

– Nie stracimy, a jeśli nawet, to otworzymy kolejną firmę albo wezmę jakąś pracę. Ale tak się nie stanie. I nie będzie wojny, nie zostaniemy deportowani. Pobawmy się trochę dla odmiany. Może Max ma rację i powinniśmy pojechać do Europy. Nie musimy jechać do Niemiec, ale chciałbym znowu zobaczyć Wiedeń i pojechać z tobą do Paryża, jeśli będziesz chciała. Moglibyśmy zwiedzić Włochy. Nigdy nie wyjeżdżaliśmy dla przyjemności. Ciągłe pracowaliśmy, a ty nigdy nie chciałaś wydawać pieniędzy. – Popatrzył na nią, uśmiechnęła się smutno. – Mamy więcej, niż potrzebujemy. A kiedy wrócimy, przeprowadzimy się do nowego mieszkania. Siedzimy tutaj od dwudziestu pięciu lat, a ja chciałbym sprzedać ten budynek. – To była jedyna kamienica na Lower East Side, której dotąd nie sprzedał. – Możemy zostać w śródmieściu, jeśli chcesz, może na Piątej Alei, albo przeprowadzić się do lepszej dzielnicy, bliżej Maksa. Ale powinniśmy cieszyć się życiem i zrobić coś nowego. – Myślał o tym przez cały czas, kiedy była chora, ale ona nie była jeszcze gotowa przyznać, że ta propozycja się jej podoba. Dwa dni później zgodziła się. W czasie choroby myślała o tym samym, że jeśli teraz umrze, zostanie tyle spraw, których nie zrobiła. I chciała, żeby Jakob się rozerwał, kiedy oboje są jeszcze dość młodzi i silni, żeby móc to zrobić.

Jakob wystawił firmę Izziego na sprzedaż. Towarzyszyły mu tylko lekkie wyrzuty sumienia. Emmanuelle tygodniami planowała ich wycieczkę do Europy. Pewnego sobotniego popołudnia poszli obejrzeć mieszkanie w bliższej części Piątej Alei, niedaleko Washington Square. Z miejsca się w nim zakochali i natychmiast zgłosili chęć zakupu. Emmanuelle całe życie się bała, teraz już nie chciała się bać, ani choroby, ani śmierci, ani wojen czy prześladowań lub kolejnego Holokaustu. Chciała, żeby reszta jej życia związana była właśnie z życiem, a nie ze strachem, który sam w sobie jest rodzajem śmierci. Bała się wydatków i biedy albo utraty wszystkiego, co mają, albo że coś strasznego przytrafi się Maksowi lub Jakobowi. Ale już zdarzyły się jej okropności i przeżyła je. Teraz nadszedł czas, żeby spojrzeć w przyszłość i cieszyć się tym, co mają. Przemyślała to wszystko podczas choroby. Jakob też miał swoje przemyślenia.

Powiedzieli Maksowi, że w czerwcu jadą do Europy, a Jakob dodał, że sprzedaje firmę. Max się ucieszył. Od lat mówił o tym ojcu. Jakob powiedział, że we wrześniu przeprowadzają się do nowego mieszkania, kiedy tylko Emmanuelle urządzi je według swoich upodobań, i że sprzedają kamienicę, w której mieszkali. Był to ostatni budynek na Lower East Side, który należał jeszcze do Jakoba. Dni biedy skończyły się, i to dawno. Wreszcie przyjęli to do wiadomości.

– Brawo, tato – powiedział Max i uściskał go. – Jestem z ciebie dumny.

– A co z tobą? Kiedy masz zamiar zacząć żyć, a nie tylko zarabiać? Czy jest jakiś ślad romansu w twoim życiu? Ciągłe czytam o tobie i pięknych dziewczynach w Studio 54 albo w El Morocco. Czy spotkałeś już kogoś, na kim ci zależy? – Studio 54 dopiero co zostało otwarte i

było miejscem spotkań młodych, błyskotliwych nowojorczyków.

– Bardzo się staram, żeby na nikim mi nie zależało – powiedział z uśmiechem Max. – Jeszcze nie jestem gotów. Może kiedy będę miał trzydzieści pięć lat. Najpierw chcę zrobić mnóstwo rzeczy.

– Moje życie byłoby absolutnie nieważne bez twojej matki – powiedział Jakob. – Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy była chora i myślałem, że ją stracę. Ty i ona jesteście wszystkim, co kiedykolwiek miało dla mnie znaczenie. Nie przegap tego, Max. Może jeszcze nie teraz, ale kiedyś będziesz potrzebował kogoś, kto nada twemu życiu sens i uczyni je wartym przeżycia. Do tego czasu wszystko jest nieważne.

– Wiem, tato – odparł Max, ale Jakob wiedział, że syn nie wie. Dowie się, kiedy przyjdzie jego czas. – Ale po prostu nie spotkałem jeszcze kogoś, kto by dla mnie znaczył aż tyle, żebym się ustatkował, ożenił i miał dzieci.

– To przyjdzie. Nie da się przewidzieć, kiedy pewnego dnia spotkasz właściwą kobietę. Taką, że serce będzie ci szybciej bić za każdym razem, gdy na nią spojrzysz. – Tak było z nim i z Emmanuelle w dniu, w którym się spotkali, i teraz. Max kiwnął głową i nie odpowiedział. Matka przez cały czas zrzędziła z tego powodu, a on twierdził, że jest typową żydowską matką. Ale na razie cieszył się, że rodzice znaleźli czas na uroki życia. Zasłużyli na to, ciężko pracowali przez całe życie i tyle razem przeszli. Max nie zapomniał i nigdy nie zapomni swojej pielgrzymki do Buchenwaldu.

Jakob sprzedał firmę dwóm flamandzkim szlifierzom, którzy pracowali tam od samego początku. Zgodził się, żeby spłacali go w ratach, rozciągniętych w dłuższym czasie. Na to mogli sobie pozwolić. Pomyślał, że Izziemu spodobałoby się to i poczuł się mniej winny. Podpisali umowę na mieszkanie przy Piątej Alei, niedaleko Washington Square, w pięknym przedwojennym domu. Na tydzień przed odlotem do Europy Jakob dostał ofertę kupna swojego ostatniego domu na Lower East Side i przyjął ją. Sprzedał kamienicę sześć razy drożej, niż kupił, a pewnie dostałby i więcej, gdyby nalegał, ale nie chciał tego robić. Człowiek, który kupił dom, był zachwycony.

W przeddzień odlotu do Europy zjedli kolację z Maksem. Dla nich obojga miała to być podróż w czasie, ale teraz czuli się przygotowani na zmierzenie się z duchami przeszłości, tak jak Max dwanaście lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy udał się na Stary Kontynent, jeszcze kiedy był w college'u. Zaczynali od Paryża, gdzie nocowali w hotelu Ritz. Jakob chciał wszędzie jeździć pierwszą klasą, a Emmanuelle po prostu musiała to znieść. Nie miał zamiaru zatrzymywać się w nędznych hotelikach tylko dlatego, żeby po powrocie mogła się pysznić, ile pieniędzy zaoszczędzili. Wydawanie pieniędzy nadal sprawiało jej przykrość, ale zgodziła się. Kiedy przyjechali do Ritza, luksus hotelu i elegancja ich apartamentu wręcz zwały ją z nóg. Wszędzie były piękne brokaty, w pokojach stało mnóstwo antyków, świeże kwiaty, leżały czekoladki i makaroniki od Ladurée.

– Na to pracowaliśmy trzydzieści lat – przypomniał, objął ją i pocałował. – Uważaj to za spóźniony miesiąc miodowy.

Razem obeszli Paryż, odwiedzili wszystkie miejsca, które miały dla niej znaczenie i te, które on chciał zobaczyć. Stali przed domem, w którym mieszkała, a Emmanuelle płakała, myśląc o matce i siostrze, ale powrót tutaj dawał uczucie spokoju, jakby składała na spoczynek stare duchy, żeby już jej nie dręczyły. Była zadowolona, że wróciła z Jakobem do Paryża. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała znowu zobaczyć to miasto. Wypędzono ją z niego, a potem nie wracała, żeby pożegnać ludzi i miejsca, które kochała. Weszła do rzeźnika po drugiej stronie ulicy i spotkała Flore, córkę właściciela. Była grubsza, ale wyglądała tak samo. Bawiły się razem jako dzieci. Flore natychmiast rozpoznała Emmanuelle, obie rozpląkały się i rzuciły się

sobie w ramiona. Teraz Flore była właścicielką sklepu, odziedziczyła go po rodzicach. Mówiła, że ma czworo dzieci i troje wnuków. Emmanuelle zapytała ją zbolalym głosem, czy w jej starym mieszkaniu nadal mieszkają ci sami ludzie, ci, którzy zadenuncjowali je policji jako Żydów i doprowadzili do ich deportacji. Flore odparła, że wyprowadzili się dawno, zaraz po wojnie. Cała rodzina została uznana za kolaborantów i przeszła ulicami z ogolonymi głowami. Flore nie miała pojęcia, dokąd wyjechali.

– Mieszka tam teraz miła rodzina z dwiema córeczkami – zapewniła Flore. – Kiedy je widzę, zawsze myślę o Françoise i o tobie. – Przed wielu laty dowiedziała się, że matka i siostra Emmanuelle zginęły w obozie koncentracyjnym. Ludzie mówili, że Emmanuelle przeżyła, ale nie wróciła do Paryża i nikt nie wiedział, dokąd pojechała. – Zawsze zastanawiałam się, gdzie jesteś, ale nie wiedziałam, jak cię znaleźć.

– Nie miałam do kogo wrócić i gdzie się zatrzymać – powiedziała cicho Emmanuelle. – Męża spotkałam w obozie i pobraliśmy się po wyzwoleniu. Razem popłynęliśmy do Ameryki. Mam syna, ale jeszcze nie mam wnuków. – Uśmiechnęła się i przedstawiła jej Jakoba, który z wdziękiem i ciepłem uściśnął rękę Flore. Ona zaś cieszyła się, że Emmanuelle żyje, jest w dobrym zdrowiu, doskonale się miewa i nie jest sama na świecie. To były takie straszne czasy dla wszystkich, a ich żydowskim przyjaciółom było najgorzej.

Porozmawiali trochę, potem Jakob i Emmanuelle wyszli, przez jakiś czas chodzili po sąsiedztwie i wrócili do hotelu. Uderzyło ją, że wiele sklepów i bistro w pobliżu jej domu się nie zmieniło. Paryż, na różne sposoby, właściwie wciąż był taki sam. Podobało jej się, że były tu zakłady, które pozostały w tym samym miejscu, a w wielu wypadkach od stu lat prowadziły je te same rodziny.

Cieszyła się, że widzi znajome charakterystyczne punkty: pomniki, Place de la Concorde, Pola Elizejskie, Łuk Triumfalny, Pałac Inwalidów, pomnik Napoleona na placu Vendôme. To były widoki z jej dzieciństwa i wieku dorastania, miejsca, do których chodziła z rodzicami, a później z matką i siostrą. Nawet zapachy Paryża były znajome. I zawsze chodziła z babcią do Ladurée na gorącą czekoladę i makaroniki, gdy przychodziła okazja na specjalną ucztę. Było to jedno z nielicznych wspomnień dotyczących babci, bo zmarła, kiedy Emmanuelle była bardzo mała. Przypominała sobie rzeczy, które robiła z matką i siostrą, o których nie myślała od lat.

Zabrała Jakoba do miejsc, które odwiedzał Max, kiedy po raz pierwszy pojechał do Paryża. Teraz ona mogła obejrzeć je sama. Pobyt w Paryżu nie był męczarnią, jak się obawiała. Przeciwnie, pocieszał ją, łagodził jej uczucia, był jak powrót do domu po trzydziestu sześciu latach. To, jak ją stąd wywozili, nie było już tak ważne, jak fakt, że się tutaj wychowywała. Kiedy wyjeżdżali z Paryża, czuła opanowanie i spokój.

Jakob czuł się tak samo w Wiedniu, kiedy tam już dotarli. Pokazał jej wszystkie ulubione miejsca ze swoich lat chłopięcych, parki, pomniki, place zabaw i wielki, elegancki dom Steinów. Teraz był w nim klub. Jakob długo stał przed domem i pokazywał Emmanuelle okna swojego pokoju. Żona od zawsze wiedziała, że jej mąż wychowywał się w bogactwie i luksusach, ale nigdy tego do końca nie rozumiała, póki nie zobaczyła rodzinnego banku i domu. Bank nadal był swego rodzaju instytucją finansową, ale Jakob nie chciał wejść do środka, gdy mu to zaproponowała. Chciał, żeby przeszłość pozostała przeszłością, ale było mu smutno, gdy odchodzili od jego domu. Włożyła mu dłoń pod ramię, a on spojrzał na nią z uczuciem, ze łzami w oczach.

– Nie żałuję utraty domu, tylko straty ukochanych ludzi, którzy w nim mieszkali. – Nie do przyjęcia była myśl, że cała rodzina zniknęła, została starta z powierzchni ziemi, poza nim jednym. To było to, czego chcieli naziści i prawie się im udało, a w wielu przypadkach doprowadzili sprawę do końca. W ich rodzinie on i Max byli jedynymi, którzy przechowali

nazwisko. W wypadku Emmanuelle jej nazwisko kończyło się razem z nią.

W Wiedniu pobyli tylko dwa dni. Osiągnęli to, po co przyjechali. Przybyli tu, żeby pożegnać się ze swoimi miastami, domami dzieciństwa i ludźmi, których stracili. Wcześniej nie mieli szansy, żeby to zrobić. Teraz wreszcie mogli pogrzebać swoich zmarłych i iść dalej.

Z Wiednia polecili do Rzymu, który Emmanuelle pamiętała niejasno z wycieczki z matką i siostrą, Jakob znał miasto całkiem dobrze. Atmosfera była jak naładowana elektrycznością. Wszystko nurzało się w wakacyjnym chaosie. Z Rzymu pojechali do Florencji i Wenecji. Emmanuelle nie знаła tych miast, ale Jakob tak, bo dużo podróżował z rodziną po Europie. Ich ostatnim przystankiem było jezioro Como. Emmanuelle pomyślała, że jest to jedno z najbardziej romantycznych miejsc, jakie widziała w życiu. Spędzili tam cztery dni, odpoczywali, spacerowali, oglądali góry i jezioro i rozmawiali o miejscach, w których byli. Oboje bardzo się uspokoili, odkąd obejrzelili swoje domy i miasta. Dobrze im to zrobiło. I obojgu było smutno, kiedy nadszedł czas odjazdu.

Znad jeziora Como wybrali się do Mediolanu, a stamtąd polecili do Nowego Jorku. W domu czekało ich mnóstwo pracy. Jakob musiał zakończyć sprzedaż domu, w którym wcześniej mieszkali, Emmanuelle musiała urządzić nowe mieszkanie. Jakoba czekała praca nad przekazaniem biznesu firmy w nowe ręce. Nie wiedział, co będzie robić później, chociaż nadal był zainteresowany transakcjami deweloperskimi. Drugiego wieczoru po powrocie zjedli kolację z Maksem. Syn wyglądał na bardziej zajętego niż zwykle, bardzo zestresowanego i powiedział ojcu o nowym gruncie na sprzedaż w Illinois, pod kolejne centrum handlowe. Transakcja zainteresowała Jakoba. Martwił się, że będzie miał mało pracy, kiedy zrezygnuje z interesu z diamentami, ale przez cały tydzień był zajęty i zaczął już rozmawiać z Emmanuelle o zimowym rejsie morskim. Nagle stali się podróżnikami, ale właśnie to chcieli robić. Spokojnie zostawili swoją przeszłość w Europie i teraz gotowi byli na to, co przyniesie im przyszłość.

Jakob i Emmanuelle wprowadzili się do nowego mieszkania we wrześniu, a przekazywanie firmy zajęło czas do końca roku. W styczniu wybrali się na rejs po Karaibach, wiosną zamierzali wyprawić się na Hawaje i do Meksyku.

Podczas rejsów poznawali nowe miejsca i nowych ludzi. Nadskakiwano im i za każdym razem wracali z nawiązanymi nowymi znajomościami. Odkrywali miejsca, do których w innym wypadku w ogóle by nie zawitali. Jakob nadal miał poczucie winy, że nie chodzi codziennie do pracy, ale na wycieczkach świetnie się bawił. Od chwili, gdy zrezygnował z biznesu, podróżowali bez przerwy prawie przez rok. Wrócili dopiero na trzydzieste drugie urodziny Maksu. Podczas kolacji Emmanuelle zauważyła, że synowi błyszczą oczy. Była pewna, że czegoś im nie powiedział, ale nie wiedziała czego. Po drodze do nowego mieszkania wspomniała o tym Jakobowi, ale on odparł, że to tylko wyobraźnia. A dwa dni później, w rubryce towarzyskiej, zobaczył w gazecie zdjęcie Maksu z piękną, młodą kobietą w eleganckiej, białej sukni wieczorowej. Max trzymał dziewczynę pod ramię, a podpis głosił, że wybierają się na przyjęcie bożonarodzeniowe wydawane przez rodziców dziewczyny, która nazywała się Julie Morgan i była naprawdę śliczna. W gazecie napisano, że jest jedną z trzech sióstr Morgan, właśnie zdobywających szturmem Nowy Jork.

Emmanuelle często widywała zdjęcia syna w rubrykach towarzyskich, nie było w tym więc nic dziwnego, ale Maks uśmiechał się na zdjęciu radośnie i wyglądał na absurdalnie szczęśliwego, a Emmanuelle przeczuwała, że ta młoda dziewczyna nie jest dla niego tylko partnerką na przyjęcie. Przytulała się do niego, a on nachylał się do niej tak, jakby doskonale się znali. Włosy miała upięte w kaskadę blond loków, była mu prawie równa wzrostem i nosiła brylantowy naszyjnik. Nie wyglądała na zwyczajną dziewczynę. Max zadzwonił po południu do Emmanuelle, żeby podziękować jej za kolację urodzinową, a ona próbowała nonszalanckim tonem zapytać go o zdjęcie z kolumny towarzyskiej.

– Widziałam cię dzisiaj w gazecie.

– Poszedłem na przyjęcie bożonarodzeniowe z dziewczyną, którą spotkałem ostatnio – odparł lekko.

– Jest bardzo piękna. To ktoś szczególny? – Roześmiał się. Znał ją dobrze.

– Przestań być żydowską mamą, to do ciebie nie pasuje. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: jeszcze nie wiem. Dopiero ją spotkałem. Wydaje się miła. Ostatnio ona i jej siostry są bardzo popularne, a jej rodzice wydają bajeczne przyjęcia. – Emmanuelle zwróciła uwagę przede wszystkim na słowa, że „jeszcze nie wie”. Od lat słyszała od niego tylko stanowcze „nie”. Wieczorem powiedziała o tym Jakobowi i pokazała mu zdjęcie. Zerknął na nie pobieżnie i kiwnął głową.

– Jeszcze się nie zaręczyli? Powinienem zadzwonić do jej ojca? – żartował z żony. Oboje doskonale znali swojego syna. Jego romanse nigdy nie trwały dłużej niż parę tygodni, czasem miesięcy. Potem przechodził do kolejnego projektu i kolejnej dziewczyny.

– Byłabym bardziej zadowolona, gdyby napisano, że wydają przyjęcie chanukowe – odparła oschle, a Jakob roześmiał się.

– Niemożliwe, jeśli się nosi nazwisko Morgan. Ale sami powinniśmy siebie za to winić. Powinniśmy posyłać go na lekcje hebrajskiego i urządzić mu bar micwę, jeśli o to ci chodzi. Nie chodzimy do synagogi, więc dlaczego on miałby chodzić?

– Jego może to nie obchodzić, ale co z nią? – Jakob znów zerknął na zdjęcie w gazecie i

pokręcił głową. – Nie wygląda na zbyt religijną. Gdyby trochę bardziej się na nim uwiesiła, przerwałaby mu obieg krwi w ramieniu. – Dziewczyna nosiła eleganckie, długie rękawiczki i uśmiechała się promiennie. – Przyjaciółmi Maksa są tylko katolicy albo członkowie Kościoła episkopalnego. Ma dar do wynajdywania ich wszędzie. Nigdy nie afiszowaliśmy się z tym, że jesteśmy Żydami, więc on też jest taki. Naprawdę to ma dla ciebie znaczenie? – zapytał Jakob, poważniejąc na chwilę. Emmanuelle odparła uczciwie:

– Może tak. To jego dziedzictwo, nawet jeśli nie jesteśmy religijni. I nie chciałabym, żeby się nawracał dla jakiejś chrześcijanki, jeśli to jest dziewczyna, w której się zakochał.

– Może to ona przejdzie dla niego na judaizm – powiedział rozsądnie Jakob. – Poczekajmy, zobaczymy, czy Max ma poważne zamiary wobec tej dziewczyny. Potem będziemy się martwić tym, kto kogo nawróci.

– Jeśli poślubi chrześcijankę, jego dzieci nie będą Żydami – stwierdziła Emmanuelle z niepokojem, gdyż to matka musi być Żydówką, żeby dzieci też były Żydami.

– Nie zapomnij powiedzieć mu o tym, kiedy znów do ciebie zadzwoni – powiedział Jakob, żartując sobie z żony.

– Dzisiaj zapytałam go, czy ma wobec niej poważne zamiary, a on odparł, że jeszcze nie wie. Zazwyczaj mówi zdecydowanie, że nie. – Emmanuelle drażyła temat.

– Myślę, że martwisz się przedwcześnie. – Ale jej przeczucie co do dziewczyny było mocniejsze, niż sądził. Świetnie wyglądała, a w zachowaniu Maksa przy kolacji było coś, czego Emmanuelle jeszcze nigdy nie widziała.

Parę dni później znów pojawiło się ich zdjęcie. Na sylwestra zabrał ją do El Morocco. Na zdjęciu nosiła seksowną, mocno wyciętą czarną sukienkę, a fotograf pokazał ich, kiedy o północy wznosili toast i całowali się. Przy śniadaniu Emmanuelle znów pokazała zdjęcie Jakobowi, który pokiwał głową.

– Nie sądzę, żeby to była pierwsza dziewczyna, którą pocałował.

– W sylwestra jest inaczej – upierała się, ale Jakob wrócił do lektury. Nie miał zamiaru denerwować się jakąś dziewczyną, z którą Max chodził na randki. Długo z nim nie zostawały, bez względu na to, ile razy pojawiała się w gazetach ich wspólne zdjęcie.

Ale gdy następnym razem matka zaprosiła Maksa na kolację, zapytał, czy może przyprowadzić Julie, a Emmanuelle natychmiast powiedziała o tym Jakobowi.

– Chce ją nam przedstawić. To pewny znak, że jest dla niego ważna. Zwykle nie pozwala swoim dziewczynom zbliżyć się do nas.

– No to lepiej zachowajmy się przyzwoicie i zrobmy dobre wrażenie – zażartował Jakob, chociaż też był zaintrygowany.

Jakob zarezerwował stół w La Côte Basque, gdzie chodzili uczcić specjalne okazje. Kiedy tam dotarli, Maksa i jego dziewczyny jeszcze nie było. Jakob i Emmanuelle siedzieli przy stoliku i czekali. Syn z dziewczyną spóźnili się kwadrans. Julie miała na sobie kosztowną kreację z czerwonego jedwabiu, a Emmanuelle pomyślała, że choć sukienka jest za krótka, żeby można w niej wyglądać przyzwoicie, ale przecież to bardzo piękna, młoda dziewczyna o subtelnych rysach twarzy, mlecznobiałej skórze, wielkich niebieskich oczach i z masą blond włosów, upiętych wysoko na głowie. Wyglądała jak modelka, a Max był w niej wyraźnie zadurzony. Kiedy nie jedli, przez cały wieczór trzymał ją za rękę. Dziewczyna była bardzo uprzejma, odpowiadała na pytania, które jej zadawali, ale chyba nie była nimi szczególnie zainteresowana. Za to z uwielbieniem patrzyła na Maksa i chichotała, kiedy się do niej odzywał. Emmanuelle była tym zirytowana, uważała, że to niedojrzałe. Ale dziewczyna była bezsprzecznie piękna, a Max oszalał na jej punkcie.

Powiedziała, że jej rodzina mieszka w Connecticut, że nie poszła do college'u, ale

uczestniczy w kilku komitetach dobroczynnych wraz z matką i starszą siostrą. Młodsza siostra poszła wprawdzie do college'u, ale odpadła na drugim roku. Maksowi to nie przeszkadzało. Lubiła jeździć konno, co rok jeździła do Europy z rodzicami, a przed pięciu laty miała debiut w Nowym Jorku. Emmanuelle policzyła: skoro dziewczyny, zgodnie z tradycją, są debiutantkami w wieku osiemnastu lat, znaczyło to, że ukochana syna ma dwadzieścia trzy lata i jest o dziewięć lat młodsza od niego. Emmanuelle nie miała sprecyzowanych obiekcji w stosunku do niej, poza tym że jest bardzo młoda, wygląda na głupiutką, no i nie jest Żydówką. Wolałyby widzieć Maksa z kimś troszkę starszym, poważniejszym, kimś, kto uczęszczał do college'u. I wolałyby, żeby Julie była jednak Żydówką. Ale debiutantka z Connecticut raczej nie mogła być żydowską dziewczyną. A Max zdawał się uważać na każde jej słowo. Rodzina Julie zaprosiła go do domku narciarskiego w Vermont. Miał tam pojechać za dwa tygodnie. Młodzi podziękowali Emmanuelle i Jakobowi za kolację i wyszli zaraz po deserze. Spotykali się z przyjaciółmi w Studio 54.

– To jest poważne – stwierdziła Emmanuelle, ledwie odeszli dość daleko, żeby jej nie usłyszeć. Jakob nie podzielał jej zdania. Po prostu nie sądził, że to potrwa długo. Romanse Maksa zawsze były krótkie. – Żałuję, że nie chodziła do college'u. O czym będą rozmawiali przez najbliższe pięćdziesiąt lat? Mężczyźni nie myślą o tym, kiedy widzą tak piękne dziewczyny. – Było oczywiste, że Max jest w niej zakochany, przynajmniej na razie. Fakt, że przyprowadził ją na kolację z rodzicami, mówił sam za siebie, a może czuł się do tego zobowiązany, bo w Boże Narodzenie, na tańcach wydanych dla czterystu osób, spotkał się z jej rodzicami, a oni zaprosili go w dodatku na narty w Vermont.

– Na razie nie podniecajmy się tym – powiedział spokojnie Jakob, płacąc za kolację. W chwilę później wyszli z restauracji.

Następnego dnia w gazecie były zdjęcia trzech panien Morgan i mężczyzn, z którymi umawiały się na randki. Pamela, najstarsza, spotykała się z potomkiem ważnej bostońskiej rodziny bankierów, a Belinda, najmłodsza, ze słynnym aktorem filmowym. Julie znów zrobiono zdjęcie z Maksem, a podpis głosił: „Max Stein, najmłodszy magnat w mieście”. W artykule opisano go jako najbardziej pożądanego kawalera w Nowym Jorku. To się nie spodobało jego rodzicom. Uważali, że powinien być bardziej dyskretny w kwestii swoich sukcesów i życia miłosnego, ale Max był młody, przystojny i często szalał w klubach. Był typowym wiedeńczykiem jak ojciec i dziadek, miał ich ciemne włosy, niebieskie oczy i przystojną twarz. Emmanuelle miała szare oczy i była blondynką.

Przez kolejne kilka miesięcy gazety kontynuowały temat. Max i Julie pojawiali się na ich łamach niemal codziennie, stali się ulubieńcami prasy. Emmanuelle się to nie podobało, uważała, że swój romans powinni zachowywać dla siebie, ale zbyt często widywano ich w miejscach publicznych, żeby mogli uniknąć fotografów.

Nie było niespodzianką, kiedy w maju Max zwierzył się rodzicom, że jest zakochany. Spotykał się z Julie od pięciu miesięcy i powiedział rodzicom podczas niedzielnego obiadu w ich nowym mieszkaniu, że to sprawa poważna i że chce się oświadczyć.

– Już? Nie sądzisz, że pięć miesięcy to trochę za mało? – spytała matka. Wyglądała na zaniepokojoną. – Max, ona jest strasznie młoda.

– W czerwcu skończy dwadzieścia cztery lata. Tyle wystarczy. Nie chcemy czekać.

– A co sądzą jej rodzice? – zapytał spokojnie Jakob.

– Chyba mnie lubią – odparł niewinnie Max. Syn na pewno da dziewczynie utrzymanie, ale rodzice Maksa nie wiedzieli jeszcze, co do małżeństwa wniesie dziewczyna. Znali tylko jej nazwisko i piękną buzię.

– A co sądzą o tym, że jesteś Żydem? – zapytał znów ojciec.

– Nic nie mówili. Chyba ich to nie obchodzi.

– Pytali, czy się nawrócisz? – chciała dowiedzieć się matka.

– Nie, nie pytali. Ja jej też o to nie pytałem. Nie jesteśmy religijni, z mojej strony byłoby hipokryzją, gdybym tego od niej chciał. Należy do Kościoła episkopalnego, chodzi z rodziną na nabożeństwa, ale nie sądzę, żeby była bardzo religijna. Kiedy jest ze mną, nie chodzi do kościoła.

– Spotkałam ją tylko raz – powiedziała Emmanuelle – i nie wydaje mi się, żeby była poważna. Czasem życie potrafi być ciężkie, a i ty potrzebujesz kogoś, kto razem z tobą przetrwałby przeciwności. Kiedy ją spotkaliśmy, mówiła tylko o swoich koniach, o chodzeniu do Studio 54 i organizowaniu pokazów mody dla Junior League. Max, naprawdę tego chcesz? Potrzebujesz kogoś, kto pomoże ci w karierze, zaopiekuje się twoimi dziećmi i wesprze cię w ciężkich czasach. – Mówiła rozsądnie, ale Max wyglądał na rozbawionego.

– Mamo, chodzi ci o to, że będzie wojna? Albo kolejny Holokaust? – Często słyszał, jak to mówiła przy każdej okazji, gdy dorastał. Zawsze przepowiadała wojnę. Max rozumiał, skąd się to brało i współczuł rodzicom.

– Twoja matka się nie myli, synu. Zdarzają się rzeczy, których przewidzieć nie można. Czasem nadchodzą trudne czasy. Nie potrzeba wojny, żeby stało się coś złego. Tobie potrzebny jest ktoś pewny, kto zniesie to razem z tobą. Młodzi ludzie często tego nie widzą. Chyba nie jest dość dojrzała, żeby cię wesprzeć, gdy będziesz tego potrzebował.

– To moje zadanie zaopiekować się nią. – Max wypowiedział te szlachetne słowa, bo tego właśnie nauczyli go rodzice, ale oni chcieli także, żeby dostał coś w zamian, a nie byli w stanie wyobrazić sobie Julie inaczej niż pięknej i bardzo zepsutej trzpiotki. Nie wyglądało to na solidny fundament małżeństwa. Max nie chciał tego słuchać.

– Za parę tygodni mam zamiar poprosić ją o rękę. Chciałem wam tylko o tym powiedzieć. Już się zdecydowałem. Czy dostanę wasze błogosławieństwo? – Nie dawał im wyboru.

Oboje wahali się przez chwilę, a potem kiwnęli głowami. Jasno powiedział im, że nie mają prawa się sprzeciwiać. Bo właściwie dlaczego mieliby się sprzeciwiać? Ale żenił się z chrześcijanką i do tego bardzo rozpieszczoną młodą dziewczyną. Nie tego mu życzyli, lecz gdyby mu to powiedzieli, odszedłby od nich, być może na zawsze.

– Myślałeś o tym, żeby dla pewności poczekać jeszcze parę miesięcy? – zapytał go ojciec, a Max pokręcił głową.

– Mam pewność. Dlatego tutaj dzisiaj jestem. Wiem, że chcecie dla mnie wszystkiego, co najlepsze. Ale też wiem, co robię. Kochamy się, a ona jest wspaniałą dziewczyną. Z radością lubimy ze sobą przebywać i oboje chcemy mieć dzieci, troje, może czworo. – Wiedzieli, że może sobie na nie pozwolić, ale nie będzie miał dla nich czasu, jeśli nadal w tym samym tempie będzie prowadził swoją karierę. Ani Emmanuelle, ani Jakob nie mogli sobie wyobrazić Julie wychowującej dzieci bez pomocy z jego strony.

– Musisz nieco zwolnić w interesach, jeśli chcesz mieć żonę i dzieci – powiedziała poważnie matka. – Będą cię potrzebowali, bo inaczej, wcześniej czy później, skończy się jej cierpliwość, a ty nawet nie będziesz znał swoich dzieci.

– Mamo, przestań widzieć katastrofę za każdym rogiem. Będziemy mieli nianie, stać mnie na to, i chcę spędzać z dziećmi czas, kiedy nie będę zajęty. Ona też tego chce. Nie pozwolę, żeby została niewolnicą dzieci, która przez cały czas zmienia pieluchy. – Tego jednego Emmanuelle była pewna, Julie na pewno nie będzie tracić czasu na zmienianie pieluch. – Zobaczycie, będziemy mieli wiele radości. – Użył tego słowa po raz drugi. Emmanuelle spojrzała na męża, a potem na syna.

– Max, małżeństwo nie zawsze jest radością. Kocham twojego ojca, ale różnie to bywa. Nie każdy dzień przynosi radość.

– Wy dwoje macie za sobą niezwykle doświadczenia. Cały wasz świat się rozpadł. Nam, ani nikomu w tym kraju, to się nie zdarzy. – Buchenwald głęboko go poruszył, ale nie miał nic wspólnego z życiem, które mieli zamiar wieść z Julie, kiedy się pobiorą. Ale nie o to martwili się rodzice. Po prostu żadnemu z nich Julie nie wydawała się poważną, solidną kobietą. Interesowała ją tylko zabawa.

– Kochamy cię, po prostu chcemy, żebyście byli naprawdę szczęśliwi – powiedziała matka, gdy Max wstawał od stołu.

– Będziemy. Obiecuję. – Uśmiechnął się. Jego słowa nie przeszły tak gładko, jak się spodziewał, ale nie mieli zamiaru protestować. Miał trzydzieści dwa lata, a oni nie chcieliby zabraniać mu żenić się z dziewczyną jego marzeń, którą była Julie. Jeszcze nigdy nie kochał kogoś tak bardzo, ona też go kochała.

Pocałował ich na do widzenia, wyszedł i wtedy zapadła długa cisza. Emmanuelle spojrziała na męża.

– No i co sądzisz?

– To samo, co ty – odpowiedział smutnym głosem. – Myślę, że popełnia błąd, ale nic na to nie poradzimy. I w dodatku zupełnie mnie nie obchodzi to, że Julie nie jest Żydówką. Ona jest lekkoduchem. Nie zostawiłbym psa pod jej opieką, nie mówiąc już o czworgu dzieci, bez względu na to, ile niań dla nich wynajmie. A właściwie po co jej nianie, skoro nie pracuje? Dlaczego nie mogłaby sama zajmować się dziećmi?

– To nie ten typ kobiety – odparła Emmanuelle. – Wygląda na bardzo rozpieszczoną. Jestem pewna, że rodzice ją tylko psuli i że sama została wychowana przez nianie. – Potem pomyślała o czymś innym. – I skąd ta obsesja radości? My nigdy o tym nie myśleliśmy. W małżeństwie nie chodzi o radość, ale o wzajemne wspieranie się.

– Nigdy o tym nie myśleliśmy, bo za bardzo byliśmy zajęci dbaniem o to, by mieć czym nakarmić syna. Oni nie muszą się tym martwić. – Długo patrzył na żonę twardym wzrokiem. – To się chyba nie uda.

– Ja też tak myślę – przyznała Emmanuelle – ale jeśli mu to powiemy, już nigdy się do nas nie odezwie. – Nie chciała stracić jedyne go syna z powodu powierzchownej, pewnie niezbyt rozgarniętej dziewczyny, która mogłaby nastawić go przeciwko nim.

– A może jednak powinniśmy mu o tym powiedzieć? – zapytał Jakob.

– Nie sądzę. Chyba że nie chcesz go widzieć przez następne dziesięć lat albo póki się nie rozwiedzie i nie przyzna nam racji.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie – powiedział cicho Jakob.

– Ja też. Po prostu ona mi się nie podoba. To imprezowiczka. To dobre, jeśli chce się pójść na tańce do Studio 54, ale nie z kimś, kogo się chce wziąć za żonę. Nie nauczyliśmy go tego. – Max zawsze umawiał się na randki z ładnymi dziewczynami, ale powinien się ożenić z kimś nie tylko ładnym, a Julie taka nie była. Jakob pokiwał głową, że się zgadza, oboje byli smutni przez resztę popołudnia. Razem poszli na długi spacer. Max był ich jedynym dzieckiem i nie chcieli go zawieść, ale martwili się o niego i Jakob wiedział dlaczego.

Julie miała podobną rozmowę z ojcem podczas brunchu z rodzicami. Powiedziała, że ona i Max chcą się zaręczyć. Nie byli zaskoczeni, a Mike Morgan sprawdził już Maksa pod względem finansowym.

– Nie spodziewałem się, że któraś z moich córek zaręczy się z mężczyzną o nazwisku Stein – powiedział otwarcie – ale po sprawdzeniu wyszedł doskonale. Chłopak wart jest miliony, do których sam doszedł z niewielką pomocą ze strony ojca. Jest bardzo inteligentny i ambitny, ma świetną opinię. Daleko zajdzie. I ukończył Uniwersytet Harvarda. Będiesz miała wygodne życie – powiedział zadowolony, a po namyśle zapytał: – Kochasz go?

– Tak, kocham – odparła poważnie. Max był przystojny i mądry. A ostatnio często ze sobą sypiali. Brała pigułki, o czym rodzice nie wiedzieli. Udała, że już jest mężatką, żeby je kupić.

– Jak myślisz, czy zechce się ochrzcić? – zapytał ojciec.

– Nie, nie sędzę i nie chcę go o to pytać. Nie jest religijny i nie chodzi do synagogi, ale jest dumny z bycia Żydem. Dla niego to sprawa kultury. Jego rodzice byli w obozie koncentracyjnym. Nie będzie chciał ich obrazić. – Mike pokiwał głową i przypomniał sobie coś jeszcze.

– Nie pytał, czy chcesz przejść na judaizm?

– Oczywiście, że nie.

– Dobrze. Chciałem tylko się upewnić. A kiedy będziecie mieli dzieci, musi się zgodzić, że zostaną wychowane tak jak my, w Kościele episkopalnym.

– Na pewno się zgodzi.

– Cóż, wpisz to do umowy przedmałżeńskiej – powiedział Mike pewnym siebie tonem. – Już się oświadczył?

– Nie, ale chyba wkrótce to zrobi. – Nie sypiałaby z nim, gdyby nie była tego pewna. Dawał do zrozumienia, że tak będzie. A ona kazała mu czekać miesiącami, zanim uległa. Doprowadzało go to do szaleństwa.

– Niech cię dobrze traktuje, bo będzie miał ze mną do czynienia – powiedział Mike tonem pogrożki, a Julie kiwnęła głową.

– Tak będzie, tato, już tak jest. – Matka nie odzywała się podczas rozmowy ojca z córką, ale przez cały czas kiwała głową, że się zgadza. Lubiła Maksa, był błyskotliwy i uroczy, miał doskonałe maniery, a Julie będzie z nim miała dobre życie i niczego jej nie zabraknie. To było dla nich ważne. Tego chciała dla wszystkich córek, a Julie pierwsza miała wyjść za mąż. Dokonała dobrego wyboru, szkoda tylko, że Max był Żydem, ale za to przystojnym, z furą pieniędzy, a to jej wystarczało.

– Wyprawimy ci wesele marzeń, dziecko. Wystarczy, że powiesz słowo. – Julie wiedziała, że tak będzie. Ojciec dawał córkom wszystko, czego zechciały. Przed laty dorobił się na handlu i od tamtego czasu w szybkim tempie mnożył majątek. Niczego nie żałował żonie i córkom. Był bardzo hojny. Szanował też umiejętność Maksa przemieniania wody w wino.

Tego samego popołudnia powiedziała Maksowi, że jej rodzice byli podekscytowani.

– A twoi? – zapytała.

– Tacy jak zawsze. Poważni i trochę wystraszeni. W ich wypadku to rozumiałe, ale kochają cię – skłamał. – Są bardzo szczęśliwi ze względu na mnie. – Tylko tego chciała się dowiedzieć. Max nie miał zamiaru przekazywać jej ich obaw, przecież mieli wspólnie udowodnić, jak bardzo mylą się jego rodzice. Widział to tak: Jakob i Emmanuelle zawsze martwili się tym, co na pewno nie mogło się zdarzyć. Żył z tym przez całe życie.

– Dziś wieczorem u mnie? – zapytał, a Julie zachichotała.

– Ależ proszę pana, nie wiem, o co panu chodzi. Jestem porządną dziewczyną.

– Powiedz to komuś innemu – zażartował. – Przypadkiem wiem, że jesteś najlepsza. A wkrótce będziesz panią Maksową Steinową. – Miał zamiar zrobić z niej porządną i bardzo szczęśliwą kobietę. Już wybrał pierścionek, odbierał go jeszcze w tym tygodniu u Harry'ego Winstona. Nie chciał kupować go z pomocą ojca. Morganowie pomyśleliby, że to w złym guście, kupować u hurtowników. Pierścionek musiał być od takich jubilerów jak Cartier, Tiffany albo Harry Winston. Max wybrał dla Julie sześciokaratowy okrągły kamień i zapłacił za niego fortunę. Ale wiedział, że tego się spodziewała i chciał, żeby przez resztę życia dostawała to, czego sobie zażyczy, żeby ziszczyły się wszystkie jej marzenia.

Odźwierny zaanonsował wieczorem, że przyszła Julie, a Max kazał ją wpuścić na górę. Był nagi, kiedy nacisnęła dzwonek w jego garsonierze przy Piątej Alei z widokiem na Central Park. Rodzice myśleli, że oszalał, kupując tak drogie mieszkanie, ale mógł sobie na nie pozwolić, a kobietom bardzo się podobało. Nie minęły dwie minuty, a ona też była naga i leżała z nim w łóżku. Była już prawie żoną, ale zachowywała się inaczej. Była najbardziej seksowną dziewczyną, jaką miał, a ona wiedziała, jak doprowadzić go do szaleństwa. Czy mogło być mu źle z taką żoną?

Max oświadczył się Julie w dniu, gdy odebrał od Harry'ego Winstona pierścione, pięć dni po tym, jak powiedział o niej rodzicom. Zabrał ją na kolację do La Grenouille, a później z powrotem do swojego mieszkania, w którym wcześniej przygotował dla niej szampan i truskawki. Pocałował ją, a potem wsunął na palec pierścione, gdy podziwiali widok z tarasu, a ona zdołała udąć zaskoczenie, choć podejrzewała, że to wydarzy się tego wieczoru, gdy zabrał ją na kolację do La Grenouille. Prawie nie mogła jeść, gdyż nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, jak wygląda pierścione. Był dokładnie taki, o jakim marzyła, pięknie prezentował się na palcu i miał idealny rozmiar. Nie powiedział rodzicom, że go kupił ani gdzie, bo wiedział, że ojciec twierdziłby, że u hurtowników kupiłby dwa razy większy za pół ceny, z mniejszą ilością skaz i w ładniejszym odcieniu, i pewnie to prawda, ale wiedział, że Julie liczy na znaną markę jubilerską i nie chciał jej rozczarować ani tego, żeby jej ojciec pomyślał, że jest skąpy.

Spędziła z nim noc u niego w mieszkaniu, jak zwykle ostatnio. Miała własne mieszkanie z jedną sypialnią przy Siedemdziesiątej Dziewiątej ulicy, które podarował jej ojciec, spała tam teraz jej młodsza siostra, żeby ją kryć na wypadek gdyby zadzwonili rodzice.

Rano Julie i Max kolejno zadzwonili do swoich rodziców i przekazali im nowinę. Morganowie byli zachwyceni, a Steinowie powiedzieli to, co wypada, ale ze smutkiem słuchali przez oba aparaty w mieszkaniu.

– *Mazel tov!* – powiedziała matka, a potem Max podał słuchawkę Julie, a ona szczebiotała, jaki piękny jest pierścione i powiedziała, że bardzo kocha ich syna i że jest szczęśliwa. Przez telefon przypominała szesnastolatkę i Emmanuelle spojrzała na Jakoba, gdy spotkali się w kuchni.

– Zrobił to – powiedziała ponuro i z rozczarowaniem. – Możemy tylko życzyć mu szczęścia. Jak ona będzie wychowywać dzieci? Sama jest dzieckiem.

– Dorośnie – powiedział z nadzieją Jakob. – Ty byłaś od niej o rok młodsza, gdy za mnie wychodziłaś – przypominał, a Emmanuele ze zdumieniem to sobie uświadomiła. Była jednak całkiem inna od tej rozpieszczonej dziewczyny.

– Zobacz, ile razem przeszliśmy. A byłam w jej wieku, kiedy urodziłam Maksa. – Milczeli, przypominając to sobie. Wydawało się, jakby to było wczoraj.

W następnym tygodniu zaręczyny ogłoszono w niedzielnym wydaniu „New York Timesa” i szybko młodzi ustalili datę ślubu.

Zamierzali się pobrać dzień po jego urodzinach w grudniu, tuż przed Bożym Narodzeniem. Ona chciała, żeby wesele odbyło się w posiadłości jej rodziców w Greenwich, mieli zamiar zaprosić około sześciuset gości. Planowała szesnaście druhen, obie jej siostry miały być świadkami. Maksa czekało zebranie takiej samej liczby družbów. Poprosił Steve'a MacMillana, współlokatora z akademika, żeby został jego świadkiem, na ślubie mieli się również pojawić Andy i Jared. Pan młody i obaj ojcowie mieli wystąpić we frakach, a pozostali mężczyźni w smokingach. Miało to być uroczyste wydarzenie, a później młoda para wybierała się w podróż poślubną na Tahiti. Julie powiedziała mu kiedyś, że zawsze chciała tam pojechać, więc obiecał jej, że pojedą. Przez cały czas powtarzała, że właściwie nie ma czasu, żeby wszystko dokładnie przygotować. Kilka dni po oświadczeniach poszła z matką i siostrami do Bergdorfa wybrać suknię ślubną. Spodziewali się, że w najbliższych miesiącach czeka ich dziesięć lub dwadzieścia przyjęć zaręczynowych. Planowanie ślubu stało się dla Julie pełnoetatowym zajęciem aż do grudnia, a Max już denerwował się na myśl, jak pomiędzy

przyjęcia wciśnie swoje wyjazdy w interesach. Jakoś mu się to udało. Julie liczyła na to, że każda z przyjaciółek wyprawi jej wieczór paniński.

Do powinności Steinów należała tylko przedweselna kolacja, na której, jak ich poinformowano, miało się zjawić około stu osób, głównie z rodziny i przyjezdnych gości. Emmanuelle nie miała pojęcia, gdzie ją wyprawić. Jakob obiecał, że jej pomoże i w końcu zarezerwowali salę w The Plaza. Hotel miał zapewnić potrawy, a także kwiaty oraz muzykę, jeżeli sobie zażyczą, choć w noc przedślubną z reguły nie ma tańców.

– Stać nas na to? – spytała Emmanuelle Jakoba, kiedy dostali kosztorys. Była przerażona ceną, ale nie chciała zawstydząć Maksa i wydawać przyjęcia w mniej luksusowym miejscu.

– Tak – uśmiechnął się do niej Jakob. – Masz zakaz przygotowywania przystawek i zamawiania kwiatów dla oszczędności – droczył się. – Wszystko musi być pierwsza klasa, od początku do końca. To nasz jedyny syn i mam nadzieję, że to będzie jego jedyny ślub. – Ale żadne z nich w to nie wierzyło, kiedy Jakob podpisywał umowę z hotelem The Plaza.

Emmanuelle zrezygnowała z kupna sukni, uparła się, że uszyje ją sama. Znalazła granatową koronkę w pobliskim sklepie i uszyła sobie suknię z długimi rękawami i dobranym do niej bolerkiem. Zawsze nosiła długie rękawy, żeby nikt nie zauważył obozowego numeru. Jakob obstał frak z dodatkami u swojego krawca i przymierzył go przy niej. Wyglądał niezwykle elegancko i Emmanuelle bez trudu wyobrażała go sobie tańczącego w wiedeńskiej sali balowej. Miał zatańczyć pierwszy taniec z matką Julie, a Mike Morgan z Emmanuelle.

Obie pary rodziców poznały się w sierpniu, przy omawianiu szczegółów ślubu. Miała to być wielka uroczystość z ogrzewanymi namiotami z lampionami i ścieżkami wśród śniegu i świateł. Zatrudnili znaną konsultantkę ślubną. Jakob z Emmanuelle mieli wrażenie, jakby chodziło o bal koronacyjny w pałacu Buckingham, ale ich syn i panna młoda byli szczęśliwi, a przecież to było najważniejsze. W czasie kolacji przedślubnej mieli też świętować urodziny Maksa. Morganowie sprowadzili z Las Vegas znany zespół, który miał grać dla młodych po północy na weselu w specjalnym namiocie, a samo przyjęcie miała umilać dwunastoosobowa orkiestra. Pomyśleli o wszystkim i na niczym nie oszczędzali, włącznie z luksusowymi autobusami, które miały przewieźć gości z miasta do Connecticut. Nie chcieli, żeby ktoś prowadził po alkoholu, przed czy po ślubie, zwłaszcza że przyjaciele panny młodej byli młodzi i szaleni, tuż po dwudziestce. Trzydziestoletni znajomi Maksa byli bardziej stateczni.

Mike Morgan spełnił obietnicę. Wyprawił dla swojej córki wesele marzeń. A Max się do tego wszystkiego dostosował. Chciał tylko jednego – żeby Julie była szczęśliwa.

Wielki dzień nadszedł po czterech miesiącach przyjęć zaręczynowych. Max mówił Steve'owi, że wydaje mu się, jakby od miesiąca co wieczór występował w smokingu i z trudem wyrabiał się z pracą. Ciągłe wsiadał i wysiadał z samolotów, żeby dotrzeć na spotkania biznesowe pomiędzy przyjęciami, spóźniał się, zjawiał nieodpowiednio ubrany, źle przygotowany i na kacu. Nie mógł się doczekać tego, że przyjęcia się skończą i będzie już po ślubie, żeby bez przeszkód powrócić do zawodowej rutyny. Ale nie powiedział tego Julie. Emmanuelle wydawało się, że zawsze wygląda na zmęczonego. Zostali zaproszeni na wiele przyjęć, ją zaproszono na wszystkie wieczory panińskie, ale poszła tylko na dwa, wieczór kuchenny i wieczór bieliźniany, bo nigdy wcześniej w czymś takim nie uczestniczyła. Była zaskoczona wyszukanyimi, drogimi prezentami, jakie dostawała przyszła panna młoda i tym, jak jej przyjaciółki rywalizowały, która z nich urządzi najlepsze przyjęcie.

Zdecydowali z Jakobem, że młodej parze w prezencie ślubnym podarują codzienną zastawę. Max i Julie wybrali ją u Tiffany'ego wraz z innymi prezentami z listy ślubnej. Cena porcelany też zaskoczyła Emmanuelle. Nie chciała nawet myśleć, ile wydadzą Morganowie, była pewna, że wesele będzie kosztować około miliona dolarów.

Ku wielkiej uldze Emmanuelle kolacja przedweselna przebiegła bez problemów. Sama wypisała wszystkie bileciki stołowe starannym europejskim pismem, bo nie chciała za to płacić. Na kolację uszyła sobie długą czarną suknię z tafty z długimi rękawami, która ładnie leżała na jej szczupłej figurze. Długie blond włosy spięła w luźny kok, wyglądała elegancko w brylantowych kolczykach, które Jakob podarował jej na dwudziestą piątą rocznicę ślubu, i z pierścieniem z dużym brylantem, który dostała na dwudziestą. Nie mieli rodzinnej biżuterii, żeby podarować ją Julie w ślubnym prezencie, bo naziści zabrali całą w Wiedniu, ale Jakob kupił swojej synowej bardzo ładną, prostą bransoletkę z brylantami od ich byłego szlifierza. Morganowie podarowali Maksowi w prezencie ślubnym brylantowe spinki od Tiffany'ego i platynowy zegarek od Cartiera na urodziny.

Emmanuele poczuła ulgę, kiedy kolacja się skończyła. Następnego dnia Morganowie przysłali limuzynę, która miała ich zawieźć do Greenwich wcześniej, żeby mogli się przebrać na ślub, i ulokowali ich w pięknym apartamencie dla gości. Była cała armia fryzjerek, makijażystek i manikiurzystek dla druzhen i gości weselnych, do pokoju Steinów przysłano fryzjerkę, ale Emmanuelle powiedziała, że woli uczesać się sama. Upięła włosy w gładki francuski kok i sama się umalowała. Ślub przypominał jej cyrk, z trzema wielkimi namiotami na trawniku za domem Morganów na ceremonię i przyjęcie. Zobaczyła pannę młodą, która wyglądała zjawiskowo. Miała na sobie białą satynową suknię z obramowaniem z białych nerek i długim koronkowym welonem, który ciągnął się za nią na dwa metry. Emmanuelle wiedziała, że jej syn oniemieje, gdy ją zobaczy.

Zajęli z Jakobem miejsca po stronie pana młodego w pierwszym rzędzie, a kiedy rozległa się muzyka, Mike poprowadził córkę do ślubu. Max czekał na nią przy ołtarzu całkowicie pokrytym konwaliami, z których składał się też bukiet ślubny. Druhny ubrane były w fioletowe aksamitne suknie, obszyte ciemnym futrem z nerek, i niosły fiołki. Wszystkie kwiaty ściągnięto z Ameryki Południowej. Matka panny młodej miała na sobie szmaragdową suknię Oscara de la Renty, granatowa koronkowa suknia Emmanuelle prezentowała się ślicznie i bardzo odpowiednio. Jakob był z niej dumny. Sam wyglądał jak księżę z bajki we fraku, a Max jak młody rycerz w lśniącej zbroi, który czeka na swoją księżniczkę.

Wszystko wydawało się nierealne, na uroczystości był reporter z „Vogue”, który fotografował całe wydarzenie. Wśród gości było wiele znanych i wpływowych osobistości. Emmanuelle nie rozpoznała nikogo poza gubernatorem Nowego Jorku z żoną i dwoma senatorami. Przylecieli z Waszyngtonu helikopterem i wylądowali na trawniku przed domem. Emmanuelle i Jakob ze łzami w oczach patrzyli, jak ich syn składa przysięgę małżeńską, a później Julie wypowiada swoją. Duchowny ogłosił ich mężem i żoną, a oni pocałowali się z radością i przeszli do wyjścia, a zebrani nagrodzili ich oklaskami. Orkiestra zaczęła grać, rozpoczęło się wesele. Miało trwać do śniadania następnego dnia.

W czasie weselnej kolacji były przemowy i toasty, obaj ojcowie skierowali do młodej pary wzruszające słowa, a Emmanuelle rozplakała się, słuchając Jakoba. Był taki dostojny i elegancki, a Max, słuchając, przypomniał sobie, jak w dzieciństwie wstydził się tego, że rodzice mówią z obcym akcentem. Chciał, żeby byli jak wszyscy, a oni zawsze się wyróżniali. Wiedział, że go kochają, ale czasami czuł się osaczony przez nich i przez to, jak bardzo był dla nich ważny. Wyrzucał sobie, że to wspomina. Przemowa ojca była błyskotliwa, z pozostałością austriackiego akcentu z lekkim brytyjskim nalotem życzył młodej parze szczęścia na nowej drodze życia i wielu dzieci. Później bardzo zabawny toast wznosił drużba, a po nim obie siostry Julie. Wieczór ciągnął się i ciągnął, matka panny młodej była zachwycona, kiedy Jakob zatańczył z nią walca wiedeńskiego. Przypomniały mu się sale balowe z czasów jego młodości. Później zatańczył z Emmanuelle i okazało się, że są najbardziej elegancką parą na parkiecie. Max też radził sobie w

tańcu, uczył go ojciec, gdy był dzieckiem, bo uważał, że może mu się to kiedyś przydać, i rzeczywiście przydało mu się na jego własnym ślubie. Nie schodzili z Julie z parkietu przez całą noc. Ślub był piękny, a wieczór idealny. Steinowie podziękowali Morganom i odjechali do Nowego Jorku limuzyną, która ich przywiozła. Jedynie młodzież została, żeby tańczyć do białego rana. Przed wyjściem rodzice pocałowali i uściskali Maksa i Julie na pożegnanie. Nowożeńcy wyjeżdżali na Tahiti dopiero następnego dnia po południu.

– O mój Boże – powiedziała Emmanuelle, zdejmując buty i opierając się w limuzynie. – To był chyba ślub stulecia. Dzięki Bogu, że nie mamy córki. – Ale oni nigdy nie pomyśleliby nawet o wyprawieniu takiego wesela ani nie wydali na nie takich pieniędzy. Jakob przyznał, że wesele, potrawy i kwiaty musiały kosztować sporo ponad milion dolarów. W kilku miejscach podawano kawior na postumentach z lodu, a na każdym stoliku stały okazałe dekoracje z białych orchidei. Zadbano o najdrobniejszy szczegół. Na każdym miejscu dla każdego gościa przygotowane były podarunki – srebrna ramka od Tiffany’ego z wygrawerowaną datą i zdjęciem Maksa i Julie. – Mam tylko nadzieję, że po tym wszystkim będą szczęśliwi. – Jakob kiwnął tylko głową, ziewnął i uśmiechnął się do niej.

– Cudownie się z tobą tańczyło. Powinniśmy to robić częściej – powiedział zadowolony.

– Moglibyśmy zostać zawodowymi gośćmi weselnymi – rzuciła, a on roześmiał się. – Wyobrażasz sobie, że Morganowie będą musieli przechodzić przez to jeszcze dwa razy, z dwiema pozostałymi córkami? – Sama myśl o tym, o wysiłku i wydanych pieniądzech, była przerażająca. Siostry Morgan były bardzo rozpieszczonymi młodymi kobietami, nieznającymi wartości pieniądza. Same upominki weselne kosztowały fortunę, nie wspominając o całej reszcie.

Do mieszkania dotarli o wpół do czwartej nad ranem i Emmanuelle z radością zdjęła suknię, rozpuściła włosy i włożyła nocną koszulę. Jakob pojawił się chwilę później w piżamie, gdy jego żona czesała włosy. Przerwała i spojrzała na niego z poważną miną.

– Mam nadzieję, że będą tak szczęśliwi jak my. – Ale nie zanosilo się na to. Julie była nijaka, płytka, w ciągu prawie roku, odkąd ją poznali, ani razu nie odbyli z nią rozmowy na poważny temat i Emmanuelle podejrzewała, że Max też nie. Zastanawiała się, jak może nie zwracać na to uwagi. Najwyraźniej wystarczała mu jej młodość i uroda, bo tylko to miała do zaoferowania.

– Chodź tu i pokaż mi, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi – powiedział Jakob, kiedy odkładała szcztokę i przyszła usiąść na łóżku obok niego, a on pochylił się i pocałował ją. Położyła się obok niego, on zgasił światło i objął ją. Tu się czuła bezpieczna, z mężczyzną, którego kochała i nic innego się nie liczyło. – Jestem najszczęśliwszym facetem na ziemi – wyszeptał, a ona uśmiechnęła się w ciemności.

– Kocham cię – powiedziała spokojnie.

– Szkoda, że nasz syn nie ożenił się z kimś takim jak ty – odparł mąż ze smutkiem.

– Może kiedyś tak będzie – szepnęła, przypominając sobie, jak składał przysięgę małżeńską Julie. – Ale nie tym razem – dodała, wzdychając, wtuliła się mocniej w męża i zasnęła w jego ramionach.

Max zadzwonił do matki zaraz po powrocie z podróży poślubnej na Tahiti trzy tygodnie później. Chciał, żeby przyjechali z Jakobem zobaczyć dom, który kupili niedaleko posiadłości rodziców Julie w Greenwich, w Connecticut. Rozglądali się też w innych dzielnicach, ale Greenwich podobało się Julie najbardziej, a on chciał, żeby była szczęśliwa. Da sobie radę z dojazdami. Zakładali, że dom będzie gotowy w czerwcu. Pozostało do wykonania mnóstwo pracy i Julie zatrudniła znaną dekoratorkę, żeby wybrać meble i tkaniny. Miała pracować z nią nad wnętrzami przez kolejnych sześć miesięcy. Do tego czasu mieszkali w czymś, co uważali za zagraconą dziurę – w jego garsonierze w centrum. Zamierzał ją zatrzymać po przeprowadzce, żeby mieli gdzie się zatrzymać, gdy zabawią w mieście do późna. Młodsza siostra Julie wprowadziła się do jej mieszkania. Rodzice Maksa nie widzieli jeszcze nowego domu. Na początku uważał, że ma to być niespodzianka, chciał go im pokazać, kiedy będzie już kompletnie urządzony, ale było wiadomo, że miało to potrwać kilka miesięcy. Julie zamierzała zrobić z tego potężne чудо. Max mówił, że na Tahiti było wspaniale i Emmanuelle była wzruszona, gdy zaproponował, żeby obejrzeliby nowy dom, choć nie jest jeszcze skończony. Max i Julie spędzali tam piątkowe popołudnie z wykonawcą i projektantką, i Max zaproponował, żeby rodzice przyjechali pod koniec dnia. Pomyślała, że to wyjątkowo miłe z jego strony, że kupił dom dokładnie tam, gdzie chciała mieszkać Julie, blisko jej rodziny. To typowe dla Maksa, zawsze starał się uszczęśliwiać tych, których kochał. Choć był zajęty i bez przerwy podróżował, dla niej też taki był, a wobec ojca troskliwy. Dzwonił do nich tak często, jak mógł, choć czasami było to tylko kilka minut pomiędzy spotkaniami. Emmanuelle uważała, że Julie ma szczęście, że za niego wyszła, ale zupełnie nie byli przygotowani na dom, przed jaki podjechali w piątkowe popołudnie.

Po drodze, na terenie posiadłości, minęli małe jezioro. Brama wjazdowa była imponująca, a podjazd wydawał się nie mieć końca. Przed domem stały ciężarówki i krzatali się robotnicy. Prace rozpoczęły się tydzień temu i według Maksa w domu było sporo do zrobienia, przekształcali też cały ogród, bo obecny zupełnie się nie podobał Julie, poza tym budowali basen. Trudno było uporać się z tym w pół roku, ale Max miał nadzieję, że przed latem będą się mogli przynajmniej wprowadzić, a prace przed domem zakończyć do końca roku. Gdy Steinowie zaparkowali za trzema ciężarówkami elektryka i mercedesem wykonawcy, Emmanuelle wysiadła z wozu i z podziwem przyglądała się domowi. Nieruchomość należała wcześniej do słynnego architekta, który dom zaprojektował dla siebie, ale Julie uznała, że jest zbyt staroświecki, ciemny i przygnębiający. Wstawiano więc okna na całą wysokość ścian prawie w każdym pokoju i wszystko zmieniano. Emmanuelle oszołomił sam rozmiar budynku. Był olbrzymi. Nie miała pojęcia, że Max kupił taki dom, transakcję zakończył parę tygodni przed ślubem, nie mieli więc czasu o nim porozmawiać. Architekt, który był jego właścicielem, zmarł niedawno w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat i rodzinie zależało na szybkiej sprzedaży.

– Musiał kosztować fortunę – wyszeptęła do Jakoba, gdy weszli po schodach, a on uśmiechnął się do niej.

– Stać go na to – przypomniał.

– Utrzymanie będzie go słono kosztować. – Emmanuelle zdawała sobie sprawę z tego, że do samego sprzątnięcia potrzeba armii ludzi.

– Są młodzi, poradzą sobie, chcą mieć dzieci. – Jakob zawsze starał się dostrzegać pozytywy, usprawiedliwiać tych, których kochał, ale jemu też dom wydawał się zbyt duży.

Max i Julie stali na szczycie schodów z wykonawcą i architektem, trzymającym w ręce plany, a Julie wyglądała, jakby była na coś zła. Max uściśnął rękę obu mężczyznom, spotkanie się skończyło i wtedy zauważył rodziców, wchodzących po schodach. Zszedł do połowy, żeby się z nimi przywitać.

– Witajcie w Jabłoniowych Sadach. – Tak nazywała się posiadłość. Uśmiechnął się szeroko, a Julie zniknęła na minutę, a po chwili wróciła z poirytowaną miną.

– Dom robi wrażenie – pochwalił go ojciec. Jakkolwiek na to spojrzeć, zakup tak wielkiego domu był sukcesem. W Maxa wieku jemu było jeszcze ciężko, ale Izzie zmarł kilka miesięcy później i wszystko się zmieniło. Max do wszystkiego doszedł sam i to też było wielkim osiągnięciem.

– Dom jest taki wielki – powiedziała Emmanuelle, kiedy zobaczyła pokoje wysokie na sześć metrów. Max objął żonę.

– Julie denerwuje się, bo nie chcą zrobić świetlika w miejscu, w którym jej się to marzy. Wyklócaliśmy się o to z wykonawcą przez cały dzień. Powiedzieliśmy, że musi znaleźć rozwiązanie.

Julie zaczęła tłumaczyć, co się gdzie znajdzie, jakie meble, dywany, oświetlenie. Wstawiali windę i zamierzali urządzić pastelowy salon jak letni ogród, a dla większego efektu wokół całego domu posadzić róże. Emmanuelle zerknęła na syna, gdy obchodzili dom, zastanawiając się, co on o tym myśli, ale wyglądał na szczęśliwego i dał Julie wolną rękę, mogła robić, co chce. Mówiła jak dziewczynka urządzająca domek dla lalek, a nie kobieta, której mąż kupił dom na olbrzymiej posesji, wart jakiegoś dziesięć milionów dolarów. Emmanuelle nie wiedziała, co powiedzieć.

Później weszli na górę i Julie pokazywała im kolejne sypialnie. Emmanuelle naliczyła osiem.

– Na co wam tyle pokoiów? – spytała zdumiona, a Max objął żonę i uśmiechnął się do rodziców.

– Zapełnimy je dziećmi. Chcemy mieć mnóstwo dzieci – powiedział z przekonaniem, a Julie wskazała sypialnię małżeńską i pokazała teściowej, gdzie umieści garderobę, która miała być takich rozmiarów, jak prawie całe nowojorskie mieszkanie teściów. Emmanuelle zauważyła, że Julie nie powiedziała nic w kwestii dzieci, o których wspomniał Max. Bardziej interesowały ją regały na buty.

– Spora gromadka – odezwała się do syna. Jej wystarczyło jedno, ale Max święcie wierzył, że życie jest dobre dzięki temu, że wychował się w bezpiecznym kraju, na świecie bez wojny, u kochających rodziców.

– Chcemy pięcioro albo sześcioro – poinformował rodziców, a Jakob kiwnął głową. Skoro mogą sobie na to pozwolić, to czemu nie. Sam chciał mieć więcej, mimo ograniczonych środków, i jakoś by sobie poradził, ale nie zdołał namówić do tego Emmanuelle. Nie był pewny, czy w ogóle zgodziłyby się na dzieci, gdyby nie to, że Max przydarzył się im szczęśliwym trafem.

– Ty też tylu chcesz? – Emmanuelle spytała wprost Julie, a ona kiwnęła głową, a potem pokazała łazienkę z różowego marmuru, którą zostawiali w oryginalnym stanie. Wyglądała jak z pałacu i nie powstydziliby się jej królowa. Julie była dla Maksa księżniczką i tak ją traktował. Miała na sobie džinsy i adidas, biegała po piętrze, pokazując sypialnie i łazienki, garderoby, gabinet Maksa, widok na ogród i rozległy jabłoniowy sad za domem, od którego nazwę wzięła posiadłość. Utrzymaniem sadu i ogrodów wokół domu zajmowało się pięciu ogrodników, jak poinformował z dumą Max. Na górze, na drugim piętrze, były dodatkowe małe sypialnie dla obsługi i dwa wielkie pokoje gościnne.

– Możecie do nas przyjeżdżać, kiedy tylko chcecie – powiedział wielkodusznie Max i wiedzieli, że zaprasza ich szczerze.

– Jesteśmy tu tylko o dziesięć kilometrów od moich rodziców – zauważyła szczęśliwa Julie. Znow przypominała Emmanuelle małą dziewczynkę, która bawi się w dom, a nie dorosłą kobietę, która urządza dom dla męża i przyszłych dzieci. Maksowi chyba podobała się ta jej dziecinność. Wiedział, że w sypialni potrafi być femme fatale. Najseksowniejsza kobieta, z jaką sypiał, była w dodatku młoda i niezmanierowana i mógł ją ukształtować tak, jak chciał. Poddawała się wszystkim jego sugestiom, i skoro chciał sześciorga dzieci, ona się na to godziła. Emmanuelle nie mogła powstrzymać myśli, że nie mają pojęcia, za co się biorą, ale wiedziała, że będą musieli sobie jakoś poradzić. Max wypłynął na o wiele szersze wody niż jego rodzice i odnajdował się w wielkim świecie. Odniósł sukces, którego symbolem był ten dom. I żona. Julie spojrzała na pierścionek na palcu teściowej i powiedziała, że ma nadzieję, że Max kiedyś jej taki podaruje, i to nie na dwudziestą rocznicę ślubu. Nie bała się korzystać z bogactwa męża ani ojca. Rozmiar i liczba szaf, jakie planowała, były tego najlepszym dowodem. W domu miała się znaleźć cała ściana cedrowych szaf na futra i wielki wbudowany sejf na biżuterię.

Dom i ogród oglądali przez godzinę, a potem uściskali syna, pogratulowali mu przed wyjściem i wrócili do miasta. Max i Julie byli umówieni z przyjaciółmi w restauracji w Greenwich i zostawali na noc w domu jej rodziców, a rano mieli spotkanie z architektem zieleni w Jabłoniowym Sadzie. Był to olbrzymi projekt.

Emmanuelle milczała przez kilka pierwszych minut, kiedy wsiedli do samochodu i dopiero za bramą wjazdową odwróciła się do Jakoba.

– Nasz syn oszalał. Po co mu taki dom i taka liczba sypialni? Nawet nie chcę wiedzieć, ile kosztował i ile będzie go kosztować remont i urządzenie. Co mu się w nim teraz nie podoba? Jest piękny. On jej na wszystko pozwala. – Matka Maksa najwyraźniej tego nie pochwałała i była zdania, że synową trzeba poskromić, gdyż zachowywała się jak pozbawione kontroli dziecko, które zjada wszystkie cukierki w zasięgu wzroku, jeżeli najdzie je ochota.

– On ją kocha – powiedział po prostu Jakob. – Chce, żeby była szczęśliwa.

– To nie jest szczęście, to zachłanność. Niedobrze, żeby była tak rozpieszczana. Zamieni się w potwora.

– Może nie w potwora, ale w rozwydrzoną kobietę – przyznał. – Pierwszy przyłożył się do tego jej ojciec. – Przypomniał sobie wesele.

– Czy tak postępowałeś ze mną? Czy pozwalałeś mi na wszystko, żebym była szczęśliwa? – spytała, przyglądając się z zaciekawieniem Jakobowi, kiedy wyjeżdżali na autostradę.

– Ty byłaś szczęśliwa tylko wtedy, kiedy nie wydawaliśmy pieniędzy. – Droczył się z nią, ale było w tym trochę prawdy i oboje się roześmiali.

– Nie rozumiem, jak ktoś w ich wieku, w jakimkolwiek zresztą wieku, może chcieć mieć taki dom i taką odpowiedzialność, jaka się z nim wiąże. Ten dom będzie dla nich ciężarem. Potrzebują armii ludzi, żeby o niego dbać – zauważyła rozsądnie Emmanuelle.

– To nie jest dla niej problemem – stwierdził realistycznie Jakob. – Całą odpowiedzialność dźwiga Max, ona tylko się bawi. – On też nie był tym wszystkim zachwycony, ale nie uważał, że sytuacja jest tak dramatyczna, jak wydawało się jego żonie. Był przekonany, że Julie dojrzeje, oby jak najszybciej, skoro poważnie myślą o dzieciach. Na razie miała w głowie tylko przyjemności i zabawę, i nawet nie próbowała tego ukrywać.

– Może kupił ten dom, żeby nie narzekała, że jego ciągle w nim ma – powiedziała po namyśle Emmanuelle. – Dzięki domowi i dzieciom będzie miała zajęcie.

– Pod warunkiem że będzie spędzać z nimi czas – odparł sceptycznie Jakob. Podobnie jak żona niepokoił się tym, co planuje Julie i o to, jaką partnerką okaże się dla ich syna. Ale na nic

nie mieli wpływu. Było już po fakcie. Nikt nie chciał ich rady, Max o nią nie prosił. To nie leżało w jego naturze. Chciał ich bezwarunkowej akceptacji, a nie wskazówek co do życia i nawet im samym wydawało się to czymś normalnym. Był dorosły i jak na razie świetnie sobie radził. Nie mieli prawa narzekać. Zawsze był dla nich dobrym synem. Mogli jedynie mieć nadzieję, że Julie szybko wydorosłeje.

Trzy tygodnie później Jakob i Emmanuelle planowali kolejną podróż – rejs do Ameryki Południowej. Max zadzwonił do nich z nowiną. Julie była w szóstym tygodniu ciąży. Zaszła w ciążę w czasie podróży poślubnej, może nawet pierwszej nocy. Dziecko miało się urodzić pod koniec września. Max powiedział, że chce, żeby dowiedzieli się pierwsi. Matka pogratulowała mu i cieszyła się, ale też martwiła. Julie nie wydawała się gotowa na macierzyństwo, ale pewnie żadna matka nie jest na nie gotowa, dopóki nie urodzi się dziecko. Zastanawiała się nad tym poważnie i usiłowała przetrwać wiadomość, gdy wszedł do pokoju Jakob.

– Stało się coś? – Zmartwił się, kiedy zobaczył ją taką zamysloną.

– Jest w ciąży.

– No to zaczyna się prawdziwe życie – powiedział. – Co na to Max?

– Jest zachwycony, rozanielony, w siódmym niebie.

Jakob uśmiechnął się, wspominając.

– Ja też taki byłem, kiedy zaszłaś w ciążę. Przestraszony, ale szczęśliwy. Tak się bałem, że coś się stanie naszemu dziecku. Byliśmy tacy niedoświadczeni – powiedział i podszedł ją pocałować.

– Byłam wstrząśnięta, jak ciężki jest poród. Nikt mnie nigdy nie uprzedził. – Wspomnienie było nadal żywe. – Mam nadzieję, że dziecko będzie zdrowe i że Julie okaże się lepszą matką, niż się obawiam – powiedziała po prostu.

– My też nie mieliśmy o niczym pojęcia – przypomniał jej Jakob.

– Nikt nie ma pojęcia przy pierwszym dziecku.

– Nie, ale od tego jest rodzina. My byliśmy zdani tylko na siebie. – Kiwnął głową i uśmiechnął się. – Nie wyglądasz na babcie – powiedział, znów ją pocałował i zaczął błądzić dłońmi po jej ciele, a ona śmiała się jak młoda dziewczyna.

– Bardzo nieładnie się zachowujesz jak na dziadka. Chyba powinieneś być teraz stateczniejszy?

– Mam nadzieję, że nie. Może miło będzie mieć wnuka – powiedział i poprowadził ją powoli w stronę sypialni. Z uśmiechem poszła za nim do łóżka i wtedy zapomnieli o Maksie i jego rodzinie i przez chwilę myśleli tylko o sobie i o łączącej ich miłości.

Julie miała szczęście, dobrze znosiła całą ciążę. Codziennie spotykała się z dekoratorką, robiła plany, wybierała meble i tkaniny. Max założył konto, żeby mogła kupować wszystko, co tylko chce. Mieszkała u rodziców, kiedy on jeździł po całym kraju, szukając ziemi pod inwestycje. Kupił dwa szyby naftowe w Houston, z których jeden przynosił dochód na poziomie największej sprzedaży w Oklahomie. Nigdy nie rozmawiał z Julie o interesach, tylko o domu. Jej nie interesowała jego praca i nigdy nie udawała, że jest inaczej, interesował ją wyłącznie on.

Wszystkie jej przyjaciółki wyprawiły dla niej latem przyjęcia z okazji zbliżających się narodzin dziecka, ze słodkimi małymi ubrankami i zabawkami. Postanowili, że przed porodem nie chcą poznać płci dziecka. Max pragnął chłopca, ale powiedział, że płeć nie ma znaczenia, skoro i tak będą mieć jeszcze piątkę, jeżeli więc nie uda się za pierwszym razem, będą mieli syna za drugim. Julie powiedziała, że chce tego, co go uszczęśliwi. Był przeschczęśliwy, kiedy wracał do niej do domu z podróży i uwielbiał obserwować, jak rozwija się w niej dziecko. Wydawało mu się, że jest jeszcze piękniejsza niż dawniej. Wyglądała zjawiskowo, była pełna energii i w lipcu nadal grała w tenisa.

Po weekendzie Czwartego Lipca wprowadzili się do nowego domu. Nie wszystko było skończone, głównie na zewnątrz. Sam dom był niemal całkowicie urządzony, małżeńska sypialnia i pokój dziecięcy były gotowe. Niesamowita garderoba z automatycznymi drążkami, żeby Julie widziała wszystko, też była gotowa. Uwielbiała pokazywać dom przyjaciołom. Planowali wielką parapetówkę we wrześniu, po narodzinach dziecka. Julie chciała ubrać się w coś wyjątkowego, nie chciała być na przyjęciu w ciąży, a więc czekali.

Opiekunka, którą zatrudnili, przyjechała pierwszego września, trzy tygodnie przed czasem, żeby ustalić wszystko tak, jak chciała Julie. Niania, która miała się zajmować dzieckiem w weekendy, zjawiała się tydzień później i obie rezydowały w pokoju dzieciennym, rozmawiając godzinami w swych wykrochmalonych białych uniformach. Obie były Angielkami, w grudniu miała przyjechać trzecia niania, zmienniczka pierwszej opiekunki. Julie powiedziała, że zawsze chce mieć pod ręką jedną z nich, żeby miała pełną swobodę i była do dyspozycji męża, kiedy będzie w domu. Nie chciała, żeby wracał z podróży i musiał czekać, aż ona upora się z płaczącym niemowlęciem. Była przede wszystkim żoną, a dopiero później matką. Maksowi podobał się ten pomysł. Nie chciał, żeby dziecko w ich domu grało pierwsze skrzypce.

– Ty się tak kiedyś czułeś? – spytała Emmanuelle Jakoba, kiedy Julie im o tym powiedziała. Udali, że przyznają jej rację.

– Skądże, opiekowaliśmy się nim razem. Zmieniałem pieluszki lepiej od ciebie – droczył się. Nie mieli problemu, dzieląc opiekę nad jednym dzieckiem, a Max nie był wymagający. – Ale oni prowadzą o wiele bardziej intensywne życie niż my wtedy – przyznał. – Ja nie jeździłem w interesach tyle, co Max. Mieszkaliśmy z dzieckiem w małym mieszkaniu. Nie mieliśmy nic oprócz pracy, nigdzie nie wychodziliśmy. Nie było nas stać na restaurację czy kino. Może Max naprawdę chce, żeby Julie była wolna i całkowicie poświęcała się jemu, kiedy jest w domu.

– Moim zdaniem to wymówka, żeby nie zajmować się dzieckiem. Chce jeździć do miasta, spotykać się z siostrami i z koleżankami.

– Pewnie zakocha się w dziecku, jak je zobaczy – powiedział optymistycznie Jakob. – Tak było z nami. – Uśmiechnął się, przypominając sobie najmiłszy okres w ich życiu.

– Poza tym ja mogę jeździć do wnuka i spędzać z nim czas, i nie chcę, żeby te kobiety się tam plątały. – Uznała, że zatrudnione przez Julie nianie wyglądają na drętwe i zimne, kiedy któregoś dnia odwiedziła synową w Greenwich, żeby zobaczyć, jak się czuje. Zostały wynajęte poprzez ekskluzywną agencję i wyglądały profesjonalnie. Pielęgniarka nosiła nawet białe rajstopy do białego uniformu i wykrochmalony czepek.

– To po prostu inny świat – powiedział cicho Jakob, choć w jego dawnym życiu też były nianie i wychowywała go bardzo surowa Niemka.

Julie powiedziała im także, że postanowiła, że nie będzie karmić piersią. To również zabierałoby jej swobodę, jaką chciała zachować dla męża. Nic nie mogło stanąć pomiędzy nimi. Od Święta Pracy nie mogła doczekać się porodu. Nadeszła fala upałów i Julie próbowała jakoś to wytrzymać, ale nie mogła już robić nic poza siedzeniem na basenie u rodziców. Max ciągle podróżował, obiecał jednak, że zwolni tempo parę dni przed terminem porodu. Chciał odbyć teraz wszystkie możliwe spotkania, na wypadek gdyby dziecko przyszło na świat po terminie. Ale Julie przez całą ciążę była tak aktywna, że lekarz nie sądził, że ją przenosi. Była młoda i zdrowa i spodziewał się, że poród będzie łatwy, a Max obiecał, że przy niej będzie. Na początku zaoferował się, że będzie chodził z nią do szkoły rodzenia, żeby pomóc jej przy porodzie, ale nigdy nie było go na miejscu w dni zajęć, chodziła więc z nią jedna z sióstr. Julie powiedziała, że jej zdaniem i tak nic z tego nie będzie i chciała znieczulenia. Umówiła się już z osobistym trenerem na ćwiczenia dwa tygodnie po porodzie. Nie miała zamiaru poświęcać dla dziecka figury i uważała na to, żeby niewiele przybrać na wadze.

Dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem przeprowadzili się do mieszkania Maksa w centrum, aby móc szybko dotrzeć do szpitala. Nie chciała rodzić w Greenwich i po przeprowadzce nadal chodziła do ginekologa w mieście. Spotykała się z koleżankami i chodziła z siostrami na zakupy. Kolacje jadła o dziewiątej wieczorem z rodzicami, a tydzień przed terminem poszła na imprezę do Studio 54 i tańczyła przez godzinę ze znajomymi. Odczuła potem kilka skurczów, ale nic się nie wydarzyło. Powiedziała o tym Maksowi następnego dnia, bo nie było go w mieście tej nocy, kiedy była na imprezie, przyjechał dopiero nazajutrz.

– Może powinniśmy iść potańczyć, żeby przyspieszyć poród – żartował. – Mam spotkania w Houston za dwa tygodnie i muszę na nich być, lepiej więc, żeby nasz syn się nie ociągał. Musi się urodzić w terminie – oznajmił i pogłaskał ją po brzuchu. Jej ciało nadal było szczupłe i jędrne z wyjątkiem wielkiego brzucha, który wyglądał jak piłka plażowa pod krótkimi sukienkami, które nosiła, żeby pokazywać nogi. Twarz miała piękną. Była uosobieniem młodości i zdrowia. Nawet Emmanuelle musiała przyznać, że uroda synowej jest zjawiskowa. Przypominała gwiazdę filmową i nietrudno było zrozumieć, dlaczego Max się w niej zakochał.

W ostatnich dniach przed porodem kupowała jeszcze ubranka i zabawki dla dziecka. Nie miała nic innego do roboty, w Greenwich czekały obie nianie. Kiedy dziecko się urodzi, Max miał ją prosto ze szpitala zawieźć do Jabłoniowych Sadów. Lekarz powiedział, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, a Max był pewien, że tak będzie, spędzi w szpitalu tylko dzień lub dwa.

Zgodnie z obietnicą dwa dni przed terminem przyleciał z Detroit, gdzie był w interesach, i powiedział, że do porodu nigdzie się nie rusza. Ich rozrywką były spacerunki po Central Parku w weekend i kolacje w restauracjach co wieczór. Próbował się z nią kochać, ale obojgu było niewygodnie i bał się, że zrobi krzywdę dziecku, uciekali się więc do bardziej pomysłowych sposobów na to, żeby dostarczyć sobie nawzajem przyjemności. Ku irytacji Julie, termin porodu minął. Dwa dni później Max odbył rano z domu kilka telekonferencji, a potem poszedł do biura. Zatrudnił sześć osób, które pomagały mu zapanować nad wszystkim. Był tak zajęty, a Julie martwiła się, że będzie musiał znów wyjechać, zanim urodzi się dziecko. Dzwonił z biura prawie co godzinę, żeby sprawdzić, jak się czuje i czy są jakieś objawy, ale na próżno. Miała tego serdecznie dość i pojechała do Greenwich popływać w basenie rodziców w wyjątkowo upalny wrześnieowy dzień, nie mówiąc o tym Maksowi. Matka była zaskoczona jej widokiem i zganiła ją za to, że prowadziła samochód, ale Julie chciała zabrać z domu kilka rzeczy i obiecała, że chwilę popływa, zje obiad z matką, a potem wróci do miasta. Zbierała się do powrotu, kiedy odeszły jej wody, gdy stała przy basenie. Wyglądała na przerażoną.

– Rany boskie, co teraz, mamó? Max mnie zabije, nie wie, że tu przyjechałam. – Lekarz zabronił jej się ruszać z miasta dwa tygodnie wcześniej.

– Dzwon do lekarza – powiedziała pewnym głosem matka. – Zawiozę cię do szpitala najszybciej, jak się da. Poród zacznie się pewnie za kilka godzin. To się nie dzieje tak szybko, zwłaszcza za pierwszym razem. – Podała jej stos ręczników, żeby się owinęła i poszła się ubrać, wziąć torebkę i kluczyki. Julie zadzwoniła do lekarza, powiedziała, co się stało i gdzie jest. Nie chciała dzwonić do Maksa, dopóki nie wróci do miasta, żeby się nie bał ani nie złościł, że pojechała bez jego wiedzy do Greenwich. Lekarz kazał jej jechać prosto do szpitala na badanie i uspokoił, że wszystko będzie dobrze, ale kazał się spieszyć.

Miała już lekkie skurcze, gdy wsiadała do jaguara matki, z grubym stosem ręczników pod pupą, żeby nie zabrudzić tapicerki. Siedziała cicho, zdenerwowana, w czasie drogi powrotnej, ale nie wydarzyło się nic przerażającego, a skurcze nie wzrastały od dwóch godzin.

– Boję się, mamó – powiedziała cicho, gdy przejechały przez most Triborough do miasta. Cieszyła się, że nie urodziła w samochodzie. Chciała, żeby Max był przy niej i żeby wszystko poszło gładko.

– Nie bój się. – Matka uśmiechnęła się do niej. – Wszystko będzie dobrze, skarbie. W twoim wieku to bułka z masłem. Ja miałam łatwe porody, z tobą na pewno będzie tak samo.

– Dziecko jest chyba wielkie, mam. I co zrobię potem? Nie mam pojęcia, jak być matką ani jak się nim opiekować.

– Nauczysz się. Jak wszyscy. Ja też nie wiedziałam, co robić, gdy urodziła się twoja siostra. Ale do głosu doszedł instynkt macierzyński. Masz dwie nianie do pomocy.

– Nie chcę, żeby Max wziął mnie za idiotkę albo żeby pomyślał, że nie wiem, jak się opiekować jego dzieckiem. Takie rzeczy powinno się chyba wiedzieć. – Macierzyństwa bała się jeszcze bardziej niż samego porodu, który wydawał jej się czymś potwornym po filmach, które pokazano w szkole rodzenia. Jej siostra przy jednym o mało nie zwymiotowała i powiedziała, że nie chce mieć dzieci, a Julie zaczynała podzielać jej zdanie. Wszystko brzmiało tak romantycznie, gdy Max powiedział, że chce mieć z nią dzieci, ale odkąd zaszła w ciążę, była przerażona, że nie wie, co ma robić. Uwielbiała być żoną, ale macierzyństwo wydawało jej się czymś znacznie trudniejszym.

– Wierz mi, wszystko przychodzi naturalnie. Ja byłam młodsza od ciebie, kiedy rodziłam pierwszy raz, a w twoim wieku rodziłam ciebie. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Max będzie wspaniałym ojcem. – Julie kiwnęła głową. Skurcze zaczęły się wzmacniać, ale od szpitala dzieliło je już tylko kilka minut. Miała zadzwonić do Maksa, żeby mu o wszystkim powiedzieć, ale nie chciała, żeby wiedział, że pojechała do Greenwich i musiała zostawić tam samochód. Mogą go później przyprowadzić nianie, ona przyjedzie za kilka dni, jak już urodzi.

Do szpitala dotarły pięć minut później, matka weszła z nią do izby przyjęć. Julie zadzwoniła do Maksa, kiedy czekały na lekarza.

– Wody mi odeszły – powiedziała zdenerwowana. – Jestem w szpitalu, żeby mnie zbadali, na razie nic się nie dzieje. Mam skurcze, ale nic wielkiego. Zadzwonię do ciebie po badaniu. – Słyszała, że Max jest podekscytowany i szczęśliwy.

– Za dziesięć minut mam telekonferencję. Wyrwę się, jeżeli coś się będzie działo. Zadzwon do mnie po badaniu. – Nie zaproponował, że przyjedzie, był zajęty.

– Już się coś dzieje! – warknęła. – Rodzę! – Była bliska łez, kiedy to mówiła, nagle przerażona, zastanawiała się, co właściwie ją czeka.

– Upewnijmy się tylko, że to już, żeby nie przyjeżdżał na darmo – powiedział i rozłączył się. Badanie było zniechęcające.

– Ma pani dwucentymetrowe rozwarcie, długa droga przed panią. Może pani wrócić do domu i przyjechać, gdy skurcze będą silniejsze, pewnie dopiero wieczorem. Według mojej oceny wszystko zacznie się po północy. – Była trzecia po południu. – Nie ma sensu, żeby przez ten czas siedziała pani w szpitalu. Proszę jechać do domu, odprężyć się, zdrzemnąć, nie przejadać się i wrócić, gdy coś się zacznie dziać.

Zadzwoniła do Maksa, żeby mu o tym powiedzieć, a matka odwiozła ją do mieszkania. Max powiedział, że po południu jest bardzo zajęty, ale żeby dzwoniła do niego o każdej porze, a jeżeli nic nie wydarzy się szybciej, wróci do domu koło szóstej czy siódmej, bo chce uporać się z robotą. Matka musiała wracać do Greenwich. Wieczorem mieli gości na kolacji. Pożegnała się z Julie z szerokim uśmiechem.

– Tylko spokojnie. Odpoczywaj, skarbie, będziesz potrzebować sił. Przyjadę jutro zobaczyć wnuka. – Pocałowała ją i odjechała, a Julie weszła po schodach do mieszkania i rozplakała się, gdy tylko dotarła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Śmiertelnie bała się tego, co ją czeka, zarówno porodu, jak i dziecka, które będzie miała już na zawsze. Nie była sobie w stanie przypomnieć, dlaczego uznała, że to dobry pomysł, ale zrobiła to, żeby uszczęśliwić Maksa. Teraz nie mogła liczyć nawet na to, że będzie przy niej, żeby podnieść ją na duchu – był

w pracy, jak zawsze.

Leżała w łóżku i kiedy się już wyplakała, drzemała przez chwilę, a potem wstała i umyła głowę. Dzień wcześniej zrobiła manikiur, a zanim Max wrócił do domu, nałożyła makijaż. Zjawił się o wpół do ósmej z chińszczyzną dla nich obojga, ale od samego zapachu zrobiło jej się niedobrze, nie była w stanie nic przełknąć. Skurcze zupełnie ustały, ale skoro wody odeszły, wiedziała, że wcześniej czy później rozpoczną się na nowo, tym razem naprawdę.

Leżeli razem w łóżku i oglądali telewizję, a ona znów zasnęła i obudziła się o jedenastej, gdy on słuchał wiadomości. Poczula tak silny skurcz, że cały jej brzuch zrobił się twardy jak skała, a jej wydawało się, że ktoś ją dusi. Leżała w bieliźnie i Max widział, jak cały jej brzuch się napręża. Położył na nim dłoń.

– Nieźle, ten był silny – powiedział przejęty. Próbowwała usiąść, ale nie mogła. Grawitacja działała na jej niekorzyść z powodu ciężaru dziecka, po chwili poczuła kolejny skurcz. W ciągu kilku sekund z błahostki zrobiła się poważna sprawa, ale na szczęście do szpitala było blisko, a torbę miała spakowaną. Max pomógł jej wstać z łóżka, poszła do łazienki i zwymiotowała przy kolejnym skurczu, a on zadzwonił do lekarza i od razu go z nim połączyli.

– Kazał natychmiast przyjeżdżać – powtórzył z radosnym uśmiechem.

– Czuję się strasznie – powiedziała i było to po niej widać. Matka powiedziała, że to bułka z masłem, ale wcale tak nie było. Był to najgorszy ból, jaki w życiu czuła. Max podał jej sukienkę, która leżała na łóżku i pomógł jej ją włożyć. Bóle nie ustawały. Z mieszkania wychodziła zgięta wpół, a gdy portier wezwał taksówkę, rozplakała się. Max ją podtrzymywał, portier życzył im szczęścia, kiedy wsiadła do taksówki i odjechali. Czuła teraz, że dziecko prze w dół z siłą, której nie jest w stanie powstrzymać. Max pobiegł po wózek inwalidzki, kiedy dotarli do szpitala i zawiózł ją na izbę przyjęć. Spojrzała na niego i na pielęgniarki szeroko otwartymi oczami.

– Znieczulenie! – krzyknęła. – Niech mi ktoś pomoże!

Max wyglądał jak sparaliżowany, dwie pielęgniarki przejęły wózek i jedna z nich kazała się jej uspokoić.

– Lekarz na panią czeka, podamy pani epidural, jeżeli tylko nam to zleci – powiedziała kojącym tonem.

– Czuję się strasznie. Gdzie on jest? – Max biegł przy niej, trzymając ją za rękę, kiedy wieźli ją na porodówkę. Zwymiotowała, gdy tylko przenieśli ją na łóżko i zaczęła histerycznie płakać, kiedy ją myli. – Umieram – powiedziała do męża, a on stał ze łzami w oczach i nie miał pojęcia, jak jej pomóc. – Nie dam rady... proszę... – Trzymała jego dłoń w żelaznym uścisku, gdy kilka sekund później wszedł lekarz i po cichu wyjaśnił Maksowi, że prawdopodobnie jest w fazie przejścia i niedługo urodzi. Wszystko zaczęło się nagle i działało się tak szybko. Max pomyślał, że nie ma na nic wpływu, jego żona też nie.

Lekarz zbadał ją, a ona krzyczała pomiędzy szlochami i skurczami, pokręcił głową, a później spokojnie odezwał się do Julie. Dla niego wszystko było rutyną, ale nie dla Maksa, któremu było słabo, gdy patrzył na żonę, zwijającą się z bólu, którego nikt nie był w stanie złagodzić.

– Rozwarcie jest na dziewięć centymetrów – odezwał się głośno lekarz. – Za kilka minut może pani zacząć przeć. Możemy zostać tutaj, na porodówce, jeżeli pani chce. Wszystko idzie pięknie. Czuję, jak dziecko przesuwają się w dół, świetnie pani idzie.

– Chcę znieczulenia! – wrzasnęła na niego. – Dajcie mi coś przeciwbólowego... Nie wytrzymam! – Spojrzała na lekarza, a potem na Maksa, który czuł się całkowicie bezradny.

– Świetnie pani idzie. Za późno na epidural. Zaczęło się za szybko, zanim tu pani trafiła. Czasami tak się dzieje. Za kilka minut będzie pani mogła przeć.

Poczuła kolejny potworny skurcz, on zbadał ją przy tym, a ona wydała z siebie mrożący krew w żyłach krzyk. Max stanął obok niej, żeby dodać jej otuchy, ale nie mogła znieść jego dotyku. Za bardzo cierpiała.

– Jest dziesięć – poinformował lekarz i powiedział, jak ma zacząć przeć.

Max patrzył na nią ze łzami ciekącymi po policzkach, których nawet nie był świadomy. Zaczęła przeć mocno, później krzyknęła i opadła na poduszki. Nogi miała szeroko rozłożone, jedna z pielęgniarek i lekarz obserwowali główkę dziecka, druga stała przy Julie i dodawała jej otuchy, a Max trzymał ją za ramiona. Była całkowicie skupiona na parciu, a cała czwórka zgromadzona na sali kibicowała jej.

Parła jeszcze dwa razy, aż dziecko wyslizgnęło się z niej płynnie i zaczęło płakać. Była to piękna dziewczynka i Max rozszlochał się, gdy spojrział na córkę i pocałował żonę. Leżała i patrzyła na niego szklistymi oczami, a lekarz przeciął pępowinę, podał dziecko pielęgniarce i powiedział Julie, że ma śliczną córeczkę.

Owinęli ją w różowy kocik i spytali Julie, czy chce ją wziąć na ręce. Pokręciła głową przecząco, podali więc dziecko Maksowi. Wyglądał na oszołomionego, kiedy ją przytulał. Przestała płakać, gdy tylko usłyszała jego głos. Julie patrzyła na nich jak na nieznajomych.

– Powiedział pan, że będę mogła dostać epidural – powiedziała do lekarza oskarżycielskim tonem.

– Było już za późno, kiedy pani do nas dotarła – wyjaśnił szczerze. – Czasami wszystko dzieje się bardzo szybko, zwłaszcza jeżeli wody odejdą kilka godzin wcześniej. W ciągu paru minut zrobiło się rozwarcie na dziesięć centymetrów. – Od pierwszego silnego bólu do urodzenia dziecka upłynęło zaledwie pięćdziesiąt pięć minut. Lekarz powiedział, że gdyby czekała chwilę dłużej, urodziłaby w domu, a przyjechali przecież tuż po pierwszym bólu. Powiedział, że pierwsze dziecko bardzo rzadko rodzi się tak szybko.

– To była najgorsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała – powiedziała Julie, patrząc Maksowi w oczy, a on był przerażony, że nigdy mu nie wybaczy. Chciał mieć więcej dzieci, po córce – syna. Ale już kochał córkę i kiedy oddał małą pielęgniarce, usiadł obok Julie i odezwał się do niej kojąco, że bardzo ją kocha, podczas gdy ona płakała. Poród był dla niej takim bolesnym przeżyciem, że nie chciała nawet wziąć dziecka na ręce.

Poszedł na oddział noworodków przytulić córkę, a w tym czasie umyła Julie. Położna wyjaśniła Maksowi, że czasami tak się dzieje.

– Kobiety nie spodziewają się, że będzie aż tak trudno i przez dzień czy dwa odrzucają dziecko, ale potem dochodzą do siebie i przystosowują się do macierzyństwa. Nie jest łatwo, kiedy wszystko dzieje się tak szybko i wydaje się, że coś wymknęło się spod kontroli.

Kiwnął głową z ulgą i siedział z Julie jeszcze przez godzinę, aż zasnęła po zastrzyku na uspokojenie, który jej podano. Potem pojechał do domu, żeby się przespać. Przed wyjściem zatrzymał się, żeby jeszcze raz spojrzeć na córkę. Nigdy nie widział niczego równie pięknego. Imiona wybrali kilka tygodni wcześniej. Miała mieć na imię Hélène Françoise po matce i siostrze Emmanuelle, zgodnie z żydowską tradycją – Julie nie miała nic przeciwko temu, powiedziała, że imię jej się podoba.

Wrócił do domu, położył się i myślał o wszystkim, co się wydarzyło, jak trudny był poród dla Julie, jak makabryczne wydawało się wszystko przez kilka minut, jak cudowne jest ich dziecko i jak bardzo je już kocha. Zасыpiając, odmówił modlitwę o długie i szczęśliwe życie dla córki i żeby Julie szybko wybaczyła im obojgu.

Max zadzwonił do rodziców zaraz rano, tuż po przebudzeniu, żeby powiedzieć, że ich wnuczka przyszła na świat, waży trzy kilo osiemdziesiąt i jest całkiem spora. Mimo wcześniejszych uprzedzeń Emmanuelle rozplakała się, Jakob też. Spytali, czy mogą zobaczyć małą po południu. Emmanuelle była bardzo wzruszona, kiedy dowiedziała się, że nadali jej imię po prababci i ciotecznej babci.

– Jak się czuje Julie? – spytała matka z kobiecą troską.

– Poród był szybki, ale bardzo ciężki. Dziecko jest duże, ale w godzinę było po wszystkim, od pierwszego bólu do pierwszego płaczu. Biedna Julie dostała za swoje. Było gorzej, niż się spodziewała, a wszystko działało się tak szybko, że nie mogli jej podać znieczulenia. – Jego matka też to przeżyła, ale gdy tylko zobaczyła Maksa, wiedziała, że było warto. – Była bardzo zła wczoraj w nocy, po porodzie podali jej coś na sen. – Emmanuelle nie uważała, że to zupełnie normalne, ale nie chciała być wścibska. – Zaraz tam jadę. Może wpadniecie po południu? Do tego czasu powinna poczuć się lepiej, jutro wracamy do Greenwich. – Julie leżała w szpitalu Lenox Hill, niedaleko mieszkania Maksa. Emmanuelle obiecała, że przyjedzie, mieli już prezent dla malej. Był nim zestaw – srebrny grzebień i szczotka podobne do tych, jakie miała, gdy była dzieckiem. Nie mogli się doczekać, żeby ją zobaczyć.

Kiedy Max dotarł do szpitala, ostrożnie otworzył drzwi do sali, bo nie wiedział, czego się spodziewać, w jakiej formie będzie Julie i czy będzie trzymać ich dziecko w ramionach jak Madonna. Zastał ją rozmawiającą przez telefon ze swoją matką, opowiadała, jaki straszny był poród. Uśmiechnęła się, pomachała mu i posłała buziaka. Włosy miała uczesane, wyglądała na nieskazitelnie zadbaną i miała makijaż. Dziecka w sali nie było.

– Gdzie Hélène? – spytał, gdy się rozłączyła. Córka była już dla niego osobą, miała imię.

– Na oddziale – odparła beztrąsko Julie. – Musiałam wykonać milion telefonów, żeby wszystkim powiedzieć, nie chciałam jej budzić. Nie karmię, więc nie musi tu być cały czas.

– Chcę ją wziąć na ręce – powiedział rozczarowany. Czekał na to, odkąd się obudził. – Moi rodzice przyjadą później. Nie mogą się doczekać, żeby ją zobaczyć, moja mama jest zachwycona jej imieniem.

Julie uśmiechnęła się.

– Przepraszam, że byłam wczoraj taka okropna. To najgorsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała – powiedziała, nadal przerażona na samo wspomnienie. – Nie mogę uwierzyć, że nie chcieli mi dać epiduralu. To barbarzyństwo. – A jednak kobiety przechodziły przez to od zarania dziejów i jakoś sobie radziły. – Moja mama rodziła naturalnie trzy razy. Jest święta. Ja nigdy więcej się na to nie odważę. Jeżeli będziemy mieć jeszcze jedno dziecko, chcę mieć cesarskie cięcie pod narkozą. – Było słyhać, że jej decyzja jest ostateczna. Bał się spytać, czy trzymała już w objęciach małą.

– Jak to: jeżeli będziemy mieć jeszcze jedno dziecko? Mam nadzieję, że Hélène jest pierwszą z dużej gromadki Steinów. Wiem, że wczorajsza noc była trudna, ale proszę cię, nie rezygnuj jeszcze. – Pochylił się i pocałował ją, a ona znów była podobna do siebie – młoda, świeża i właściwie w pełni sił po tym, przez co przeszła. Wyglądała tak, jakby męki wczorajszej nocy nigdy nie było.

– Wiem, będziemy mieć dzieci. Ale nie spieszmy się z tym. Doczekasz się syna. – Uśmiechnęła się.

– Strasznie się cieszę z córki. Przyniosę ją z oddziału noworodków – powiedział, ale

zanim wyszedł, wyciągnął z kieszeni malutką paczuszkę i wręczył ją żonie. – Mam nadzieję, że to ci wynagrodzi wczorajszą noc – rzekł skromnie. Rozpakowała lśniąca brylantową bransoletkę od Van Cleef & Arpels. Nałożył jej ją, a ozdoba eksplodowała w porannym słońcu cudownym blaskiem.

– Ojej! – Wyglądała na zadowoloną i zostawiła bransoletkę na ręce, żeby wszyscy mogli ją podziwiać. – Dla takiego cacka było warto! – Jej reakcja rozczarowała go, ale nic nie powiedział. Powinno być warto dla dziecka, ból porodu powinien zblednąć w chwili, gdy zobaczyła małą. Tak zawsze mówiły kobiety, ale może to nieprawda. W wypadku Julie brylanty pomagały zawsze. Pocałował ją znowu, poszedł na oddział noworodków i wrócił po kilku minutach z córeczką śpiącą w przezroczystym łóżeczku dla noworodków z jej nazwiskiem na różowej karteczce: „Hélène Françoise Stein”. Była owinięta różowym kocykiem, ubrana w różowo-białą koszulkę nocną i małą różową czapkę, żeby nie zmarzła. Wyglądała jak mały pączek róży. Max chciał, żeby się obudziła, by mógł ją wziąć na ręce.

– Jest taka śliiiiiczna – powiedział, wpatrując się w nią z uwielbieniem. – Podobna do ciebie – dodał, zerkając na matkę dziecka, a Julie wyraźnie się ucieszyła. Wpatrywała się w brylantową bransoletkę, widać było, że jej się podoba. Kupiłby okazalszą, gdyby wiedział, jak ciężki będzie poród, ale i tak był wdzięczny, że po wczorajszej nocy nie chce przestać na jednym dziecku. Przez chwilę się tym niepokoił.

Dziecko w końcu przeciagneło się i rozplakało, wziął je więc na ręce. Była maleńką słodką kuleczką, spróbował zmienić jej pieluszkę, pielęgniarka przyszła pokazać mu, jak to zrobić, a Julie przyglądała się i zostawiła ich z tym samym. Rano wykonała mnóstwo telefonów, jej matka i siostry przyjechały w południe w drodze na obiad. Powiedziały, że dziecko jest cudowne i wysłuchały przerażającej opowieści Julie, a Max poszedł po kawę i na korytarzu wpadł na dwie ich nianie. Przyjechały zobaczyć nową podopieczną i oznajmiły, że jest śliczna. Julie prosiła, żeby przyjechały na wypadek, gdyby po południu potrzebowała pomocy przy dziecku i Max był tym zaskoczony. Od tego były szpitalne pielęgniarki, ale wytłumaczył sobie, że żona widocznie nie czuje się jeszcze pewnie w roli matki. Przyznała mu się, że nie ma pojęcia o dzieciach i boi się, że zrobi coś nie tak. Po wyjściu jej matki i sióstr Max wrócił do pokoju Julie, nianie weszły z nim. Na zmianę trzymały dziecko na rękach, a Max też chciał je mieć przy sobie. Czuł się tak, jakby musiał czekać w kolejce. Nagle wydało mu się, że w pokoju panuje tłok, chciał zostać sam z żoną i dzieckiem. W końcu poprosił je, żeby poczekały na zewnątrz.

– Pomyślałam, że możemy potrzebować pomocy – powiedziała zawstydzona Julie, gdy wyszły.

– Chyba sobie poradzimy. Nie ma z nią problemów. Na razie tylko śpi, susia i robi kupę – odparł z uśmiechem.

– Boję się, że jej coś zrobię albo upuszczę, jest taka maleńka – szepnęła Julie.

– Wygląda na silną – zauważył Max i usiadł przy Julie na łóżku. – Naprawdę mi przykro z powodu zeszłej nocy. Przykro mi, że poród był taki potworny.

– Nie szkodzi. – Spojrzała na bransoletkę, która była jej nagrodą – nie na Hélène, tę prawdziwą nagrodę. – Nie przypuszczałam, że będzie tak źle. Podobno z czasem się zapomina.

– Mam nadzieję – powiedział i pocałował ją. Nie mógł się doczekać kolejnego razu. Chciał całej gromadki dzieci takich jak Hélène. To był dopiero początek.

– Najpierw się nią nacieszmy. Wszystko potoczyło się tak szybko.

Przestała brać pigułki tuż przed ślubem, a dwa tygodnie później była w ciąży. Ta myśl ją teraz przerażała. Nie chciała zbyt szybko zająć w kolejną i myślała o tym, żeby przez jakiś czas znowu brać pigułkę, ale nie powiedziała mu o tym, żeby się nie zdenerwował.

Pielęgniarka z oddziału noworodków zabrała Hélène, żeby ją zbadać, nianie poszły z nią,

a Max położył się obok Julie i myślał o tym, jacy są szczęśliwi. Zdrzemnęli się chwilę, a gdy się obudzili, zjawili się jego rodzice z różowymi kwiatami i balonami dla Hélène i małą różową sukienką, którą Emmanuelle uszyła na wypadek, gdyby urodziła się dziewczynka, z płaszczkiem i czapeczką do kompletu. Ubranka były słodkie, we francuskim stylu i Julie zachwyciła się. Max zaczął myśleć, że bardziej niż dziecko podobają jej się ubranka, prezenty i całe zamieszanie. Rodzice Maksy dostrzegli brylantową bransoletkę na jej ręce i byli zdumieni hojnością syna.

Max poszedł po Hélène na oddział noworodków, a rodzice rozmawiali z Julie – opowiedziała im, jaki straszny był poród, Max po minucie wrócił z małą. Podziwiali, jaka jest piękna. Brali ją po kolei na ręce, Emmanuelle pogłaskała ją po szyjce i podziwiała miękkie blond włoski.

– Jest trochę podobna do mojej siostry – powiedziała cicho. Kiedy byli w pokoju, bez przerwy dzwonił telefon. Nianie zaglądały do pokoju kilka razy, pielęgniarka z oddziału również, a dziadkowie zostawili ich po pół godzinie.

Sporo się działo. Julie już chodziła, szybko wracała do formy po wczorajszych cierpieniach. Przystanęła przy łóżeczku parę razy, żeby popatrzeć na dziecko i jednym palcem dotknęła policzka córki, popatrzyła na jej rączki i nóżki, ale Max do tej pory nie widział, żeby wzięła ją na ręce. Przekonywała się do niej powoli, jak przewidywała pielęgniarka.

Emmanuelle nie powiedziała nic, póki nie wyszli przed szpital, a wtedy spojrzała na męża.

– Za dużo na nią wydaje. Widziałeś bransoletkę? Zepsuje ją, będzie czekać na prezenty. Zgoda, poród był trudny, ale przecież nie przeżyła amputacji obu nóg bez narkozy. – Jakob roześmiał się z tego, co powiedziała. – Poród jest trudny, ale nagrodą jest dziecko. Ona go wpędza w poczucie winy. – Emmanuelle martwiła się z tego powodu, a Jakob nie zaprzeczył. – I dlaczego te dwie nianie nie odstępują jej na krok? Powinni być sami, żeby poznać się z dzieckiem. Dlatego uznałam, że powinniśmy już iść.

– Jest młoda i rozpyszczona. Wiedzieliśmy o tym wcześniej. Macierzyństwo nie zmieni jej z dnia na dzień. Kiedyś tak, ale na to potrzeba czasu. Na razie właściwie sama jest dzieckiem.

– Dzieckiem z luksusową brylantową bransoletką! – powiedziała Emmanuelle, a on znów się roześmiał. Potem przez całą drogę do miasta rozmawiali o tym, jaka śliczna jest ich wnuczka.

Następnego dnia Max zawiózł Julie i dziecko do domu w Greenwich. Czekwały na nich nianie, a Julie zrobiła obchód po domu, szczęśliwa, że poród ma już za sobą i że wróciła do swojej królewskiej posiadłości. Przyjechały jej siostry i rodzice, bo ojciec nie widział jeszcze wnuczki, i jedna z przyjaciółek Julie. Bez przerwy wchodzili i wychodzili jacyś ludzie i Max czuł, że odkąd wrócili do domu, nie ma szans na chwilę sam na sam z Julie czy z dzieckiem. Siedział w pokoju dziecięcym, trzymał Hélène na rękach, karmił ją z butelki i zmieniał pieluszki. Przez dom przewijało się tylu ludzi, że z ulgą wyjechał do Houston trzy dni później i wrócił do pracy. Nie było go tydzień, z Houston poleciał do Los Angeles i Des Moines. Był przekonany, że Hélène przez tydzień, gdy go nie było, urosła i cieszył się, że Julie znów jest taka, jak dawniej. Wyglądała, jakby nic się nie wydarzyło. Jej ciało niemal natychmiast skurczyło się do poprzednich rozmiarów. Ćwiczyła codziennie z osobistym trenerem i często jeździła popływać do rodziców. Gdy tylko Max wszedł do domu, rzuciła mu się w ramiona. Hélène zajmowała się dyżurująca niania, a Julie była wolna i w każdej kwestii mogła zająć się mężem, co też zrobiła.

– Podoba mi się to – stwierdził. Myślał, że będzie zajęta dzieckiem i nie będzie miała dla niego czasu.

– Po to są nam potrzebne nianie. Jestem cała twoja, Max – powiedziała uwodzicielskim tonem, a on pocałował ją. Kochał córeczkę, ale jeszcze bardziej kochał swoją piękną młodą żonę.

I nic nie było w stanie tego zmienić. Nie miała zamiaru do tego dopuścić. Max był dla niej najważniejszy i zawsze będzie, tak powiedziała. Hélène będzie musiała poczekać.

Max był zdziwiony, że w drugą ciążę nie zachodziła szybko. Marzył, że co roku będą mieli kolejne dziecko. Rzeczywistość okazała się inna. Winę zrzucała na jego ciągłą nieobecność, przez co nigdy nie byli ze sobą w odpowiednim czasie. Później powiedziała, że lekarz chce, żeby przez jakiś czas brała pigułki, żeby uregulować miesiączkę, zanim znów zajdzie w ciążę. A Max zastanawiał się, czy po prostu nie boi się kolejnego porodu. To wszystko odwlekało poczęcie dziecka, pigułki brała przez rok. Ale on tak nalegał na kolejnego potomka, że w końcu uległa. Hélène miała już trzy lata, kiedy Julie po raz drugi zaszła w ciążę i miała skończyć cztery, kiedy dziecko się urodzi. Max tym razem zdecydowanie pragnął syna. A Julie chciała tylko, żeby zrobili jej cesarskie cięcie, negocjacje z ginekologiem rozpoczęła już w drugim miesiącu ciąży. Nie miała zamiaru nigdy więcej przeżywać naturalnego porodu, zwłaszcza bez epiduralu. Lekarz powiedział, że zobaczą, jak będzie wyglądała sytuacja na późniejszym etapie ciąży, poszła więc szukać ginekologa, który jej to obieca, i w końcu go znalazła.

Hélène była wtedy małą słodką dziewczynką. Miała kręcone blond włoski, wielkie błękitne oczy, uwielbiała się przyglądać, jak mama się ubiera i nosić piękne sukienki. Jej „Mama Emm”, jak nazywała Emmanuelle, Jakob nosił miano „Opa”, co po niemiecku znaczy: „dziadzia”, szła jej piękne sukieneczki z płaszczykami do kompletu. Ludzie twierdzili, że jest najładniej ubranym dzieckiem, jakie widzieli. Mama Emm często ją odwiedzała, dojeżdżając do Greenwich pociągiem. Powiedziała Jakobowi po powrocie do domu, że Julie nigdy nie ma w domu. Zawsze jest na obiedzie albo na spotkaniu, na pokazie mody, imprezie charytatywnej albo na zakupach z siostrami w mieście.

– Po prostu nigdy jej nie ma. Nie mam pojęcia, kiedy Hélène ją widuje. – Max podróżował więcej niż kiedykolwiek. Jego imperium się rozrastało. Dołączył do niego szyb w Houston, a kolejny w Oklahomie. Nieustannie kupował ziemię i zagospodarowywał ją. Napisali o tym w czasopiśmie „Fortune”. Był jednym z najmłodszych ludzi w kraju, którzy dorobili się majątku własną pracą, ale nie dało się ukryć faktu, że wiecznie był poza domem. Julie przyzwyczaiła się, że chodzi na imprezy bez niego, ale narzekała na to, więc starał się przyjeżdżać do domu na te okazje, które dla niej były najważniejsze. Ale powiedział jej, że wszystkiego nie jest w stanie zrobić.

Hélène zawsze była jego radością, kiedy przyjeżdżał do Greenwich i cieszył się, że rodzice tak często ją odwiedzają. Obie siostry Julie w ciągu trzech ostatnich lat wyszły za mąż i przeprowadziły się do Kalifornii. Jej ojciec chorował, wszyscy byli zajęci i nie widywali Hélène tak często jak Steinowie. Oni zaś nie zrezygnowali z podróży i rejsów, ale sensem ich życia stała się wnuczka, bo oboje ją uwielbiali.

Wyprawili Hélène czwarte urodziny z kucykiem, na którym dzieci mogły jeździć w czasie przyjęcia, i z klaunem, a dwa tygodnie później na świat przyszła jej młodsza siostra. Jej narodziny były dla Julie o wiele mniej traumatyczne niż narodziny Hélène. Udało jej się załatwić wszystko tak, jak chciała. Dziecko przez ostatni miesiąc znajdowało się w ułożeniu pośladowym i nic nie było w stanie tego zmienić, a więc i tak musiała mieć cesarskie cięcie. Wszystko odbyło się w cywilizowany sposób, zaplanowane na odpowiadający Julie termin. Nie zaczęła rodzić, wybrała znieczulenie ogólne zamiast epiduralu, a kiedy obudziła się po zabiegu, powiedziano jej, że ma śliczną córeczkę. Dali jej na imię Kendra i Max zakochał się w niej tak samo, jak w Hélène. Miał już trzydzieści osiem lat i uchodził za jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce, którzy dorobili się majątku własną pracą. Julie miała lat dwadzieścia dziewięć i była piękniejsza niż kiedyś. Po urodzeniu Kendry dłużej wracała do siebie i nie wstawiała, żeby zajmować się dzieckiem, dopóki nie odzyskała sił. Ale ciągle były z nimi te same dwie nianie,

zajmowały się teraz obiema dziewczynkami. Gdy tylko Julie stanęła na nogi, wróciła do swoich zajęć poza domem. Max zrobił jej niespodziankę, i kiedy Kendra miała cztery tygodnie, zabrał ją na trzytygodniową wycieczkę do Hongkongu i Japonii. On jechał tam w interesach, ale były tam niesamowite sklepy i Julie bardzo cieszyła się z wycieczki. Uwielbiała z nim przebywać, zamiast siedzieć sama w domu. Z nawiązką wynagradzał jej swoją nieobecność okazałymi prezentami, nieustającą hojnością i dobrocią. Zawsze przyznawała, że jest cudownym mężem.

Kiedy wrócili z podróży, Julie zajęła się organizacją dużej imprezy charytatywnej, spotkaniami z przyjaciółmi, a parę nocy w tygodniu spędzała w mieście, żeby być z Maksem. Spędzała je tam nawet pod jego nieobecność, żeby móc pójść na przyjęcie bez niego i nie musieć w nocy wracać do Greenwich.

Styl jej macierzyństwa martwił Emmanuelle od kilku lat.

– Nigdy jej nie ma przy dzieciach, Maksa też nie. Ja widuję je częściej niż oni.

– Prowadzą bardziej intensywne życie niż my kiedyś – przypomniał jej Jakob, który zawsze tłumaczył tych, których kochał. – To człowiek sukcesu, ma interesy na całym świecie. Nie możesz oczekiwać, że będzie cały czas siedział w domu z dziećmi.

– Rozumiem – odparła rozsądnie Emmanuelle. – Ale czym zajmuje się Julie? Nie pracuje, nie prowadzi interesów. Jeżdżę tam, a jej nigdy nie ma. Oboje mają szczęście, że trafiły im się takie grzeczne dzieci. – Hélène była cudowna, a Kendra wyglądała jak niemowlak z reklamy w czasopiśmie.

– My też mamy szczęście – powiedział, żeby ją uspokoić, ale Emmanuelle denerwowała świadomość, że jej wnuczki są lekceważone i zaniebywane przez rodziców, zdane jedynie na nianie. I musiała przyznać, że obie nianie są ważne i kochają dzieci. Dziewczynkom nie brakowało uwagi, brakowało jedynie rodziców, którzy spędzaliby z nimi czas. Julie traktowała je jak przedmioty, jak zapomniane torebki, które wyciągała z szafy i od czasu do czasu nosiła. Uwielbiała się z nimi pokazywać, gdy mieli w domu gości, ale Emmanuelle nigdy nie widziała, żeby się z nimi bawiła czy czytała im bajkę. Julie była taką osobą, jak od początku się bali, piękną, rozpieszczoną młodą kobietą, którą ich syn psuł jeszcze bardziej i która myślała tylko o sobie. Nadawała się na pokaz, ale nie na matkę. Max nadal szalał na jej punkcie, pięć lat po ślubie. Nie spędzał wystarczająco dużo czasu w domu, żeby widzieć, jak mało zajmuje się dziećmi. Nianie to wiedziały i starały się wynagrodzić to dziewczynkom. Podobnie jak Emmanuelle, ale nikt nie był w stanie zastąpić matki ani ojca. A jej wnuczki nie mogły liczyć na zainteresowanie żadnego z rodziców.

Kiedy Hélène miała siedem i pół roku, a Kendra trzy i pół, ich matka odkryła niemiłą niespodziankę. Tym razem był to przypadek, bo choć od dwóch lat obiecywała Maksowi, że będą mieli jeszcze jedno dziecko, nie mogła się na to zdobyć. Podobało jej się obecne życie. Miała trzydzieści dwa lata, Max czterdzieści jeden, był u szczytu kariery i nadal piął się w górę, a ona ciągle była sama i sama musiała sobie radzić w życiu towarzyskim. Nie chciała kolejnego dziecka z mężem, którego ciągle nie ma w domu, i powiedziała mu to. Ale jakoś do tego doszło, zorientowała się, że jest w ciąży. Dziewczynki będą miały cztery i osiem lat, kiedy urodzi się kolejne dziecko. Czekala, aż Max wróci z podróży, żeby mu o tym powiedzieć. Potrzebowała czasu, by oswoić się z tą myślą. Jak było do przewidzenia, Max był zachwycony. Ciągle miał nadzieję na syna i marzył o domu pełnym dzieci, co stawało się coraz mniej prawdopodobne, biorąc pod uwagę, jak ciężko pracował. Julie kochała męża, ale ich życie wyglądało zupełnie inaczej od tego, co jej obiecywał. Była zmęczona samotnym życiem, a trójka dzieci wydawała jej się czymś ponad siły. Powiedziała mu to, informując, że jest w ciąży.

Obiecał, że będzie spędzał więcej czasu z nią i z dziewczynkami, ale ona wiedziała, że choć mówi to z przekonaniem, tej obietnicy nigdy nie spełni. Zawsze gdzieś na świecie działo się

coś nagłego i musiał lecieć, żeby się tym zająć, ratować interes albo firmę, albo część swojego imperium. Taki już był. I choć nie mogła znieść tego, że ciągle go nie ma, uwielbiała blaski i korzyści jego sukcesu. Miała wszystko, czego chciała, oprócz męża przy boku.

Miała wrażenie, że trzecia ciąża ciągnie się bez końca. Znosiła ją trudniej niż ciążę z Kendrą, a przy Hélène wcale nie miała mdłości. Tym razem było inaczej i Max był pewien, że to dlatego, że to chłopiec. Miała możliwość cesarskiego cięcia ze względu na to, że przeszła je poprzednio. Mogła też rodzić naturalnie, ale kategorycznie nie chciała przechodzić przez to jeszcze raz. Datę operacji ustaliła na tydzień przed terminem porodu. Dzięki temu mogła mieć pewność, że będzie przy niej Max. Może, jeżeli tym razem urodzi syna, będzie inaczej. Może będzie chciał spędzać w domu więcej czasu. Po narodzinach Kendry zrozumiała, że macierzyństwo nie jest jej mocną stroną. Nigdy nie wiedziała, co robić z dziećmi ani o czym z nimi rozmawiać. Była lepszą żoną niż matką, od zawsze. A nie miała zbyt wielu okazji, żeby wykazać się jako żona Maksa. Nigdy go nie było.

Zatrudniła kolejne dwie nianie tuż przed porodem, jedną na stałe, drugą do pomocy, żeby z trójką dzieci zawsze były dwie.

Wszystko szło zgodnie z planem. Z wyjątkiem Maksa i dziecka. Max obiecał, że wróci do domu dzień przed zaplanowaną operacją. Był w Houston w sprawach naftowych, potem poleciał do Nowego Meksyku i Arizony na spotkania dotyczące zagospodarowania terenów, ona zaś była na zajęciach aerobiku z koleżanką, kiedy wody odeszły jej na tydzień przed przewidywanym terminem. Była w Greenwich i nie wiedziała, co robić. Jedna z nian zawiozła ją do miasta, do szpitala. Nie chciała znów zacząć rodzić. Zadzwoiła do Maksa, zanim wyjechała z domu, powiedziała, co się dzieje, i poprosiła, żeby natychmiast przyleciał.

– Kochanie, tu jest dziesiąta wieczorem. Jestem w jakiejś zapadłej dziurze w Teksasie, nie wiem, jak daleko od lotniska. Przyjadę, gdy tylko będę mógł. Postaraj się wytrzymać. Nie pozwól im nic robić, dopóki nie przyjadę. – Kiedy dotarła do szpitala, lekarz i tak chciał poczekać. Akcja porodowa się jeszcze nie zaczęła, powiedział, że mogą poczekać dwadzieścia cztery godziny, zanim zrobią cesarkę. Ale godzinę później zaczęła rodzić, skurcze były rozdzierające. Kiedy nadeszła pora, podali jej epidural, który na chwilę spowolnił akcję, ale o siódmej rano powiedzieli, że robią cięcie, gdyż dłużej nie można czekać. Zdrowie dziecka było zagrożone, jej też. Czekala na wywiezienie z sali, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Max, wyraźnie zmęczony, ale szczęśliwy, że zobaczył ją w łóżku. Wielki brzuch nadal był odsłonięty, monitory pokazywały skurcze. Uśmiechnęła się na jego widok.

– Udało ci się! Jak tu dotarłeś z tej nory w Teksasie?

– Chyba kupiłem samolot. Taki do oprysków, czy jakoś tak. Wylądowaliśmy w Teterboro. Kocham cię, skarbie. Przyleciałem najszybciej, jak mogłem. – Kiwnęła głową ze łzami w oczach i w tej właśnie chwili zabrano ją na salę. Lekarz powiedział mu, co się dzieje i że wrócą za chwilę, gdy dziecko się urodzi. Tym razem Julie musiała być przytomna, ponieważ podano jej epidural, lekarz spytał Maksa, czy chce pójść z nimi, a on powiedział, że tak. Podali mu chirurgiczny strój, maskę, czepek i papierowe ochraniacze na buty. Ubrał się w łazience jej pokoju i siedł obok niej, kiedy wieźli ją na salę operacyjną, trzymał ją za rękę, a ona ścisnęła jego dłoń. Dzięki znieczuleniu nie czuła skurczy, ale monitor pokazywał, że są ogromne.

Zaciągnęli zasłonę, żeby ona i Max nie widzieli samego zabiegu i kazali mu stanąć przy jej głowie. Od tej pory wszystko potoczyło się szybko, pojawiło się dwóch neonatologów z oddziału noworodków, ginekolog i pielęgniarki chirurgiczne. Rozpoczęli zabieg, nic jej nie mówiąc, czuła, jak ją ciągną, ale nic poza tym, a kiedy Max przemawiał do niej, żeby ją czymś zająć, usłyszeli płacz i dziecko pojawiło się na świecie.

– Chłopiec? – krzyknął Max przez zasłonę, a lekarz roześmiał się.

– Nie, mała słodka dziewczynka. Gratulacje dla mamy i taty.

Max starał się nie okazać rozczarowania, a po policzkach Julie płynęły łzy, choć sama nie wiedziała dlaczego. Nie wiedziała, czy jest szczęśliwa, czy smutna, ani co czuje. Miała teraz trzy córki, tak jak jej matka. Ale jej matka była wspaniałą matką, a Julie nie miała pojęcia, jak nią być. Czuła się przytłoczona, gdy Max pochylił się, żeby ją pocałować i powiedział, że to bez znaczenia. Cieszył się, że dziecko jest zdrowe.

Po zabiegu podali jej coś na sen.

Zszyli ją i obudziła się w swoim pokoju, z Maksem siedzącym przy łóżku. Wpatrywał się w nią intensywnie i trzymał ją za rękę. Widział, jaka jest smutna, ale nie miał pojęcia, jak bardzo przytłoczona.

– Wiem, że tym razem przesadziłem i że jestem beznadziejnym mężem. Próbuję coś zbudować, Julie, dla nas wszystkich, dla naszych dzieci i ich dzieci, żebyśmy nigdy nie musieli się martwić. – Próbował jej to wytłumaczyć.

– Już ci się udało – powiedziała szeptem. – Nie mamy dość?

W jego przekonaniu nie. Chciał ich zabezpieczyć na zawsze, a tego jeszcze nie osiągnął. Dał sobie czas do pięćdziesiątki, żeby zarobić tyle pieniędzy, ile się tylko da, a później chciał zwolnić. Miał czterdzieści dwa lata i siedem lub osiem lat ciężkiej pracy przed sobą. Nie mógł się teraz wycofać.

– Obiecuję, że się poprawię, postaram się częściej bywać w domu. Naprawdę, Julie. – Wiedziała, że mówi szczerze, ale była to obietnica, której nigdy nie będzie w stanie spełnić. Nie umiał, tak samo jak ona nie umiała być matką. – Chcę spędzać więcej czasu z tobą i z dziećmi. – Kiwnęła głową i znów zasnęła.

Dali córce na imię Daisy, a kiedy pięć dni później wrócili z nią do domu, nianie, Hélène i Kendra zrobiły transparenty, przyczepiły serpentyny i balony na powitanie mamy i siostrzyczki. Cieszyły się, że je widzą. Julie kazała nianiom zanieść małą do pokoiku, a sama poszła do łóżka. Czuła się przygnębiona i przytłoczona. Max miał być z nimi w domu, ale dzień wcześniej wyleciał do Houston. Na platformie wiertniczej wybuchł pożar i musiał tam być. Potem była dramatyczna sytuacja w Wichita. Nic się nie zmieniło i wiedziała, że nigdy się nie zmieni. Zmieniło się tylko to, że miała teraz jeszcze jedną córkę. Wzięła tabletkę i poszła spać. Słyszała dziecięcy śmiech na korytarzu, kiedy zasypiała i przez sen zastanawiała się, czyje to dzieci.

Narodziny Daisy były inne od narodzin jej dwóch starszych sióstr. Julie dłużej dochodziła do siebie po drugiej operacji i przez pierwsze trzy miesiące cierpiała na depresję poporodową. Za każdym razem, gdy Emmanuelle odwiedzała wnuczki, Julie siedziała zamknięta w swojej sypialni, albo z bólem głowy, albo podobno spała. Teściowa martwiła się. Ale gdy w końcu doszła do siebie, znów zniknęła z domu. Emmanuelle nie widziała jej od miesiący, a Max był w ciągłych rozjazdach. Julie kilka razy pojawiła się w towarzyskich kolumnach bez niego, na ważnych imprezach dobroczynnych. Emmanuelle nie wiedziała, czy mają problemy małżeńskie. Ale bez względu na to, jak wyglądała sytuacja, jej syn nie przejmował się rodziną, a jego żona po przyjeździe na świat Daisy spędzała z dziećmi jeszcze mniej czasu niż przedtem. Daisy była promiennym, szczęśliwym dzieckiem, piszcziała z radości za każdym razem, kiedy babcia przyjeżdżała w odwiedziny. Emmanuelle porozmawiała z Jakobem i w końcu udało jej się go namówić, żeby umówił się z Maksymem na obiad i udzielił mu kilku ojcowskich rad. Daisy miała wtedy sześć miesięcy, a babka, kiedy odwiedzała dzieci, widziała cztery nianie o wiele częściej niż matkę dziewczynek. Dom z trójką dzieci pozbawionych obecności rodziców był jak statek bez kapitana. Jakob nie zaprzeczył. Zadzwonił do Maksa, wiedząc, że jest w mieście i zaprosił go na obiad do Four Seasons. Pomyślał, że może w ładnej restauracji bardziej się otworzy.

Max wyglądał na zmęczonego i zestresowanego, wyraźnie schudł. Usiadł i pierwsze, co zrobił, to zamówił martini. Ojciec zauważył już w czasie kilku ostatnich spotkań, że syn pije więcej, i to też go martwiło. Max nigdy nie pił dużo. Ale liczne spotkania odbywał przy obiedzie, a większość mężczyzn, z którymi robił interesy, lubiła wypić kieliszek czy dwa. Jakob nie uważał, że to dobry znak, że syn zamówił drinka w czasie obiadu z ojcem. Widać było, że praca, żeby interes dobrze się rozwijał, kosztuje go wiele stresu. Zbudował imperium. Kiedy czekali, żeby zamówić obiad, Max powiedział, że interes z ropą w Teksasie właśnie padł i że stracił trochę pieniędzy na niefortunnym zakupie ziemi w Oklahomie. Ktoś ich wyprzedził i otworzył większe, lepsze centrum handlowe niedaleko tego, które budowali. Okazało się, że źle zbadali rynek. Przerwali budowę i próbowali sprzedać ziemię.

– Chyba stać się na stratę – powiedział cicho Jakob. – Czy to jest tego warte, Max? Nikt nie potrzebuje takich pieniędzy.

– Może ja potrzebuję – powiedział syn, kiedy zamówili dania i poprosił o drugie martini, co nie spodobało się ojcu. – Czy nie tego nauczyłeś mnie, tato? – spytał z rozdrażnieniem w głosie, którego nigdy wcześniej nie było. – Czy nie uczyliście mnie z mamą, że pieniądze nigdy dość i że trzeba odkładać na czarną godzinę, na wojnę, Holokaust czy inny kataklizm?

– Potop nie byłby aż tak wielki, jeżeli to, co czytałem o tobie w „Fortune”, jest prawdą. Chyba masz wystarczająco dużo, żeby czuć się bezpiecznie i zabezpieczyć rodzinę.

– A czy ty kiedyś czułeś się bezpiecznie? – spytał Max i Jakob się zawahał.

– To co innego. Przeżyliśmy wojnę. Straciliśmy wszystko. Tobie się to nigdy nie przydarzy. Nie zanosz się na wojnę, Max. Twoja rodzina cię potrzebuje. Masz piękną młodą żonę, która na pewno czuje się bez ciebie samotna. A dzieci dorosną szybciej, niż ci się wydaje. Nie przegap tego. Później będziesz żałował. – Max wyglądał na zamyślonego, a ojciec nie skomentował, kiedy dokończył drugiego drinka. Syn miał czterdzieści trzy lata i miał prawo żyć tak, jak chce, on przecież tylko nie chciał, żeby stało mu się coś złego.

– Stracę sporo pieniędzy na tych dwóch interesach w Teksasie i w Oklahomie. – Zawsze, gdy coś takiego się działo, a nie zdarzało się często, przerażało go to. A jeżeli to początek równi

pochylej? Pamiętał ostrzeżenia matki, gdy był mały. Rodzice zawsze martwili się o pieniądze.

– Przeżyjesz – powiedział cicho ojciec. – Musisz trochę zwolnić, synu, zanim stracisz coś o wiele ważniejszego.

– Chcę tylko odrobić te dwa interesy albo je zrekompensować. – Był jak hazardzista przy stole do gry, nie mógł się oderwać. – Dałem sobie czas do pięćdziesiątki, tato. Potem zwolnię. – To samo powiedział Julie, gdy urodziła się Daisy.

– A tymczasem stracisz wiele chwil z Julie i dziećmi – powiedział poważnie Jakob. – To jeszcze przecież siedem lat.

– Julie zajmuje się domem – powiedział z przekonaniem Max, a Jakob uświadomił sobie, że syn nie ma pojęcia, że to nieprawda. Julie nie zajmowała się niczym poza obiadami ze znajomymi i imprezami charytatywnymi, które organizowała. Spędzała w domu z dziećmi równie mało czasu, jak on. Zastanawiał się, jak można żyć pod jednym dachem z kobietą i tak niewiele o niej wiedzieć. W ciągu kilku ostatnich lat rodzicom Maksa zaczęło się wydawać, że synowa jest nieszczęśliwa. Ale Max był tak zajęty lataniem po świecie, że nawet tego nie zauważył.

Później zmienili temat i zaczęli rozmawiać o inwestycjach, jakie poczynił Jakob i o podróży, jaką planowali z Emmanuelle. Jakob kończył siedemdziesiąt lat i rozmawiali o rejsie dookoła świata. Trudno było uwierzyć, że był na emeryturze już od piętnastu lat. Czas płynął tak szybko. Emmanuelle nie chciała być daleko od wnuczek przez dłuższy czas, ogromnie lubiła z nimi przebywać.

Max odniósł też wrażenie, że ojciec wygląda na zmęczonego. Podróże, które często odbywali, były dla nich rozrywką, ale w czasie ostatniej się rozchorował. Po raz pierwszy rejs go zmęczył, zamiast dodać energii. Czas pobytu w obozie koncentracyjnym odbił się na jego zdrowiu i ostatnio Maksowi wydawało się, że Jakob wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości. Pięć lat głodu i bicia z pewnością musi się odbić na człowieku w dłuższej perspektywie. Martwił się o rodziców, choć matka wydawała się znów silna. Opiekowali się sobą, jak zawsze. Wiedział o tym, że rodzice są wyjątkowi. Chciałby, żeby z Julie łączył go związek podobny do więzi jego rodziców, ale podejrzewał, że tego rodzaju bliskość rodzi się tylko w przeciwnościach, a nie w zwykłych czasach. Nie wyobrażał sobie, żeby Julie była w stanie przetrwać to, przez co oni przeszli, on zresztą też nie. Nie miał ich hartu ducha. Był kreatywny, sprytny i odważny w świecie interesów, ale to coś zupełnie innego od tego. Żywił do nich wielki szacunek z tego powodu, bez względu na to, jakie dziwactwa i obawy w nich pozostały. Mimo wszystko byli zdrowymi, silnymi, rozsądnymi, honorowymi, dobrymi ludźmi i zawsze stanowili dla niego dobry przykład. Żadne przeżycia nie wywołały w nich rozgoryczenia, nawet wojna.

Pod koniec obiadu Max wydawał się swobodniejszy i uśmiechnął się do ojca.

– Dzięki, tato, za dobrą radę. Mama cię do tego namówiła?

– Niezupełnie. Martwi się o ciebie, ale ja też chciałem z tobą porozmawiać. Życie mija bardzo szybko. Nie chcę, żeby umknęła ci jego najlepsza część, przebywanie z Julie i z dziećmi. Tak naprawdę tylko to się liczy. Reszta jest miła, ale mniej ważna. – Max kiwnął głową, słuchając go. Wiedział, że ojciec ma rację, ale mimo to chciał dać sobie czas do pięćdziesiątki na to, żeby dalej budować fortunę. Zrobił błyskawiczną karierę i wiedział, że mógłby i powinien spędzać więcej czasu z Julie i dziewczynkami, ale jeszcze nie teraz.

– Postaram się też mniej pić. – Ojciec nie odezwał się na ten temat słowem, ale Max widział jego spojrzenie, gdy zamówił drugie martini.

– Nie kieruj się w życiu tym, czego my się baliśmy. Nasze obawy miały swoje uzasadnienie. Musisz mieć własne życie. Nie trać z oczu tego, co ważne. Wszystko może się

zmienić w jednej chwili. Nie chcesz żałować tego, czego nie zrobiłeś.

– A ty żałujesz czegoś? – Max nigdy wcześniej go o to nie pytał i ojciec zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba nie. Powinienem zmusić twoją matkę, żeby żyła bardziej beztrosko. Ale się bała. Odbiliśmy to sobie w ostatnich latach, uwielbia nasze rejsy. I pewnie powinniśmy mieć jeszcze jedno dziecko, żeby nie skupiać się tylko na tobie. To chyba nie było dla ciebie łatwe.

– Czasem nie – przyznał szczerze Max. – Ale w niesamowity sposób wyszliście z tego, co przeżyliście. Nie wiem, jak wam się to udało.

– Ja też nie – powiedział cicho Jakob. – Ale mieliśmy szczęście, mieliśmy siebie. Nie wiem, czy bez niej bym przeżył. – Obaj przez chwilę milczeli, a potem Max spojrzął na zegarek. Miał spotkanie w biurze za dwadzieścia minut, ale bardzo miło mu było z ojcem.

– Powinniśmy robić to częściej, tato – powiedział z uśmiechem, gdy wychodzili z restauracji. Ojciec uparł się, że zapłaci za obiad. Była to wyjątkowa chwila i Max zastanawiał się, jadąc taksówką do biura nad tym, co powiedział ojciec. Chciał wrócić do domu i być z Julie tego wieczoru. Ale o piątej po południu dostał telefon. Próbował zrobić pewien interes w Chicago i kontrahenci chcieli się z nim spotkać wieczorem. Wahał się przez chwilę, ale w końcu zdecydował się. Zadzwoił do Julie, żeby jej o tym powiedzieć, prosto z pracy pojechał na lotnisko i zdążył na samolot na O'Hare o siódmej wieczorem. Nie tego oczekiwałby ojciec. Ale musiał to zrobić. Jeszcze ten jeden raz. Z Julie i z dziewczynkami spędzi weekend.

Z Chicago poleciał do LA i wrócił do Nowego Jorku trzy dni później. Ledwie przekroczył próg, Julie odwróciła się do niego z dziwną miną. Nie zdążył jej nawet pocałować.

– Twoja matka dzwoniła przed chwilą – powiedziała poważnym tonem. – Twój ojciec jest w szpitalu. Coś się stało dziś po południu. Chyba miał atak serca. Jest w klinice. – Podeszedł prosto do telefonu i zadzwonił na izbę przyjęć, gdzie powiedzieli mu, że ojciec jest na oddziale intensywnej terapii kardiologicznej. Chciał porozmawiać z matką, ale była z ojcem i nie mogła podejść do telefonu. Spojrzął na Julie przerażony.

– Nie wiem, kiedy wrócę. – Był już w połowie drogi do drzwi.

– Jechać z tobą? – krzyknęła za nim, a on zawahał się, ale po chwili pokręcił głową. Nie chciał. Chciał być sam z rodzicami. Julie nigdy nie była z nimi blisko, mimo dziesięciu lat małżeństwa z ich synem.

– Zostań z dziewczynkami. Zadzwonię do ciebie. – Znów zniknął. Pojechał do miasta najszybciej, jak mógł. W drodze do miasta myślał o ostatnim obiedzie z ojcem i o wszystkim, co mu powiedział. Kiedy dotarł do szpitala, pognął na oddział kardiologiczny. Ojciec był podłączony do monitorów, oczy miał zamknięte i wydawał się szary, Emmanuelle stała przy nim i trzymała go za rękę. Jakob nie wyglądał, jakby był przytomny, ale otworzył oczy, gdy Max wszedł do sali i kiwnął głową. Uśmiechnął się ledwie widzialnie, a potem znów zamknął oczy.

Wyszli na palcach, żeby chwilę porozmawiać, z Jakobem została pielęgniarka.

– Co się stało? – spytał Max.

– Nie wiem. Poszliśmy na zakupy, rozmawialiśmy, a on nagle stanął i upadł na ziemię nieprzytomny. Przyjechało pogotowie, wzięli go do karetki. Powiedzieli, że to serce, zatrzymało się dwa razy w drodze do szpitala i defibrylowali go – powiedziała zdyszana, sama wyglądała na śmiertelnie bladą. Miała sześćdziesiąt osiem lat, ale była silną kobietą i Max zawsze ją za to podziwiał. – Serce znów się zatrzymało, gdy tu przyjechaliśmy. – Ojciec miewał wcześniej problemy z sercem, ale niezbyt poważne i nie ostatnio, ale kiedyś ucierpiał na zdrowiu w trudnych latach niedożywienia, podobnie jak ona. Zawsze wychodzili cało ze wszystkiego, co ich spotykało i Max myślał, że zawsze tak będzie. Nie przyszło mu nawet do głowy, że jedno z nich może umrzeć albo zachorować. Wydawało mu się, że będą żyć wiecznie. Polegał na nich.

Wrócili do Jakoba i stanęli obok niego. Otworzył oczy i spojrzął na żonę, a ona pochylała się i pocałowała go. Uśmiechnął się, a potem znów spojrzął na Maksa, zamknął oczy i westchnął. Wyglądał dziwnie spokojnie, gdy na niego patrzyli i Max nagle się zorientował, że ojciec przestał oddychać. Rozległ się alarm, zespół lekarzy i pielęgniarek zjawiał się, żeby znów przeprowadzić defibrylację. Walili go w pierś, masowali serce, dali mu zastrzyk i przeprowadzili sztuczne oddychanie. Nic się nie wydarzyło. Jego czas nadszedł. To był koniec.

Gdzieś było zapisane, jak długo będzie żył i właśnie osiągnął ten wiek. Był zbyt młody, żeby umierać, ale widocznie swoje już przeżył. Emmanuelle stała obok w milczeniu, ściskając syna za rękę, kiedy lekarze uwijali się nad Jakobem. Wiedziała. Widziała śmierć tyle razy, choć było to tak dawno. Jego dusza uleciała. Emmanuelle wydawała się zdruzgotana, gdy lekarze zakończyli reanimację. Pochyliła się i czule pocałowała męża, a potem po cichu wyszła z Maksem z sali. Max objął ją, żeby ją wesprzeć, ale nagle to on płakał w jej ramionach jak dziecko, jakim kiedyś był. To ona wspierała go teraz, tak jak wspierała jego ojca. Byli małżeństwem przez czterdzieści pięć lat i rzadko rozstawali się choć na chwilę. Wspólnie przeżywali wszystkie możliwe doświadczenia, dawali sobie siłę i nadzieję, i wolę przeżycia w obozie koncentracyjnym. Łączyła ich miłość, jaką zna niewielu.

– Nadszedł jego czas – powiedziała łagodnie, przytulając Maksa. Nie dyskutowała z tym, nie walczyła, nie buntowała się. Rozumiała to, a on odszedł spokojnie.

Po wyjściu lekarzy wrócili na salę i stanęli po obu stronach łóżka. Ale jego już nie było. Wyglądał, jakby spał. Pochyliła się, żeby go pocałować ostatni raz, a potem wyszła wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, a Max szedł obok niej. Skądś wiedziała, że tak miało być i że tak jest dobrze. To Max nie mógł się z tym pogodzić, nie chciał stracić ojca, którego tak bardzo kochał. Wrócili do mieszkania rodziców, ale żadne z nich nie zasnęło tej nocy. Rano Max zadzwonił do zakładu pogrzebowego załatwić formalności. Później przypomniał sobie, że powinien zadzwonić do Julie. Powiedziała, że bardzo jej przykro. Sama straciła ojca i wiedziała, jak to jest. Morgan zmarł szybko na raka kilka lat temu i Max był przy niej wtedy. Chciała mu się odwdziżyć tym samym, ale on tego od niej nie oczekiwał. Powiedziała, że powie dziewczynkom, gdy wstaną, a Max wrócił do matki. Siedziała przy biurku Jakoba, wyciągnęła ich zdjęcie ślubne z Europy. Oboje wyglądali jak szkielety, głowy nadal mieli ogolone, ale wydawali się tacy szczęśliwi. Uśmiechali się, ich oczy były żywe i pełne radości. Ona trzymała bukiet białych kwiatów, stali, trzymając się za ręce przed kapelanem wojskowym, który właśnie udzielił im ślubu.

– To był najszczęśliwszy dzień mojego życia – westchnęła, uśmiechając się do Maksa i pokazała mu zdjęcie. Nie mieli pieniędzy, dopiero co przeżyli wojnę i niewyobrażalny horror, stracili wszystkich, których kochali, mieli na sobie brzydkie, za duże ubranie i mieli popłynąć razem w kierunku nieznanego przeznaczenia w obcym kraju, a mimo to uważała, że to najszczęśliwszy dzień jej życia. Gdy spojrzął na nią, zauważył własną ślubną fotografię w srebrnej ramce na biurku ojca i zadał sobie pytanie, czy Julie i on powiedzieliby to samo. Nie był tego pewien.

Max został u matki jeszcze dwa dni, żeby pomóc zorganizować pogrzeb ojca i odwołał wszystkie spotkania, żeby być przy niej. Julie przyjechała do miasta pomóc im. Była milcząca i pełna szacunku, wyszła też kupić im coś na obiad.

Emmanuelle powiedziała Maksowi, że nie chce, żeby pogrzeb Jakoba odbywał się w synagodze. Nie była hipokrytką. Nie należeli do synagogi i wiedziała, że on też by tego nie chciał. Max wynajął na nabożeństwo wielką bezwyznaniową kaplicę w domu pogrzebowym i znaleźli rabina synagogi reformowanej, który miał je odprawić. Max napisał nekrolog na podstawie informacji, jakie podała mu matka. Był zaskoczony, ilu rzeczy nie wiedział na temat rodziny ojca w Wiedniu, jej znaczenia, banku, osiągnięć, o jego studiach na uniwersytecie i rzeczy, którymi się zajmował, ludzi, z którymi się znał, języków, jakimi władał. Wiedział tylko o firmie odziedziczonej po Izziem, czasach w Buchenwaldzie i o tym, skąd pochodził. Ale to był zaledwie ułamek. Julie sama zaniósła nekrolog do redakcji „New York Timesa”.

Kiedy dwa dni później zjawili się w domu pogrzebowym na nabożeństwie, zastali wspaniałe kwiaty, program uroczystości z pięknym zdjęciem Jakoba, muzyka została wybrana, wszystko ustalone. Kaplica była pełna, ludzie stali w rzędach, chcąc pożegnać Jakoba. Julie pomyślała o tym, żeby wyłożyć dwie czarne księgi, oprawione w skórę, by ludzie mogli się do nich wpisać. I była bardzo miła dla Emmanuelle.

Nabożeństwo było dostojne i tradycyjne. Z poszanowaniem żydowskich tradycji i obyczajów, bez nadmiernej religijności, idealnie oddawało to, jakim człowiekiem był Jakob.

Przybyły dziesiątki ludzi, którzy darzyli zmarłego szacunkiem w czasach, kiedy prowadził firmę, zjawiała się też starsza para Niemców. Max nie znał ich, ale Emmanuelle powiedziała, że byli sponsorowani przez tych samych ludzi i przyплыnęli do Nowego Jorku tym samym statkiem, co oni. Zjawili się ludzie z każdego etapu ich życia, odkąd zamieszkali w Stanach. Reprezentowane było czterdzieści pięć lat ich historii, ale nic z lat wcześniejszych. Fotografia, jaką Emmanuelle wybrała do programu, ukazywała Jakoba młodego, silnego i znów zdrowego po wojnie, uśmiechającego się radośnie. Emmanuelle miała na sobie elegancką czarną garsonkę skopiowaną od Chanel, szykowny czarny kapelusz, który Julie kupiła dla niej u Saksa i brylantowy pierścionek, który Jakob podarował jej dwadzieścia pięć lat temu i z którym od tamtej pory prawie nigdy się nie rozstawała. Żartował, że na pięćdziesiątą rocznicę ślubu, która była już blisko, kupi jej pięćdziesięciokaratowy brylant. Prawie dożył tej rocznicy, kilka miesięcy zabrakło mu do siedemdziesiątych urodzin.

Po nabożeństwie poszli na cmentarz, tylko Max, matka, Julie i rabin. Rabin powiedział kilka słów, odczytał fragment Tory i każde z nich sypnęło garść ziemi na trumnę, tak jak zrobili to z Izziem.

Max odwiózł matkę do domu, Julie wróciła do Connecticut. Emmanuelle podziękowała jej za pomoc, a Max został z matką jeszcze na tę noc, bo następnego dnia wracał do pracy i wieczorem w końcu wrócił do Greenwich.

Mijały tygodnie, a Max uświadomił sobie, że jego życie niewiarygodnie się zmieniło. Był zaskoczony tym, jak bardzo brakuje mu ojca. Choć był zapracowany i nie widywał się z nim często, wiele rozmawiali przez telefon i cenił sobie jego rady. Ta nieobecność pozostawiła wielką wyrwę w miejscu jego kochającej obecności i wiedział, że matka czuje podobnie. Starał się dzwonić do niej codziennie, żeby wiedzieć, jak się trzyma, a ona zawsze mówiła, że dobrze, ale głos miała cichy i smutny. Czują się tak, jakby wraz z mężem umarła połowa niej samej, Max

słyszał to i nie wiedział, co powiedzieć. Takiej straty nie dało się zrehabilitować.

Tyle razem przeszli. Przychodziła odwiedzać wnuczki, co zwykle poprawiało jej humor. Po tygodniu od śmierci ojca Max znów wyruszył w podróż w interesach, a Emmanuelle wiedziała, że Julie jest na to zła. Przywykła do tego, ale ostatnio bardziej jej to doskwierało. Max wiedział, że powinien spędzać w domu więcej czasu, tak jak powiedział mu ojciec, i chciał tego, ale zawsze wyskakiwało coś nagłego. Trudno mu było wygospodarować czas dla rodziny, a teraz martwił się też o matkę, bo rzadko ją widywał.

Dwa miesiące po śmierci ojca wybrał się na golfa ze znajomym, z którym robił interesy. Pojechali do ekskluzywnego klubu golfowego w Greenwich i ktoś, kogo ledwie znał, rzucił podczas gry złośliwą uwagę, sugerując, że Julie ma romans.

Odczekał na odpowiednią chwilę, kiedy byli wieczorem sami i drżąc cały, spytał ją o to. Choć tyle podróżował, nigdy jej nie zdradził, a teraz nagle przypomniał sobie słowa ojca i wiedział, że ten miał rację. Spytał ją wprost, czy ma romans, a ona żarliwie zaprzeczyła. Nie wiedział, czy mówi prawdę, a to otworzyło drzwi do bardziej szczerzej rozmowy między nimi, którą powinni odbyć dawno temu.

– Nie zrobiłabym ci tego – powiedziała i wyglądało na to, że mówiła szczerze. – Ale ciebie nigdy nie ma. Przez połowę czasu nie ma cię nawet w mieście, chociaż myślę, że tam jesteś. Czasami jesteś w trzech miastach w ciągu jednego dnia. Nigdy nie mogę liczyć na to, że gdzieś ze mną pójdziesz. Nie wychodzimy nawet na kolację. Albo cię nie ma, albo jesteś zbyt zmęczony, albo ja jestem w mieście z jakiejś okazji, na której miałeś się pojawić, ale się nie pojawiłeś. Jesteś jak niewidzialny mąż. Bardziej zależy ci na interesach niż na mnie.

– To nieprawda. – Usiłował zaprzeczyć, ale wiedział, że tak to wygląda, nie tylko dla innych, ale przed wszystkim dla niej. – Nie mogę wszystkiego rzucić i przejść na emeryturę. Jestem na to za młody. Chcę odłożyć dla nas więcej, zanim się na to zdecyduję.

– Nie możesz trochę zwolnić? – spytała błagalnie, a jej spojrzenie chwyciło go za serce. – Córki prawie cię nie znają. Hélène będzie mieć dziewięć lat, a ty ani razu nie byłeś na żadnej szkolnej uroczystości. Inni ojcowie chodzą. – Poczul się jak skończony łajdak i dotarło do niego, że inni też tak to postrzegają i że może nim jest.

– Postaram się zmienić – obiecał szczerze i tej nocy kochali się po raz pierwszy od wielu miesięcy. Rozmowa wiele zmieniła, ale wiedział, że tym razem będzie się musiał wysilić na coś więcej niż czcze obietnice.

Przez następny miesiąc starał się robić wszystko, co obiecał, poszedł nawet na dni nauk ścisłych do szkoły Hélène i córka była zachwycona. Odwiedził też matkę w Nowym Jorku i zabrał ją na obiad. Była bardzo zdenerwowana, dawno jej takiej nie widział. Jakob uspokajał ją, gdy zbyt się przejmowała. Teraz nie miał kto odganiać jej obaw. Nie przejmowała się już wojną ani nieuchronnym Holokaustem, ale martwiła się o syna, jego małżeństwo i zdrowie, i o to, że mało czasu spędza z córkami.

– Zostaw to mnie, mamo. To sprawy pomiędzy Julie i mną.

– Nic ci nie mówi, po prostu wychodzi sama. Nigdy jej nie ma, gdy przyjeżdżam do dziewczynynek.

– Jej matka choruje. – Usprawiedliwiał ją, ale zastanawiał się, czy to prawda, że ciągle jej nie ma, zwłaszcza gdy on jest poza domem. Nigdy nie była domatorką, taką jak jego matka. W dodatku mieli pomoc, ale nagle zaciekawiło go, czy kiedykolwiek odbiera Hélène i Kendrę ze szkoły, zawozi je na balet czy do dentysty. Nie miał o tym pojęcia.

Tydzień później seria nagłych zdarzeń znów wyciągnęła go z domu. Czuł się teraz winny za każdym razem, gdy wyjeżdżał, ale musiał zarządzać swoim imperium. Trzy tygodnie później z przerażeniem stwierdził, że od miesiąca nie widział się z matką. Wpadł ją odwiedzić i był

wstrząśnięty, gdy zobaczył, jaka jest blada. Wyglądała jak duch.

– Dobrze się czujesz, mam? – spytał, a ona zapewniła, że tak.

– Znow miałam problemy z żołądkiem. Trochę schudłam. – Nie zauważył, że zeszcupiała. – Stara historia. Mam to od obozu. – Kiedyś o mało nie umarła, ale zapanowała nad chorobą siłą woli, teraz jednak była słabsza i Max podejrzewał, że skoro nie ma dla kogo gotować, niewiele je. Obiecał sobie, że raz w tygodniu będzie ją zabierał na kolację i próbował to robić, ale na ogół mu odmawiała i nie chciała nigdzie iść, więc zamiast tego wpadał do niej po pracy na kawę. Odnosił ponure wrażenie, że matka powoli znika. Bez Jakoba nie miała podpory ani celu w życiu. Jeździła do wnuczek do Greenwich, ale kilka tygodni temu Julie powiedziała mu, że ostatnio jej nie było, następnego dnia pojechał więc do matki.

– Mamo, coś jest nie w porządku. Musisz iść do lekarza. – Ubrania wisiały na niej, twarz miała mizerną, cerę szarą. Obiecała, że pójdzie do lekarza rodzinnego. Poszła i skierowano ją na badania, a ponieważ wskazała Maksa jako najbliższego krewnego, zadzwonili do niego z wynikami. Miała zaawansowanego raka żołądka z przerzutami i białaczkę. Max zamknął oczy i poczuł, jak pokój wiruje wokół niego, gdy usłyszał te słowa.

– Możecie operować? – spytał lekarza.

– Nie ma szans. Rak jest rozsiany. Nie możemy usunąć jej całego żołądka, a białaczka ją osłabiła. Możemy przeprowadzić transfuzję, trochę ją wzmocni, ale jej stan jest poważny, panie Stein. Nie chciałem jej o tym mówić. Pomyślałem, że pan powinien dowiedzieć się pierwszy.

– Można coś zrobić? – spytał Max z rozpaczą w głosie.

– Niewiele, poza tym, żeby zapewnić jej dobre warunki. Powiedziała, że od śmierci męża mieszka sama. Pewnie będzie pan chciał zatrudnić pielęgniarki z hospicjum. – Max nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Niemożliwe, żeby to spotkało jego matkę, która nigdy niczemu nie dawała się pokonać. Ale teraz była sama i jej życie nie miało sensu. Żyła dla Jakoba i dla syna.

– Proszę jej nie mówić – poprosił Max ochryłym głosem, zastanawiając się, jak ją namówić, żeby się przenieśli do nich, żeby mogli się nią opiekować, choć sądził, że się na to nie zgodzi. Kilka dni później powiedziała mu o wynikach, jakie dostała, ale nie były prawdziwe.

– Lekarz zadzwonił z wynikami. Powiedział, że mam anemię. Chyba powinnam jeść szpinak i wątróbkę. – Ani jednego, ani drugiego nie lubiła.

– Może przyjechałabyś do nas na trochę, mam? Nasza kucharka by ci gotowała, nie musiałabyś siedzieć w kuchni. Dziewczynki byłyby zachwycone, my też.

Zastanawiała się chwilę, ale dobrze się czuła we własnym mieszkaniu, wśród znajomych przedmiotów.

– Może na weekend – powiedziała po namyśle. – Nie chcę sprawiać kłopotu Julie ani być intruzem. Potrzebujecie czasu dla siebie.

– Bardzo byśmy się cieszyli – nalegał, a ona powiedziała, że da mu znać.

Dwa tygodnie później miała krwotok z żołądka i wylądowała w szpitalu. Zrobili jej trzy transfuzje i zatrzymali na kilka dni, a potem zgodziła się przyjechać na tydzień do Greenwich. Była zbyt słaba, żeby być sama, a pielęgniarek nie chciała.

W końcu została na dwa tygodnie, i choć tego nie wiedzieli, były to jej ostatnie tygodnie. Rak żołądka postępował tak szybko, że jej stan ciągle się pogarszał, zaostrozony białaczką. Spędziła cudowny czas z wnuczkami, jadła z nimi posiłki, dopóki mogła wstawać z łóżka. Rozmawiała z Maksem długo w nocy, gdy wrócił z podróży, o tym, jak bardzo kocha i jego, i wnuczki. Zasnęła, gdy przy niej siedział, z uśmiechem na twarzy, trzymając go za rękę i tej nocy zmarła we śnie. Koniec przyszedł łagodnie i spokojnie i był dla niej błogosławieństwem. Nie chciała wracać do szpitala. Zmarła otoczona rodziną, a Julie była dla niej bardzo miła. Nigdy nie było między nimi przyjaźni, ale jako synowa okazywała jej szacunek i pomagała Maksowi

wszystko załatwić.

Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Cztery i pół miesiąca po śmierci ojca został bez rodziców. Byli jego ostoją i fundamentem życia, a on był sensem ich życia. Nie spodziewał się, że tak wcześnie ich straci. Matka miała dopiero sześćdziesiąt osiem lat, ojciec zbliżał się do siedemdziesiątki.

To, co przeżyli, odcisnęło na nich zbyt wielkie piętno i skróciło im życie, zmarli o wiele za wcześnie. Dzielnie przetrwali okrucieństwa Buchenwaldu, ale w końcu i tak przeszłość ich dopadła. Max czuł, że matka nie chciała żyć bez ojca, ale nie mówiła tego, żeby go nie martwić. Nagle otworzyła jakieś psychiczne tamy i pozwoliła, żeby zmiotły ją siły, którym bez ojca nie była w stanie dłużej się opierać.

Nie umieli bez siebie żyć. W pewnym sensie ich miłość była idealna, chciałby takiej doświadczyć. Z Julie łączyła go więc przyziemna i powierzchowna, nigdy nie było w niej głębi. Jego rodziców łączył inny wymiar i Max był pewien, że znów są razem. Powiedział to swoim dzieciom, że Opa i Mama Emm są teraz w niebie razem. I sam w to wierzył.

Jego córki zostały ochrzczone w Kościele episkopalnym ze względu na nalegania rodziców Julie. Nie wyprawili oficjalnego chrztu z przyjaciółmi i rodzicami chrzestnymi, odprawił go ksiądz z ich kościoła, a na uroczystości obecna była tylko Julie i jej rodzice, Maks nie było. Dzieci nie chodziły na lekcje religii. Wiedziały, że ojciec jest Żydem, a matka nie. Słowa, że Mama Emm poszła do nieba, były jedyną myślą religijną, jaką się z nimi podzielił. Hélène zawsze fascynowało to, że jej dziadkowie byli Żydami i zawsze chciała kiedyś pójść do synagogi. Max żałował, że Daisy, a może nawet Kendra, były zbyt małe, żeby zapamiętać babcię i że będzie ją pamiętała jedynie Hélène. Żałował też, że matka nie żyła dłużej, i nie zobaczy, jak wnuczki dorastają.

Pochowali Emmanuelle na tym samym cmentarzu, co Jakoba. Odprawili skromne nabożeństwo, ale pogrzeb był tylko dla rodziny. Znając matkę, Max wiedział, że tego by chciała.

Na wiele tygodni popadł w melancholijny smutek. Strata obojga rodziców była dla niego cięższym ciosem, niż się spodziewał. Nagle zaczął zadawać sobie pytanie, jakim był synem i widział wszystkie dziedziny, w których się nie sprawdził. Przypomniawszy sobie, jak się ich wstydził w dzieciństwie dlatego, że po angielsku mówili z akcentem, ojciec z bardzo wyraźnym akcentem wykształconego Austriaka, a Emmanuelle z silnym akcentem francuskim. Między sobą zawsze rozmawiali po francusku, ale Max zwracał się do nich po angielsku, choć po francusku mówił płynnie. Tak rozpaczliwie chciał, żeby matka była Amerykanką, że starał się udawać, że nią jest. Teraz czuł, że za mało ich wspierał, ale przynajmniej mieli siebie, a ich związek był tak bliski, że czasami czuł się odsunięty.

Kilka dni poświęcił na uporządkowanie mieszkania rodziców. Spakował mnóstwo kartonów rzeczy, które były dla nich ważne i przywiózł je do Greenwich. Albumy, fotografie, listy, ulubione książki. Meble przewiózł do magazynu, żeby zająć się nimi później. Rodzice zostawili wszystko jemu, włącznie z majątkiem Jakoba. Wolałby rodziców zamiast ich pieniędzy. Jakob zostawił też sporą sumę każdej z wnuczek.

Max miał takie wyrzuty sumienia, że odrywały go od wszystkiego innego. Powrócił do podróży, żeby uciec przed nękającymi go głosami w myślach, które wypominały mu wszystko, co zrobił źle. Pił więcej, niż powinien, i zdawał sobie z tego sprawę. Właściwie nie rozmawiał z Julie w czasie żałoby po rodzicach. Czuł, jakby staczał się emocjonalnie od chwili śmierci matki i nie mógł odnaleźć gruntu pod stopami. Zapomniał o urodzinach Kendry, później o Hélène i nie zjawił się na jej przyjęciu urodzinowym, choć obiecał, że będzie, zamiast tego poleciał na spotkanie w Houston i nie wrócił do domu. Zapomniał o własnych urodzinach i o gościach, choć Julie powiedziała mu, że zaprosiła ich na kolację. Był jak w zamroczeniu, z

którego najwyraźniej nie mógł się wyrwać, ale pamiętał, żeby zapalić dla dzieci świece chanukowe, tak jak zrobiłaby jego matka. Przywiózł je ze sobą do Greenwich po jej śmierci. Mieszkanie wystawił na sprzedaż i miesiąc później dostał ofertę kupna, którą przyjął. Nagle poczuł się tak, jakby wszedł do przeszłości i zagubił się w teraźniejszości.

Gdy zapomniał o dziesiątej rocznicy ślubu z Julie, wytworzyła się między nimi przepaść, której żadne z nich nie było w stanie pokonać. Przestali się rozumieć. Julie wiedziała, że jest zdruzgotany po śmierci rodziców, ale nie potrafiła się do niego zbliżyć ani nawet z nim porozmawiać, tak bardzo cierpiał. Zostało jej tylko troje dzieci, z którymi właściwie nie była w stanie sobie poradzić bez pomocy niań, które dzieci i tak wołały od niej, i wiecznie nieobecnego męża. Obie siostry po ślubach wyprowadziły się do innych miast, matka umierała, a ona nigdy dotąd nie czuła się równie samotna. Czekala do dnia po rocznicy ślubu, o której zapomniał, żeby przekazać mu wiadomość, o której wiedziała, że przewróci ich życie do góry nogami.

Max przeglądał stertę notatek i wiadomości, jakie zostawiło mu biuro. Dopiero co wrócił z Houston tego popołudnia, a ona weszła do jego gabinetu i stanęła naprzeciwko biurka z ponurą miną. Było jej go żal i przykro z powodu żałoby po matce, ale miała swoje problemy.

– Jestem w ciąży, Max, i chcę ją usunąć – powiedziała obojętnym głosem. W pierwszej chwili myślał, że jej nie zrozumiał, podniósł głowę zaskoczony i zdezorientowany.

– Co powiedziałaś? – Sądziła, że dzieci poszły już spać, ale drzwi były otwarte, a obok znajdował się pokój Héléne.

– Słyszałeś. – Prawie nie pamiętała tego, gdy ostatni raz się kochali, jedynie to, że było to po rozmowie, w której obiecał jej, że wszystko się zmieni i będzie się starał więcej przebywać w domu. Uwierzyła mu, ale nie zmieniło się nic.

Lekarz właśnie jej powiedział, że jest w trzecim miesiącu ciąży i że jeżeli chce się poddać aborcji, musi się spieszyć. Chciała to zrobić zaraz po świętach.

– Moje? – spytał z lodowatą miną, co było ciosem poniżej pasa i najbardziej podłą rzeczą, jaką w życiu powiedział.

– Oczywiście – odparła Julie równie chłodno. – Nie wiem, co robisz ty, kiedy tak latasz po kraju, ale ja w domu się nie łajdaczę. Jestem w trzecim miesiącu ciąży i dziecko jest twoje. – Zamierzała powiedzieć mu o dziecku w rocznicę ślubu, ale to, że nie pojawił się w domu, ułatwiło jej decyzję o aborcji. Wiedziała, że to decyzja właściwa. Spojrzała na niego z żelazną wolą. – Mamy już troje dzieci, z którymi nigdy nie chcesz spędzać czasu i jeżeli mam być szczerą, ja też nie przebywam z nimi wystarczająco dużo. Twoja matka powiedziała mi to raz czy dwa i miała rację. Ostatnie, czego potrzebujemy, to czwarte dziecko. Nasze małżeństwo właściwie już nie istnieje, nie potrzebujemy kolejnego dziecka, którego oboje nie będziemy zauważać. Urodzenie Daisy było błędem. A to będzie kpina.

– Julie, proszę. – Wstał zza biurka, kiedy zrozumiał, że mówi poważnie. – Nie możesz tego zrobić. Jeżeli jesteś w ciąży, widocznie tak miało być. Dopiero co straciłem oboje rodziców i mało przez to nie oszalałem z żalu i poczucia winy, twoja matka jest bardzo chora, a my nie możemy zabić naszego dziecka, Mamy wspaniałe dzieci i wiem o tym, że jestem beznadziejnym mężem, ale cię kocham. – Próbował ją objąć, ale go odepchnęła.

– Nie poradzę sobie z kolejnym dzieckiem – powiedziała, pierwszy raz szczerą wobec niego. – Ostatnim razem chyba wcale nie miałam depresji poporodowej, po prostu nie chcę kolejnego dziecka. Powinniśmy poprzestać na Héléne, a najdalej na Kendrze, skoro sobie postanowiłeś, że chcesz zostać najbogatszym człowiekiem na świecie i zapomnieć o nas.

– Poprawię się. Przestaną tyle podróżować. Obiecuję. Zatrudnij jeszcze jedną nianię, zatrudnij dziesięć niań, jeżeli chcesz. Nie mam nic przeciwko temu. Ale nie możesz się poddać aborcji. Nie zabijaj naszego dziecka. To życie w tobie jest częścią nas obojga.

– Nie ma żadnych „nas”, Max. Nawet nie wiem, kim właściwie jesteś teraz. Więcej, nie wiem, kim jestem ja sama. Ale wiem, kim nie jestem. Nie jestem tą młodą dziewczyną, z którą się żeniłeś, która chciała robić wszystko, czego od niej oczekiwałeś, tylko po to, żeby cię uszczęśliwić, i mieć sześcioro dzieci. Oszaleję, jeżeli będziemy mieć jeszcze jedno. Nie nadaję się do tego. Jestem beznadziejną matką. Nienawidzę mojego życia, jestem zmęczona byciem żoną wiecznie nieobecnego faceta.

– Próbujesz mi powiedzieć, że chcesz rozwodu? – Wyglądał na wstrząśniętego, stojąc naprzeciwko niej w pokoju i bojąc się przysunąć do niej jeszcze raz. Była o krok od hysterii, coś w niej pękło. Kiedy się dowiedziała, że znów jest w ciąży, było to dla niej jak wyrok śmierci.

– Nie wiem, co ci próbuję powiedzieć poza tym, że nie urodzę jeszcze jednego dziecka i w tym tygodniu zamierzam się poddać aborcji. Nie mogę czekać. Mogłabym to zrobić w tajemnicy przed tobą, ale pomyślałam, że masz prawo wiedzieć. – Chciała go przy okazji ukarać za cały ten czas, gdy go nie było i wiedziała, że to go zabolę. To było ostateczne odrzucenie, gorsze niż rozwód. Nie chciała urodzić jego dziecka. – Nie będę przechodzić przez to jeszcze raz dla dziecka, którego żadne z nas nie chce.

– Ja chcę! I chcę ciebie! Kocham nasze córki i przepraszam, że za mało z wami jestem. Kiedyś wszyscy będziemy się cieszyli, że tak postąpiłem. Nasze dzieci i ich dzieci będą zabezpieczone na zawsze.

– Nie obchodzi mnie to i może ciebie też nie będzie obchodzić. Może one wolałyby mieć ojca, który od czasu do czasu się pojawia i pamięta o ich urodzinach. Hélène płakała całymi godzinami, kiedy nie przyjechałeś na jej przyjęcie, chociaż jej obiecałeś.

– Zapomniałem – powiedział skruszony.

– Wiem, zapomniałeś też o urodzinach Kendry, o swoich własnych i o naszej rocznicy ślubu. W ogóle cię nie obchodzimy. Wysłałam na skończoną idiotkę, kiedy nie pojawiłeś się na własnej kolacji urodzinowej, która nawet nie była niespodzianką. Parę osób mnie pytało, czy mnie porzuciłeś. Dziecko to kolejny problem, którego nie potrzebujemy.

– Ale to dziecko, człowiek, wygląda jak człowiek. Ssie już kciuk. Widziałas to na USG. Jak możesz zabić dziecko?

– Ty zabijasz nas wszystkich i nawet o tym nie wiesz. Dla ciebie liczy się tylko zarabianie pieniędzy i twoje cholerne interesy. To nałóg jak hazard czy narkotyki. Dla ciebie narkotykiem jest praca. – Kiedy to powiedziała, przypomniał sobie, że leci do Londynu, wyjeżdża wieczorem w Boże Narodzenie i jeszcze jej o tym nie powiedział, ale przecież nie może jej teraz zostawić? Naprawdę mu zależało na niej i na dzieciach, miał tylko zbyt dużo na głowie, żeby wszystko pogodzić, żeby wszyscy byli zadowoleni, on również. Przypomniało mu się, co mu powiedział ojciec w czasie ostatniego obiadu. Jak zwykle miał rację. Za chwilę miał stracić coś, na czym zależało mu o wiele bardziej niż na interesach, swoje dziecko, a może też żonę. Niewiele dzieliło ją od tego, żeby odejść, i być może po aborcji to zrobi. Teraz wydawała się do tego zdolna.

– Powinieneś pozostać kawalerem. Miałbyś dziewczynę w każdym mieście w Stanach i w ogóle nie musiałbyś się przejmować wracaniem do domu.

– Chcę wracać do domu, do ciebie, do was wszystkich, do naszego nienarodzonego dziecka. – Powiedział to z przejęciem, ale ona nie wierzyła już w żadne jego słowa. Przez lata nie dotrzymał żadnego.

– Nie, nie chcesz. To tylko kolejne dziecko, które będziesz lekceważył, chyba że to będzie chłopiec.

– A to chłopiec? – spytał z błyskiem w oku, a ona wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie próbowałam się dowiedzieć. Nie chcę znać płci, skoro będę je zabijać – powiedziała oschle, ale czuła, że walczy o swoje zdrowie i życie. Nie mogła przeżywać

tego jeszcze raz.

– Błagam cię – powiedział z bólem w oczach. – Nie rób tego. Przynajmniej się zastanów.

– Zastanowiłam się. Miałam ci o tym powiedzieć w naszą rocznicę. Ale, jak zwykle, nie zjawiłeś się. To mi ułatwiło decyzję. Nawet jednak, gdybyś się zjawił, urodzenie tego dziecka byłoby dużym błędem.

– Zrobię wszystko, czego będziesz chciała, jeżeli je urodzisz. Gdybym to ja je miał w sobie, nie mógłbym zabić części ciebie. Kocham cię, Julie. I przepraszam, że życie nie potoczyło się tak, jak byśmy chcieli. Moja praca okazała się o wiele bardziej wymagająca i skomplikowana, niż myślałem. Ale nadal chcę mieć ciebie i rodzinę. Jesteś dla mnie wszystkim.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego z desperacją z drugiego końca pokoju.

– Ja też nie jestem taką żoną, jaką sądziłam, że będę – powiedziała ze smutkiem. – Nie wiedziałam tego, kiedy się pobieraliśmy, ale nie jestem stworzona do tylu dzieci. Woła nianie ode mnie i pewnie mają rację. Nie jestem dobrą matką. Jestem lepszą żoną dla ciebie, a raczej byłabym lepszą żoną, gdybyś częściej bywał w domu.

– Proszę, przemyśl to – błagał. – Muszę lecieć do Londynu na dwa dni i nie mogę tego odwołać, to zbyt ważny temat i zbyt wielu ludzi dotyczy. Zastanów się, kiedy mnie nie będzie. Daj mi jeszcze jedną szansę. Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby cię nie rozczarować. Być może czasem się potknę, ale będę spędzał w domu tyle czasu, ile tylko będę mógł. Daję ci słowo.

– Twoje słowo nic nie znaczy – powiedziała cicho i wyszła z pokoju.

Siedział w gabinecie sam przez godzinę i myślał o wszystkim, co mu powiedziała. Nalał sobie mocnego drinka. Chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby odwieść ją od aborcji. W końcu zgasił światło i poszedł do ich sypialni, ale drzwi były zamknięte na klucz. Po raz pierwszy zrobiła coś takiego. Przeszedł po cichu przez korytarz, wszedł na górę do jednego z pokojów gościnnych i tam spędził noc, myśląc o rozwijającym się w niej dziecku i modląc się, żeby udało mu się ją przekonać i żeby je zatrzymała.

Żadne z nich nie wiedziało, ale Hélène słyszała wszystko, co mówili. Ona też chciała, żeby mama urodziła dziecko. Nie trzeba było go zabijać. Chciała jej powiedzieć, że pomoże się nim zajmować. Cały czas pomagała nianiom przy Daisy. Ale wiedziała, że nie powinna słuchać i miała tylko dziewięć lat, pewnie więc nie zwrócą uwagi na to, co powie. Nie wiedziała, dlaczego są na siebie tacy zagniewani. Może to dlatego taty zawsze nie było, a mama ciągle wychodziła, bo wydawało im się, że mają za dużo dzieci. Ale przynajmniej wiedziała, że tata kocha mamę, skoro chce, żeby urodziła dziecko. Będzie musiała poczekać, zobaczyć, co będzie dalej, ale mama nie może zabić dziecka. To byłoby straszne. Może zabrać ją policja i wsadzić do więzienia, jeżeli to zrobi.

Hélène zamknęła po cichu drzwi, wsunęła się z powrotem pod kołdrę i pomodliła się, żeby Bóg, albo tata, albo ktokolwiek sprawił, by mama przestała się tak gniewać i postąpiła właściwie.

Max próbował porozmawiać z Julie przed wyjazdem do Londynu w świąteczny wieczór, ale nie chciała rozmawiać z nim o ciąży. Spędzili z dziećmi święta i robili przy nich dobrą minę do złej gry, ale unikała go, gdy tylko nie było ich w pobliżu. Nadal spał w gościnnym pokoju, aż do wyjazdu. Nie chciał jej naciskać, a ona wyraźnie dała mu do zrozumienia, że chce być sama. Nadal była wściekła o to, że nie przyjechał do domu w rocznicę ślubu i na urodzinową kolację, którą wyprawiła dla niego, i żadne jego słowa nie były w stanie tego załagodzić.

Po drodze z Greenwich na lotnisko czuł, jakby całe życie mu się rozpadało. Rodzice zmarli, żona chciała usunąć jego dziecko, a ich małżeństwo wisiało na włosku. Wiedział, że wszystko, co mu powiedziała, jest prawdą. Zaniedbywał dzieci i żonę, a matka mówiła mu, że Julie nigdy nie ma w domu. Najwyraźniej czuła się osaczona przez dzieci, których on chciał. Gdy brali ślub, nie spodziewała się męża, przez większość czasu nieobecnego w domu i niedzielącego z nią odpowiedzialności za troje dzieci. To było zbyt wiele na nią samą. Ojciec, który ją rozpieszczał i chronił, zmarł, matka umierała, a siostry mieszkały teraz tysiące kilometrów od niej. Miała męża, którego nigdy nie widywała, i dzieci, którymi nie umiała się zajmować.

Max zamierzał odszukać w Londynie swojego dawnego kumpla, Steve'a, i zastanawiał się, czy z nim o tym nie porozmawiać. Steve przeprowadził się do Londynu kilka lat temu, pracował tam w banku inwestycyjnym i miał swoje problemy. Ożenił się z Angielką i parę lat temu się rozwiódł. Niedawno napisał, że znów się żeni. Może on wie, jak załagodzić sytuację. Ale Max rozumiał, że zawiódł jako mąż i ojciec, i nie był nawet pewny, czy sprawdził się jako syn. Wszystko w jego życiu toczyło się źle. Nie wiedział nawet, czy Julie nie podda się aborcji przed jego powrotem. I choć bardzo tego nie chciał, nie miał prawa jej powstrzymywać. Jak powiedziała mu rano w kuchni w ciągu tych pięciu minut, kiedy byli sami, jej ciało należało do niej, choć dziecko, które nosiła, było jego.

Zjadł kolację ze Steve'em dzień przed wylotem z Londynu, ale i on nie znał żadnych magicznych formułek, którymi mógłby się podzielić. Jego pierwsza żona była modelką i zdradzała go z jego przyjacielem. Rozwód był kosztowny, ale prosty, tym łatwiejszy, że nie mieli dzieci i byli małżeństwem zaledwie przez trzy lata. Kobieta, z którą zamierzał się ożenić, miała czterdzieści lat, była prawniczką i miała dwoje własnych dzieci. A Steve liczył, że doczekają się wspólnego. Takie małżeństwo miało sens. Mieszkał z nią od trzech lat, więc i w tej kwestii nie obawiał się niespodzianek. Ze smutkiem słuchał, że Max i Julie mają kłopoty, ale nie był tym zaskoczony, biorąc pod uwagę tryb pracy Maksa.

– Będziesz musiał spędzać więcej czasu w domu, jeżeli chcesz, żeby coś z tego wyszło – powiedział zwyczajnie. Poinformował Maksa, że Jared też się rozwiódł, a Andy ożenił się z lekarką, z którą studiował. Mieszkali w Teksasie i mieli czworo dzieci. Max stracił z nimi kontakt, ale on i Steve dzwonili do siebie od czasu do czasu. Miło było spędzić z nim wieczór przed powrotem do domu. Nadal był jego najlepszym przyjacielem, choć rzadko się widywali.

Samolot wyleciał z Heathrow z opóźnieniem i Max dotarł do domu późno. Panowała w nim cisza, a drzwi sypialni nie były zamknięte na klucz, co przyjął za dobry znak. Była druga w nocy i Julie spała w najlepsze. Wziął prysznic, przebrał się w piżamę i po cichu wsunął się do łóżka obok niej, a gdy rano się obudził, jej już nie było i nigdzie nie mógł jej znaleźć. Niania karmiła dzieci w kuchni i powiedziała, że Julie pojechała do matki, bo ta źle się poczuła. Miała wrócić dopiero późnym popołudniem.

Popołudnie spędził, bawiąc się z dziećmi, pomógł Hélène złożyć domek dla lalek, który

dostała na Gwiazdkę. Wydawała się dziwnie uległa i zgadzała się na wszystko, co chciał zrobić. Zastanawiał się, czy przeczuwa, co się dzieje. Kendra, jak zwykle, tryskała energią. Zawsze miała mnóstwo pomysłów i oznajmiła przy śniadaniu, że napisze książkę, a Daisy waliła w kubek łyżeczką, którą ktoś jej dał. Julie miała poważną minę, gdy wróciła.

– Jak mama? – spytał potulnie, zostawiając Hélène z jej domkiem dla lalek, żeby wyjść na powitanie żonie.

– Niedobrze – odparła oschle i znów wyszła z pokoju. Jej matka umierała powolną, bolesną śmiercią, a ponieważ siostry Julie nie mieszkały blisko, wszystkie trudne decyzje i zadania spadały na nią, choć godzinami rozmawiała z nimi przez telefon. Był to dla niej trudny okres. Matka była w ostatnim stadium raka, a Max cieszył się, że jego matka odeszła szybko i że nie musiał przez to przechodzić.

Julie wyjechała do miasta wcześniej rano następnego dnia, a on zastanawiał się, czy udała się do lekarza na aborcję. Nie odezwała się do niego słowem poprzedniego wieczoru. Poszła do łóżka i odwróciła się do niego plecami, a rano już jej nie było. Oczekiwanie na jej decyzję go dobijało, nie dowiedział się od niej niczego, gdy był w Londynie, co nie wyglądało na dobry znak.

Poranek spędził na oddzwanianiu do różnych ludzi, obiad zjadł z córkami w kuchni, a o drugiej po południu zobaczył, że Julie podjeżdża pod dom. Usłyszał, jak wchodzi i idzie prosto do sypialni. Przyszedł do niej kilka minut później ze zmartwioną miną.

– Wszystko w porządku? – spytał, zastanawiając się, czy miała zabieg, ale ona stała w garderobie i patrzyła na niego.

– Urodzę to dziecko – powiedziała beznamiętnym głosem. – Miałam rano USG. Z dzieckiem wszystko w porządku. – Poczul przyływ ulgi, gdy wypowiedziała te słowa, podszedł do niej i chciał ją objąć, ale się odwróciła. – Zobaczyłam je na monitorze. Ciężko byłoby mi potem coś z nim zrobić – stwierdziła rzeczowo. – Miałeś rację. Kolejne USG mam za cztery tygodnie i wtedy możemy sprawdzić płęć, jeżeli chcesz. – Powiedziała to tak, jakby mieli zamawiać meble albo zasłony. Nie była szczęśliwa, ale wiedziała, że postępuje właściwie, niań mieli tyle, że bez problemu mogły się zająć jeszcze jednym niemowlęciem. Dwie pracowały na etacie cały czas. Ona zamieniła się dla niego w maszynkę do rodzenia dzieci. Ale miała je tylko donosić i urodzić, nie musiała się nimi zajmować. Przykro mu było widzieć, jaka jest nieszczęśliwa i miał nadzieję, że zmieni się jej pogląd, jeżeli ich stosunki się poprawią.

– Dziękuję – powiedział cicho, a ona kiwnęła głową i przeszła obok niego.

Miała na sobie dzinsy i koszulkę i widział, że dziecko już rośnie, bo spodnie się nie dopinają. Wszystko stało się bardziej realne.

Do końca tygodnia odzywała się do niego tylko wtedy, kiedy musiała, ale on został w domu. Nie wyszli też nigdzie na Sylwestra. Wydawało mu się, że chciała zaprosić znajomych, ale najwyraźniej nic nie zrobiła albo odwołała przyjęcie po katastrofie z urodzinową kolacją. Nie miał odwagi spytać. Zjedli kolację w kuchni, gdy dzieci poszły do łóżek, a nianie do swoich pokojów.

– Widziałem się ze Steve'em w Londynie – powiedział, żeby zagaić rozmowę, a ona przez chwilę sprawiała wrażenie zainteresowanej. Po raz pierwszy od tygodnia pozwoliła mu się do siebie odezwać.

– Co u niego?

– Wszystko w porządku. Żeni się z kobietą, z którą mieszka od paru lat. Nie poznałem jej, ale z opowieści wydaje się miła, a on szaleje za nią. Będą się starać o dziecko, ale to może nie być proste, bo narzeczona ma czterdzieści lat. Steve wygląda na szczęśliwego. – Nie wspomniał o rozwodzie Jareda i czwórce dzieci Andy'ego, bo obie kwestie wydawały mu się niebezpieczne

w sytuacji, w jakiej się znajdowali. Ale był wdzięczny, że zdecydowała się urodzić. Zauważył, że nie wysiliła się, żeby ubrać się elegancko do kolacji, choć był Sylwester. Kucharka zostawiła dla nich jedzenie w lodówce, a Max zauważył, że Julie prawie nie je i pomyślał, że może źle się czuje z powodu ciąży.

– Jak się czujesz? – spytał ostrożnie.

– Dobrze – odparła ponuro. – Tym razem nie mam wcale mdłości, dlatego tak późno się zorientowałam. Lekarz powiedział, że to może nie być dobrym znakiem, ale na USG wszystko wyglądało w porządku. W każdym razie to nie bliźniaki – powiedziała, a on uśmiechnął się. Byłby zachwycony, ale nie miał odwagi jej tego powiedzieć. To nie jego ciało miało być zajęte przez inną ludzką istotę przez najbliższych sześć miesięcy, to nie on będzie musiał przechodzić przez kolejną operację – po dwóch poprzednich tym razem też na pewno ją czekała – i to było kolejnym powodem, dla którego nie chciała dziecka. Po poprzednim cesarskim cięciu długo dochodziła do siebie.

– Cieszę się, że przynajmniej dobrze się czujesz. – Rozmowa była dziwna i sztywna, ale trudno było wrócić do tego, co było przed jego wyjazdem do Londynu. – Złożyłem wczoraj dla Hélène domek dla lalek, była bardzo cicha. Myślisz, że słyszała nas tamtego wieczoru?

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała Julie zaniepokojona. Hélène i tak z natury była spokojna, ale jemu wydała się dziwna. – Chyba powinniśmy bardziej uważać. Zawsze obserwuje mnie jak jastrząb, kiedy myśli, że coś jest nie tak. – Była dojrzała ponad wiek i lubiła towarzystwo dorosłych. Kendrę zadowalało towarzystwo kogoś, kto chce z nią rozmawiać. A Daisy była za mała, żeby cokolwiek wiedzieć. – Chyba się ucieszą z dzidziusia – powiedziała przygnębiona, a on znów poczuł się winny. Dziecko miało przyjść na świat w czerwcu i jeżeli nastrój Julie się nie poprawi, zanosilo się na długie, trudne oczekiwanie. Nowina ciągle była dla niej szokiem. Po Daisy myślała, że rodzenie dzieci ma za sobą, a tymczasem wszystko zaczynało się od początku.

– Mogę ci to jakoś ułatwić? – spytał łagodnie, a ona pokręciła głową za łzami w oczach.

– Pewnie czeka mnie trudny okres z mamą, ale to już niedługo. Pielęgniarki z hospicjum przyszły wczoraj. Chce umrzeć w domu.

– Przykro mi – powiedział szczerze i uświadomił sobie, jak bardzo się od siebie oddalili.

– Mnie też. Na pomoc siostr nie mogę liczyć, są w Los Angeles i Santa Barbara. Ale teraz i tak niewiele już można zrobić, poza codziennymi odwiedzinami. Większość czasu przesypia. – Był to przygnębiający temat na sylwestrowy wieczór, ale tak wyglądał ich związek i w tej sprawie również nie mógł pomóc. Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie pragnie jego bliskości, a kiedy skończyła jeść, opłukała swoje naczynia i wstawiła do zmywarki. Miał zaproponować szampana, ale uświadomił sobie, że ona nie może pić. Wyszła z kuchni bez słowa i poszła położyć się z książką, a on wrócił do swojego gabinetu i nalał sobie drinka. W domu panowała cisza, a on siedział w wygodnym fotelu i myślał o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatniego roku. Myślał o rodzicach, zastanawiał się, co poradziłyby mu matka. Pewnie, żeby dał Julie spokój, dopóki sama do niego nie przyjdzie, o ile jest na to jeszcze jakaś szansa.

Poszedł do łóżka przed północą, życzył jej szczęśliwego nowego roku, odwrócił się i próbował zasnąć, ale leżał długo, póki ona nie zgasła światła, nie odzywając się do niego słowem. Zanosilo się, że do porodu czeka go sześć długich miesięcy.

Przez następny miesiąc prawie się do siebie nie odzywali. On wyjeżdżał mniej niż zwykle i postawił sobie za cel, że weekendy będzie spędzał w domu. Ona kilka razy w tygodniu wyjeżdżała do miasta i codziennie odwiedzała matkę, która powoli gasła. Miesiąc później po powrocie z miasta wręczyła mu kopertę. Nie uśmiechała się i przez chwilę bał się ją otworzyć. Przemknęło mu przez myśl, że może wręcza mu papiery rozwodowe. Wszystko było możliwe.

Nie zmięła nic a nic.

– Co to jest?

– Zdjęcia dla ciebie. Miałam dziś drugie USG. – Uśmiechnął się, kiedy to powiedziała i zaczął rozdzierać kopertę. – Spełniło się twoje marzenie. To chłopiec. – Spojrzał na nią zaskoczony, wstał i objął ją. Nie przejmował się tym, jak bardzo jest na niego zła, teraz był jej wdzięczny jeszcze bardziej. To było dla niego takie ważne. Nie chciał, żeby nazwisko jego ojca zaginęło. On był ostatni z rodu, a teraz będzie mieć syna. Wyciągnął zdjęcia z koperty i wpatrywał się w nie. Widać było twarz dziecka i kiedy Julie przyglądała się, jak Max patrzy na zdjęcia, po raz pierwszy od dawna uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że będzie podobny do ciebie i twojego ojca. Szkoda, że on go nie zobaczy, byłby taki szczęśliwy.

– To prawda – powiedział Max z uśmiechem. – Mama też. Dziękuję. – Kiwnęła głową.

– Chyba niedługo będziemy musieli powiedzieć dziewczynkom. – Brzuch zaczynał być widoczny i Julie miała wrażenie, że Hélène już się zorientowała, a Kendra też wkrótce to zauważy. – Pewnie nie będą zadowolone, że to chłopiec.

– Przyzwyczajają się – odparł zachwycony. – Potrzeba nam chłopaków w naszej drużynie – dodał bardziej swobodnie, a ona roześmiała się po raz pierwszy od miesiąca.

– Nie licz na to, że urodzę jeszcze dwóch, żeby było po równo. Na tym kończę.

– Chyba jasno się wyraziłaś – droczył się z nią. – W ogóle się cieszę, że nie próbowałaś mnie zabić we śnie. – Znów się roześmiała i razem wyszli z pokoju. Tego wieczoru powiedzieli o wszystkim córkom, gdy jadły kolację z nianiami i przysiedli się do nich na parę minut. Julie nie lubiła jeść z dziećmi, twierdziła, że robią za dużo hałasu. Ale powiedzieli im o braciszku i Hélène wyglądała tak, jakby poczuła ulgę. Nie wiedziała, co matka robi z dzieckiem, o którym ojciec powiedział, że chce je zabić. Ale nie zrobiła tego. Hélène modliła się o to co wieczór, odkąd ich usłyszała i jej modlitwy zostały wysłuchane. Kendra stwierdziła, że szkoda, że to chłopiec. Chciała wiedzieć, czy będzie go mogła zabrać do szkoły, żeby się pochwalić. Jedna z koleżanek przyniosła kiedyś świnę morską, pomyślała więc, że dziecko będzie lepsze, czym rozbawiła ojca. Dzień, mimo wszystko, okazał się miły. Julie mu wprawdzie nie wybaczyła, ale przynajmniej się do niego odzywała. Atmosfera w domu stała się trochę bardziej swobodna. Ale potem znów stała się napięta, gdy w kwietniu zaczął wyjeżdżać więcej, żeby domknąć pewną transakcję.

Próbował jej to wytłumaczyć, ale dla niej był to powrót do tego, co działo się wcześniej. Bardzo się starał spędzać więcej czasu w domu przez całe trzy miesiące, a teraz wracał do swoich starych zwyczajów. Jediną zmianą było to, że kupił samolot, zamiast latać czarterami albo liniami lotniczymi. Twierdził, że dzięki temu będzie szybciej wracać do domu. Był to wielki wydatek, ale mógł przylecieć z każdego miejsca, w którym się znajdował.

Spytał, czy wybierze się z nim na ważną kolację z politykami w mieście. Zaprosił go jeden z przedsiębiorców, z którym negocjował i chciał, żeby Julie mu towarzyszyła. Uprowadził ją, że może być nudno, ale nie chciał iść sam. Impreza miała się odbyć za dwa tygodnie w Gracie Mansion, zapowiadała się hucznie. Wielu ważnych polityków przyjeżdżało z Waszyngtonu, zaproszeni też byli ważni sponsorzy. Julie zawsze dobrze wypadła na takich uroczystościach, każdego potrafiła oczarować.

– Nie mam się w co ubrać. – Była już w siódmym miesiącu ciąży i brzuch miała większy niż w poprzednich.

– To sobie coś kup. – Uśmiechnął się do niej w nadziei, że z nim pójdzie. Rozejm między nimi był kruchy, ale na razie się sprawdzał. Julie dobrze przyjęła to, że kupił samolot, po to, żeby szybciej i łatwiej wracać do domu. A może chodziło mu tylko o to, żeby częściej wyjeżdżać. Nie wierzyła mu już i wyraźnie mu to powiedziała

– Zobaczą, czy uda mi się coś znaleźć – odparła niepewnie. Ku własnemu zaskoczeniu znalazła sukienkę, która jej się podobała i oznajmiła, że pójdzie. Była zwiewna we wszystkich odpowiednich miejscach, uszyta z błękitnej tkaniny sari i Julie wyglądała w niej rewelacyjnie. Na pierwszy rzut oka nie było widać, że jest w ciąży.

Wyglądała zjawiskowo, kiedy ją włożyła. Ubrali się w jego nowojorskim mieszkaniu, z którego nadal korzystali, spędzając wieczory w mieście. Julie wyglądała jak księżniczka, gdy wchodziła do Gracie Mansion, trzymając Maksa pod rękę, a on był bardzo dumny. Zostawił ją, gdy rozmawiała z żoną burmistrza, a sam zajął się grupą przedsiębiorców budowlanych, która go zaprosiła, i wrócił do żony akurat, żeby przejść na kolację. Posadził ją przy stole i znów zniknął, żeby porozmawiać z senatorem. Mężczyzna siedzący naprzeciwko przedstawił się jej. Nazywał się Richard Randall i wydawało jej się, że skądś zna to nazwisko, ale nie wiedziała skąd. Był wysoki i szczupły, miał gęste siwe włosy i prezentował się bardzo elegancko w smokingu. Miał lekki południowy akcent. W końcu skojarzyła, kim jest. Był to wielki potentat naftowy z Teksasu, który część życia spędzał w Nowym Jorku, zajmował się finansami i miał domy na całym świecie. Pojawiał się często na okładkach „Time” i „Fortune”.

– Pani mąż jest dziś bardzo zajęty – zauważył z ironicznym uśmiechem.

– Zna go pan? – spytała.

– Nie, ale obserwowałem go, jak zabawia gości, odkąd weszliście. Jest urodzonym biznesmenem. Miałem nadzieję, że dzięki temu będę miał okazję zamienić z panią słowo, los okazał się dziś dla mnie bardzo łaskawy. A może to zasługa gospodyni, skoro siedzę obok pani. Ślicznie pani wygląda w tej sukni. – Dostrzegł, że suknia jest tego samego koloru, co jej oczy. Przez chwilę zastanawiała się, czy zauważył, że jest w ciąży i miała nadzieję, że nie, ale zaraz zrobiło się jej głupio z powodu tej myśli. Jakie to ma znaczenie? Podziękowała mu za komplement i na tym poprzestała. Był czarujący, bardzo przystojny, z wyglądu po sześćdziesiątce, wydawał się dobrze zbudowany i silny. – Interesuje się pani polityką? – spytał tak, żeby pozostali przy stole nie usłyszeli.

– Czasami – wyznała szczerze. – Nie zawsze.

– To mniej więcej tak, jak ja. Kiedyś wydawało mi się, że chciałbym pełnić funkcję publiczną, ale teraz nie zdecydowałbym się na to za żadne pieniądze. – Powiedział, że przez część roku mieszka w Hongkongu i w Londynie, a ona poczuła się wtedy strasznie nieciekawa. Była po prostu kurą domową z Greenwich, z trójką małych dzieci i czwartym w drodze. Zateęskniła za czasami, kiedy mogła wychodzić, kiedy tylko chciała. On zdążył trafnie ocenić ją jako zaniedbywaną żonę bardzo ambitnego mężczyzny. – Czytałem o pani mężu. Ja też tak harowałem. Ale z tym skończyłem. Już tak nie jest.

– Co pana wyleczyło? – spytała. Flirtował z nią subtelnie, ale nie dość jawnie, żeby ktokolwiek się zorientował albo żeby jej mąż mógł mieć o to pretensje, gdyby odwrócił się w stronę stołu i zobaczył, że rozmawiają.

– Trzy żony, które ode mnie odeszły – odpowiedział na jej pytanie, a ona się roześmiała.

– Muszę o tym wspomnieć mężowi – odparła.

– Proszę sobie nie zawracać głowy, mężczyźni tacy jak on zaczynają rozumieć dopiero wtedy, gdy ktoś im zada ostateczny cios. Ja nie rozumiałem. Byłem złym mężem dla wszystkich trzech i zasłużyłem sobie na to, że mnie zostawiły. Teraz są szczęśliwymi żonami innych facetów – powiedział ze swobodnym uśmiechem.

– Ma pan dzieci? – Zaciekawiał ją. Był intrygujący i miał w sobie coś eleganckiego i dojrzałego.

– Pięcioro. Wszystkie starsze od pani. Młodo zacząłem. Są porządnymi ludźmi. Rzadko się z nimi widuję. Ojcem też nie byłem dobrym. Ale teraz jestem w przyjacielskich stosunkach z

byłymi żonami. Trudno odnieść wielki sukces zawodowy i jednocześnie mieć czas dla rodziny. Tego się nie da pogodzić. Pewnie zdążyła się pani o tym przekonać. – Kiwnęła głową, czując się trochę nielojalna wobec Maksa, ale Richard Randall najwyraźniej doskonale wiedział, co się z nią dzieje. Orkiestra zaczęła grać i poprosił ją do tańca. Speszyla się, ale się zgodziła i poprowadził ją na parkiet, na którym zostali do czasu, gdy zaczęto podawać kolację. Odprowadził ją na miejsce trzy minuty przed powrotem Maksa, który bardzo się kajał, że zostawił ją samą na tak długo.

– Bezwstydnie zanudzałem pana żonę, kiedy na pana czekała – powiedział Richard i przedstawił się, a Julie dostrzegła, że Max jest pod wrażeniem. Doskonale wiedział, kim jest Randall. Kiedy Richard poszedł porozmawiać ze znajomym z innego stołu, Max odezwał się szeptem do żony:

– Wiesz, kto to jest? Raz prawie wystartował na prezydenta. Ale wycofał się tuż przed nominacją. To naprawdę gruba ryba. O czym z nim rozmawiałaś? – spytał, jakby nie wierzył, że miała z nim jakikolwiek wspólny temat.

– O jego żonach i dzieciach.

– Był chyba żonaty kilka razy. Jedna z żon to znana gwiazda filmowa. Powinniśmy się z nim poznać. Chciałbym kiedyś wybrać się z nim na obiad.

– Spróbuję to dla ciebie załatwić – powiedziała, a on nie wyłapał sarkazmu w jej głosie. Jak na razie Richard Randall był jej znajomym, nie męża. Max był bardzo z siebie dumny, krążąc tego wieczoru wśród ważnych osobistości. Julie zauważyła jednak, że Richard Randall większość czasu siedzi na swoim miejscu i wszyscy podchodzą do niego. Informacja, że prawie wystartował na urząd prezydenta, była interesująca. Julie czuła się wyróżniona, że siedzi obok niego. Max ciągle odchodził od stołu, żeby porozmawiać z ludźmi, których uważał za ważnych, dając żonie szansę na rozmowę z Richardem o sztuce, życiu, małżeństwie i podróżach. Richard powiedział, że ma jacht na Morzu Śródziemnym i że tego lata planuje nim popływać. Spytał ją, jakie ma plany. To pytanie ją przytłoczyło. Nie chciała mu mówić, że będzie rodzić dziecko, którego rozpaczliwie nie chciała. Ale ponieważ tańczyli kilka razy, była pewna, że zorientował się, że jest w ciąży.

– Na razie nic nie planujemy. – Będzie dochodzić do siebie po trzeciej cesarce. Ta myśl ją przygnębiła, a on dostrzegł to w jej oczach i delikatnie pogłaskał jej dłoń.

– Na wszystko jest czas. Każdy przechodzi trudne chwile. Nigdy nie wiadomo, czym nas zaskoczy życie. Mnie zaskoczyło dziś tym, że siedzę obok pani. Umiliła mi pani wieczór. – Wzruszyła się, kiedy to usłyszała i uśmiechnęli się do siebie, gdy Max wrócił na deser, i natychmiast znikł, aby odbyć ostatnią rozmowę. Richard spojrzął jej w oczy, a potem położył na stole długopis obok bilecika z jej nazwiskiem. – To, o co panią poproszę, jest bardzo nieodpowiednie i za coś takiego zostałbym wyrzucony z każdego przyzwoitego towarzystwa, ale gdyby podała mi pani swój numer, z przyjemnością kiedyś do pani zadzwonię. Może uda nam się razem zjeść obiad? – W pierwszej chwili była zaskoczona, a potem uśmiechnęła się do niego.

– Teraz to pan umilił mi wieczór. Byłoby mi bardzo miło. – Może mogliby się zaprzyjaźnić. Taka myśl była arogancją, ale podobała jej się perspektywa, że znów go zobaczy. Zapisała szybko numer telefonu, a on dyskretnie wsunął bilecik do kieszeni. Gdy Max wrócił do stołu, Richard wstał, podał obojgu rękę, podziękował Julie za przemiły wieczór i odszedł.

Max wyglądał na rozczarowanego tym, że nie udało mu się z nim porozmawiać, bo zbyt często wstawał.

– To ważny gość – powiedział.

– Byłeś bardzo zajęty – zauważyła enigmatycznie Julie.

– Z mnóstwem ludzi musiałem zamienić słowo. To rzadka okazja. Dlatego chciałem,

żebyś przyszła ze mną. Randall nie dał ci wizytówki, co? – spytał.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Ale nie powiedziała, że Richard doskonale opisał zachowanie Maksa, a na zakończenie wieczoru poprosił ją o numer telefonu, i że mu go dała. Było to idealne antidotum na poczucie, że jest grubą, nudną kurą domową z przedmieścia. Sprawił, że poczuła się wyjątkowa, fascynująca, uwodzicielska, choć sama nie wierzyła, że taka jest, ale podobała jej się nowa suknia, która skrywała ciążową figurę, w każdym razie na tyle, że pierwszym pytaniem, które padało z ust wszystkich, nie było: „Na kiedy ma pani termin?”, bo to zawsze ograniczało konwersację do rodzenia, jakby na żaden inny temat nie była w stanie rozmawiać.

– Ładnie dziś wyglądasz – pochwalił ją Max, kiedy wsiadali do taksówki, która miała ich odwieźć do mieszkania. Richard odjechał limuzyną kilka minut wcześniej. To nie jego ogromna fortuna i sukces ją zafascynowały, tym interesował się Max, dla niej liczył się mężczyzna, który z nią flirtował i był dość odważny, by poprosić ją o numer telefonu, choć wiedział, że jest mężatką. Po raz pierwszy, odkąd wyszła za męża, czuła, że ma swój sekret. Pewnie nigdy się do niej nie odezwie, ale miło było choć przez chwilę grać rolę femme fatale, zanim znów wyląduje na porodówce. Nienawidziła swojego obrazu, jaki widział Max – maszynki do rodzenia dzieci – i miała wrażenie, że gdzieś w tym wszystkim się zagubiła. Ale mimo to Richard Randall ją odnalazł.

Rozbierając się, czuła się jak Kopciuszek. Bardzo przyjemnie tańczyło jej się z Richardem i myślała o nim, gdy nieświadomy niczego Max spał obok niej tej nocy. Właściwie nie czuła się winna.

Oboje wstali wcześniej. Max pojechał do biura zadzwonić do Europy. Ona wróciła do Greenwich. Wpadła po drodze do matki, która była na silnych środkach przeciwbólowych. Potem pojechała do domu i weszła do kuchni, żeby omówić z kucharką jadłospis, a Barbara, najmłodsza z nian, zabrała Daisy w wózku na spacer przed południową drzemką.

Julie odkładała suknię, którą miała na sobie wczorajszego wieczoru, gdy usłyszała, że dzwoni telefon i odebrała sama. Znajomy głos miał melodyjny południowy akcent.

– Bałem się, że wczoraj mi się tylko przyśniłaś. Co robisz dziś w porze obiadowej? – To był Richard. Serce jej podskoczyło, gdy go usłyszała.

– Niestety, wróciłam do Greenwich. – Słysząc go, że jest rozczarowana.

– To nie jest na innej planecie. Co powiesz na lunch w Terra, jeśli nie boisz się, że będziesz widziana z mężczyzną o nieco wątpliwej reputacji? Choć ostatnio zachowuję się całkiem przyzwoicie. Wiek robi swoje. – Nie było po nim tego widać, był bardzo atrakcyjny i chciała zjeść z nim obiad.

– Chyba jakoś to zniosę – powiedziała odważnie, nie bardzo wiedząc, jakie intencje ma Richard. W obecnym stanie nie była raczej kandydatką do romansu, więc na pewno o to mu nie chodziło. Może o przyjaźń? Albo niewinny flirt? Zgodziłaby się na jedno i drugie.

– O pierwszej? Zaraz wsiadam do mojej karocy i będę tam na ciebie czekał. Trochę bezczelne byłoby, żebym przyjeżdżał po ciebie pod dom.

– Będę – obiecała, rozłączyła się i weszła do garderoby. Nie chciała wkładać jakiegś przepastnej sukni, żeby nie zepsuć finezyjnego efektu poprzedniej nocy. Ale nie miała dużej kolekcji ciążowych sukien. Tak nie lubiła ciąży, że nigdzie nie wychodziła i niczego nie kupowała, wystarczyło jej to, co już miała: jedną granatową bluzkę, którą mogła włożyć do dzinsów i szpilek, co było odpowiednim strojem w Greenwich. Ubrała się i była gotowa na czas, ze świeżo umyтыми włosami i starannym makijażem. Zjawiła się w restauracji punktualnie o pierwszej. Zdażyła, żeby zobaczyć, jak Richard podjeżdża czarnym ferrari, wysiada i wręcza kluczyki parkingowemu. Dostrzegł ją od razu. Widać było, że cieszy się, że ją widzi, i nawet w

dziennym świetle atmosfera sprzyjała flirtowi, tak jak wczorajszej nocy. Nie można było nie zauważyć jej brzucha, ale grzecznie to zignorował. Poprosił o stół w spokojnym miejscu i gdy tylko złożyli zamówienie, powiedział jej, jak bardzo się cieszy, że ją widzi.

– Myślałem o tobie całą noc, Julie. Wiem, że to wyświechtany tekst, ale to prawda. Wczorajszy wieczór był magiczny i nadal czuję tę magię. – Spojrzał jej w oczy, a ją nagle dopadła przerażająca myśl, że może to zbrodnia, który poluje na ciężarne kobiety, ale nie wyglądał na takiego. Postanowiła, że będzie z nim szczerą, nawet jeżeli oznaczałoby to nielojalność wobec męża. Ostatnio nie bardzo wiedziała, czy chce być lojalna wobec Maksa, ani czy sytuacja, w jakiej ją postawił, była miła, czy raczej należało jej współczuć.

– Ja też to czuję – powiedziała cicho. – Choć pewnie brzmi to dla ciebie jak szaleństwo. – Spojrzała przelotnie na swoje kolana, a potem znów na niego. Zrozumiał.

– Przecież nie zostanie tam wiecznie? Chyba że to jakiś niezwykły wytwór. Różne rzeczy się przydarzają w życiu, z niewiadomych powodów, w nieoczekiwany sposób. – Podsumował to zwięźle, a potem zadał jej bezpośrednie pytanie. – Cieszysz się z tego dziecka? – Szybko pokręciła głową.

– Nie. Byłam załamana, gdy się dowiedziałam, że jestem w ciąży. Myślałam o aborcji, ale nie mogłam się na nią zdobyć.

– Tak sądziłem. Wspomniałabyś o dziecku, gdybyś się z niego cieszyła. Suknia była zjawiskowa, ale domyśliłem się, kiedy tańczyłem z wami obojgiem – powiedział, a ona roześmiała się.

– Drobiazg, który trudno przeoczyć.

– Kolejne trudne pytanie. Jestem znany z tego, że nie owijam w bawełnę. Kochasz męża? Wygląda na miłego faceta, ale wiem, jak mężczyźni jego pokroju traktują żony, aż ktoś nie da im nauczkę. Ja dostałem swoją trzy razy, zanim dotarło do mnie, że nie jestem dobrym mężem, kiedy tak ciężko pracowałem. Teraz jestem na emeryturze, mniej więcej. Mężczyźni tacy jak my nigdy nie przechodzą zupełnie na emeryturę. Ale trudno nas kochać, bo zaniedbujemy swoje kobiety. Ja też byłem winny tego samego.

– Dobrze go podsumowałaś. Odpowiadając na twoje pytanie, nie jestem pewna, czy nadal go kocham. Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat, jest dla mnie dobry. Mam piękny dom, jest hojnym człowiekiem. Ma dobre serce, jest uczciwy i chyba chce dobrze, ale jest beznadziejnym ojcem i jeszcze gorszym mężem. Częściowo to moja wina. Pozwoliłam, żeby zrobił ze mnie maszynkę do rodzenia dzieci, bo on chciał iluzji wielkiej szczęśliwej rodziny, tylko po to, żebym po trzecim dziecku odkryła, że nie jestem stworzona do roli matki. Nie wiem, co jest nie tak, ale nie umiem się w tym odnaleźć. Ciągle mam wrażenie, że to cudze dzieci. A teraz urodzi się następne. Czuję się zmuszona, żeby mieć drugie, a ostatnie trafiło się przypadkiem. To moja wina, że do tego dopuściłam. Nawet nie pamiętam, kiedy to zrobiliśmy ani dlaczego. On nie jest lepszym rodzicem ode mnie. Nie spędzamy czasu z dziećmi. Wydaje im się, że ich matkami są nianie, i właściwie powinny nimi być. Są o wiele lepsze od nas. Zatrudniamy cztery.

– Są lepsze tylko dlatego, że dostają za to pieniądze. I co teraz zrobisz? – spytał z zainteresowaniem.

– Jeszcze nie wiem. Wiem, że powinnam być zachwycona dzieckiem i że instynkt macierzyński powinien odezwać się w pewnej chwili, ale ze mną tak nie jest. Nie chcę nawet wziąć ich na ręce po porodzie. Czuję się, jakby zamieszkała we mnie obca istota. A kiedy są już na świecie, czuję się nimi zupełnie przytłoczona. Nie mam pojęcia, jak wychowywać czworo dzieci, zwłaszcza z mężem, którego nigdy nie ma i nie będzie.

– Może kiedyś będzie, dla innych dzieci, z inną żoną. A może nie. Ja mam sześćdziesiąt dwa lata i nie czuję instynktu ojcowskiego. We mnie też jakoś nigdy się nie odezwał –

powiedział szczerze. – I moje dzieci o tym wiedzą. Niektóre mi wybaczyły i uważają, że fajnie zaprosić mnie na imprezę, dwoje szczerze mnie nienawidzi, ale ich nie winię. Nigdy mnie nie było i nie chciałem z nimi być. Wnuki też mnie nie interesują. – Był całkiem szczerzy, podobnie jak ona. Czują, że może mu powiedzieć wszystko i być przy nim sobą.

– Czuję dokładnie to samo. Są słodkie. Moja najstarsza córka ma dziewięć lat, jest rozsądna i czuła, taka jak kiedyś jej ojciec. Druga jest jak rewolwer, błyskotliwa, zabawna i niezależna, a najmłodsza nosi jeszcze pieluchy. Ale nadal nie czuję, że to moje dzieci. Po ostatnim wpadałam w depresję. Nie cieszę się, że znów mnie to czeka ani że w domu przybędzie nowe dziecko. Wywołują we mnie poczucie winy.

– Tym razem pewnie będzie gorzej – powiedział, a ona wiedziała, że ma rację. – Wydaje mi się, że ty też nie masz genu rodzicielstwa – stwierdził po namyśle. – I może jest za wcześnie, żeby wyciągać takie wnioski, ale z całym szacunkiem dla twojego młodego ambitnego męża, wydaje mi się, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Muszę przyznać, że nie jest mi go żal, bo ja też coś takiego przeżyłem. Żal mi tylko twoich dzieci, bo będą musiały znaleźć sobie gdzieś rodzica, który naprawdę zechce spędzać z nimi czas, a nie będziesz nim ani ty, ani on. Moje dzieci miały szczęście do ojczymów, to je pewnie uratowało. I co z tym zrobimy? Mamy czas, żeby się zastanowić. Ale jeśli mi nie powiesz, że jesteś do szaleństwa zakochana w mężu i chcesz mieć z nim więcej dzieci, nie dam ci tak łatwo odejść. Za długo cię szukałem. – Nie wiedziała, co powiedzieć, a on wyciągnął rękę nad stołem, ujął jej dłoń w swoją, a jej oczy napełniły się łzami. Czują się tak, jakby ją uratował. Naprawdę był księciem z bajki albo jej rycerzem w lśniącej zbroi. Wydawało jej się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Nie płacz, nigdzie nie idę. Znajdziemy razem wyjście. – Wydawało jej się, że śni. Było to przeciwieństwo koszmaru, jaki przeżywała. – Proponuję, żebyśmy działali powoli, na razie zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi i będziemy myśleć. Co ty na to?

– Świetnie – powiedziała i dwie łzy ściekły jej po policzkach, a on delikatnie otarł je opuszką palca. – Pewnie wydaje ci się to szokujące. Chyba się w tobie zakochuję, choć noszę w sobie dziecko innego mężczyzny.

– Mnie tak łatwo się nie zaszokuje. Mam przyjaciółkę, która lata temu znalazła się w podobnej sytuacji. Zostawiła męża, gdy urodziło się dziecko i od trzydziestu lat są z nowym partnerem szczęśliwym małżeństwem. Nie czuję odrazy do ciężarnych ani fascynacji nimi. O ile nie muszę wychowywać dziecka. Nie chciałabyś tego. Nie nadaję się. Ale ty chyba też nie. – Kiwnęła głową, przyznając mu rację.

– Będę musiała zostawić dzieci, prawda? – Zrozumiała, co chciał jej powiedzieć w czasie obiadu.

– Myślę, że tak. Ja zupełnie się nie sprawdziłem przy własnych dzieciach. Nie chcę się okazać beznadziejny dla twoich. Jeśli zrobimy coś z tym naszym fatalnym zauroczeniem. – Uśmiechnął się, kiedy to mówił. – Rozmawiamy o dorosłym życiu dwojga ludzi, którzy się kochają, w całkowitej wolności, w różnych miastach na świecie. Nie mam problemu z tym, żebyś odwiedzała dzieci, kiedy tylko będziesz chciała, tylko nie chcę z nimi mieszkać. Nie znoszę bałaganu i hałasu, kłótni i sprzeczek o to, co mogą, a czego nie, ich niebezpiecznych kolegów i nieodpowiednich partnerów, alkoholu, narkotyków, z którymi one chcą eksperymentować, a ty nie chcesz do tego dopuścić. To koszmar. Nie jestem w stanie znowu przez to przechodzić. Ty jeszcze nie masz o tym pojęcia, jesteś na etapie pieluch, a jednego nie ma nawet na świecie.

– W twoich ustach brzmi to gorzej niż wszystko, przez co do tej pory przeszedłem.

– Wierz mi. Tak jest. Niektórzy ludzie to kochają. Ja po prostu do nich nie należę. Potrzebowałem dużo czasu, żeby to zrozumieć. Ty jesteś w lepszym położeniu. I jesteś szczerą, a to mi się podoba. Nie znoszę ludzi, którzy udają, że są dobrymi rodzicami, a wcale tak nie jest.

To niszczy ich dzieci.

– Ale chyba matka, która je porzuca, też nie wpłynie na nie zbyt pozytywnie – powiedziała ze zmartwioną miną, mając na myśli przede wszystkim Héléne, która będzie doszukiwała się w tym swojej winy. Była takim odpowiedzialnym dzieckiem, chciała każdemu ulżyć, nawet swojej matce.

– Nie, ale zrobi im miejsce dla kogoś innego, kto może lepiej sobie poradzi i będzie je naprawdę kochał. Nie wiem, czy ludzie tacy jak ty czy ja są w stanie szczerze kochać własne dzieci. Nie jesteśmy potworami, ale czegoś nam brakuje. – Kiwnęła głową. Dokładnie tak się czuła i była oszołomiona jego szczerością w tej kwestii. Nie czuła się już gorsza z powodu uczuć, których nie była w stanie z siebie wykrzesać. – Dałem ci dużo do myślenia – powiedział cicho, a ona znów kiwnęła głową.

– To prawda. – Był to najbardziej niesamowity lunch w jej życiu. Richard szybko wyciągał wnioski, ale wiele z nich wydawało się słusznych.

– Kiedy cię mogę znowu zobaczyć? – Nie chciał pozwolić jej odejść. Teraz, gdy ją odnalazł, chciał ją zatrzymać przy sobie.

– Jutro muszę jechać do miasta – powiedziała ostrożnie. Miała rutynowe badania u lekarza.

– Świetnie. Wymyślę jakieś spokojne miejsce na lunch i zadzwonię do ciebie rano. Jeżeli mamy się sobą zmęczyć, lepiej, żebyśmy się przekonali o tym teraz – powiedział, wstając i uśmiechnął się do niej z góry. – Na wypadek gdybyś się zastanawiała – odezwał się łagodnie – zakochałem się w tobie, powinnaś to wiedzieć. Porwałbym cię natychmiast, gdybym tylko mógł. – Delikatnie dotknął jej dłoni. Prawie go nie знаła, ale czuła, że jej miejsce jest przy nim i że ona też jest w nim zakochana. Nie była w stanie przed tym uciec i nie chciała.

Odprowadził ją do samochodu, gdy wyszli z restauracji i stał przy niej przez minutę. Ciągnęło ich do siebie tak bardzo, że brakowało jej tchu. Był najsilniejszym, najbardziej pociągającym, zdecydowanym, podniecającym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Przyglądał się, jak wsiada do samochodu, a potem pochylił się i delikatnie musnął jej wargi swoimi.

– Do zobaczenia jutro – powiedział miękko. – I we wszystkie pozostałe dni naszego życia, mam nadzieję. – Cofnął się i poszedł do swojego ferrari, machając do niej, gdy odjeżdżała. Oboje się uśmiechali, a gdy wróciła do domu, uśmiech nie schodził jej z twarzy. Miała ochotę tańczyć. Włączyła muzykę i myślała o nim. Nie wiedziała, co się wydarzy ani czy coś z tego wyjdzie, ale w tej chwili był to najpiękniejszy dzień jej życia. Czuła się, jakby ktoś ją uratował.

Zgodnie z obietnicą Richard zadzwonił do niej rano, na szczęście już po wyjściu Maksa, który leciał do Albuquerque swoim nowym samolotem, na spotkanie w porze lunchu. Julie czuła się jak wolna kobieta, gdy jechała do Nowego Jorku. Była umówiona u lekarza o trzeciej po południu i umówiła się z Richardem w południe we włoskiej restauracji w Tribeca, gdzie raczej nie spodziewała się spotkać nikogo znajomego, ale właściwie jej to nie obchodziło. Nie robili jeszcze nic niemoralnego ani niedozwolonego, jedli tylko razem lunch. W każdym razie tak sobie mówiła. Miała na sobie szykowną czarną sukienkę i wydawało jej się, że wygląda olśniewająco mimo absurdalnej figury, niedorzecznie niewłaściwej, jak sądziła, na randkę z nowym mężczyzną. Sukienka była krótka i odsłaniała jej nogi, włożyła też szpilki i czarny wełniany szal, a długie blond włosy zostawiła rozpuszczone.

Czekał na nią w restauracji i pocałował ją, gdy tylko weszła, a ona spojrzała na niego z promiennym uśmiechem. Z dnia na dzień stał się jej bezpiecznym niebem, schronieniem przed życiem, które znienawidziła, i przed mężczyzną, którego – jak zaczęło jej się wydawać – już nie kochała. Richard był uosobieniem podniecenia, miłości i nadziei. Był miłą odmianą po obojętnym mężu i trójce dzieci, którym nie potrafiła nic dać.

Przy lunchu rozmawiali o stu różnych sprawach, unikając rozmowy o przyszłości. Najpierw chcieli rozkoszować się terażniejszością, a zasady ustalili dzień wcześniej. Na razie nie musieli wiedzieć nic więcej, jedynie poznawać siebie i to, jak się czują w swojej obecności. Śmiała się przy nim tak, jak nigdy od lat. Nie pamiętała nawet, kiedy jej związek z Maksem był na takim etapie, o ile w ogóle kiedyś był. To było takie dorosłe i dojrzałe, dwoje ludzi, którzy chcieli być ze sobą i wiedzieli dlaczego. Do głosu dochodził pociąg seksualny, mimo jej stanu, a także emocje i pragnienie wypełnienia pustki w życiu. Richard powiedział, że od dawna nie był w nikim zakochany. Dla Julie łączył w sobie cechy przyjaciela i mężczyzny, którego chciała i mogłaby kochać. Był przeciwieństwem Maksa. Przez całe życie cieszył się stabilizacją finansową, a Max uciekał przed biedą, bo gdy dorastał, został tym mocno naznaczony przez obawy rodziców. Wiedziała, że nigdy nie przestanie uciekać i próbować się zabezpieczyć, nawet gdy jego małżeństwo dogorywało na jego oczach albo już umarło.

Richard powiedział jej, że nieopodal w Tribeca ma mieszkanie. Pragnął jej pokazać, ale mówił, że nie chce, by pomyślała, że próbuje ją uwieść na drugiej randce. Miał zamiar okazywać jej szacunek i dać czas na to, żeby wszystko sobie przemyślała. On był wolny, ona nie, i cała sytuacja była dla niej o wiele bardziej skomplikowana. Powiedział, że z mieszkania roztacza się widok na rzekę Hudson, i chciała je zobaczyć, wcale też nie czuła się skrępowana, idąc tam z nim na parę minut przed wizytą u lekarza.

– Obiecuję, że będę grzeczny – powiedział i dodał, że mieszkanie znajduje się dwie przecznice dalej. Poszli do niego pieszo w kwietniowym słońcu, ramię w ramię, a on po drodze bawił ją historyjkami ze swojego dzieciństwa. Nie śmiała się tak od dawna. Miło było z nim przebywać i Julie nie gorszył fakt, że Richard otwarcie podrywa żonę innego mężczyzny. Było jej przy nim dobrze i oboje tego pragnęli. Tak bardzo do siebie pasowali, byli do siebie tacy podobni. Nieustannie odkrywali rzeczy, które ich łączyły, w sztuce, książkach, które im się podobały. Przez lata samotności przy Maksie odkryła sztukę i literaturę. Podobały im się te same miasta w Europie. Obiecał, że kiedyś zabierze ją jachtem do Wenecji. Teraz jacht cumował na południu Francji.

Budynek, w którym mieszkał, był odnowionym magazynem z jednym loftem na każdym

piętrze, w luksusowym industrialnym klimacie, typowym dla Tribeki i okolicy, która stawała się coraz modniejsza, ale nie była jeszcze hitem. Niedaleko znajdował się Meat Packing District i SoHo. Wjechali na najwyższe piętro windą towarową, która otworzyła się bezpośrednio w jego mieszkaniu i Julie stanęła nagle w miejscu, które wyglądało jak galeria sztuki współczesnej, z głębokimi, wygodnymi białymi kanapami, rozstawionymi po pokoju, rzeźbami znanych artystów. Z sufitu zwisało mobile Caldera. Kręte schody prowadziły do sypialni z balkonem, a przez wysokie okna widać było rzekę. Mieszkanie urządził znany projektant, znajdowała się w nim cała ściana rzadkich książek. Kuchnia była z czarnego granitu, w całym mieszkaniu panował chłodny, męski klimat. Było ono eleganckie i wysublimowane jak jego właściciel. W pewnym sensie to mieszkanie go określało. Był to świat, w którym dzieci nie czułyby się dobrze, nie były mile widziane i który nie był miejscem dla nich. Natomiast dla Julie było to miejsce, w którym chciała być, i osoba, z którą pragnęła być.

– Witam w moich skromnych progach – zażartował znowu, gdy wchodzili i rzucił klucze na granitowy blat. Marmur, szkło, chromowane powierzchnie mocno kontrastowały z wygodnymi kanapami, w których każdy zapadał się, gdy tylko usiadł. zaproponował, żeby usiadła, a ona się roześmiała, zanurzając się w kanapie.

– Będziesz potrzebował dźwigu, żeby mnie stąd podnieść – ostrzegła, a on opadł na sofę obok niej i ostrożnie położył dłoń na jej kolanach z pytającym spojrzeniem, żeby się upewnić, czy go powstrzyma, ale nie zrobiła tego i nie chciała zrobić. – Mam przecucie, że pakujemy się w kłopoty – powiedziała, a jej słowa zostały stłumione jego pocałunkiem.

– Nie, jeśli oboje tego chcemy – powiedział, błędząc dłonią poniżej jej brzucha niespokojnymi palcami, które odnalazły drogę, a potem zatrzymał się i spojrzał na nią z czułością i pytaniem w oczach. – Nie chcę zrobić nic, czego ty nie chcesz, Julie. – Ale ona nie chciała, żeby przestał i chwilę później nie byli już w stanie się powstrzymać, on zdjął jej płaszcz i delikatnie ściągnął sukienkę przez głowę. Piersi miała pełne, brzuch duży, a całą resztę zgrabną i drobną. – Jesteś idealnym wzorem kobiecości. – Pocałowali się, ona rozebrała go, a potem leżeli nadzy w objęciach na kanapie. Był bezgranicznie ostrożny, kiedy się z nią kochał i umiejętnie odnajdowali odpowiednie pozycje, a ona nigdy wcześniej nie zaznała takiej rozkoszy. Miała wrażenie, że trwało to godzinami, on długo w niej leżał, a potem znów się z nią kochał. Później spojrzał na nią, zaniepokojony i odsunął się. – Nie chcę, żebyś urodziła u mnie w mieszkaniu. Może powinniśmy na chwilę przystopować. – Zupełnie zapomniała o wizycie u lekarza, która przestała być ważna. Weszli potem na górę do jego sypialni, leżeli w jego łóżku i patrzyli na rzekę, a ona nie chciała stąd wychodzić.

– Chyba można się od ciebie uzależnić – powiedziała ochryplym głosem. Miała wrażenie, że jest to jej miejsce. W końcu wstali i zeszli nadzy na dół, bo inaczej znów zaczęliby się kochać.

Miał olbrzymi prysznic, stali w nim razem w strugach wody i całowali się.

– Jak przeżyję to lato bez ciebie? – spytał, przyglądając się, jak się ubiera. Mówił, że jest umówiony w Europie z przyjaciółmi, którzy przyłączają się do niego na jachcie, ale ją czekał poród i nie było mowy, żeby mogła się z nim wybrać. – Nie chcę tu być, kiedy to się będzie działo – powiedział po prostu. – Nie chcę cię zmuszać. Sama musisz to sobie przemyśleć. – Przy tym wszystkim, co działo się obecnie w jej życiu, czerwiec był najodpowiedniejszym miesiącem na to, żeby wyjechał. Wiedziała, że czekają ją poważne przemyślenia. Nie była to błaha decyzja zostawić męża i czworo dzieci dla mężczyzny, którego ledwie знаła, tylko dlatego, że intuicja podpowiadała jej, iż powinni być razem. Ale on był tego samego zdania. Ona też nie miała wątpliwości co do swoich uczuć. Wszystko wydawało jej się właściwe, jemu też.

Od tej pory przyjeżdżała z Greenwich i spotykali się prawie codziennie w porze lunchu i po południu. Prowadzili sekretne życie, chodzili do galerii, muzeów i do kina, na wystawy, które

chciał jej pokazać. Któregoś wieczoru, kiedy Max był poza domem, wybrali się do teatru, a potem nocowała u Richarda, nie u siebie. Jego mieszkanie zaczynało stawać się dla niej domem. Spędzali razem każdą wolną chwilę w kwietniu i w maju i z każdym mijającym tygodniem zaczynała się niepokoić jego wyjazdem.

– Będzie mi tu strasznie bez ciebie – powiedziała żałośnie.

– Mnie jeszcze gorzej – odparł poważnie. – Będziesz rodzić dziecko innego mężczyzny, może na nowo zakochasz się w Maksie i postanowisz zostać z nim i z dziećmi. – Nie zamierzał namawiać ją do tego, żeby odeszła. Chciał, żeby przyszła do niego z własnej woli.

– To niemożliwe – powiedziała, myśląc o zakochaniu się w Maksie. – Kocham ciebie, Richardzie. Chcę mieć tylko pewność, że postępuję właściwie. – Kiwnął głową i powiedział, że on też tego chce, ale pragnie jeszcze bardziej, żeby z nim została i żyła. Miał mieszkanie w Hongkongu i w Londynie i własny apartament w Ritzu w Paryżu. Wiódł baśniowe życie i chciał je z nią dzielić. – A jeżeli ci się w końcu znudzę?

– To też niemożliwe. Bardziej prawdopodobne, że ty znudzisz się mną. Może kiedyś dojdiesz do wniosku, że jestem za stary. – Był dwadzieścia dziewięć lat od niej starszy, ale nie mogła sobie wyobrazić, że miałaby go nie kochać.

– Ożenisz się ze mną? – Była ciekawa, nie robiła planów.

– Jeżeli tego chcesz. Mnie jest wszystko jedno. Może cztery to moja szczęśliwa liczba. – Uśmiechnął się. Do wszystkiego podchodził swobodnie i chciał ją zadowolić, kochali się codziennie, ale coraz bardziej ostrożnie. Termin porodu miała za cztery tygodnie i nie chciał, żeby dziecko przyszło na świat wcześniej. Nie mógłby się z nią widywać przez jakiś czas po porodzie. Uzgodnili, że kiedy wyjedzie, spotkają się dopiero wtedy, gdy ona podejmie decyzję. Nie chciał wywierać na niej presji. I był gotowy czekać tak długo, jak będzie trzeba. – W granicach rozsądku, rzecz jasna. Nie chcę czekać, aż ono pójdzie na studia. – Wskazał jej brzuch. Już wcześniej powiedział jej, że nie ma ochoty na romans z mężatką. Okoliczności były wyjątkowe dla nich obojga, ale kiedy dziecko przyjdzie na świat, będzie musiała podjąć decyzję. Byłoby nie w porządku wobec wszystkich, gdyby tego nie zrobiła, i zgodziła się z tym. Tego, co połączyło ją z Richardem, nie uważała za romans, to była ich przyszłość, powiedziała mu to. – Mam nadzieję – odparł.

Bała się, że Max będzie przez cały czas w domu, skoro kupił samolot, i że będzie miała mniej okazji do spotkań z Richardem. Ale Max szybko wpadł w dawną rutynę, mimo samolotu. W maju ciągle był w rozjazdach. Zapomniał o swoich obietnicach i jeździł z miasta do miasta, nie wpadając po drodze do domu. Dzwonił do niej, żeby dać znać, gdzie jest i tłumaczył, że znów zmieniły mu się plany, ale ona już nie narzekała. A kiedy wracał do domu, widział ją spokojną i szczęśliwą i myślał, że oswoiła się z dzieckiem i cieszy się wizją nadchodzącego macierzyństwa. Z ulgą widział ją w tak dobrym humorze. Była nawet miła dla niego, ale w czasie tej ciąży ani razu się nie kochali. Nie chciała uprawiać seksu z dwoma mężczyznami. Jej ciało należało teraz do Richarda, a macica do męża. To była jedyna jej część, która nadal należała do Maksa, ale niedługo miało się to zmienić. Richard nieustannie zachwycał się jej ciałem, po którym nie było widać czterech cięż, ciałem jak u młodej dziewczyny.

Choć Richard nie był ojcem dziecka, martwił się o nią.

– Robi się strasznie duży, nie sądzisz? Co mówi lekarz? – Uśmiechnęła się, słysząc jego troskę.

– Że dziecko jest duże. Inne też takie były, ale nie aż tak, jak on. Pewnie dlatego, że to chłopiec. – Zauważył, jak bardzo urósł jej brzuch przez ten czas, kiedy byli ze sobą. – Zadzwoń do mnie po wszystkim, dobrze? Żebym wiedział, że wszystko w porządku? Bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję?

– Oczywiście. – Potwornie się bała jego nieobecności, podobnie jak on. Ale nie było innej rady, musieli to jakoś przeżyć. Dostawałaby szału, gdyby wiedziała, że jest blisko, ale nie może się z nim zobaczyć.

Przed jego wyjazdem w „New Yorkerze” ukazał się artykuł na jego temat, znalazła gazetę na swoim biurku, gdy Max był w domu. Przez chwilę przeraziła się, gdy jej ją podał i zastanawiała się gorączkowo, czy ją śledził.

– Nie wiem, czy go pamiętasz, ale to ten facet, który siedział obok ciebie na kolacji w Gracie Mansion. Interesujący człowiek.

– Pamiętam go – powiedziała cicho, odetchnęła i powiedziała o tym później Richardowi. Roześmiali się.

– Biedak, nie spodziewa się ciosu, który niedługo otrzyma. W każdym razie, mam nadzieję, że to będzie cios. Zasłużył sobie, zaniedbując cię bezwstydnie, ale pewnie długo nie przyzna się do tego sam wobec siebie. Większość mężczyzn ma z tym problem. Ja też się tak zachowywałem, gdy mnie to dotyczyło. Najbardziej oberwie jego ego. – Przypuszczała, że to prawda. Wydawało mu się, że Julie jest jego własnością i ułożył ich życie tak, jak odpowiadało to jemu, wmawiając sobie, że odpowiada także jej.

W końcu nadszedł czerwiec i Richardowi i Julie zostało tylko kilka wspólnych dni. Oboje czuli się z tego powodu zrozpaczeni. Ona przyjeżdżała do miasta codziennie i była już ociężała, rzadko więc wychodzili, jedynie czasem na lunch. Zwykle pozostawali w domu, potem ona wracała do Greenwich, wpadając po drodze do matki, a potem do dzieci. Męczyły ją, były zbyt żywiołowe i zbyt hałaśliwe.

Na szczęście Maksa nie było w domu w noc przed wyjazdem Richarda do Francji, mogła więc spędzić ją z nim. Leżeli w łóżku tak długo, jak mogli, całowali się bez przerwy, a potem pojechała z nim na lotnisko, żeby mogli być razem do ostatniej chwili. Przytulił ją mocno przy bramce, zamknął oczy i czuł tylko ją i miłość do niej. Żadne z nich nie przejmowało się tym, że ktoś ich zobaczy.

– Wróc do mnie – wyszeptał. – Nie zostawiaj mnie, Julie. – Rozumiała go.

– Nie zostawię. Kocham cię. Uważaj na siebie. Ja też się martwię. Uważaj na jachcie. – Uśmiechnął się.

– To nie jest byle jaka łajba, wierz mi. – Roześmiała się. Widziała zdjęcia w mieszkaniu. Był to sześciometrowy jacht z osiemnastoosobową załogą.

– Ale można sobie coś zrobić albo wypaść.

– Postaram się uważać. A ty się oszczędzaj. Nie wysilaj się. Odpoczywaj. – Do operacji zostały jej dwa tygodnie, wyznaczono ją na tydzień przed terminem porodu. – I nie zapomnij o tym, jak bardzo cię kocham. – Musiał ją zostawić, żeby zdążyć na samolot. Pocałował ją po raz ostatni i poszedł do samolotu, a ona pomachała mu i stała jeszcze przez kilka minut. Patrzyła, jak samolot kołuje i startuje, a potem pojechała do Greenwich i zaskoczona zastała Maksa w kuchni.

– Gdzie byłeś? Przyjechałem rano i wpadłem do domu, zamiast pojechać prosto do biura. – Nie było go przez tydzień i gdyby nadal jej na nim zależało, byłaby wściekła. Od dwóch miesięcy przebywał ciągle poza domem, co odpowiadało jej i Richardowi.

– Miałam standardowe badania u lekarza. Teraz, przy końcu, sprawdzają wszystko, co się da – powiedziała beztrąsko.

– Już niedługo – stwierdził, promieniejąc i zaborczym gestem położył dłoń na jej brzuchu, a ona się skrzywiła. – Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć.

– Ja też – powiedziała i poszła się położyć. Chciała mieć trochę czasu dla siebie, żeby pomyśleć o Richardzie. Czekano ją podjęcie ważnej decyzji. Miało go nie być przez dwa miesiące, ale zamierzała poinformować Maksa o swojej decyzji o wiele wcześniej. Przede

wszystkim jednak chciała tylko urodzić i spróbować pomyśleć o wszystkim trzeźwo.

Max przyszedł wziąć prysznic i się przebrać i pojechał z powrotem do miasta na kolację biznesową. Powiedział, że wróci późno i że może zostanie w mieście i prześpi się w mieszkaniu. Nie zareagowała.

– Wszystko w porządku? Jesteś bardzo milcząca.

Ostatnio była taka szczęśliwa, a teraz nagle oprzytomniała.

– Tylko myślę.

– Boisz się porodu?

– Jeszcze nie. Ale będę się bała. Na szczęście to cesarskie cięcie. Dziecko jest wielkie. –

Max też to zauważył.

– Jak twoja mama? – spytał ostrożnie.

– Bez zmian. Trzyma się. Podają jej silne leki przeciwbólowe. Tak jest lepiej. Dzięki, że pytasz. – Byli dla siebie obcy, choć mieszkali pod jednym dachem i oczekiwali wspólnego dziecka. Zastanawiała się, czy tym razem uda mu się być przy porodzie. Przez chwilę żałowała, że nie jest to dziecko Richarda. Ale tak jak powiedział, nie nadawali się do tego i on dzieci nie chciał.

Spędziła spokojny wieczór po wyjściu Maksa. Przez chwilę widziała się z dziećmi. Hélène za pozwoleniem niań przysłała do niej do pokoju. Powiedziała coś o tym, że chce zostać matką chrzestną małego, bo się o niego modliła.

– O co się modliłaś? – spytała Julie.

– No, wiesz, o dobre rzeczy, prosiłam Pana Boga, żeby się nim zaopiekował, zanim się nie urodzi, i wtedy my się nim zaopiekujemy.

Julie pomyślała, że to słodkie i podziękowała jej.

– Ale nie możesz być chrzestną, bo tata jest Żydem, a u nich nie ma chrzcina. – Hélène wyglądała na rozczarowaną.

– Dlaczego nie chodzimy do kościoła ani do synagogi?

– Bo tata nie chodzi do synagogi, a ja nie chodzę już do kościoła, a przynajmniej nie często.

– Może kiedyś zostanę Żydówką, jak Opa i Mama Emm. Powiedziała, że to ważne, żeby pamiętać, co się wydarzyło w czasie wojny, żeby ludzie nie zapomnieli o tym, że są Żydami. Chyba chciałabym być Żydówką. – Julie wydało się to dziwne, ale najstarsza córka była bardzo wrażliwym dzieckiem i poważnie podchodziła do wielu spraw, była też mocno związana z dziadkami. Julie poczuła się winna, że od czasu do czasu nie chodzi z dziećmi do kościoła, ale była to po prostu jedna z wielu rzeczy, których z nimi nie robiła. Tyle ich było... Zresztą Max zawsze twierdził, że to im zamąci w głowach.

Max został na noc w mieście, a Julie położyła się wcześniej. O szóstej rano obudził ją telefon. Myślała, że to Richard dzwoni z Paryża. Miał spędzić kilka dni w Ritzu, zanim uda się na południe do Monako. Ale to nie był on. Dzwoniła pielęgniarka jej mamy, że zmarła spokojnie kilka minut wcześniej. Nie było żadnych oznak ani czasu, żeby wezwać Julie, ale ona już wcześniej wiele razy pożegnała się z matką. Wszyscy byli na to przygotowani. Pielęgniarka powiedziała, że zadzwoniła też do jej sióstr. Julie także się z nimi skontaktowała, obie przylatywały po południu. Już wcześniej podjęły wszystkie decyzje związane z pogrzebem, wiedziały, jakie są życzenia matki. Miały czas z nią to omówić, kiedy była jeszcze świadoma. Powiedziała im nawet, jaką chce muzykę. Julie była smutna, ale to zbliżało się od tak dawna, że była z tym pogodzona. Zadzwoniła do Maksa, a on powiedział, że jej współczuje. Żadne z nich nie miało już rodziców. W pewnym sensie Julie cieszyła się, że nie będzie musiała mierzyć się z niczyją reakcją, poza Maksem, jeżeli zostawi go dla Richarda. Opinie rodziców byłyby

dodatkowym ciężarem.

Pojechała do domu matki parę chwil później, zakład pogrzebowy zdążył już zabrać jej ciało. Nekrolog został napisany wcześniej, wysłała go messengerem do „Timesa” i do lokalnych gazet. Zadzwoiła do kwaciarni i zajęła się całą resztą. Matka chciała mieć białe lilie. Kiedy siostry przyleciały późnym popołudniem z Kalifornii, wszystko było już załatwione. Przyleciały razem.

– O mój Boże, jesteś ogromna! – zauważyła starsza, a młodsza zawtórowała jej. Julie uświadomiła sobie, że one też będą miały własne zdanie na temat tego, co robi. Ale ich opinie się dla niej nie liczyły. To było jej życie, z wiecznie nieobecny mężem i czwórka dzieci, z którymi nie potrafiła i nie chciała dać sobie rady. Obie jej siostry miały po dwoje dzieci, więcej nie chciały, ale ich pociechy były jeszcze tak małe, że nie zabrały ich ze sobą. Julie powiedziała tego ranka Hélène i Kendrze, że babcia poszła do nieba, do dziadka.

– Spotkają się z Opa i Mamą Emm? – spytała ją Hélène. Ostatnio zadawała trudne pytania związane z religią. – Czy będą w innej części nieba dlatego, że są Żydami?

– Nie wiem – odparła Julie. – Chyba musisz spytać tatę. – Nie miała pojęcia, co jej powiedzieć.

Pogrzeb matki przebiegł gładko, a Richard przysłał Julie do domu olbrzymi bukiet białych orchidei z liścikiem składającym się z dwóch słów: „Kocham, Richard”, który schowała do kieszeni, gdy doręczono kwiaty. Pogrzeb był taki, jakiego chciała matka. Siostry nocowały w Jabłoniowych Sadach, rozmawiały o tym, żeby wystawić dom rodziców na sprzedaż, bo żadna z nich go nie chciała, poza tym mieszkały daleko, a Julie go nie potrzebowała. Wszystko przypadło im trzem, w równych częściach, miało się więc na szczęście obyć bez kłótni przy podziale. I każda dostała mnóstwo rzeczy – pieniądze, antyki, biżuterię, dzieła sztuki.

Przejrzały meble matki, biżuterię i inne rzeczy, żeby określić, na co która ma ochotę i zgodnie je podzielić. Wszystkie trzy były bogate od chwili śmierci ojca.

Wyjeżdżając do Kalifornii, życzyły Julie powodzenia i poprosiły, żeby zadzwoniła do nich, gdy urodzi.

Richard dzwonił kilka razy z Francji. Był już na jachcie i komunikacja przez telefon satelitarny była utrudniona, ale powiedział, że będzie dzwonił z każdego portu, bo tak jest łatwiej. On też chciał, żeby się do niego odezwała, gdy urodzi. Martwił się o nią.

– Poproszę Maksa, żeby do ciebie zadzwonił – droczyła się.

– To nie jest zabawne.

– Przepraszam. Mogę nie być w stanie przez dobę po zabiegu.

– Chciałbym, żeby ktoś mógł do mnie zadzwonić. – Ale oboje wiedzieli, że to niemożliwe, a ona nie chciała nic mówić swoim wścibskim siostram, które musiały wszystko wiedzieć, a potem wydawały sądy na temat jej postępowania. Poza tym nadal nie była do końca pewna swojej decyzji. Wiedziała, że bezgranicznie kocha Richarda, ale nie wiedziała, jak powinna się zachować wobec dzieci. Usiłowała ocenić, czy ma wobec nich zobowiązania na całe życie, nawet jeżeli nie czuje się z nimi związana. Może to tylko jej problem, nie ich, i nie ma prawa obarczać ich nim, odchodząc? Wiedziała, że utrata matki głęboko je dotknie. Jak się można czuć, gdy jest się porzuconym przez własną matkę? Julie nie wiedziała. Myślała o tym codziennie i miała nadzieję, że odpowiedź stanie się jasna. Ale nie chciała poświęcić Richarda dla dzieci. To byłoby zbyt wielkie wyrzeczenie. Wydawało jej się, że łatwiej by jej było zostawić je dla niego.

Max zrobił to, czego się spodziewała, na dwa dni przed porodem. Oznajmił, że ma ważne spotkanie w Houston, potem w Phoenix, i jeszcze jedno w Albuquerque, na którym nie może go zabraknąć, ale obiecał, że nie będzie go tylko dwa dni i wróci na czas na zaplanowaną

następnego dnia operację. Ryzykował, jak zawsze.

– I tak jest ustalona przed terminem, a więc dziecko nie urodzi się wcześniej.

– Próbujesz przekonać mnie czy siebie? – spytała go chłodno. – Mam ci przypomnieć, że Daisy urodziła się dwa tygodnie wcześniej i że zaczęłam rodzić przed zaplanowaną operacją? Czy może powinniśmy pozostać w świecie fantazji, żebyś czuł się w porządku z tym, że wyjeżdżasz tuż przed porodem?

– Ostatnim razem zdążyłem, tym razem też na pewno zdążę – powiedział z uporem. – Teraz mam własny samolot.

– Zdążyłeś w ostatniej chwili – przypomniła, a on na chwilę się speszył, ale pocałował ją w czoło i wyszedł. Nie całował jej od miesiący i wcale jej tego nie brakowało. Nie czuła już do niego tego, co kiedyś. I tak by nic nie czuła, ale pomógł jej w tym Richard.

Tym razem nie chodziła na aerobik ani nie pływała w basenie przez kilka dni przed zabiegiem. Nie chciała robić nic, czego nie powinna. Ale dwa dni przed zaplanowaną operacją była pełnia i wody odeszły jej o północy, a chwilę później zaczęła rodzić. Dziecku spieszyło się na świat. Poprosiła Barbarę, jedną z niań, żeby zawiozła ją do miasta, a że nie było ruchu, szybko dotarły na miejsce. Bóle powtarzały się co dwie minuty, gdy znalazły się w szpitalu. Wiedziała już, z czym ma do czynienia, nie było więc niespodzianek. Musiała po prostu zacisnąć zęby i wytrzymać, aż znajdą się w szpitalu, a ponieważ miała mieć cesarskie cięcie, na pewno podadzą jej epidural albo ogólne znieczulenie, które byłoby nawet lepsze. Tym razem nie zadzwoniła do Maksa. Wszystko działo się za szybko i wiedziała, że nie zdąży przylecieć z Houston czy z Albuquerque. Znała wszystkie objawy, kazała Barbarze biec po pielęgniarkę, gdy tylko dotarły do szpitala, a ta wezwała lekarza.

– Jestem gotowa przeć – powiedziała pielęgniarcie przez zaciśnięte zęby, starając się powstrzymać. Daisy urodziła się jeszcze szybciej, ale ten poród, na szczęście, przebiegał nieco wolniej.

– Pani ma chyba wyznaczone cięcie? – zapytała pielęgniarka. Wiele położnych już ją znało. Czuła się jak krowa wyrzucająca z siebie cielęta.

– Najwyraźniej nikt nie powiedział o tym mojemu synowi. – Julie ścisnęła poręczkę wózka i marzyła, żeby był przy niej Richard, nie Max. On zapanowałby nad sytuacją w ciągu paru minut.

– Mamy przygotowaną dla pani salę porodową – oznajmiła pielęgniarka.

Pomogli jej przenieść się na łóżko szpitalne i pognali z nią na salę operacyjną, gdzie lekarzowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że ma pełne rozwarcie, a dziecko jest ogromne. Pielęgniarka podpięła do jej brzucha monitor, a wtedy zobaczyli, że serce dziecka zatrzymuje się na czas skurczu, później znów zaczyna bić, i przy kolejnym znów gwałtownie się zatrzymuje.

– Wchodzimy – powiedział lekarz do anestezjologa, który stał za Julie i założył jej maskę na twarz. – Chyba mamy problem z pępowiną – zwrócił się do personelu, ale Julie była już ogłuszona i kilka sekund później leżała nieświadoma, kiedy rozcinali ją najszybciej, jak mogli i parę sekund później wyciągnęli dziecko. Twarz miało bardzo siną i na sali nie rozległ się żaden odgłos, gdy lekarz je masował, a pielęgniarka szybko rozplątała pępowinę, która owinęła mu się wokół szyi i zaciskała przy każdym skurczu. Jeszcze kilka i by się udusiło. Kiedy rozluźniła ostatnią pętlę, dziecko wydało z siebie głośny płacz i wszyscy na sali odetchnęli z ulgą, a lekarz uśmiechnął się. – Udało się. Ile razy?

– Sześć razy wokół szyi – odpowiedziała pielęgniarka. Dziecko cały czas krzyczało, a jego twarz z sinej zrobiła się jasnoczerwona. Jego matka nigdy się nie dowie, jak niewiele brakowało, żeby je straciła. Zważyli chłopca, miał pięć kilo sto.

– Wielki chłopak – powiedział lekarz, zszywając Julie. – To jej czwarte. Wróci za rok albo dwa – stwierdził z przekonaniem. – Uwielbiamy powracających klientów – dodał i wszyscy się roześmiali. Dopisywały im humory, bo dziecku nic nie groziło. Pediatra położył je w inkubatorze, jak wszystkie duże dzieci. Zawieźli chłopca na oddział noworodków, żeby go umyć, ubrać i zbadać. Umyli Julie i pół godziny później zawieźli na oddział. Trzęsła się mocno po porodzie, gdy się obudziła i zwymiotowała po narkozie, a pielęgniarka podała jej zastrzyk z demerolu, żeby złagodzić ból po zabiegu. Julie czuła się jak żołnierz, którego wysłano do walki zbyt wiele razy.

– O Boże, strasznie się czuję – powiedziała, nie wiadomo do kogo.

– Nie dziwię się. Zastrzyk za chwilę zacznie działać – uspokoiła ją pielęgniarka. A kiedy zadziałał, znów zasnęła. Gdy się obudziła, powiedzieli jej o pępowninie na szyi dziecka i że miała szczęście, że była w szpitalu i szybko udało im się je wydobyć, a ona leżała i zastanawiała się, jakby się czuła, gdyby coś mu się stało. Pewnie strasznie. I czułaby się winna. Ale nic mu nie było.

– Chce pani wziąć na ręce swojego wielkiego syna? – spytała pielęgniarka, a ona pokręciła głową.

– Nie, za bardzo mnie wszystko boli.

– Gdzie tatuś? Na dole w pani pokoju?

– Nie, w Chicago albo w Houston, albo gdzie indziej, nie pamiętam. Kiedyś wróci. – Pielęgniarka nie odezwała się, a Julie znów zasnęła i obudziła się w prywatnym pokoju. Przypomniała sobie, że w torebce, którą podała jej pielęgniarka, ma numer Richarda. Chciała z nim porozmawiać. Obiecała mu, że zadzwoni. Usiłowała się skupić na cyfrach, ale nie mogła się połączyć. Operator powiedział, że z telefonów w pokojach nie można wybierać połączeń międzynarodowych, nie mogła więc z nim rozmawiać. Zadzwoniła za to do Maksa. Odebrał natychmiast.

– Coś się dzieje? – Słysząc było, że jest przejęty i pełen nadziei.

– Urodziłam parę godzin temu. Pięć kilo sto. Był sześć razy owinięty pępowniną wokół szyi, ale wszystko w porządku. Simon Jakob Stein czeka, żeby cię poznać. – Starła się mieć szczęśliwy ton, ale nie mogła, bo nie była szczęśliwa. Nie kochała jego ojca, a biedne niewinne dziecko było tylko kolejną pętlą na jej własnej szyi.

– Będę w domu za parę godzin, skarbie, jesteś fantastyczna i kocham cię.

– Ja ciebie też – powiedziała i rozłączyła się, bo morze łez zaczęło jej płynąć po policzkach. Znów czuła się tak, jakby znalazła się w więzieniu.

Max wszedł do szpitala, jakby był jego królem, a żona właśnie urodziła Jezusa Chrystusa. Wszedł do pokoju Julie, zastał ją śpiącą, poszedł więc prosto na oddział noworodków zobaczyć dziecko. Pielęgniarka podniosła je, a Max pokazał, że chce je zabrać do pokoju. Obudził Julie. Pielęgniarka chciała podać jej dziecko, ale ona nie była w stanie usiąść. Potwornie cierpiała po zabiegu, więc na ręce wziął je Max.

– Wygląda jak mały zawodnik sumo – powiedziała, leżąc, a Max wyglądał tak, jakby pękał ze szczęścia, łzy radości spływały mu po policzkach.

– Szkoda, że moi rodzice nie mogą go zobaczyć. Tata tak bardzo pragnął wnuka. Ale dziewczynki też kochał. – Usiadł z synem na krześle, a Simon rozejrzał się i wydawał się zadowolony, znów zasnął na rękach u ojca, a Julie wpatrywała się w niego, usiłując dociec, jak dziecko takich rozmiarów mogło się w niej zmieścić i cieszyła się, że nie musiała urodzić go naturalnie. Był największym noworodkiem, jakiego widziała, w tej chwili największym na oddziale.

Max odłożył go ostrożnie do łóżeczka, tak żeby go nie obudzić. Wyjął z kieszeni małe kwadratowe pudełko i pomógł jej je otworzyć. Nadal oszołomiona z bólu i od leków wpatrywała się w ogromny szmaragdowy pierścionek, który wsunął jej na palec.

– Nie zasługuję na niego – powiedziała z poczuciem winy.

– Oczywiście, że zasługujesz. – Pocałował ją.

Odwróciła się od niego i zamknęła oczy. Myślała tylko o Richardzie.

Wypisali ich do domu cztery dni później. Nadal ledwie mogła chodzić i nie była w stanie się wyprostować, ale chciała wrócić do własnego łóżka i nie mogła się doczekać, żeby porozmawiać z Richardem. Nie miała z nim kontaktu od pięciu dni.

Nianie pomogły jej się rozebrać i położyć. Wydawało jej się, że rana jest tym razem większa. Max zabrał Simona, żeby pokazać go siostrze. Cieszyły się, że go widzą, a Hélène skakała nad nim jak mała matka. Miała cały instynkt macierzyński, którego brakowało jej matce. Ale Julie za bardzo cierpiała, żeby zajmować się dzieckiem, a mały sporo płakał. Był głodny i co dwie godziny wypijał porcję mleka.

Tego popołudnia Max zabrał dziewczynki na lody, a Julie zadzwoniła do Richarda na jacht. Wzięła wcześniej silną tabletkę przeciwbólową, ale była na tyle przytomna, żeby z nim porozmawiać. Długo nie podchodził do telefonu, jadł na pokładzie kolację z przyjaciółmi, ale pospieszył się, kiedy mu powiedzieli, że to ona czeka na linii.

– Julie? Wszystko w porządku? – Głos miał niespokojny.

– Nie, czuję się beznadziejnie i tęsknię za tobą. Urodziłam. Chciałam ci tylko powiedzieć, że wszystko dobrze.

– Och, kochanie, przykro mi. Wszystko poszło jak należy? – Słysząc było, że jest skonana, ale miała to już za sobą.

– Pięć kilo sto.

– Tak myślałem. Mój syn tyle ważył. Chyba dlatego żona się ze mną rozwiodła, poza tym że byłem beznadziejnym mężem i ojcem – powiedział, a ona jęknęła.

– Nie rozśmieszaj mnie! Rana mnie boli. Bardzo za tobą tęsknię.

– Ja też. Odpoczywaj i wracaj do siebie, i odezwijsz się do mnie, jak nie będziesz nafaszerowana lekami przeciwbólowymi.

– Kocham cię – powiedziała słabo.

– Ja ciebie też. Dzwon, kiedy tylko będziesz chciała. Cieszę się, że wszystko w porządku. Za parę dni poczujesz się lepiej. – Rozpłakała się, gdy to powiedział, targały nią rozmaite emocje, z powodu hormonów, tabletek przeciwbólowych i pozostałości narkozy. Słyszał to i wiedział, jak to jest. – Już dobrze, skarbie, niedługo wydobrzejesz. Już po wszystkim. Teraz możesz zacząć żyć własnym życiem, mam nadzieję, że ze mną – powiedział, a ona uśmiechnęła się przez łzy.

– Dziękuję.

– Prześpij się.

Wrócił na kolację, ale nie mógł powiedzieć ludziom, z którymi siedział przy stole, że właśnie zadzwoniła kobieta, którą kocha, która urodziła dziecko swojemu mężowi, a on ma nadzieję, że dla niego porzuci i męża, i dzieci. To by było zbyt podłe, ubrać to w słowa, w każdym razie tak mu się wydawało. I nieco dekadencie.

W Greenwich Julie leżała w łóżku i płakała, nie bardzo wiedząc dlaczego. Wiedziała tylko, że kocha Richarda i nie miała pojęcia, co zrobić. Max tak się cieszył z dziecka, że nie chciała mu tego psuć. Wszystko było takie skomplikowane, Hélène ciągle do niej zaglądała i przynosiła smakołyki. Martwiła się o wszystkich, o matkę, ojca, dziecko, a najważniejszy był dla niej Simon, bo była przekonana, że nie został zabity dzięki jej modlitwom i cieszyła się, że tego nie zrobili. Przytulała go, patrzyła na niego i całowała go. Teraz był też jej dzieckiem.

Po wyjściu Julie ze szpitala Max spędził w domu tydzień i sprowadził mohela, żeby dokonał obrzezania w obecności rabin. Hélène długo rozmawiała z rabinem, który stwierdził później, że jest bardzo bystrą dziewczynką, mocno zainteresowaną judaizmem i powiedział Maksowi, że powinien zapisać ją na lekcje hebrajskiego, żeby przygotować ją na bat micwę. Max kiwnął głową, podziękował mu i wręczył czek jemu i mohelowi. Nie zamierzał posyłać córek na hebrajski tylko dlatego, że obrzekał syna. Max, podobnie jak jego rodzice, angażował się w religię jedynie na poziomie kulturalnym, minimalnym, nie była to głęboka wiara, a jeżeli Hélène czuła pociąg do religii, będzie mogła pójść za tym głosem później, nie w wieku dziewięciu lat. On uważał siebie za Żyda jedynie z nazwy. Był z tego dumny i szanował, przez co przeszli jego rodzice, ale synagoga i nabożeństwa nie interesowały go. Nie wiedział, w co – jeśli w cokolwiek – wierzy.

Zaglądał do Julie kilka razy, ale spała. Zauważył, że tym razem czuje się chyba gorzej. Bardzo cierpiała i brała silne leki. Pięć dni później dołączyła do tego depresja, cały czas płakała. Następnego dnia wyjechał w dwutygodniową podróż i nie chciał się do tego przyznać, ale zrobił to z ulgą. Dziecko było śliczne, lecz nie miał teraz siły na całe to zamieszanie, nianie, Julie i córki. Usiadł na swoim miejscu w samolocie i cieszył się, że wszystko zostawił za sobą i znów wraca do interesów, do świata, w którym się czuje najlepiej.

Dla Julie najgorsze dopiero się zaczynało. Cały czas była przygnębiona. Dzieci przychodziły do niej do sypialni i tylko ją złościły. Kendra skakała po łóżku, a Daisy chciała, żeby matka ją przytulała i płakała za każdym razem, kiedy Julie nie mogła tego zrobić. Simon ciągle miał kolkę, stale był głodny i bez przerwy płakał, słysząc go było w całym domu, a Hélène wyglądała na smutną i zmartwioną po wyjeździe ojca. Nianie zabierały dzieci z jej pokoju najszybciej, jak mogły, ale dla Julie zawsze działało się to za późno. Dzieci ciągle coś psuły, bałaganiły albo brały rzeczy, których brać nie powinny, a Hélène ociągała się z niespokojną miną.

Julie ciągle była obolała, leżała więc w łóżku i czuła się uwięziona w pokoju, zamknięta z nianiami i dziećmi. Max od czterech dni nie raczył zadzwonić, potem tłumaczył się, że to z powodu różnicy czasu, ale ona wiedziała, że to bzdura. Miała wrażenie, że jej życie zawsze będzie nieustającą karuzelą dzieci, nian i męża, którego wiecznie nie ma. Czuła się przytłoczona,

jakby ktoś ją topił, ale porzucenie ich wydawało się jej czymś egoistycznym i okrutnym. Zaś pozostanie w domu – torturą dla niej. Kiedy Richard zadzwonił, powiedziała mu, że stara się postąpić właściwie, zastanawia się i chce być w porządku wobec dzieci i że być może rola matki oznacza, że powinna się poświęcić dla ich dobra.

– Nikomu w niczym nie pomożesz w takim stanie, w jakim jesteś – powiedział rozsądnie.
– Będiesz na nie zła z powodu wszystkiego, z czego dla nich zrezygnowałaś. Ale musisz poczekać, aż hormony się uspokoją. W tej chwili nie myślisz trzeźwo. Propozycja jest nadal aktualna i będzie ważna jeszcze długo. Porozmawiamy, jak czujesz się lepiej. Chyba powinnaś wyjść z domu.

– Czuję się jak w więzieniu – powiedziała, szlochając, a on słuchał i dziękował Bogu, że skończył z dziećmi. Zapomniał, ile emocji się z tym wiązało i jakie to nieprzyjemne.

Poczuła się jeszcze gorzej, kiedy Max wrócił do domu i krzywiła się za każdym razem, gdy do niej podchodził. Widziała, jak się cieszy z dziecka, ale nic nie czuła do niego ani do syna. Miała wrażenie, że brakuje jej jakiegoś fragmentu, od zawsze go brakowało. Była w rozsypce z powodu nadmiaru emocji i za każdym razem, gdy ktoś krzyczał: „mamo” i biegł do niej przez korytarz, krzywiła się i miała ochotę zamknąć się na klucz. Coś z nią było nie w porządku, wiedziała o tym.

Wstała i ubrała się, gdy Max wrócił. Nie była jeszcze w stanie prowadzić samochodu, wozili ją więc ludzie z obsługi domu, z którego chciała uciekać pod byle pretekstem, żeby choć na chwilę wyrwać się od wszystkiego. Przestała dzwonić do Richarda, przez co czuła się jeszcze gorzej, ale chciała spróbować poczuć coś do Maksa i dzieci, o ile miała w sobie jeszcze jakieś uczucia, ale, niestety, zamiast uczuć poczuła w sobie wielką próżnię. Wszyscy zachwycali się dzieckiem, ale za każdym razem, kiedy chciała je wziąć na ręce, wymiotował na nią i oboje śmierdzeli.

Nie cieszył jej żaden aspekt macierzyństwa poza zjawiskowym pierścionkiem, który podarował jej Max, gdy urodziła Simona, ale czuła się winna, nosząc go. Kochała innego mężczyznę. Nie mogła przyjąć od Maksa pięknego klejnotu tylko dlatego, że urodziła mu dziecko. Wiedziała też, że Maks zachował po matce pierścionek z wielkim brylantem, żeby niedługo go jej podarować, ale tego też nie chciała. Nie chciała niczego, tylko tego, żeby zostawiono ją w spokoju. Większość czasu spędzała w swoim pokoju, płacząc za każdym razem, gdy mówiła sobie, że to jest jej życie i że powinna zostać z Maksem i dziećmi. Skutek był taki, że znowu chciała uciekać.

– Jak się czujesz? – spytał Max któregoś wieczoru, gdy się położyli. Widział, że jest przybita, że od powrotu ze szpitala męczy ją przygnębienie, ale nie wiedział, z jakiego powodu.

– Nie wiem. To wszystko jest takie przytłaczające. Mamy teraz tyle dzieci, wymagają takiej uwagi. – Dwoje było w pieluchach i ciągle płakało, a dwoje bez przerwy gadało, jej uwagi domagały się też nianie. Miała wrażenie, że to wszystko wysysa z niej krew.

– Cóż, nie możemy ich odesłać tam, skąd przyszły – skwitował Max. – Przyzwyczaisz się. – Spojrzał na nią i przypomniał sobie słowa matki, która powiedziała, że Julie nie wygląda na dziewczynę, która nadaje się do tego, żeby mieć dużo dzieci ani nawet na poważną żonę dla niego, i po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, czy aby nie ożenił się z niewłaściwą kobietą.

Przypomniał sobie, jaką siłę dawali sobie nawzajem jego rodzice, jacy byli mądrzy, jak wierzyli w swoje możliwości, jak się zachęcali, wspierali. Dodawali sobie otuchy nawet w obozie śmierci, a Julie nie była w stanie dać sobie rady z czwórką dzieci przy pomocy czterech niań. Topiła się w łyżce wody, jak powiedziałyby jego matka. Potrzebował kobiety z jajami, takiej jak jego matka, ale tak się zakochał w Julie, gdy ją poznał, że nie chciał o tym wiedzieć. Julie była kobietą, z którą można się było zabawić, ozdoba, ale dokładnie tak, jak powiedziała jego matka,

nie nadawała się na matkę wielu dzieci ani na to, żeby trwać przy mężczyźnie, który buduje dla niej imperium finansowe. Po raz pierwszy, leżąc obok niej, poczuł zniechęcenie. Było to potworne uczucie, odwrócił się, żeby nie zauważyła łez w jego oczach. Po drugiej stronie łóżka ona też płakała i wiedział o tym, ale nie chciał nawet wyciągnąć ręki, żeby ją pocieszyć. Zostało im dla siebie niewiele współczucia. Byli dwojgiem zupełnie odmiennych ludzi, mieszkających pod jednym dachem, dwoma fragmentami puzzli, które już do siebie nie pasują i nigdy nie pasowały.

Odwrócił się do niej na chwilę.

– Zapomniałem ci powiedzieć. Rano wyjeżdżam do Seattle. Jest tam parę świetnych okazji, a potem mam spotkania w południowej Kalifornii.

Nie odzywała się przez chwilę, aż w końcu kiwnęła głową.

– Udanego wyjazdu. – Nie wiedział, czy mówi to ironicznie, czy szczerze i nie był pewien, czy jeszcze go to obchodzi. Trudno było mu to przyznać, ale już nic do niej nie czuł.

Sześć tygodni po jego wyjeździe, miesiąc po tym, jak urodziło się dziecko, Richard zadzwonił z jachtu. Byli w doku w Monte Carlo, właśnie przyплыли z Sardynii, i miał poważny głos przez telefon.

– Dłużej tego nie wytrzymam, Julie. Wiem, mówiłem, żebyś się nie spieszyła, ale zwariuję. Tęsknię za tobą. Nie chcę wywierać presji, ale muszę się z tobą zobaczyć. Lecę dziś z Nicei do Nowego Jorku. Będę około północy i chcę się z tobą jutro spotkać. Chcę cię po prostu dotknąć, objąć i spojrzeć ci w oczy. – Czuła się tak samo, ale nie wiedziała, czy spotkanie z nim to rzecz właściwa. Ciągle jeszcze nie podjęła decyzji i z każdym dniem czuła się z tym coraz gorzej.

– Jestem w rozsypce – powiedziała z wahaniem. Wyglądała blado, nie zgubiła jeszcze do końca ciążowego brzucha i była w depresji.

– Nieważne, czy jesteś w rozsypce. Kocham cię. Nie widziałem cię sześć tygodni. Spotkaj się ze mną na godzinę czy dwie, a potem zostawię cię w spokoju, dopóki sobie wszystkiego nie poukładasz. Jesteś dla mnie jak powietrze, potrzebuję cię do życia.

– Ja ciebie też – powiedziała ze smutkiem. Maksa i dzieci nie potrzebowała, ale oni potrzebowali jej. – Przylatujesz tylko po to, żeby się ze mną spotkać?

– Tak – odparł szczerze. Przerazająca była świadomość, że pozwolił sobie na to, żeby stać się tak bezbronnym, zwłaszcza z powodu mężatki, która mogła postanowić, że nie odejdzie od męża i dzieci. I wiedział, że prosi ją o wiele, ale nie był w stanie przyjąć czwórki dzieci, z których dwoje było jeszcze niemowlętami, z armią niań i możliwe, że z rozwścieczonym mężem. Znał się na tym aż za dobrze i wiedział, że tego nie zniesie i że w końcu się znenawidzą. Chciał jej samej dla siebie. Wiedziała o tym, bo jej to powiedział. – Wracam jutro wieczorem po spotkaniu z tobą.

– I to wszystko? Jeden dzień na spotkanie ze mną?

– Zostanę dwa, jeżeli chcesz, albo na zawsze. Ty decydujesz. Jutro miałem mieć gości, odwołałem ich. Chcę do ciebie przylecieć. Umowa stoi? Dziesiąta rano u mnie? Max jest w domu? – spytał po namyśle.

– Nie ma go. Poleciał do Seattle i nie pamiętam, gdzie jeszcze. Nie będzie go chyba tydzień.

– To ułatwia sprawę. – Chciał ją poprosić, żeby spotkała się z nim u niego zaraz, jak tylko przyleci w nocy, ale nie chciał jej przestraszyć.

– Będę jutro – powiedziała cicho, a później leżała w łóżku i myślała o nim. Sama świadomość, że przylatuje, sprawiła, że poczuła się inaczej. Wstała, umyła głowę i pomalowała paznokcie. Zajrzała do szafy, żeby wybrać, co na siebie włożyć i odkryła, że ubrania leżą na niej

lepiej, niż myślała. Była w takiej rozpaczy, że nie jadła i zgubiła większość nadprogramowych kilogramów. Zostało jej trochę w biodrach, i to wszystko. Dzięki temu, że nie karmiła, schudła szybciej.

Chodziła po domu przez resztę dnia i nocy, a o północy wiedziała, że jego samolot wylądował. Przespała płytko parę godzin, obudziła się o szóstej, wzięła prysznic, ubrała się i wypła w kuchni filiżankę kawy. Barbara piła herbatę. Właśnie dała Simonowi poranną porcję jedzenia, była w uniformie. Max lubił, gdy nianie były odpowiednio ubrane, zajmując się dziećmi, nie chciał, żeby plątały się po domu w dżinsach i T-shirtach. Jego ojciec też był takim formalistą i zawsze na każdą okazję ubierał się nieskazitelnie.

– Jadę do miasta – poinformowała nianię przed wyjściem. – Nie wiem, kiedy wrócę. – Nie wiedziała, o której odlatuje jego samolot do Francji. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, odwiezie go na lotnisko, a potem wróci do Greenwich, ale mogło to nastąpić późno.

– Miłego dnia – powiedziała Barbara, gdy drzwi się zamykały, a Julie słyszała, że mały na górze płacze. Pobiegła do samochodu i przejrzała się we wstecznym lusterku. Nagle znów się sobie podobała, bo wiedziała, że zaraz zobaczy Richarda. Była umalowana, nosiła szpilki i ładnie ułożyła włosy. Znalazła w garderobie zapomnianą sukienkę, która leżała na niej idealnie. Była z błękitnego jedwabiu, w tym samym odcieniu, co sari, które miała na sobie tego wieczoru, gdy się poznali. Znów czuła się jak kobieta, a nie wyrobnik zdany na własne siły za każdym razem, gdy Max wyjeżdżał.

Podjechała pod budynek, w którym mieszkał w Tribeca, za dziesięć dziesiątą, odczekała grzecznie dziesięć minut i zapowiedziała się portierowi.

– Pani Stein do pana Randalla.

Zadzwoił na górę i kiwnął na nią, że może wsiadać do windy, a kiedy drzwi się otworzyły, Richard czekał już na nią w białych dżinsach, czarnej koszulce i czarnych espadrylach, opalony, z gęstą czupryną siwych włosów. Bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował. Patrzyła na niego, oboje się uśmiechali, a ona w jednej chwili wiedziała, jak powinna brzmieć odpowiedź, jak brzmiała od samego początku, gdy go poznała.

– Odpowiedź brzmi: tak – szepnęła, a on porwał ją w ramiona i zaczął z nią wirować, a potem postawił ostrożnie na ziemi, żeby nie zrobić jej krzywdy i ścigali się na górę po schodach, wprost do jego łóżka, w którym Julie świętowała swoją wolność.

Poprosiła nianie, żeby zajmowały się dziećmi poza domem przez dwa dni po jej powrocie. Chodzili do pobliskiego parku wodnego ze zjeżdżalniami i na jarmark, przejeżdżający przez okolicę z karuzelą, watą cukrową, kukurydzą i lodami, żeby miała czas w spokoju spakować wszystko, co chciała zabrać. Resztę może kazać sobie wysłać później. Wzięła to, czego potrzebowała na kilka najbliższych miesięcy, do miasta, na jacht, na plażę. Przejrzała biżuterię i również trochę zabrała. Szmaragdowy pierścionek, który niedawno podarował jej Max, odłożyła do oryginalnego pudełka z liścikiem, że dziękuje, ale nie może go przyjąć, i położyła go na jego biurku. Miała w sumie sześć walizek, wysłała je do mieszkania Richarda taksówką. Zadzwoił do niej, żartując na ich temat, gdy dotarły.

– Dostanę przepukliny od dźwigania tego twojego bagażu. – Ale był zachwycony. Widok jej walizek wyłaniających się z windy był najszcześniejszym, jaki w życiu widział.

Poczekala na dzień, gdy dzieci wybierały się do wesołego miasteczka i kazała zabrać także małego. Nianie nasmarowały go kremem z filtrem. Wiedziała, że Max wróci wieczorem do domu. Może im to wyjaśnić, jeśli będzie chciał. Na jego biurku zostawiła list i po jednym dla każdego z dzieci. Nie miała pojęcia, jak wyjaśnić to, co czuje, tak żeby zrozumiał. Tak się od siebie różnili. Za bardzo, od zawsze. On po prostu tego nie chciał widzieć. Nie musiała już udawać kogoś, kim nie była. Miała trzydzieści sześć lat i teraz musiała być sobą, nawet jeżeli on tego nie potrzebował. Musiała się uwolnić.

Obeszła dom po raz ostatni, zabrała oprawione fotografie dzieci. Wiedziała, że za niczym nie będzie tęsknić. Jej życie w tym domu było więzieniem. Ona i Max chcieli czegoś zupełnie innego. Zamknęła za sobą drzwi i nie odwróciła się za siebie.

Zostawiła samochód i do miasta pojechała taksówką. Miała pieniądze odziedziczone po rodzicach. Nie potrzebowała niczego od Richarda ani nie chciała niczego od Maksa. Czuła się lekka i wolna, jadąc do miasta. Weszła do mieszkania Richarda, otwierając drzwi kluczem, który jej wcześniej dał. Miała na sobie dzinsy, granatowy sweter i buty na płaskiej podeszwie do samolotu. Za godzinę miał przyjechać po nich samochód i zawieźć ich na lotnisko.

– Gotowa? – spytał. Uśmiechnęła się, a on ją pocałował, nim zdążyła odpowiedzieć.

– Tak – odparła bez tchu.

Przytrzymał jej drzwi, wsiedli do windy ze wszystkimi jej walizkami, a nowy portier pomógł im, gdy zjechali na dół.

– Wyjeżdżamy – powiedział, dając mu hojny napiwek. Nie zamierzała posługiwać się już nazwiskiem Maksa. Podjęła tę decyzję wcześniej, chciała powrócić do panińskiego nazwiska. Jego nazwisko jej pomogło i starała się dostosować do tego, czego od niej wymagało, ale nie pasowało do niej nigdy. Znowu była Julie Morgan, którą chciała pozostać.

Wsiedli do terenowego samochodu, który przysłała po nich wypożyczalnia. Richard pocałował ją, gdy odjeżdżali.

Max wiedział, że powinien zadzwonić do Julie z Wichita, ale tego nie zrobił. Potem poleciał do Arkansas, z szybkim przystankiem w Nowym Orleanie, a potem, trzy dni później, wrócił do domu. Był zajęty, działał szybko. Spodziewał się, że Julie będzie mu robić wyrzuty, ale nie chciał do niej dzwonić z każdego miejsca. Z lotniska przyjechał swoim samochodem i dotarł do domu tuż po północy. W domu panowała cisza, tak jak się spodziewał. Wszyscy spali, nawet Simon. Jeszcze nie nadeszła pora jego karmienia. Zauważył światło w pokoju jednej z nian, która czekała, aż mały się obudzi. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale poczuł, że coś się zmieniło, gdy

wszedł do sypialni, a Julie nie było.

Słyszał tykanie zegara na nocnej szafce i zauważył, że parę rzeczy zniknęło. Stos książek na jej stoliku został sprzątnięty. Nie było budzika. Jej biurko było uprzątnięte. Ogarnęło go dziwne uczucie, gdy rozglądał się po pokoju. Wszedł do garderoby – jej ubrania nadal w niej wisiały, ale wielu brakowało oraz mnóstwa butów. Wydało mu się to dziwne. Gdzie ona jest? Pojechała do sióstr do Kalifornii, żeby dojść do siebie po dziecku? Do mieszkania w Nowym Jorku? Nic mu nie mówiła. Ostatnio ciągle była na niego wściekła, czasami bez powodu. Nadal żałowała, że urodziła dziecko, ale jej przejdzie. Simon miał już pięć tygodni.

Wszedł do swojego gabinetu i dostrzegł na biurku pięć listów. Po jednym dla każdego z dzieci i jeden dla niego.

Rozdarł kopertę i zaczął czytać, stojąc, ale musiał usiąść. Myślał, że serce mu stanie. Jego żona oszalała. Nie mówiła tego poważnie. Miała depresję poporodową. Przez chwilę jej słowa migotały mu przed oczami i wydawało mu się, że zemdleje.

Drogi Maksie,

trudno mi pisać ten list, a Tobie trudno go czytać, wiem. Krótko mówiąc, dłużej nie mogę tak żyć. Nie powinnam była nigdy. Oboje próbowaliśmy. Jestem pewna, że Ty także. Nie jestem kobietą, z którą się ożeniłeś albo wydawało Ci się, że się żenisz, czy jaką chciałeś poślubić. Zaslugujesz na taką osobę, ale ja nią nie jestem. Chciałeś wypełnić dom dziećmi i zrobić ze mnie żonę i matkę roku. Nie nadaję się na matkę. Powinnam była uświadomić to sobie wcześniej, ale tak się nie stało. Mamy piękne dzieci. Ale jesteśmy dla siebie obcy i pewnie zawsze będziemy. Nie mam w sobie genów matki. To nie moje DNA. Ty będziesz dla nich lepszą matką i ojcem, mam nadzieję, niż ja. Będziesz musiał spędzać w domu więcej czasu, być przy nich i prowadzić je. Tego chciałeś ode mnie. Teraz Ty będziesz musiał być taki.

Nie chcę być dłużej Twoją żoną ani ich matką. Nie wrócę. Nie będę okłamywać dzieci. Chciałabym je od czasu do czasu widywać, jeżeli mi pozwolisz. Ale nie jestem w stanie być dla nich matką. Nie mam im co dać. I nie jestem w stanie być taką żoną, jakiej pragniesz i potrzebujesz. Mam nadzieję, że kiedyś odnajdziesz taką kobietę. Zaslugujesz na to.

Stworzyłeś imperium. Twoja rodzina jest zabezpieczona. Korzystaj teraz z tego, co osiągnąłeś i dziel to z kimś. Potrzebujesz w życiu czegoś więcej niż interesy, ja też. Nie mogę być żoną człowieka, którego nigdy nie ma.

Jadę na jakiś czas do Europy. Dam Ci znać, gdzie jestem. Możesz skontaktować się z moim prawnikiem, to ten sam, z którego usług korzystał mój ojciec. Zrzekam się prawa do opieki nad dziećmi na Twoją rzecz. Dbaj o nie, wiem, że będziesz. I najważniejsze, dbaj o siebie.

Naprawdę mi przykro, że nam nie wyszło i że nie jestem taką kobietą, jakiej chciałeś.

Uściski, Julie

Siedział, wpatrując się w list i przeczytał go cztery razy. Nie rozumiał. To było niemożliwe. Przyzwoici ludzie nie robią takich rzeczy, a może jednak? Może prawdziwą przyzwoitością było to, że powiedziała mu, że nie może tak żyć, zamiast udawać. Chciała odejść. Od niego, od dzieci. Nie miał pojęcia, jak im to wytłumaczy, choć ona to zrobiła w bardzo prosty sposób. Nie chciała być matką. Znikła. Nie był w stanie odgadnąć, dokąd pojechała ani z kim. Rano zamierzał zadzwonić do jej sióstr i spytać je. Ktoś na pewno wie, gdzie ona jest. Chciał, żeby wróciła. Była jego żoną i matką jego dzieci, nie mogła tak po prostu odejść. Ale to zrobiła.

Nie spał całą noc, przeczytał list jeszcze kilka razy. Jego dzieci zostały bez matki. Wszystko spoczywało na nim. Dotarło do niego, że popełnił błąd, nakłaniając ją do tego, czego nie chciała. Miał nadzieję na kogoś takiego jak jego matka, która była wierna do końca. Ale Julie nie była jego matką, lecz zupełnie innym człowiekiem. Urodziła Simona tylko dla niego i oddała mu go, gdy miał pięć tygodni. Zachowała się jak te kobiety, które zostawiają niemowlaki przed

drzwiami z liścikiem. Ale żeby coś takiego zrobić, trzeba było mieć ważny powód. Widocznie go miała. Nie potrafiła żyć takim życiem, do jakiego ją zmuszał.

Był wściekły, po części przerażony, a po części smutny. Czuł się przytłoczony odpowiedzialnością, która właśnie na niego spadła, tym, że musi być dla swoich dzieci wszystkim – matką i ojcem. Ona zeszła z ringu i wycofała się z walki, oddając mu nagrodę. Wiedział, że niczego od niego nie chce. I niczego nie potrzebowała po śmierci swoich rodziców. Miała własne pieniądze. Potem zauważył na biurku pudełko z pierścieniem ze szmaragdem. Wcześniej go nie widział, łzy popłynęły mu po policzkach, gdy przeczytał liścik. Wiedział, że popełnił błąd, namawiając ją, żeby urodziła ostatnie dziecko. Może to ono przelało czarę goryczy, o jedno za dużo, ale inne kobiety, którym trafiły się dzieci z przypadku, jakoś sobie radziły. Julie oddała mu wszystko, ich życie, małżeństwo i dzieci. Chciał skłonić ją do powrotu, ale nie wiedział, jak to zrobić. Wymknęła mu się z rąk i wydostała na wolność. Jak więzień, który wydostał się przez tunel na świat. Nie miał pojęcia, że nosi się z takim zamiarem i nie wiedział, gdzie jej szukać. Miał silne przeczucie, że ona nie chce, żeby któreś z nich jej szukało, nawet dzieci.

Przeczytał listy, które zostawiła dla dzieci, kiedy słońce wzeszło, i rozplakał się. Trzy miał dać dzieciom, gdy podrosną, tym młodszym. Ten do Hélène był podobny do jego listu, ale bardziej przystępny.

Kochana Hélène,

wiem, że na razie tego nie zrozumiesz. Ale może kiedyś. Jesteś cudowną osobą i cudowną córką dla mnie i Twojego taty. I nic z tego, co się stało, nie jest Twoją winą. Nie zrobiłaś nic złego.

Czasami popełniamy błędy, bo kogoś kochamy albo nie jesteśmy szczerzy wobec siebie samych. Ja chcę być szczerą z Tobą i ze sobą. Nie potrafię być dobrą żoną dla Twojego taty, taką, jakiej potrzebuje. I nie jestem dobrą mamą dla Ciebie, dla Twoich sióstr i brata. Nie umiem być matką i nie chcę nią być. Niektóre kobiety nie są stworzone do macierzyństwa i żałuję, że uświadomiłam to sobie tak późno.

Na razie wyjeżdżam, Wasz tata będzie się Wami opiekował. Proszę, Wy też się nim opiekujcie. Chciałabym Was czasem widywać, ale pewnie nie nastąpi to szybko. Może kiedyś będziemy mogły się przyjaźnić i zrozumiesz, dlaczego nie mogłam być żoną dla Twojego taty i matką dla Was wszystkich.

Kocham Cię,

Mamusia

Nie miał pojęcia, jak im to wytłumaczy, zwłaszcza Hélène. Jak powiedzieć dziecku, że jego matka po prostu wstała i wyszła? To zostawi w nich ranę na zawsze, odrzucenie przez własną matkę. Będzie musiał znaleźć sposób, żeby utrzymać rodzinę razem i pomóc im dorastać bez niej. Gdyby mógł ją namówić do powrotu, zrobiliby to. Ale nie wiedział nawet, gdzie jej szukać. Dopadło go przytłaczające poczucie porażki, gdy czekał, aż dzieci się obudzą. Wiedział, że to jego wina, że zmuszał ją do tego, by żyła wbrew sobie. Jego rodzice byli małżeństwem przez czterdzieści pięć lat, a jego żona rzuciła po jedenastu. Narzucił jej tryb życia, którego nie chciała, nie poznał jej do końca i został teraz sam z czwórką dzieci. Nie miał pojęcia, jak je sam wychowa. Czuł się tak, jakby Julie umarła. I jakby on sam też umarł.

Siedział w kuchni z zamglonym wzrokiem, gdy Barbara weszła z dziećmi. Simon jeszcze spał w swoim łóżeczku, a Daisy mówiła, że chce na śniadanie „laleśliki”, którymi, oczywiście, były naleśniki, a Barbara przypominała jej, że jadła je wczoraj i że były to nawet „laleśliki” w kształcie Myszki Miki. Poprosił ją po cichu, żeby przygotowała coś dla Daisy na śniadanie i zabrała ją z powrotem na górę, bo chciał mieć parę minut sam na sam z Hélène i Kendrą, a ona

od razu się domyśliła, że stało się coś poważnego. Wyglądał na wyczerpanego i poczuła od niego zapach brandy. Była to dla niego długa noc i było to po nim widać.

Dwie starsze córki spojrzały na niego z przerażeniem, a Barbara zaniósła Daisy na górę z kartonikiem płatków, mlekiem, bananem i miseczką, żeby zrobić jej śniadanie. Dziewczynka pomachała, kiedy wychodziły i posłała ojcu buziaka, a on musiał powstrzymywać łzy. Jak Julie mogła to zrobić? To było nie w porządku. Ale nie dla niej.

– Coś się stało mamie? – spytała Hélène cichym głosem i zbladła jak kreda.

– Mama umarła jak babcia i Mama Emm? – spytała Kendra i rozplakała się, zanim zdążył odpowiedzieć. Posadził sobie Kendrę na kolanach i objął Hélène.

– Nie, mama nie umarła – odpowiedział natychmiast. – Nic jej nie jest. Ale zrobiła coś niezwykłego i trochę szalonego.

– Mama oszalała? – Kendra przestała płakać, wyraźnie zaintrygowana.

– Niezupełnie. Ale dorośli czasami robią rzeczy, które trudno zrozumieć. Mama stwierdziła, że nie chce już być moją żoną. I jej zdaniem nie chce odpowiedzialności, jaką jest bycie mamą. Myśli, że to dla niej za trudne. Więc na jakiś czas wyjechała, może na długo. Chyba już do nas nie wróci. Powiedziała, że przyjedzie nas odwiedzić, ale nie będzie już z nami mieszkać. Chyba zostaliśmy sami. – Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

Kendra krzyknęła i znów się rozplakała, obejmując ojca za szyję.

– Chcę, żeby mamusia wróciła. Nie może wyjechać na zawsze. – Ścisnęło go w żołądku, kiedy przytulał ją, zapłakaną. – Chcę, żeby natychmiast wróciła!

– Ja też. Ale to niemożliwe. Musimy być dzielni. – Miał łzy w oczach, gdy to mówił i czuł, że wcale nie jest dzielny. Chciał wiedzieć, jak w takiej sytuacji poradziłiby sobie jego rodzice. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, żeby jeszcze bardziej nie pogorszyć sytuacji.

– Rozwiedziecie się? – spytała Hélène zdławionym głosem.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Na to wygląda. Tego chce mama.

– Była na ciebie wściekła, jak wychodziła? – dopytywała się Hélène, a on pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, to nie. Nie mam pojęcia, kiedy wyszła. Zostawiła listy dla nas wszystkich. Jak wróciłem do domu wczoraj w nocy, już jej nie było.

– Zabrała ubrania? – Hélène była dociekliwa.

– Część.

– Często ostatnio płakała, zanim urodził się Simon. Od dawna była smutna.

– Chyba masz rację – przyznał. – Byłem bardzo głupi. Nie rozumiałem, jak bardzo jest smutna. Myślałem, że jej przejdzie. A ona uciekła. Ucieczka chyba nie jest dobrym rozwiązaniem. Moim zdaniem należy zostać, zmierzyć się z rzeczywistością i rozwiązać problemy. Ale mama tego nie zrobiła. Uciekła. – Chciał, żeby jego dzieci dostały przy okazji lekcję na temat tego, jak należy postępować w życiu, a jak nie. – Dorośli czasami się rozwodzą, kiedy się nie dogadują. Ale nigdy, przenigdy nie powinni zostawiać swoich dzieci.

– Chcesz się z nami rozwieść, tatusiu? – spytała Kendra. Miała pięć lat i tak to rozumiała.

– Nigdy, nigdy, nigdy w życiu się z wami nie rozwiodę, nie ucieknę ani was nie zostawię.

– Uniósł prawą rękę, przysięgając. – To moje przyrzeczenie. Ale wy też nie możecie uciekać. Jak będziecie mieć z czymś problem, zawsze możemy o tym pogadać i spróbować go rozwiązać. Nie będziemy od siebie uciekać.

Dziewczynki kiwnęły głowami. Jego słowa nie świadczyły dobrze o ich matce, ale nie chciał, żeby brały z niej przykład. Pomyślał, że to, co właśnie zrobiła swoim dzieciom, jest nie tylko okrutne i naganne, ale też w pewnym stopniu demoralizujące. Matka nie powinna porzucać swoich dzieci.

– Powinnam była bardziej jej pomagać – powiedziała cicho Hélène. – Może wtedy byłaby

szczęśliwsza.

– To nie ma z tobą nic wspólnego, Hélène, ani z żadnym z was. Bardzo mi zależy, żebyście to rozumiały. Robiłaś, co mogłaś, jesteście wspaniałymi dziećmi. Niektórzy rodzice po prostu nie robią tego, co powinni, i tak się też stało u nas. Mama nie powinna uciekać, ale to nie ma nic wspólnego z wami.

– Ale uciekła – podsumowała Kendra, wyciągając rączki. – Jesteś na nią zły, tato?

– Trochę – odparł szczerze. – Ale najbardziej jest mi smutno, ze względu na mnie i na was.

– Damy sobie radę?

– Na pewno, musimy sobie tylko pomagać. Będę starał się być dla was mamą i tatą.

Kendra zmarszczyła czoło.

– Zacziesz nosić ubrania mamy?

– Nie. Ale będę musiał się nauczyć tych rzeczy, które z wami robiła.

– Wszystko robią z nami nianie – powiedziała Kendra i dobrze wiedzieli, że tak jest.

– I to się nie zmienia.

Rozmawiali o tym przez chwilę, a potem Max powiedział Kendrze, żeby pobiegła na górę sprawdzić, co u Daisy i Simona, a kiedy wyszła, wręczył Hélène list od matki. Przeczytała go. Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęły spływać po policzkach, a jemu pękało serce, gdy na to patrzył. Podniosła głowę i spojrzała na ojca. Szlochala, a on mocno ją przytulił.

– Chyba nigdy więcej jej nie zobaczymy. Dlaczego od nas odeszła, tato? – Dostała czkawki z płaczu, ale starała się być dzielna.

– Nie wiem – odparł szczerze i też się rozplakał, z powodu cierpienia córki, nie swojego. Nie mógł znieść widoku jej łez. Wiedział, że odejście Julie odcisnie na niej piętno na zawsze. – To chyba przeze mnie, nawaliłem. Za dużo wyjeżdżałem, czuła się samotna. Moim zdaniem jeszcze ją zobaczymy, nie wiem tylko kiedy, może trzeba będzie trochę poczekać. – Hélène kiwnęła głową i wytarła łzy z twarzy. – Musimy być dzielni. Wiem, że to straszne, ale nic nie jesteśmy w stanie poradzić. – To było jak śmierć, ale tego im nie powiedział. Straciły matkę, jedyną osobę, która nigdy nie powinna porzucić dziecka, a jednak to zrobiła.

Usiłował dodzwonić się do niej na komórkę przez całą noc, ale włączała się poczta głosowa. Zostawił milion wiadomości, lecz nie oddzwoniła. I wątpił, że oddzwoni. Odcięła się od nich wszystkich.

Przygotował z Hélène śniadanie dla niej i dla Kendry, a potem zadzwonił do sióstr Julie. One też nie wiedziały, gdzie jest i były wstrząśnięte tym, co zrobiła. Nie tym, że zostawiła męża, to się zdarzało, ale to, że porzuciła dzieci i nie chciała już być ich matką, nie mieściło się w głowach nawet jej siostrom.

– Biedne dzieci – powiedziała młodsza, Belinda. – Nie cieszyła się z ostatniego dziecka, ale to była w tym samym stopniu jej wina, co twoja. Jeżeli było to dla niej tak bolesne, powinna podwiązać sobie jajowody. Nie porzuca się czwórki dzieci. – Była wściekłą na siostrę. Obie siostry były wściekle, ale to nie zmieniało tego, co zrobiła. A cenę miały za to zapłacić dzieci. Zastanawiał się, czy w ten sposób chciała się zemścić na nim i ukarać go, raniąc dzieci. Jeśli tak, to była naprawdę chora. Nie sądził, że miała to być kara dla któregośkolwiek z nich. Nie była złym człowiekiem, po prostu chciała uciec. I tak właśnie zrobiła, porzuciła rolę żony i matki i odeszła. Złamała dzieciom serce, wiedział, że nigdy jej nie wybaczą. Zraniła też jego serce i oddała mu je jak szmaragdowy pierścion, leżący na biurku.

Gdy Max tłumaczył sytuację dzieciom, a później nianiom, Richard i Julie wsiadali właśnie na jacht, zacumowany w doku w starym porcie w Antibes. Był piękny słoneczny poranek i jacht lśnił. Obsługa umieściła jej bagaże w jednej z kajut dla gości, zamienionej na garderobę, a

ona miała spać z nim w głównej kajucie. Wypływali w południe do Włoch. Chciał ją zabrać do Portofino, na Korsykę i Sycylię. Na późne śniadanie podano im kawę i rogaliki, i Richard stał, obejmując ją, kiedy uruchomili silniki i elegancki jacht wypłynął z doku i z portu, omijając małe łodzie.

Morze było gładkie, a powietrze świeże. Złapali wiatr i rozwinęli prędkość, a on spojrzał na nią z miłością i wdzięcznością w oczach.

– Nie żałujesz? – spytał z pewnym niepokojem. Mogła zmienić zdanie w każdej chwili, ale tego nie zrobiła. Była pewna swojej decyzji.

– Ani trochę – odparła, a on pocałował ją, gdy wypływali na pełne morze. Odsiedziała swój wyrok. W końcu była wolna.

Tydzień po tym, jak Julie poleciała z Richardem do Nicei, Max otrzymał od jej prawnika dokumenty informujące, że wszczyna procedurę rozwodową, na jej prośbę. Julie kazała prawnikowi po prostu przesłać mu je pocztą, bo nie chciała, żeby mąż przeżywał upokorzenie z powodu pozwu. Nie było w tym wrogości z jej strony. W dodatku podpisała dokument, w którym zrzekała się prawa do opieki nad czworgiem swoich dzieci, przekazując Maksowi prawo do wyłącznej opieki. Siedział, wpatrując się w papiery, które przyszły pocztą. Nie żartowała. Ich dzieci należały teraz całkowicie do niego.

Pierwszy miesiąc był trudny dla nich wszystkich. Max miał poumawiane spotkania i musiał wyjeżdżać, choć odwołał te, które mógł. Był przerażony wszystkimi sprawami, na które musiał teraz zwracać uwagę. Musiał chodzić na pokazy baletu, na szkolne występy, zamawiać mundurki dla Hélène i Kendry, ale o to prosił nianie. Starał się rozdzielić obowiązki i dotarło do niego, że – jak twierdziła jego matka – Julie nie robiła wiele ani z dziećmi, ani dla nich i że przed odejściem rzadko bywała w domu. Praktycznie, dzięki czterem nianiom, dawał sobie radę, poza nimi miał mnóstwo osób do pomocy w domu. Ale miał na głowie dwulatkę, która nie miała pojęcia, gdzie zniknęła jej mama i cały czas szukała jej w każdym zakamarku i szczelinie i wołała ją w nocy. Kendra zaczęła się w nocy moczyć, a Hélène miała koszmary. I miał w dodatku dwumiesięczną niemowlę, które potrzebowało kogoś więcej niż niania, potrzebowało matki i ojca, którzy będą je kochać, a przynajmniej jednego z nich. Więc karmił je z butelki i przytulał, kiedy tylko mógł. Nosił na rękach albo w bujaku po domu.

Z początku myślał, że jest beznadziejny i wiedział, że za dużo pije. Wieczorem potrafił wypić pół butelki whisky, gdy dzieci poszły spać, a Hélène wychodziła na paluszkach późnym wieczorem ze swojego pokoju i zastawała ojca ubranego, przy włączonym świetle, śpiącego w gabinecie z butelką niebieskiego johnnie walkera obok niego. Przykrywała go kaszmirowym kocem i gasiła światło. Robiła to przez wiele miesięcy, aż w końcu znów zaczął się kłaść do łóżka w piżamie, gasił światło i nie zostawiał butelki whisky przy łóżku. Trudno było się im wszystkim przyzwyczaić do nowej sytuacji i nie byli w stanie zrozumieć, dlaczego Julie to robiła, nawet on tego nie pojmował. Schował listy od niej do młodszych dzieci do sejfu i obiecał sobie, że da je im, gdy będą starsze, nie zważając na to, jak wściekły był na nią o to, co zrobiła im i jemu.

Ciągle usiłował się do niej dodzwonić i zostawiał wiadomości, myślał, że Hélène też próbowała, ale Julie nigdy nie oddzwoniła ani nie odebrała telefonu, w końcu jej prawnik zadzwonił do niego i powiedział, że panna Morgan nie życzy sobie wiadomości od niego ani od dzieci, a jeżeli ona będzie chciała się z nim skontaktować, zrobi to przez swojego prawnika. Nie miał serca powiedzieć tego Hélène, ale nigdy więcej nie zostawił jej już wiadomości. Był zgorzkniały wiele lat i trudno mu było zaufać kobietom. Złość i gorycz wydobywały się każdym porem jego skóry.

Kiedy Steve MacMillan zadzwonił do niego z Londynu i poprosił, żeby został jego drużbą na drugim ślubie, zdziwił się, gdy Max mu odmówił. Opowiedział, co się stało z Julie i uznał, że najlepszą radą, jaką może mu dać, to ta, żeby się nie żenił ani nie próbował mieć dzieci z kobietą, z którą chce się pobrać i żeby uciekał od niej gdzie pieprz rośnie. Jediną rzeczą, którą Julie udało się zniszczyć doszczętnie, była jego wiara w instytucję małżeństwa. Jego rodzice byli rzadkim wyjątkiem, ale ogólnie nie wierzył już w małżeństwo i nie miał zamiaru nikogo do niego zachęcać. Jedyne, w co Max Stein wierzył po odejściu żony, były jego dzieci.

Steve przeprosił, że zadzwonił i współczuł staremu przyjacielowi. Nie był już tym samym mężczyzną i pewnie nigdy już nie będzie.

Gdy H el ene szła do pierwszej klasy liceum, siedem lat po tym, jak porzuciła ich matka,  ycie Maksa, praca, dom i dzieci były mniej wi cej uporządkowane. Wszystkim zarządał konsekwentnie.

Były z nimi te same nianie, mieszkali w tym samym domu, dzieci przeszły do kolejnych szkół. Ich  ycie nie rozsypało si  w gruzy, jak wszyscy obawiali si  z pocz tku, ale pierwszy rok czy dwa były fatalne, zwi szcza dla Maksa. W ko cu zapanował nad piciem i nie zasypiał co wieczór pijany na kanapie, z troszcz c  si  o niego H el ene, kt ra przykrywała go jego ulubionym kaszmirowym kocem. Nadal du o podr żował w interesach, ale wyjazdy były kr tkie i cały czas utrzymywał kontakt z dziećmi w czasie swojej nieobecno ci, a je eli pojawiały si  jakieś powa ne problemy, od gor czki po starcie z nauczycielem w szkole, wracał do domu. Nie był takim ojcem, jak za czasów ma żeństwa z Julie, ale dwadzie cia razy lepszym. Wyci gn ł lekcj  ze swoich b ędów. Julie dotrzymała obietnicy zło onej, gdy ich opuszczała. Widziała si  z nimi sze ć razy w ci gu siedmiu lat. Dzieci potwornie przeżyły pierwszy raz, kiedy j  zobaczyły, Kendra i H el ene b agały,  eby wróciła. Daisy tylko patrzyła na ni , zdeorientowana, a Simon jej nie poznał. Julie czuła si  wyra nie skr powana, patrzyła na nich jak na obcych i nie została d ugo, a p źniej przez rok si  nie pojawiła. Przez jaki s czas Max j  za to znienawidził. Ale za drugim razem było l twiej, dzieci nie miały ju   adnych oczekiwań. Dzwoniła do nich od czasu do czasu, ale nie cz sto, zwykle w okresie Bo ego Narodzenia, a oni wszyscy byli wstrz sni ci, kiedy w „New York Timesie” przeczytali,  e ponownie wyszła za m  , gdy tylko dostała rozw d. Do tego czasu nie mieli o tym pojęcia.

Ta wiadomo c pojawiła si  na pierwszych stronach niemal wszystkich gazet, gdy Richard Randall o enił si  z nieznan  kobiet  o nazwisku Julie Morgan. Max w ciekł si , gdy to przeczytał. Chciał si  dowiedziec, czy romans mi dzy nimi zaczął si  niedawno, czy mo e przed odejściem zdradzała go z Richardem, kiedy była jeszcze w ci ży z Simonem. Ale nie miał jak si  dowiedziec. W artykule pisano,  e mają domy w Londynie, Hongkongu, apartament w Nowym Jorku i w Ritzu w Pary u i  e buduj  dom na Sardinii, a na Morzu Śródziemnym mają sze ciometrowy jacht, na kt rym sp dzaj  lato, g wnie we Włoszech i Grecji.

Max był ciekawy, czy dla Richarda wyrzekła si  jego i dzieci. Ale odk d odeszła, trzymała si  od dzieci na dystans i miała z nimi niewielki kontakt. Max był obecny, kiedy odwiedzała dzieci,  eby je wspierać i chronić. Ale w ciwiwie nie odzywali si  do siebie z Julie. Był zbyt w ciekły,  eby wydobyć z siebie co  wi cej ni  kilka s ów. Prowadziła teraz luksusowe poukładane dorosłe  ycie z przystojnym starszym m czyzn  i nie musiała chodzić na mecze, balet ani do ortodonty. Wyra nie nie czuła powo ania,  eby byc matk  dla swoich dzieci, tak jak powiedziała. Była szczer  wobec nich i wobec siebie. Max przeżywał to w goryczy przez kilka lat. Pi ć lat p źniej w ko cu zaczął si  uspokojać. Po siedmiu prawie si  z tego cieszył. Prawie.

Dzieci zwracały mu uwag , kiedy był ponury. Nie był w stanie przejść obok szc śliwej pary na ulicy, gdy kt s si  ca ował, trzymał za r ce, gdy s uchał o ślubach albo o randkach, zawsze robił pełne goryczy uwagi, jakimi idiotami s  zakochani i  e kiedyś po aluj  zwi zku, w kt ry si  anga uj . Stało si  to jego obsesj .

– Tato, musisz przestać! – ganiła go H el ene, gdy si  tak zachowywał. – Ludzie b d  ci  mieli za dziwaka. Zachowujesz si , jakbyś miał zespół Tourette’a, paranoj  albo co  innego.

– Nie mam paranoi i nie jestem dziwakiem, sparzyłem si .

– Musisz o tym zapomniec. To było siedem lat temu.

– Mogę to w sobie nosić tak długo, jak będę miał ochotę. Jestem teraz oficjalnie starym zgorzkniałym facetem.

– Po pierwsze, nie jesteś stary, masz pięćdziesiąt jeden lat, a po drugie, jesteś ciągle przystojny, ale nigdy się z nikim nie umówisz, jak będziesz tak gadał.

– Często się umawiam – bronił się.

– Tak – odezwała się Kendra, która miała teraz dwanaście lat. – Na pierwszą randkę. Kiedy ostatnio umówiłeś się na drugą? Nikt nie chce się z tobą spotkać jeszcze raz.

– Może to i dobrze.

– Jasne – skwitowała Kendra i poszła sobie. Przyzwyczaili się do jego złości, złośliwych uwag na temat miłości i – nie bezpośrednio – ich matki, ale kobiety, które czasami zapraszał na kolację na mieście – nie. Tak jak powiedziała Kendra, prawie nigdy nie wychodziły z nim na drugą randkę, ale on się tym nie przejmował.

– Lubię pierwsze randki – sprzeczał się z Héléne, która właśnie skończyła szesnaście lat i trzymała młodszego rodzeństwo w ryzach jako najstarsza z gromadki. Ograniczyli się do dwóch nian dla Daisy, która miała teraz dziewięć lat, i Simona, który miał lat siedem. Daisy była rodzinną ekscentryczką i bardzo ją to cieszyło. Nie mogła się doczekać, aż będzie wystarczająco dorosła, żeby ufarbować sobie włosy na różowo, przekłuć pępek i zrobić tatuaż. Simon miał siedem lat i uwielbiał każdego, kogo poznawał. Był najmniej kłopotliwym dzieckiem na ziemi i jego siostry go rozpieszczały. Wszyscy opiekowali się sobą nawzajem.

Simon poszedł właśnie do podstawówki, a Daisy chodziła na zajęcia wyrównawcze z czytania. Niedawno dowiedzieli się, że ma poważną dysleksję, ale ona się tym nie przejmowała. Nauczyła się grać na pianinie ze słuchu i uwielbiała muzykę, głównie rap. Świetnie naśladowała Snoop Dogga, z wulgaryzmami włącznie, co doprowadzało ojca do szału.

Dzieci były dobre, ale zupełnie różne. Każde miało swoją osobowość. Héléne, tajemnicza i spokojna, nieustannie przypominała Maksowi jego matkę. Poważnie zaangażowała się w studiowanie judaizmu i co tydzień sama chodziła do reformowanej synagogi. Czytała wszystko, co wpadło jej w ręce na temat Holokaustu, żeby dowiedzieć się więcej o tym, przez co przeszli jej dziadkowie i ludzie im współcześni, i знаła każdy fakt na temat Buchenwaldu, w którym się poznali. Chciała pracować w muzeum związanym ze sztuką judaizmu albo w muzeum Holokaustu. Krótko mówiąc, chciała być jak jej babcia, gdy dorośnie. Mama Emm była dla niej wzorem do naśladowania. Dla Kendry bohaterem był ojciec. Gdy dorośnie, chciała mu pomagać prowadzić rozrastające się imperium budowlane i uwielbiała wszystko, co miało związek z liczbami i biznesem. Daisy chciała zająć się czymś, co ma związek z muzyką, najlepiej zostać Afroamerykanką i raperką. A Simon chciał po prostu być szczęśliwy. Marzył o tym, by zostać policjantem albo strażakiem, jeszcze się nie zdecydował, a może koszykarzem albo weterynarzem, w zależności od dnia.

I choć Max był pewien, że to na zawsze odbije się na nich w jakiś sposób, żadne najwyraźniej nie nabawiło się głębokich ran przez to, że porzuciła ich matka. Sytuacja była daleka od idealnej, ale znieśli to zaskakująco dobrze, głównie dzięki Maksowi, który po odejściu Julie wkroczył na scenę, a Héléne bardzo mu pomagała.

Nawet siostry Julie były oburzone, ale mieszkały w Kalifornii, za daleko, żeby często widywać dzieci czy okazywać wymierną pomoc. Od czasu do czasu przysyłały pozdrowienia. One też nie utrzymywały kontaktów z siostrą. Machnęła ręką na wszystkich, najgorsze, że także na swoje dzieci, nie licząc rzadkich odwiedzin. Zdaniem byłego męża, była to niewybaczalna zbrodnia, zwłaszcza że rzuciła ich, żeby uciec z bogatszym facetem. Była żoną Richarda od sześciu lat i wyglądała na szczęśliwą.

Tylko w jednym aspekcie Max widział negatywny wpływ tego, co się stało – żadne z

dzieci nie wierzyło w małżeństwo. Hélène twierdziła, że w nie nie wierzy, bo nigdy się nie udaje i człowiek kończy ze złamanym sercem. Kendra, rodzinny geniusz matematyczny, finansista i ekonomista, twierdziła, że małżeństwo jest głupie i drogie, i że trzeba płacić alimenty, i kto w ogóle chciałby się żenić. Daisy mówiła, że z całą pewnością chce wyjść za mąż, mieć piętnaście drухen ubranych w kolorach tęczy z pasującymi tatuażami, miała więc w sobie jakieś geny matki, biorąc pod uwagę liczbę drухen, albo chciała dużo dzieci bez męża. Simon twierdził, że chce się ożenić z jedną z siostr – z którą, to zależało od dnia, a one krzywiły się na to i odpowiadały: bueeee.

Żadna nie miała jeszcze chłopaka, co ojciec przyjmował z ulgą. Wszyscy dobrze sobie radzili, mieli dobre stopnie, z wyjątkiem Daisy, która zmagala się z dysleksją.

Ponieważ nie mieli żadnego z dziadków, jedynym członkiem ich rodziny był ojciec. Chodzili do trzech różnych szkół. H el ene byla w liceum, Kendra w gimnazjum, Daisy chciała pójść do szkoły muzycznej, ale została z Simonem w podstawówce. Max był zajęty odwożeniem, przywożeniem, zajęciami pozalekcyjnymi, gdy był w mieście, a dwie nianie miały pełne ręce roboty, gdy wyjeżdżał.

To, że nie był w poważnym związku od siedmiu lat, znacznie ułatwiało mu życie, jak powiedziała Kendra do starszej siostry:

– Kochamy go, ale nikt inny by z nim nie wytrzymał. Musi przestać gardzić kobietami z powodu mamy. Wszystkie na pewno mają go za dupka. – Ale prawda była taka, że został głęboko zraniony i sam już nie wiedział, czy kiedykolwiek kochał Julie, czy jedynie jej wyobrażenie, które sobie stworzył. Tak czy siak, nie było jej. Spotykał się z innymi kobietami, ale z żadną nie związał się poważnie i chyba nie chciał związku. Mówił, że jest zbyt zajęty dziećmi.

Co wieczór jedli wspólnie kolację, chyba że któreś z dzieci miało jakieś wydarzenie w szkole, urodzinowe przyjęcie w weekend albo ojciec miał spotkanie biznesowe. Kolację uważali za swój święty czas, narzucił to Max jako zasadę domową po odejściu Julie. Uznał, że przyda im się to w przyszłości, kiedy nie będą już chcieli jeść kolacji w domu czy razem z nim. Cieszył się nimi, dopóki mógł.

Jedli właśnie kolację – kieszonki z kurczakiem, placki kukurydziane, nadziewane papryczki – kiedy Kendra spojrzała na ojca nad stołem i przypomniała mu, że zapisała go na Dni Kariery w swojej klasie następnego dnia.

– O, cholera! – powiedział. – Zupełnie zapomniałem.

– Tylko mi nie mów, że wyjeżdżasz, bo będę musiała cię zabić. Wszyscy czekają, żeby posłuchać, co masz do powiedzenia. – Była w siódmej klasie.

– Przepraszam, skarbie, zupełnie zapomniałem. Mam spotkanie, ale je przełożę. Cieszę się, że mi przypomniałaś. O czym mam mówić?

– Opowiedz, ile zarabiasz – powiedziała, a ojciec spojrzał na nią groźnie. – Żartuję. Nie wiem, opowiedz, jak kupujesz nieciekawą ziemię i budujesz na niej centra handlowe.

– To niezupełnie jest kariera, o której marzy większość ludzi.

– Nie szkodzi. Jest już kobieta, detektyw policyjny, treserka koni, pisarz, dentysta, projektantka i ty.

– Dziwny miks – zauważył ojciec z powątpiewaniem.

– To rodzice albo znajomi. Pisarz zapowiada się całkiem nieźle, dentysta jest do bani, ale to czyjś ojciec, projektantka tkanin jest przyjaciółką naszej pani od plastyki, detektyw to mama jednego z uczniów z mojej klasy, treserka nie wiem, skąd się wzięła, a na ciebie mówimy deweloper, tytan biznesu.

– Powinienem opowiedzieć, jak zaczynał mój ojciec jako dostawca diamentów, który

dorobił się własnej firmy. To byłoby o wiele bardziej interesujące.

– Chyba wolą posłuchać o tobie.

– To trochę krępujące stanąć przed bandą dzieciaków. A jak mnie wygwizdzą? – Wyśmiała go.

– Zbiję ich, jeżeli to zrobią. – Dwa razy w tygodniu chodziła na karate i coraz lepiej sobie radziła. – A poza tym pani detektyw jest bardzo atrakcyjna, pracuje jako tajniaczka w obyczajówce i jest rozwiedziona.

– Pewnie mnie zastrzeli, jak zacznę nudzić.

Wstali od stołu, Kendra przypominała mu, że musi stawić się u niej w klasie punkt o dziesiątej, a on obiecał, że będzie. Te siedem lat przyniosło mu satysfakcję. Zżył się z dziećmi i może, mimo wszystko, Julie wyświadczyła mu przysługę, odchodząc, choć nigdy nie patrzył na to w ten sposób. Ciągle martwił się tym, jak może się to kiedyś odbić na dzieciach. Ale na razie było dobrze.

Tak jak obiecał, następnego ranka pojechał do Kendry do szkoły i był nieco przed czasem. Denerwował się swoją prezentacją, przemyślał sobie, co chce powiedzieć, ale nie chciał zawstydzić Kendry, która uważała, że jej tata potrafi chodzić po wodzie, i chciał ją utrzymać w tym przekonaniu, aż stanie się nastolatką i stwierdzi, że jest idiotą. Jak na razie miał dużo szczęścia z Hélène. Była dobra, łagodna, opiekuńcza i zawsze go broniła. Jej okres dojrzewania przebiegał wyjątkowo gładko, ale wiedział, że to rzadkość. Od odejścia matki starała się wejść w jej rolę.

Zadzzwonił w parę miejsc z samochodu i zauważył atrakcyjną rudowłosą kobietę, palącą papierosa przed szkołą. Uśmiechnęła się do niego, gdy ją mijał. Zwrócił uwagę na jej zgrabną figurę – miała na sobie czarną spódniczkę i szpilki, i – pomijając krótką spódniczkę – miała w sobie coś, co kojarzyło mu się z jego matką. Wszedł do szkoły, odnalazł klasę Kendry i zobaczył gromadę niesfornych dzieciaków i grupkę rodziców, wyglądających na niespokojnych. Kobieta, która paliła przed szkołą, weszła ostatnia i znów się do niego uśmiechnęła. Zauważył, że córka go obserwuje i udawał, że nie zwraca uwagi na rudowłosą, ale doszedł do wniosku, że musi być tą tajniaczką z obyczajówki, bo jej spódniczka była naprawdę krótka, ale miała zjawiskowe nogi.

Nauczycielka przywołała uczniów do porządku i przedstawiła gości. Dzieciaki przywitały ich oklaskami i od razu rozpoczęły się prezentacje, żeby każdemu wystarczyło czasu. Okazało się, że palaczka w mini jest projektantką, a nie detektywem.

Pierwsza wystąpiła treserka koni i mówiła bardzo ciekawie. Opowiedziała o paru sztuczkach, żeby ujarzmić konia i dzieciakom naprawdę się spodobała. Następny był dentysta, który okazał się do bólu przewidywalny, ale rozdał dzieciakom szczoteczki do zębów, a one się ucieszyły. Kolejna była projektantka. Wyciągnęła kawałek tkaniny i małe pudełko farb i na ich oczach zaczęła pokazywać, jak testuje wzory i kolory na materiale. Powiedziała, że tak naprawdę jest artystką, ale zaintrygowały ją plamy od farb na fartuchu i zarobiła na tym więcej niż na obrazach, czym wszystkich rozbawiła. Gdy tylko się odezwała, zorientował się, że ma francuski akcent, co wyjaśniało papierosa i seksowną spódniczkę. Wszyscy nagrodzili ją oklaskami. Następny był on, ale po jej występie czuł się jak skończony nudziarz. Opowiedział, jak mu kiedyś powiedziano, że jeżeli kupi się naprawdę złą ziemię, na której nikt nie jest w stanie nic uprawiać, można na niej wybudować ogromne centra handlowe, których te rejony rozpaczliwie potrzebują, i osiąga się wtedy fantastyczny zysk. Opowiedział o różnych miejscach, w które jeździł, pokazał kilka zdjęć „przed i po”, które ze sobą przyniósł. Galerie handlowe było bardzo ładne.

– A potem można sprzedać centrum handlowe i zarobić jeszcze więcej – wyjaśnił. Byli pod wrażeniem, zwłaszcza kiedy powiedział, że czasami można zarobić czterystukrotną wartość

inwestycji.

– Ekscytujące jest zamienić naprawdę martwe miejsce w fajny, zachęcający budynek, w którym każdy chce przebywać. – Tak wyglądała jego prezentacja.

Wszystkie wystąpienia spotkały się z uznaniem, podobały się dzieciakom i jemu też. Nauczycielka podziękowała rodzicom za przybycie i poczęstowała uczniów i gości pączkami i babeczkami. Kendra podeszła do niego i objęła go.

– Byłeś świetny, tato.

– Nie jesteś obiektywna – odparł i też ją uściskał.

– Ja też uważam, że pana prezentacja była bardzo interesująca – powiedziała francuska projektantka i, nie wiedząc czemu, Max odezwał się po francusku, i powiedział, że jego matka była paryżanką. Widać było, że kobieta jest zaskoczona.

– Świetnie pan mówi po francusku – odpowiedziała w tym samym języku.

– Dziękuję. Uczyłem się w dzieciństwie. Nie mam okazji rozmawiać w tym języku.

– Pana ojciec też był Francuzem? – Nadal rozmawiali po francusku i Kendra wyglądała na lekko speszoną.

– Austriakiem, wiedeńczykiem.

– Mówi pan również po niemiecku?

– Tylko parę słów.

Podeszli też pozostali porozmawiać z nim, a kilka minut później wszyscy wyszli. Max powiedział Kendrze, że zobaczą się wieczorem. Przed szkołą znów zobaczył projektantkę i rozmawiając, szli do swoich samochodów.

– Ma pan ładną córkę – pochwaliła go. – Jest z pana bardzo dumna.

– A ja jestem bardzo dumny z niej. Za dwa lata znacznie mnie nienawidzić. Cieszę się tym, co mam, dopóki to trwa. – Roześmiała się z tego, co powiedział.

– To pana jedyne dziecko? – Ciekawił ją i, nie wiedząc czemu, on był również ciekaw jej. Było w niej coś bardzo znajomego, może dlatego, że była Francuzką. Ten styl znał dobrze – sposób poruszania głową czy poprawiania włosów. Francuzki się wyróżniały.

– Nie, mam czworo dzieci – odpowiedział.

– Ojej!

– A pani?

– Nie mam dzieci. – Kiwnął głową, gdy znaleźli się przed jego autem, a ona spojrzała na niego dziwnie, sięgnęła do torebki i podała mu swoją wizytówkę. – Na wypadek gdyby potrzebował pan kiedyś projektantki tkanin. – Uśmiechnęła się do niego. Miała cudowne zielone oczy i rude włosy.

Wyciągnął swoją wizytówkę i wręczył jej, zupełnie bez powodu.

– Gdyby kiedyś potrzebowała pani dewelopera w Oklahomie albo w Nowym Meksyku – powiedział, a ona roześmiała się. Podobał się jej, widział to. – Powinniśmy oboje wziąć wizytówkę od dentysty. Na pewno by się przydała.

Uśmiechnęła się, pomachała mu i przeszła na drugą stronę do swojego samochodu i zorientował się, że jeździ małym starym fiatem. Spojrzał na wizytówkę, gdy siedział już w swoim aucie i zobaczył, że widnieje na niej jeden adres w Greenwich, a drugi w śródmieściu. Po powrocie do biura wyszukał ją przez Yahoo! i zobaczył, że ma imponujące opinie na paryskiej Sorbonie i Akademii Sztuk Pięknych i że na obu uczyła. A obecnie pracuje na wydziale sztuk w Yale, więc z całą pewnością znała się na rzeczy i miała talent. Schował wizytówkę do portfela.

Kendra wspomniała o niej wieczorem przy kolacji.

– Była niezła, tato.

– Prawdę mówiąc, była bardziej miła niż niezła. Wyszliśmy razem i powiedziała, że jesteś

ładna.

– Tylko cię bajerowała, zgrywała się dla ciebie. Umówisz się z nią?

– Nie bądź głupia, jasne, że nie. – Ale później wieczorem w gabinecie myślał o tym, znów wyciągnął jej wizytówkę i zauważył, że ma adres mejlowy.

Napisał do niej krótki mejl:

Miło mi było Panią dziś poznać. Świetna prezentacja. À bientôt!, co oznaczało: do zobaczenia niebawem, podpisał się i poczuł jak idiota, gdy wcisnął: wyślij. Czuł się jak uczeń, romansujący na szkolnym boisku. Nadal czuł się głupio, gdy odpisała po francusku:

Mnie też było miło. Zapraszam do mojego studia, jeśli będzie Pan miał ochotę.

Jeszcze bardziej śmiały i głupi, odpisał:

Lunch?

A ona odpowiedziała:

Wspaniale!

Siedział i uśmiechał się. Była to najbardziej niedorzeczna rzecz, jaką zrobił od dawna.

Później przeszedł do konkretów:

W Greenwich czy w mieście?

Jutro w mieście? Jestem tam w studiu w pon., śr., pt./wt., pt. w Greenwich. Zapraszam do mojego studia o 12.30.

Nie wspominał o tym ani słowem przy śniadaniu następnego ranka, ale był podekscytowany, gdy wychodził do pracy. Nie chodził na randki od jakiegoś czasu, ale ta kobieta była atrakcyjna i miała w sobie pewien specyficzny sex appeal, który Francuzi nazywali *chien*, co jest komplementem.

Jej studio było fascynujące. Wszędzie miała tkaniny i wzory, grafiki i schnące rzeczy. Powiedziała, że zajmowała się wzornictwem przemysłowym i w dużym stopniu modą i prowadziła prawdziwy interes. Zatrudniała cztery młode asystentki, które zajmowały się farbami, kolorowymi stemplami i sitodrukiem. Oprowadziła go po studiu, a potem on zabrał ją do Le Bernardin, eleganckiej francuskiej restauracji rybnej, podobno jednej z najlepszych w mieście. Jego rodzice ją uwielbiali i często ich tam zapraszał. Obsługa była wspaniała.

– To bardzo eleganckie miejsce na lunch dla zwykłej artystki – powiedziała, spuszczać wzrok i lekko z nim flirtując, Francuzki przez wieki doprowadziły tę sztukę do perfekcji, i Max się uśmiechnął.

– Moi rodzice uwielbiali tę restaurację, choć ojciec wołał sznycel wiedeński od ryby. Ale matka za nią przepadała.

– Nie żyją? – spytała ostrożnie, a on pokiwał głową.

– Niestety nie, zmarli młodzi, niż powinni, a należeli do tych małżeństw, w których jedno nie jest w stanie przeżyć bez drugiego. Mama zmarła parę miesięcy po tacie, choć oboje byli za młodzi, po sześćdziesiątce. Byli małżeństwem przez czterdzieści pięć lat.

– Imponujące. Dali ci dobry przykład.

– Niezupełnie. – Przez chwilę wyglądał na zmieszanego. – Moje małżeństwo skończyło się po jedenastu latach. Jestem rozwiedziony.

– Przykro mi. – Wyglądała, jakby szczerze mu współczuła.

– A ty?

– Nigdy nie wyszłam za mąż. Moi rodzice byli mniej romantyczni niż twój. Byli małżeństwem, ale mój ojciec zachowywał się źle i miał milion kochanek, a matka bardzo cierpiała. Po tym wszystkim jakoś nigdy nie byłam wielbicieleką małżeństwa. Pozostawałam w dwóch długich związkach, ale ślubu nie wzięłam. Nie widziałam sensu legalizowania tortury, jaką widziałam u rodziców. Tacy jak twój to skarb. – Uśmiechnęła się do niego.

- Byli wyjątkowi.
- Przyjechali tu po wojnie?

Kiwnął głową i zaważał się na chwilę, bo była to potężna dawka trudnej prawdy jak na pierwszą randkę, o ile była to randka.

– Poznali się w Buchenwaldzie, oboje stracili całe rodziny, a potem przyjechali do Stanów. – Skrzywiła się, gdy to powiedział, i instynktownie dotknęła jego dłoni. Gdy spojrzął jej w oczy, poczuł się tak, jakby spojrzął w oczy swojej matki i dotarło do niego, że to te zielone oczy wydawały mu się takie znajome, pełne ciepłego współczucia, które go wzruszyło.

- Musieli być wyjątkowymi ludźmi.
- To prawda.

– Ja wychowałam się po wojnie w Paryżu, w latach pięćdziesiątych, mieszkali tam ludzie tacy jak oni, ale wielu nie wróciło.

Kiwnął głową.

– Jedna z moich córek, najstarsza, chce pracować w muzeum Holokaustu po studiach. To wstrząsające.

– Zgadza się. – Zamyśliła się nad tym, rozmowa była serdeczna. – Moi rodzice nie byli Żydami, ale stracili wielu przyjaciół. Niepojęte, że w cywilizowanym społeczeństwie może się zdarzyć coś takiego.

– Moja matka przez całe życie była przekonana, że to się powtórzy.

– Wielu ludzi tak uważa – powiedziała, a potem zauważyła, która godzina, i aż podskoczyła. – O Boże, mam spotkanie za dwadzieścia minut. – On też był umówiony, ale o wiele milej było mu z nią.

– Cieszę się, że zjedliśmy razem obiad. Wydawało mi się, że zachowałem się beczelnie, pisząc do ciebie wczoraj wieczorem – wyznał.

– Cieszę się, że napisałeś. – Spojrzała na niego ciepło.

– Zjadłabyś kolację ze mną i z moimi dziećmi w któryś weekend?

– Z przyjemnością – odpowiedziała, a on zapłacił rachunek i wstali.

– Dziękuję za taki elegancki lunch. – Przez cały czas rozmawiali po francusku i obojgu sprawiało to przyjemność.

Odprowadził ją przed restaurację, ona zatrzymała taksówkę, a on poszedł spacerem do biura. Wzbudziła w nim serdeczne uczucia, jak dawna przyjaciółka. Nazywała się Pascale Boyer i wiedział, że jego matka byłaby nią zachwycona. Miała w sobie wielką szczerość.

Napisała do niego mejl tego wieczoru, żeby podziękować za lunch, a on zaprosił ją na niedzielną kolację do domu. Nie miał pojęcia, jak zareagują dzieci, ale ona była tak serdeczna i przyjacielska, że trudno było sobie wyobrazić, żeby się im nie spodobała. Powiedział im o gościu dopiero w niedzielę rano. Zrobił naleśniki i jajka na bekonie dla każdego, a dla Simona i Daisy musiał zrobić naleśniki w kształcie Myszki Miki. Wspomnił o Pascale, gdy kończyli śniadanie. Kendra spojrzała na niego zaskoczona.

– To chyba ta kobieta, która miała razem z tobą prezentację w szkole, co, tato? – Lekko speszony kiwnął głową. Nie miał przed dziećmi tajemnic.

– Tak. Dała mi swoją wizytówkę i zaprosiłem ją na lunch. Jest bardzo sympatyczna.

– Nieźle, tato! – zażartowała z niego Kendra i wszyscy się roześmiali. – No to z czym wyskoczyłeś? Zaserwowałeś jej gadkę, że wszystkie kobiety to łajdaczki i kłamczuchy i w końcu rzucają mężów? To ta jedna z lepszych. Po niej zwykle każda ucieka po pierwszym daniu.

– Poszło mi lepiej. Rozmawialiśmy o waszych dziadkach, a moich rodzicach.

– Interesuje ją Holokaust? – wtrąciła Hélène z zainteresowaniem.

– Na to wygląda.

– Jest Żydówką? – Kendra była zaintrygowana.
– Chyba nie.
– A my? – spytał Simon.
– Nie, głuptasie. Należymy do Kościoła episkopalnego, my dziewczyny – poinformowała go Kendra. – A ty nigdzie. – Julie nie została na tyle długo po jego narodzinach, żeby zdążyć go ochrzcić, a jej rodzice już nie żyli, gdy przyszedł na świat.
– Dlaczego nigdzie? – Rozplakał się. – Chcę gdzieś należeć.
– Ja jestem Żydówką – poprawiła siostrę Hélène.
– Kulturowo wszyscy jesteśmy Żydami – powiedział ojciec. – Ale z religijnego punktu widzenia nie, z wyjątkiem Hélène, która chce być Żydówką i chodzi do synagogi. Rodzice twojej mamy ochrztili wnuczki w Kościele episkopalnym, bo takiego wyznania jest wasza mama. A ty możesz należeć, gdzie chcesz – zwrócił się do Simona, który przestał płakać.
– Chcę być Żydem, jak Hélène. A ty kim jesteś, tato? – spytał go Simon, z szeroko otwartymi oczami.
– Żydem, ale nie w sensie religijnym. Nie chodzę do synagogi.
– Może ja będę wszystkim po trochu – oznajmił Simon.
– Dobrze podejście. – Ojciec uśmiechnął się, a potem rozejrzał się wokół stołu. – Czyli Pascale może przyjść dziś na kolację?
– Jasne – odpowiedziała Kendra.
– Oczywiście – zawtórowała jej Hélène, na szczęście, bo już ją zaprosił.
Kucharka przygotowała lazagne, a Max lubił urządzać grilla w niedzielne wieczory. Pascale zjawiała się punktualnie o siódmej, z ciastem czekoladowym, i Max przedstawił ją wszystkim swoim dzieciom, i wszystkie mówiły jednocześnie. Siedzieli w ogrodzie. Było jej miło wśród nich. Hélène rozmawiała z nią o Holokauście, a potem o studiach. Usiłowała się zdecydować, gdzie powinna złożyć papiery po ostatniej klasie. Pascale powiedziała, że wykładała na Yale i że jej się tam podobało, a także na Uniwersytecie Browna i w Paryżu na Akademii Sztuk Pięknych.
– Chcę iść na studia do Paryża – wyskoczyła Daisy. – Tam jest fajniej.
Pascale spędziła z nimi miłe chwile przy kolacji i była zachwycona ich charakterami. Gdy dzieci wstały od stołu i poszły do swoich pokojów, spytała Maksa o ich matkę.
– Macie opiekę naprzemienną? – Czuła, że nie, bo żadne z dzieci nie wspomniało przy kolacji o matce, co wydało jej się dziwne.
– Nie, ja mam wyłączną opiekę. – Westchnął i spojrzał na nią. – To jest ta chwila, kiedy, jak mówią moje dzieci, robię się straszny. Tym razem się postaram. Mieliśmy kilka kryzysów, zanim urodził się Simon. – Nie chciał o nich mówić ani o tym, że jego żona nie chciała mieć dzieci. – Wróciliśmy do domu któregoś dnia, kiedy Simon miał miesiąc, a ona zostawiła nam wszystkim po liście z informacją, ogólnie rzecz biorąc, że odchodzi. Nie chciała już dłużej być żoną ani matką. Oddała mi pełną opiekę. Od tamtej pory odwiedziła ich tylko sześć razy, a było to siedem lat temu. Powiedziała, że nie chce być matką, ale doszła do tego wniosku, gdy miała już czworo dzieci. Dość brutalne postępowanie wobec tych dzieci, porzuconych przez własną matkę. Ciągle czekam, aż wydarzy się coś złego i któreś z nich, albo wszystkie, zostaną seryjnymi mordercami, ale na razie jest w porządku. Muszę być z tobą szczerzy i oszczędzę ci pomstowania, ale nigdy jej tego nie wybaczę. Mnie mogła rzucić, ale dzieciom się tego nie robi. Wyszła za mąż rok później, za bardzo wpływowego faceta, którego poznała, zanim od nas odeszła. Nie wiem, czy to miało jakiś związek z jej odejściem, czy nie. Nie mam pojęcia, czy miała z nim romans, zanim odeszła, czy zaczęło się to później. Ale wróciłem do domu i jej nie było.

Widać było, że Pascale współczuje i jemu, i dzieciom.

– Zrobiła tobie i dzieciom straszną krzywdę.

– Tak, z początku było trudno, ale jakoś się zorganizowaliśmy. Chyba naprawdę jej się naraziłem, skoro zrobiła coś takiego naszym dzieciom. – Mówił to z ponurą miną i Pascale widziała, że nadal cierpi.

– *Non!* – zaprotestowała po francusku i wyciągnęła dłoń w sprzeczcie. – To nie twoja wina! To kobieta z potworną skazą charakteru, jakimś brakiem, skoro zrobiła coś takiego swoim dzieciom. – Wyglądała na rozgniewaną. – Ty tego nie zrobiłeś. – Znów brzmiała jak jego matka i się uśmiechnęła.

– Nie wiem czemu, ale ciągle przypominasz mi moją matkę.

– Pewnie dlatego, że jestem Francuzką.

– W każdym razie przez długi czas byłem zgorzkniały. I chyba nadal trochę jestem. Po takim czymś trudno komuś zaufać. Zbudowałem wiele murów. Ale ja też się do tego przyczyniłem. Byłem złym mężem. Ciągle przebywałem poza domem i zaniedbywałem ją i dzieci. Co ciekawe, moi rodzice od początku uważali, że ona nie jest dla mnie odpowiednia. Chyba była niewłaściwą osobą. Byłem tępy, skoro potrzebowałem jedenastu lat, żeby się o tym przekonać. Wychodzę teraz na idiotę.

– Albo na kogoś, kto kocha i ufa – powiedziała wyrozumiale.

– W każdym razie, radzimy sobie, ja też. – Ale widziała, że nadal jest powściągliwy i zraniony, choć bardzo miły. – Byliśmy młodzi, ona była bardzo ładna. Ale to o wiele za mało, żeby wychować dzieci. – Pascale również wyszukała go w Internecie i zaimponowała jej jego kariera i to, co sam zbudował od podstaw.

Długo siedzieli w ogrodzie, aż zrobiło się chłodno, a ona nie chciała nadużywać jego gościnności. W końcu około wpół do dziesiątej wstała, żeby wyjść. Był piękny październikowy wieczór.

– Masz cudowną rodzinę – powiedziała. – Dzieci są fantastyczne.

– Szkoda, że nie poznałaś moich rodziców. – Gdy to powiedział, przyszło mu do głowy słowo, którego matka używała, kiedy o nich mówiła. – Byli bratnimi duszami. Mój ojciec mówił, że wiedział o tym od chwili, gdy pierwszy raz ukradła dla niego ziemniaka w obozie, gdy pracowała w warzywniku. Była bardzo odważna. Zabiliby ją, gdyby ją przyłapali.

– Ja też żałuję, że ich nie poznałam. – Kiwnął głową i odprowadził ją do samochodu, a kiedy wsiadła, spojrzął na nią, myśląc o ziemniaku.

– Kolacja w tym tygodniu? – spytał ostrożnie, a ona potwierdziła. – Uprzedzam cię, przez ostatnich siedem lat byłem dość niemiły.

– Miałaś powód – powiedziała cicho i pogłaskała go po rękę, a potem wsiadła do samochodu, pomachała mu i odjechała. Powoli wrócił do domu.

– Jest miła – oznajmiła Kendra, kiedy podeszła do niego. – Dobrze ci idzie, tato?

– Obraziłem ją tylko dwa razy – powiedział ze śmiechem.

– To wielki postęp. – Córka poszła na górę, a on wrócił do swojego gabinetu i myślał o Pascale. Czuł, że coś go z nią łączy i w pewnym sensie miał z tym coś wspólnego ziemniak – jej spojrzenie było tak znajome, jakby pochodzili z tego samego świata.

W tygodniu Max zaprosił Pascale na kolację do Jean-Louisa, małej francuskiej restauracji w Greenwich, później w kolejnym tygodniu dwa razy, a potem ona zaprosiła go do swojego małego przytulnego mieszkania pełnego francuskich przedmiotów i przygotowała dla niego coq au vin, którego gotowała też jego matka. Pewną pociechą było przebywanie z kimś z Europy, kto wywodził się z podobnej kultury, choć nie była Żydówką, ale nie miało to dla niego znaczenia. Julie też nią nie była.

Spotykali się na kolacji raz czy dwa razy w tygodniu i kiedyś zaprosił ją, żeby wybrała się z nim i z dziećmi na lodowisko, kiedy zrobiło się chłodniej. Dzieci lubiły z nią przebywać. Innym razem wybrali się wszyscy do miasta, a ona często przychodziła do nich na kolację w weekendy. Max lubił jej towarzystwo i czuł się przy niej swobodnie, ale wciąż był nieufny. Tak mocno został zraniony przez Julie, że nie potrafił się z tym uporać. Nie było w niej nic, czego by nie lubił albo co wzbudzałoby jego podejrzania, tyle tylko, że wiedział, że jeżeli pozwoli sobie na to, żeby zaczęło mu na niej zależeć, jego serce zostanie narażone na ryzyko i będzie mogła rozbić je w drobny mak. Ona czuła, co go trapi. Stał na krawędzi i bał się skoczyć. Ale jej się nie spieszyło, lubiła towarzystwo jego i jego dzieci.

Zaprosił ją na Chanukę, Héléne zapaliła świece i odśpiewała modlitwy, a potem zasiedli do uczty. Héléne znów rozmawiała z Pascale o studiach. Skłaniała się ku Princeton, stopnie miała na tyle dobre, żeby się tam dostać. A Kendra, która uwielbiała ojca, powiedziała, że pójdzie na Uniwersytet Harvarda, tak jak on, a on przypomniał jej, że musi zacząć się starać o dobre stopnie. Pascale podarowała dzieciom drobne prezenty z okazji Chanuki. Dla dziewczynek sama namalowała obrazki, a Maksowi kupiła krawat.

Uśmiechnął się, gdy go zobaczył.

– Moja matka szyla ojcu wszystkie krawaty. Była świetną krawcową. Ku mojej rozpaczycy szyla mi też wszystkie ubrania, aż skończyłem trzynaście lat. Były o wiele ładniejsze niż ciuchy moich kumpli, ale ich nie cierpiałem. Chciałem niechlujnych ubrań, takich, jak mieli oni, a nie granatowych mundurków. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Zabawne, że rzeczy, które zawstydzają nas w dzieciństwie, stają się miłymi wspomnieniami.

Zaprosił ją w weekend do kina, a kiedy ją odwiózł do jej mieszkania, zaprosiła go na górę na drinka. Rozpalili w kominku, nalała mu szampana, usiedli przed płomieniami i rozmawiali o jej dzieciństwie w Paryżu. Jej matka wykładała historię sztuki na Sorbonie, ojciec był właścicielem restauracji, w której bez przerwy podrywał kobiety i spał ze wszystkimi kelnerkami.

– Nienawidziłam go za to. Moja matka była taką dobrą osobą. To dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. Nie chciałam spotkać kogoś takiego jak on. – Kiwnął głową, myśląc o Julie i bliźnach, jakie na nim zostawiła, choć musiał przyznać, że sam był temu winien, zmuszając ją do roli, do której się nie nadawała. Jego rodzice byli mądrzy i widzieli to, on nie chciał widzieć i cały czas zaprzeczał faktom, dopóki nie uciekła.

– Zawsze marzyłem o takim związku jak moich rodziców. Może trzeba wspólnie przeżyć coś potwornego, żeby mieć taką więź. Wtedy człowiek wie, co jest ważne. Nie znałem dwojga bardziej zżytych ze sobą ludzi. Byli bratnimi duszami – powtórzył to, co powiedział wcześniej. Spojrzał na ogień, a potem odwrócił się do Pascale. – Czasami tak się czuję przy tobie – wyznał, czując się przy niej bezpiecznie.

– Ja też – odpowiedziała, a on pochylił się i pocałował ją. Potrzebował dwóch miesięcy,

żeby się odważyć, ale gdy już to zrobił, nie mógł przestać jej całować, a że była namiętna, żadne z nich nie było w stanie tego przerwać. Tama pękła, wziął ją na ręce, zaniósł do sypialni i ostrożnie położył na łóżku. Spojrzał na nią, czekając, czy go nie powstrzyma, pytając siebie samego, czy powinien się wycofać, ale nie chciał. Czuł się z nią mocno związany i chciał jej całej, jej serca, duszy, myśli i ciała, i wszystko w niej kochał. Kochali się godzinami w jej przytulnej sypialni, a potem leżeli w objęciach, wyczerpani. Nadal nie wiedział, dlaczego wydała mu się znajoma, gdy zobaczył ją w szkole. Ale była pomiędzy nimi niezaprzeczalna, swoista więź. Nigdy nie doświadczył tego z Julie i wiedział, kiedy tulił Pascale, że tej kobiecie może zaufać, że go nie skrzywdzi, a on nigdy jej nie zrani. Chciał ją chronić przed wszelkim złem. Przy niej czuł się lepszym człowiekiem.

– Kocham cię, Pascale – powiedział, a ona odparła, że też go kocha. Wszystko wydarzyło się między nimi w ciągu jednej nocy – pierwszy pocałunek, seks i wyznanie miłości. Został u niej do późna, nie chciał jej opuszczać teraz, gdy ją odnalazł. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety takiej jak ona i instynktownie to wiedział. – Moja mama zawsze mówiła, że człowiek wie, gdy trafi na odpowiednią osobę. Nigdy tego nie rozumiałem. Teraz chyba już tak. – Wszystkie części układanki idealnie wpasowały się na swoje miejsce.

Max i Pascale spotykali się w tajemnicy przez zimę. Wyjeżdżali razem na weekendy, kiedy starsze dziewczynki miały zajęcia, a nianie zajmowały się młodszymi dziećmi. Czasami zatrzymywali się w jego nowojorskim apartamencie. Ciągłe go miał, choć od paru lat z niego nie korzystał. Prowadził wygodne życie, a ona doskonale się w nim odnajdywała. Wyzwalali w sobie nawzajem to, co najlepsze.

Na ferie wiosenne wybierał się z dziećmi do Aspen i zaproponował jej, żeby z nimi pojechała. Dzieci się nie sprzeciwiły, gdy im powiedział, a ona dostała swój pokój, żeby wszystko wyglądało przyzwoicie. Ale każdej nocy spał w nim z nią. Przez lata nauczył się jeździć na nartach, ale to ona była wytrawną narciarką i jeździła z dziećmi, Daisy i Simona oddali do szkółki narciarskiej. Tworzyli miłą rodzinę i gdy nadeszło lato, sprawy wydawały mu się oczywiste. W czerwcu spytał, czy za niego wyjdzie.

– Chyba nie wierzę w małżeństwo. Nigdy nie jest tak, jak ludzie sobie wymarzą. Nie chcę zepsuć tego, co mamy.

– Czasami się udaje. Spójrz na moich rodziców.

– Ale popatrz, przez co przeszli, żeby tak było.

– Każde z nas przeżyło swoje, zanim się poznaliśmy – przypomniał jej. – Ty masz na koncie dwa nieudane związki, ja nieudane małżeństwo. – Nie zaprzeczyła.

– Pozwól mi się zastanowić.

Był rozczarowany tym, że się waha, ale uszanował jej prośbę. Nigdy więcej nie chciał nikogo do niczego zmuszać.

Tego lata wynajął dom w Maine, a ona znów pojechała z nimi. Hélène szła do ostatniej klasy liceum, Kendra do ósmej. Daisy ciężko pracowała nad swoją dysleksją przy pomocy Pascale, a Simon nie był już maluchem, wyglądał jak chłopiec. Max nadal nie rozumiał, jak Julie może żyć, nie widując dzieci, tego, jak dorastają, co robią i nie być przy nich każdego dnia. Nigdy tego nie zrozumie.

– Czegoś jej brakuje – powiedziała po prostu Pascale, kiedy o tym rozmawiali.

– Tym, czego jej brakuje, są jej dzieci – odpowiedział surowo Max.

– Nie ma dla nich miejsca. To jej defekt – upierała się Pascale. Wydawało jej się to takie oczywiste.

Wszyscy żalowali, że muszą wracać do domu, a Pascale była teraz częścią ich gromady. Wpasowała się naturalnie. Dziwnie się czuli, gdy jej nie było.

Tego wieczoru, gdy wrócili do Greenwich, została, żeby pomóc Maksowi przygotować kolację i śmiali się z czegoś, aż nagle odwróciła się do niego.

– To głupie. Nie chcę wracać do domu. Chcę tu zostać z wami, na zawsze. O ile nadal mnie chcesz. – Spojrzała na niego niepewnie.

– Myślałem, że nigdy nie powiesz: tak – odezwał się z ulgą. – Pobierzmy się szybko. – Miał pięćdziesiąt jeden lat, ona czterdzieści cztery. Nie chciał tracić ani chwili. – Wytrzymasz z czwórką dzieci?

– Są naszym największym skarbem – odparła, uśmiechając się do niego.

Powiedzieli im o tym wieczorem przy kolacji. Teraz należała do rodziny.

– Mogę sypać róże, jak będziesz wychodzić za tatę? – dopytywała się Daisy.

– Oczywiście – odparła Pascale. – A Simon może nieść obrączki, jeśli obieca, że ich nie zgubi. Kendra będzie naszą druhną, a Hélène świadkiem.

– Potrzebujemy świadka w takim wieku, żeby mógł podpisać dokumenty – zauważył Max. Hélène nie skończyła jeszcze siedemnastu lat i była za młoda. – Poza tym księdza albo rabina do odprawienia ceremonii i kogoś, kto poprowadzi pannę młodą do ślubu.

– Sama się poprowadzę – powiedziała po prostu. – Księdza znajdziemy bez problemu, jeśli rabin się nie zgodzi, bo nie jestem Żydówką. Znajdziemy też kogoś, kto podpisze dokumenty. – Pozostały jedynie szczegóły. Najważniejsze kwestie zostały uzgodnione.

Pobrali się trzy tygodnie później w Jabłoniowych Sadach w piękny jesienny dzień. Pascale miała na sobie białą garsonkę od Chanel, zabrała też wcześniej dziewczynki i kupiła im sukienki, a Max ubrał Simona w spodnie i sweter. Sam wyglądał bardzo elegancko w nowym granatowym garniturze. Ceremonię poprowadził ksiądz, a rabin z synagogi reformowanej udzielił błogosławieństwa. Max popatrzył na nich wszystkich. Znów byli rodziną. Wiedział, że tym razem znalazł właściwą kobietę. Chciała mieć tylko zwykłą złotą obrączkę ślubną. Powiedziała, że nie potrzebuje brylantów ani pierścionka zaręczynowego. Daisy spełniła swoje marzenie i obsypała ich po ceremonii płatkami róż. To był piękny dzień. Max potrzebował siedmiu lat po odejściu Julie, żeby znaleźć Pascale, i całego życia wcześniej, ale warto było czekać. Miał całkowitą pewność, że Pascale zostanie i że tym razem jego rodzice pochwaliliby jego wybór. Czuł, że się uśmiechają i cieszą jego szczęściem z miejsca, w którym są.

Epilog

Dobry Boże! Mamy tu dość jedzenia? – Max roześmiał się, gdy wszedł do kuchni. Hélène i Pascale przygotowywały kolację. Obchodzili Chanukę i urodziny Maksa. Kończył sześćdziesiąt trzy lata. Dziewczyny zaprosiły swoich chłopaków i dom pękał w szwach, a jedzenia mieli tyle, że wystarczyłoby dla całej armii. Kendra właśnie przyleciała z San Francisco ze swoim chłopakiem, Charlie'm. Mieli pomysł na start-up i chcieli go tu rozkręcić. Córka miała dwadzieścia pięć lat i w czerwcu ukończyła Harvard Business School. Nadal chciała pracować z ojcem, marzyła o tym od zawsze, ale najpierw chciała zacząć swój nowy start-up. Max widział Charliego po raz pierwszy, sprawiał wrażenie bystrego, a Kendra szalała na jego punkcie. Miał dwadzieścia sześć lat i ukończył razem z nią studia MBA na Uniwersytecie Harvarda. Tworzyli słodką parę. Pascale też go polubiła.

Hélène przyleciała do domu dzień wcześniej. Dostała wymarzoną pracę asystentki kuratora w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Rok spędziła jako stażystka w Muzeum Holokaustu w Berlinie, a teraz wróciła i pokochała Waszyngton i muzeum. Robiła to, co kiedyś obiecała babci – utrzymywała pamięć, żeby nikt nigdy nie zapomniał. Jej chłopak, David, miał trzydzieści dwa lata i był Żydem. Był rezydentem w uniwersyteckim szpitalu w Georgetown, i Pascale powiedziała Maksowi, że słyszy już ślubne dzwony. Hélène miała dwadzieścia dziewięć lat. Kendrze na razie to nie groziło. Była jeszcze za młoda i za bardzo skupiona na karierze, żeby już teraz zakładać rodzinę.

Daisy skończyła dwadzieścia jeden lat i była na ostatnim roku paryskiego konserwatorium. Jej chłopak był Francuzem i przyjechał razem z nią. Włosy miała w szokująco różowym kolorze, jej chłopak miał niebieskie, w weekendy grali w zespole i właśnie nagrali płytę z Daisy grającą na gitarze i Sylvainem na perkusji. Studiowała kompozycję w konserwatorium. Sylvain miał dwadzieścia dziewięć lat i kochał ją taką, jaka była, a ona zamierzała zostać w Paryżu na kolejny rok i chodzić na specjalistyczne zajęcia.

Simon był na drugim roku na Uniwersytecie Harvarda, miał dziewiętnaście lat i chciał później iść na studia prawnicze. Był najbardziej konserwatywny z całej rodziny. Spotykał się z dziewczyną z Greenwich, która studiowała na uniwersytecie w Bostonie, żeby mogli być blisko siebie. Za każdym razem, gdy Max spoglądał na niego, widział twarz ojca, tak był do niego podobny.

Wszyscy zeszli na dół przed kolacją, w eleganckich strojach. Max w każdym z nich widział jakąś część rodziny. Hélène była podobna do babci, Simon wyglądał jak Jakob, Kendra chciała pójść w ślady ojca w biznesie i uczyć się od mistrza, jak to ujęła. Hélène spełniła daną babci obietnicę, że będzie pielęgnować pamięć i niedawno dostała pozwolenie na zorganizowanie specjalnej wystawy o Buchenwaldzie, ze spotkaniem z tymi, którzy przeżyli. Simon studiował na Harvardzie jak ojciec, a Daisy nieodparcie ciągnęło do Paryża, później chciała też studiować muzykę w Wiedniu. Każde z nich w pewien sposób podążało śladami tych, którzy szli przed nimi, i trafili na dobrych towarzyszy tej drogi, a Max w końcu odnalazł szczęście przy Pascale. Byli małżeństwem od jedenastu lat, tyle samo, ile był mężem Julie, ale tym razem było zupełnie inaczej.

Hélène, jak co roku, zapaliła chanukowe świece i razem odśpiewali modlitwy, stojąc i wspominając tych, których już z nimi nie było, którzy cierpieli, żyli dalej i pozostawili po sobie mądrość i wspomnienia. Max uśmiechnął się do dzieci, trzymając żonę za rękę. Ciągle był przystojny, zdrowy i silny. Kochali się i stanowili rodzinę.

Max poszedł w ślady ojca na swój sposób, jego dzieci podążą jego śladami, a każde wytyczy własny szlak, na cześć przeszłości, w nadziei na przyszłość, zostawiając nowe, własne ślady.

